

Wydanie

ZESZYT DZIEWIĄTY

ZESZYTY
HISTORYCZNE

INSTYTUT
PARYŻ



LITERACKI
1966

ZESZYTY HISTORYCZNE

IX

BIBLIOTEKA « KULTURY »
TOM CXXV

IMPRIME EN FRANCE

Editeur: INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L.,
91, avenue de Poissy, Mesnil-le-Roi
par MAISONS-LAFFITTE (Yvelines)

Z E S Z Y T D Z I E W I A ̧ T Y

ZESZYTY
HISTORYCZNE

INSTYTUT
PARYŻ



LITERACKI
1966

OSTATNI AKT DRAMATU JÓZEFA PIŁSUDSKIEGO (1920-1922)

WSTĘP

W roku 1965 upłynęło 45 lat od najbardziej dramatycznego okresu II Rzeczypospolitej. Ostatni jego fragment rozgrywał się na dwóch przeciwległych krańcach odradzającego się państwa — na Górnym Śląsku i w Wilnie. Fragment wileński odbił się — tak jak śląski — głośnym echem nie tylko w Polsce ale i na terenie międzynarodowym.

Autor tego szkicu jest bodaj jedynym żyjącym z grona jakiegoś dziesiątka ludzi cywilnych, znajdujących się w latach 1920-22 w najbliższym otoczeniu gen. Żeligowskiego, jako szefa krótkotrwałego i od początku ułomnego państwa, noszącego miano Litwy Środkowej i mającego stolicę w Wilnie. Był pomiędzy nimi również prof. Stanisław Świaniewicz, ale jako jeszcze młody student, miał specjalne zadanie opracowania sprawy białoruskiej i pozostawał w głębi sceny. Żyje kilku wojskowych, którzy byli czas jakiś podwładnymi gen. Żeligowskiego, jako Naczelnego Dowódcy wojsk Litwy Środkowej, ale w ogólnej polityce udziału nie brali.

W braku archiwów, które zniszczyła lub rozproszyła burza dziejowa, nawet luźne wspomnienia z przeżytych wówczas dni i obserwacje z bliska ludzi i zdarzeń przez naocznego świadka, mogą mieć wartość dla oceny tego fragmentu naszej historii, w moim mniemaniu dość opacznie rozumianego przez ogół. To mnie skłoniło do napisania tego szkicu historii dyplomatycznej owego fragmentu naszej niedawnej przeszłości.

W roku 1920 także niewielu było tych, którzy wiedzieli i ro-

zumieli dlaczego i w jakim celu istniała czas jakiś Litwa Środkowa. A z tych niewielu „wtajemniczonych” nie ma, zdaje się, nikogo pomiędzy żyjącymi. Nie pozostały też po nich żadne notatki lub wspomnienia z owych czasów. Pamiętniki Jerzego Osmołowskiego, Generalnego Komisarza Zarządu Cywilnego Ziem Wschodnich oraz Michała Stanisława Kossakowskiego, ostatniego delegata rządu polskiego w Wilnie w okresie Litwy Środkowej, znajdujące się w Warszawie, dotyczą przeważnie okresu poprzedniego. Leon Wasilewski, którego papiery też są podobno w Polsce, nie uczestniczył zupełnie w akcji związanej z powstaniem Litwy Środkowej.

W początku roku 1939 prezes Rady Instytutu Historycznego im. Piłsudskiego, A. Prystor, zobowiązał mnie — jako świadka powstania i upadku Litwy Środkowej — do napisania szkicu jej historii i polecił personelowi Instytutu gromadzić wszelkie dokumenty. Wszystko co dało się zebrać spłonęło w gmachu Inspektoratu Generalnego w Warszawie we wrześniu 1939, trochę różnych dokumentów znalazło się na Bliskim Wschodzie, ale spalono je podczas ewakuacji wojsk polskich do Anglii. Strzępy dostały się do Instytutu Piłsudskiego w New Yorku lub Biblioteki Hoovera w Stanford w Kalifornii. Podobno jest ich nieco w archiwach warszawskich.

O powstaniu koncepcji Litwy Środkowej mogliby powiedzieć, oprócz Marszałka Piłsudskiego, najwięcej: Witold Abramowicz, Marian Kościółkowski i Aleksander Prystor; być może, byli i inni „wtajemniczeni”, ale o tych wiem na pewno. Wszyscy trzej wymienieni nie żyją, tylko po Prystorze zostało trochę aktów urzędowych w Instytucie Piłsudskiego w New Yorku, niestety, dostępnych jedynie na miejscu. Trzeba więc sięgnąć do dostępnej tu, dość skąpej literatury historycznej, a jeżeli chodzi o spojrzenie od wewnątrz, do własnej pamięci. — Chcę w tym miejscu wyrazić wielkie podziękowanie bibliotekom i instytutom historycznym londyńskim oraz Bibliotece Hoovera w Stanford za pomoc w opracowaniu tego tematu, pp. płk. Biegańskiemu i Chocianowiczowi, gen. Zamorskiemu, a szczególnie pp. Profesorom Komarnickiemu w Londynie i Dziewanowskiemu w Ameryce, którzy udostępnił mi swoje dopiero przygotowywane do druku, bardzo źródłowe i szeroko ujęte, prace o pierwszych latach II Rzeczypospolitej.

OKÓLNA DROGA DO WILNA

Ziemie b. Wielkiego Księstwa Litewskiego były w latach I-szej wojny światowej terenem działań wojennych i przemarszu

różnych formacji wojskowych, regularnych, nieregularnych i całkiem bezpieczeństwa. Rozgrywała się na nich walka o przyszłe ukształtowanie tych wielkich obszarów, a więc o terytorium i strukturę odradzającej się Rzeczypospolitej.

We wrześniu 1920 wszystko znajdowało się tam w stanie płynnym. Na północy, z Łotwy i Litwy wycofały się już były tzw. Wolne Korpusy niemieckie wraz z niedobitkami białych Rosjan Bermondta-Awałowa, lecz pozostawiły sporo maruderów w wojsku i urzędach litewskich. Z Prus Wschodnich przeciekały wielkimi strumieniami przez Litwę do Sowieców rozbite i wepchnięte do Prus w sierpniu wojska bolszewickie. Stwierdzali to w swoich raportach oficerowie alianccy. Słabe władze litewskie i słabe wojsko pod dowództwem świeżo upieczonych Litwinów¹ nie mogły a może i nie chciały, przeciwstawić się temu przemarszowi.

Na południe od terytorium zajętego przez Litwinów szykowałą się wielka bitwa pomiędzy wojskami polskimi a bolszewickimi, gotującymi się do podjęcia nowej ofensywy. Oddziały polskie dążyły do restytuowania na Suwalszczyźnie linii demarkacyjnej z Litwinami sprzed odwrotu w lipcu, czyli tzw. Linii Foch'a z 26. VII. 1919 r. i zabezpieczenia lewego skrzydła posuwających się wciąż naprzód wojsk, o które bardzo niepokojono się w sztabie Naczelnego Dowództwa, wobec nie wzbudzającego zaufania zachowania się Litwinów i ujawnionej ich zgody na wykorzystywanie przez wojska sowieckie terytorium Litwy.

Podczas polskiego odwrotu, Litwini zajęli okręgi Suwałk i Augustowa, przyznane ostatecznie Polsce decyzją Rady Najwyższej z 8. XII. 1919 r. lecz odstąpione Litwinom przez Sowiety w traktacie pokoju litewsko-sowieckim z 12. VII. 1920 r. Wobec tej sprzeczności co jest moje a co cudze, nastąpiły znaczniejsze starcia pomiędzy wojskami litewskimi a polskimi o Suwałki i Sejny. W komunikatach i propagandzie rozrosły się one do rozmiarów krwawych wielkich bitew.

Posuwanie się wojsk polskich na północny wschód coraz bardziej odsłaniało ich lewe skrzydło. Polskie dowództwo usiłowało dojść do porozumienia z Litwinami. W tym celu udali się w końcu sierpnia do Kowna dwaj oficerowie polscy: ppłk. Mackiewicz i kpt. Romer. Po początkowych obietnicach zawarcia konwencji wojskowej, nastąpiła nagła zmiana i oficerowie polscy po parudniowym oczekiwaniu otrzymali odpowiedź odmowną, prosowiecką i niezwykle ostrą w formie.

1. Szef Sztabu Głównego płk. Klęscinskas, był Rosjaninem i języka litewskiego nie znał. Później był sądzony i rozstrzelany za zdradę.

„Jeżeli Litwa będzie postawiona w sytuację, zmuszającą do wyboru pomiędzy Polską a Sowiecami — powiedział kpt. Romerowi litewski minister Obrony Narodowej Żukas — wybór padnie na pewno na niekorzyść Polski”.

Ta nagła zmiana stanowiska rządu litewskiego, a w dwa dni później próba wyparcia oddziałów polskich z Sejny i Suwałk, nastąpiła w chwili kiedy Naczelnny Wódz czynił przygotowania do rozbicia nowej koncentracji bolszewickiej. Trocki zjawił się w Lidzie, poseł sowiecki Axelrod złożył listy uwierzytelniające w Kownie. Członek angielskiej Misji Wojskowej w Polsce mjr. Mockett donosił Rumboldowi, posłowi Wielkiej Brytanii w Warszawie, że bolszewicy zamierzają rozpocząć ofensywę przed końcem września. Wszystko to przemawiało za tym, że Litwini zdecydowali się na współdziałanie z wojskami bolszewickimi na terenie przyznanym Litwie przez Sowiety i szef Sztabu Głównego gen. Rozwadowski dnia 4. IX. 1920 r. zwrócił się do szefów Misji Wojskowych angielskiej i francuskiej: generałów Carton de Wiart i Henrys, z prośbą o interwencję u władz litewskich. Tegoż dnia minister spraw zagranicznych, ks. Sapieha, zwrócił się do Ligi Narodów, domagając się użycia wszelkich środków, aby Litwini wycofali się na linię z 8. XII. 1919 r. i zaprzestali współpracować z bolszewikami. W przeciwnym razie rząd polski będzie zmuszony uznać się za znajdującego się w stanie wojny z Litwą. Ten krok ministra spraw zagranicznych jest komentowany krytycznie przez historyków tego okresu, m.in. przez prof. Komarnickiego.

Po dalszej bezowocnej próbie uzgodnienia na konferencji w Kalwarii wojskowej linii demarkacyjnej na Suwalszczyźnie, skarga polska z 4 września trafiła pod obrady Rady Ligi Narodów w Paryżu w dniach 16-20. IX. 1920 r. Delegatem polskim był Paderewski niedość przygotowany i niezorientowany w całości zagadnienia. Rada Ligi postanowiła: utrzymać w mocy linię demarkacyjną na Suwalszczyźnie, zgodną z granicą przyznaną Polsce przez Radę Najwyższą, i zobowiązać Polskę do respektowania neutralności terytorium litewskiego na wschód od tej linii — pod warunkiem wzajemności ze strony Litwy. Dla czuwania nad przestrzeganiem tych decyzji miała być powołana Wojskowa Komisja Kontroli z francuskim płk. Chardigny na czele. W ten sposób na tej jeszcze nie istniejącej Komisji spoczęło niewykonalne zadanie kontroli operacji wojennych na wschód od Niemna. W oczywistej intencji wprowadzenia w błąd tej Komisji, Sowiety pośpieszyły ogłosić, że do 5. X. wycofają swe wojska z terytorium odstąpionego Litwie. Posiedzenie Rady Ligi zakończyło się 20. IX. sielankowo. Paderewski i Waldemaras dziękowali prze-

wodniczącemu i sobie wzajemnie, prawili komplementy, ściskali dłonie. Ale jednocześnie Liga Narodów zasypywana była skargami litewskimi na naruszanie przez wojska polskie terytorium litewskiego przyznanego przez Sowiety Litwie i polskimi z powodu ruchów oddziałów sowieckich na tym terytorium. Lewe skrzydło wojsk polskich czuło się wciąż niepewnie.

Nagle odwrócenie sytuacji wojennej przez zwycięstwo pod Warszawą zrobiło w świecie ogromne wrażenie. „Nie mogę powołać się na żaden podobny wypadek w historii, takiej dramatycznej zmiany, jaką wywołało to zwycięstwo” — pisał Sir Rumbold do Curzon'a 24. VIII.

Rząd angielski już w ciągu września domagał się trzykrotnie od rządu i Naczelnika państwa, by konflikt z Litwinami nie był rozwiązany siłą, lecz pozostawiony na boku i, jeżeli nie dojdzie do porozumienia z Litwinami, poddany w myśl układu w Spa decyzji Aliantów. Piłsudski, pozostawiając Sapieżę dyplomatyczną polemikę, był zajęty dowodzeniem bitwy nad Niemnem w przekonaniu, że od jej wyniku więcej zależy niż od rad i interwencji mocarstw zachodnich.

Cele Lloyd George'a i Piłsudskiego były diametralnie rozbieżne. Pierwszy dążył do jak najszybszej pacyfikacji możliwie integralnej Rosji i wszczęcia z nią handlu, drugi chciał wykorzystać jej rozprzężenie, aby osłabić agresywną potęgę imperium przez stworzenie bloku państw nie-rosyjskich, oddzielających ją od Niemiec.

Pośród intensywnej i ostrej korespondencji dyplomatycznej, Komisja Kontroli Ligi, pod naciskiem rządu polskiego, została szybko utworzona i część jej zjawiała się w Suwałkach 4. X. Kilka dni przedtem, w końcu września Sapieha zaproponował spotkanie delegacji polskiej i litewskiej w tychże Suwałkach w celu — jak mówi nota — „dokonania jeszcze jednej próby rozwiązania trudności bez uciekania się do broni”. Rząd litewski wyraził zgodę. Rokowania z udziałem kilku członków Wojskowej Komisji Kontroli, zakończyły się układem zawierającym 4 artykuły: Art. 1) ustanawiał linię demarkacyjną „pomiędzy armią polską a armią litewską” od granicy pruskiej do stacji Bastuny na północ od Lidy, która to linia „nie przesądza w niczym („nullement”) praw terytorialnych żadnej ze stron”. Art. 2) stanowił zawieszenie broni; Art. 3) regulował stosunki na stacji Orany; Art. 4) mówił o wymianie jeńców; a 5) o wejściu układu w życie 10. X.

Układ Suwalski był niewątpliwie układem wyłącznie wojskowym, podpisanym przez wojskowych przedstawicieli stron i nie zawierał klauzuli ratyfikacyjnej. Dziewanowski w swej książce o

Piłsudskim, na poparcie tej tezy przytacza słowa Hymans'a w jego sprawozdaniu przed Radą Ligi Narodów z czynności mediatora w sporze polsko-litewskim:

„Czy układ suwalski zawierał jakąś decyzję w sprawie terytorialnej i miał charakter uznania przez stronę polską praw Litwy do terytorium wileńskiego? Nikt nie może dać pozytywnej odpowiedzi na to pytanie... Układ ten (*accord*) polegał na wytknięciu linii demarkacyjnej, rozdzielającej dwie armie w celu zapobieżenia starcom, zapobieżenia wojnie, w celu utrzymania pokoju”.

W ciągu lat następnych Litwini na wszystkie próby wszczęcia dyskusji na temat politycznego rozwiązania sporu, odpowiadali z reguły żądaniem, przedwstępnym do wszelkich rozmów, wykonania przez stronę polską Układu Suwalskiego. Był to tylko pretekst do uchylania się od takiej dyskusji, pretekst przy tym bezprzedmiotowy gdyż nawet wojskowe znaczenie Układu Suwalskiego w nowej sytuacji, a zwłaszcza po podpisaniu rozejmu w Kownie 29. XI. 1920 r., przestało istnieć.

W chwili podpisywania układu w Suwałkach I Dywizja litewsko-białoruska wojsk polskich stała na północ od Lidy na terenie, który ten układ pozostawiał po stronie litewskiej. Według układu, dywizja musiałaby 10. X. odejść stamtąd na południe poniżej stacji Bastuny.

Gdy wiadomości o układzie rozeszły się wśród wojska, dowódca dywizji, gen. Żeligowski, po objędziu swoich oddziałów i zbadaniu nastrojów tam panujących, wydał na własną rękę rozkaz marszu na Wilno, określając w nim cel swej sprzecznej z wojskową dyscypliną akcji. Celem tym było zwołanie w Wilnie przedstawicieli kraju dla określenia przyszłego jego losu — wobec wyraźnego niebezpieczeństwa włączenia go bez zgody ludności do nacjonalistycznej i anty-polskiej Litwy. Nazajutrz, 8. X. 1920 r. dywizja ruszyła i po lekkich utarczkach zajęła Wilno po południu 9 X. 1920.

Polskie Wilno spotkało wkraczające wojska entuzjastycznie, Żydzi trzymali się w rezerwie, urzędnicy i nieliczne jednostki litewskie wyjechały do Kowna, Białorusini byli zdezorientowani. W mieście rozlepiono odezwy gen. Żeligowskiego i powołanej przez niego Tymczasowej Komisji Rządzącej Litwy Środkowej, to znaczy terytorium pomiędzy linią demarkacyjną sprzed odwrotu polskiego w lipcu 1920, czyli linią Foch'a, a południową granicą Litwy według traktatu pokoju litewsko-sowieckiego z 12 lipca 1920 roku. Terytorium to obejmowało ca. 37.000 km. kw. z ca. 600.000 ludności. W listopadzie próbowano wypchnąć Litwinów z północnego szerokiego pasa tego terytorium pozostałego

w ich rękach. Ale tu wojsko tego nowego państwa nie okryło się sławą. Złe uzbrojone i nieumiejętnie prowadzone przez podwładnych gen. Żeligowskiego, musiało pozostawić pod władzą litewską obszar około 3 tysięcy km. kw. i około 100 tysięcy ludności. 29. XI., staraniem Komisji Kontroli Ligi Narodów, zostało podpisane w Kownie zawieszenie broni na pozycjach zajmowanych wtedy faktycznie. Ale przez utworzenie pasa neutralnego pomiędzy stronami Litwa Środkowa straciła dalsze około 1.400 km. kw. obszaru i przeszło 30 tysięcy ludności. W tym bezpańskim pasie grasowały w ciągu przeszło dwóch lat rozmaite bandy, czyniąc życie ludności miejscowej prawdziwym koszmarem.

Rezydujący w Wilnie przedstawiciele Aliantów próbowali bezskutecznie powstrzymać pochód dywizji gen. Żeligowskiego, spotykając go w pół drogi. Gen. Żeligowski odrzucił ich interwencję, wyłuszczył motywy swej akcji i kazał zostać im na miejscu na nocleg w domu organisty w Woronowie.

Po wkroczeniu do Wilna gen. Żeligowski został zaproszony do gmachu Taryby (litewskiej Rady Narodowej), gdzie zebrali się przedstawiciele obcych państw przy rządzie litewskim. Gen. Żeligowski udał się na to zebranie wbrew opinii swego sztabu. Speakerem zebranych był angielski gen. Burt. Rozmowa była krótka i sucha. W końcu tej rozmowy gen. Żeligowski oświadczył (według własnej relacji):

„Na próżno Pan nazywa te szacherki, które odbywają się w Wilnie i Kownie, prawem międzynarodowym. Właśnie to prawo ja dążę zabezpieczyć”.

Angielski generał: — „A na kimże się Pan oprze?”

Żeligowski: — „Na ludności i własnych karabinach”.

Angielski generał ironicznie: „A skądżeście te karabiny otrzymali?”

Żeligowski: „Na pewno nie od p. Lloyd George'a i jego przyjaciół. Nasze rozmowy nie prowadzą do żadnego celu. Proszę Panów jutro do południa opuścić Wilno”.

Nazajutrz dyplomaci i obcy wojskowi wyjechali z Wilna. Pozostał tylko konsul francuski p. Comeau, który objawiał wielkie zadowolenie z tego co się stało.

Rząd polski przez premiera Witosa zdezawuował rebelię gen. Żeligowskiego w Sejmie, 14. X., lecz zaznaczył, że nie podejmie żadnych kroków represyjnych, ponieważ stronnictwa i całe społeczeństwo popiera motywy jego akcji. Zaskoczony wypadkami minister Sapieha złożył rezygnację nie przyjętą przez Naczelnika Państwa, a dyplomaci polscy na placówkach zagranicznych musieli wytrzymać grad zarzutów i potępień ze strony rządów, przy których byli akredytowani, i gwałtowne ataki niemal całej prasy.

Rządy angielski i francuski planowały już przed zajęciem Wil-

na interwencję u Naczelnika Państwa wskutek uzyskanych o tym wiadomości, m.in. niewątpliwie od Wojskowej Komisji Kontroli, która była przyjęta przez Naczelnika Państwa w jego kwaterze głównej w Białymstoku 4. X. i na zapytanie co będzie z Wilnem otrzymała następującą odpowiedź:

„Nie przewiduję marszu na Wilno, ale nie mogę zaręczyć czy prowokacje Litwinów nie popchną wojska do kroków nieprzewidzianych, zwłaszcza, że dywizja operująca koło Lidy składa się z mieszkańców tych ziem. Gdybym nie był naczelnikiem państwa, a działał jako wojskowy, zająłbym Wilno już od tygodnia”.

(Raport płk. Chardigny do Rady Ligi z Kowna)
z 11. X. 1920 r.

Równało się to uprzedzeniu Komisji, że fakt taki może nastąpić. Chardigny pojechał do Kowna, gdzie oczywiście uprzedził rząd kowieński, a szef Misji Wojskowej Brytyjskiej w Warszawie, gen. Carton de Wiart, 8. X. udał się do Wilna.

Rozmowa z Naczelnikiem Państwa pp. de Panafieu i Sir Percy Loraine, zastępującego Sir Rumbold'a, odbyła się dopiero 12. X. Przedstawiciele Anglii i Francji usłyszeli od Naczelnika Państwa, że jeżeli Alianci będą próbowali wymuszać na nim to co jest sprzeczne z jego zobowiązaniami wobec kraju rodzinnego i wobec żołnierzy, w takim razie złoży swój urząd i stanie na czele towarzyszy broni, znajdujących się obecnie w Wilnie.

We wspólnym raporcie z przebiegu rozmowy obaj dyplomaci doradzali umiarkowanie i donosili swoim rządowi, że Piłsudski stanowczo stwierdził istnienie tylko dwóch sposobów rozwiązania sprawy: albo państwo litewskie z Wilnem jako stolicą, rozszerzone na Lidę i Grodno, bezwzględnie w unii z Polską, albo połączenie Wileńszczyzny z Polską.

Pod wpływem tego raportu Curzon odstąpił od żądania by Piłsudski zdezawuował akcję gen. Żeligowskiego i ograniczył to żądanie do rządu polskiego, ale i tu spotkała go również odmowa ze strony Sapiehy. W tym samym czasie Sapieha ostrzegł Sir Percy Loraine'a przed dopuszczeniem przez Aliantów do ustąpienia Piłsudskiego, który już rezygnację złożył. To co mocarstwa w tej sprawie robią — powiedział Sapieha — może spowodować tylko katastrofę na ten kraj i na ich głowę.

Rząd francuski, który obawiał się Piłsudskiego z powodu jego planów anty-rosyjskich, gotów był przyjąć jego ustąpienie bez dramatu. Ale Curzon już 21. X. powiadamiał swego posła w Warszawie, że „po rozważeniu sprawy, rząd angielski zdecydował, że wszelkie konkretne projekty w sprawie polsko-litewskiej muszą wyjść od Ligi Narodów”.

Konflikt więc wrócił na forum instytucji międzynarodowej,

mogącej działać jedynie metodą koncyliacyjną. Liga dysponowała wprawdzie straszakiem sankcji ekonomicznych, ale to był zawsze, mówiąc językiem współczesnym, papierowy tygrys. Tegoż dnia stało się wiadome, że na naleganie premiera Witosa i ministra Sapiehy, Naczelnik Państwa rezygnację cofnął.

ZA KULISAMI

Tak rozwijały się wypadki na torze oficjalnym, dość szeroko znanym. Ale obok niego biegł przez pewien czas tor drugi, podówczas dla ogółu niewidoczny, znany tylko niewielu.

Już w kilka dni po zajęciu Wilna przez gen. Żeligowskiego, nikt w sferach politycznych i dyplomatycznych nie wątpił, że stało się to za aprobatą Naczelnego Wodza i Naczelnika Państwa. Ale jak i dlaczego się to stało?

Już w r. 1902 Piłsudski pisze w tajnym piśmie „Walka” o związkach federacyjnych Królestwa Polskiego i Litwy. Znane są późniejsze jego wypowiedzi, już jako Naczelnika Państwa, do delegacji litewskiej w grudniu 1918, w słynnej odezwie wileńskiej z kwietnia 1919, przy różnych okazjach i rozmowach. Nie krył się z tym poglądem wobec przedstawicieli państw obcych, którzy nękali go nieustannie, usiłując powstrzymać od ofensywnych działań na wschodzie.

Plany Piłsudskiego zorganizowania terytorium dawnej Rzeczpospolitej na podstawie federacyjnej występują z całą jasnością w ogłoszonej dotąd jego korespondencji z okresu kiedy był Naczelnikiem Państwa i Naczelnym Wodzem: z listu do Paderewskiego z maja 1919, ogłoszonego przez Leona Wasilewskiego w książce „Piłsudski jakim go znałem”; z listów do gen. Sosnkowskiego z 29. IV. 1919 i do premiera Skulskiego z 6 maja tegoż roku, do gen. Szeptyckiego z 22. VII. 1919 i innych, ogłoszonych w „Niepodległości”, (rocznik VII z 1962) i skomentowanych trafnie przez Józefa Łobodowskiego w „Wiadomościach” (Nr 23/949 z 7. VI. 1964). W odniesieniu do Litwy wyraźnie sformułowaną koncepcję zawiera instrukcja, otrzymana ustnie od Naczelnika Państwa przez Leona Wasilewskiego, gdy w sierpniu 1919 jechał z mjr. Kasprzyckim do Kowna na pertraktacje z rządem litewskim, i podana w tejże książce. W liście do Paderewskiego z 31 maja 1919 wydrukowanym w tymże roczniku „Niepodległości”, Piłsudski powtarza 4 punkty instrukcji udzielonej ks. Sapieże, gdy ten obejmował stanowisko posła polskiego w Londynie. Punkt 1 brzmi: „popieranie chęci łączności wszystkich

narodów i ludów, będących między nami a Rosją, nie z Rosją a z Polską, naturalnie na postawie federacji”.

Odwrót spod Kijowa, układ w Spa, zawarty przez Grabskiego, którego Piłsudski odmawiał od wyjazdu tam (rzeczywiście, według protokołu Konferencji, Grabski robił wrażenie żaka przed Komisją belfrów), traktat litewsko-sowiecki z 12. VII. 1920 i co najważniejsze — ewakuacja Wileńszczyzny przez władze i wojska polskie, wytrąciły Piłsudskiemu owoce zwycięstw odniesionych w r. 1919, które mu dały takie atuty, jak Kijów w stosunku do Ukrainy, Mińsk — w stosunku do Białorusi i Wilno — w stosunku do Litwy.

Wprawdzie najazd został odparty a większość utraconego terytorium odzyskana; wprawdzie układ w Spa wskutek niewykonania przez Aliantów, zwłaszcza Wielką Brytanię, swoich zobowiązań, został przekreślony — ale tylko w interpretacji polskiej! Jednakże odwrót wojsk polskich latem 1920 roku pociągnął za sobą daleko sięgające skutki na polu politycznym i dyplomatycznym. Pozostawił też głębokie ślady w psychologii ludności tych terytoriów. Poderwana została wiara w siłę Polski, zachwiały się jej autorytet, który od początku wśród ludności niepolskiej silny nie był. Stanowisko Aliantów, którzy po umowie z Petlurą i zajęciu Kijowa skłonni byli dać Polsce wolną rękę na wschodzie, odrazu uległo zmianie. Decydujące w wojnie z Moskwą zwycięstwo Piłsudskiego w bitwie nad Niemnem nie mogło mu zwrócić utraconych atutów, szczególnie w odniesieniu do Litwy, gdzie utwierdził się już w tym czasie rząd i sejm i wojsko sformowane przy pomocy Anglików i Niemców. Drogi do Wilna były zamknięte.

Piłsudski musiał przewidywać ten bieg rzeczy. Już przed bitwą warszawską przywrócił 19-ej Dywizji jej pierwotną nazwę litewsko-białoruskiej, a zaraz po bitwie wycofał z linii bojowej i przesunął daleko na północ w stronę Wilna.

W końcu września, gdy bitwa nad Niemnem była już zwycięsko zakończona, gen. Lucjan Żeligowski, zwycięzca w bitwie pod Radzyminem w sierpniu 1920 r., znajdował się w Równem ze swoją 10 Dywizją z którą przyszedł w r. 1919 znad Kubania do Polski. Tam dosięgły go poszukiwania Sztabu Głównego, by stawił się zaraz w kwaterze głównej Naczelnego Wodza w Białymstoku. W wagonie na stacji odbyła się rozmowa, której część cytuję według relacji gen. Żeligowskiego:

„Marszałek tak oceniał sytuację — pisze gen. Żeligowski: — Ani państwa koalicji ani Liga Narodów, ani rząd ani społeczeństwo polskie, nie rozumieją sprawy Litwy... Wszyscy chcą pokoju i nikogo sprawa ani Litwy ani Wilna nie obchodzi. Premier polski już prawie

oddał w Spa Wilno Waldemarasowi. Jeżeli teraz Wilna nie uratujemy, to historycy nam nie darują. Mało tego. Musimy uczynić wysiłek, ażeby odbudować Litwę Historyczną. Zrobić to może tylko sama ludność za pomocą Litewsko-Białoruskiej Dywizji. Lecz trzeba, ażeby ktoś wziął na siebie całą sprawę. Trzeba zorganizować powstanie. Marszałek uważał, że zrobić to mogą tylko ja. Tylko trzeba pamiętać, że wszystko mamy przeciwko sobie, 'Może przyjść chwila — mówił Marszałek — że Pan będzie miał przeciwko sobie nie tylko opinię świata, lecz i Polski. Może nastąpić moment, że nawet ja będę zmuszony pójść przeciwko Panu. Trzeba będzie wziąć wszystko na siebie. Tego ja nie mogę rozkazywać. Takich rzeczy się nie rozkazuje'”.

Gen. Żeligowski, po krótkim namyśle, zgodził się podjąć to zadanie. Napotkał potem duże trudności, zwłaszcza we własnym sztabie. (Pisze o nich szczegółowo kpt. Waligóra w artykule drukowanym w „Bellonie” w 1930 roku). Kryzys ten rozwiązał z polecenia Naczelnego Wodza gen. Sikorski. Oficerem łącznikowym został wyznaczony kpt. Prystor. „Marszałek nie chciał stanowczo, ażeby jakiegokolwiek oddziały polskie brały udział w tej akcji i bardzo był niezadowolony, że z powodu niezrozumienia przez sztab jego myśli, do dywizji trafiali ludzie nie pochodzący z Litwy” — pisze gen. Żeligowski.

Tegoż dnia udał się gen. Żeligowski do Grodna, gdzie spotkał się z grupą Wilnian, którzy mieli utworzyć miejscowy rząd pod nazwą „Tymczasowej Komisji Rządzącej”. Według koncepcji Piłsudskiego i wileńskich federalistów, odtworzona i zmodernizowana Litwa Historyczna, miała składać się z trzech kantonów: zachodniego z Kownem, wschodniego z Mińskiem i środkowego z Wilnem, które zarazem miało być stolicą całości. Stąd nazwa „Litwa Środkowa” dla przyszłego kantonu wileńskiego. Wszystko to było znane i rozumiane przez może kilkadziesiąt osób. Dla ogółu była to łamigłówka, o której rozwiązanie nikt się na razie nie troszczył.

Bitwa nadniemeńska zaczęła się 21 września. Kierował nią osobiście Wódz Naczelny i był wciąż na froncie. W Warszawie odbywały się narady w kole nie więcej niż kilkunastu osób. Ustalono na nich organizacyjne, personalne i inne szczegóły cywilne całego przedsięwzięcia. Wszystko to było utrzymane w ścisłej tajemnicy. Toczyła się wojna i wszelkie dyspozycje wychodziły od naczelnego dowództwa. Ale różne zarządzenia i ruchy wojsk nie uszły uwagi rozmaitych wywiadów. Dzwonki alarmowe poszły w ruch.

Ogół dowiedział się dopiero z komunikatów Naczelnego Dowództwa, że coś się stało niezwykłego co miało doprowadzić do odzyskania Wilna. Co się działo w Wilnie w pierwszych dniach po wejściu wojsk gen. Żeligowskiego, nie wiedział dokładnie na-

wet Wódz Naczelny. 12. X. wysłał autem do Wilna przybyłego właśnie z Białegostoku oficera swego sztabu ppłk. Zamorskiego, polecając mu rozejrzeć się w sytuacji wojskowej i politycznej i wejść w kontakt z szeregiem osób. Ppłk. Zamorski był w Wilnie 36 godzin i po powrocie złożył szczegółowy raport Naczelnemu Wodzowi. Duch wojska jest bardzo dobry — pisał — ale wzmaga się łażikowanie. Miasto odcięte od dowozu, zaczyna cierpieć na brak niektórych artykułów pierwszej potrzeby. Przedstawiciele Aliantów, którzy pozostali, czekają na instrukcje swoich rządów i nie interweniują. Przybyła Misja angielska dla pertraktacji z nową władzą o kupno lasów na jej terenie. Oficerowie alianccy starają się dociec prawdy o akcji, wypytyują żołnierzy skąd pochodzą i tp. Po wydaniu rozkazów zmieniających całą organizację wojska, chorągwie i emblematy wojskowe, uwierzyli, że ten ruch jest poważny. Wśród ludności polskiej nurtują dwa prądy: za inkorporacją do Polski i za federacją z Kownem. Pierwszy przeważa. Stosunek ludności do Tymczasowej Komisji Rządzącej wyprzedzający, zależny przede wszystkim od pokonania przez nią trudności aprowizacyjnych. — Raport zawierał ponadto całą litanię postulatów wileńskich do władz polskich w Warszawie.

Kiedy około 20. X. z kilku członkami Komitetu Politycznego Ziemi Kowieńskiej przyjechałem do Wilna pierwszym pociągiem z Lidy po 7-dniowej podróży z Warszawy, miasto wyglądało zupełnie normalnie. Nie opływało w dostatki, ale też nie cierpiało niedostatku.

Tymczasowa Komisja Rządząca² zabrała się do organizacji życia na swoim niewielkim terytorium energicznie i z zapałem. Miejscowi ludzie poczuli się odpowiedzialni za swój kraj. Ale trudności były ogromne i można tylko podziwiać w jaki sposób ani wieś ani miasto nie zaznały głodu, mimo braku dowozu z zewnątrz w pierwszych tygodniach oraz mimo żywienia przez ludność żołnierzy gen. Żeligowskiego, zanim regularna ich apro-

2. Pierwszy skład (polityczny) Tymczasowej Komisji Rządzącej był następujący: Witold ABRAMOWICZ, demokr. „krajowiec” — prezes Komisji i sprawy wewnętrzne; płk. Leon BOBICKI, — Obrona Krajowa; Mieczysław ENGIEL, ch.-dem., — Praca i Opieka Społeczna; Jerzy IWANOWSKI, bezpartyjny Piłsudczyk — Sprawy Zagraniczne; Wacław IWANOWSKI, Białorusin propolski — Apropowizacja; Aleksander ACHMATOWICZ, Muslim polski, konserwatysta, sympatyk „Krajowców” — Sprawiedliwość; Antoni JANKOWSKI, bezpart. narodowiec — Skarb; Seweryn LUDKIEWICZ, demokr. „krajowiec” — Rolnictwo i Lasy; Teofil SZOPA, „Straż Kresowa” — Przemysł, Handel i Odbudowa, oraz Oświata; Aleksander ZASZTOWT, P.P.S. — Komunikacja i Roboty Publiczne. Ponadto, ustanowiony został urząd Kontrolera Państwowego, którym został mianowany Aleksander CHOMIŃSKI, konserwatysta, sympatyk „krajowców”.

wizacja nie została zapewniona. Przetrvanie bez głośnych skarg tych ciężkich kilku tygodni przez ogromną większość ludności, było miarą jej aprobaty tego co się stało. Ale nieliczna na terenie Litwy Środkowej ludność litewska zdecydowanie i solidarnie przeciwstawiła się nowemu porządkowi rzeczy, nie wykraczając poza granice legalności.

PLEBISCYT MARTWOURODZONY

Pozorna rebelia gen. Żeligowskiego i utworzenie Litwy Środkowej, stały się bardzo wymowną próbą reakcji Aliantów na polską koncepcję urzędzenia północnej części tak zwanego później Międzymorza — jak gdyby barometrem szans rozwiązania sprawy polsko-litewskiej (białoruska była już udaremniona przez pokojowe preliminaria ryskie), po myśli koncepcji Piłsudskiego.

Stwierdzenie bez ogródek przez Naczelnika Państwa wobec posłów alianckich, przez premiera Witosą w Sejmie, i ministra Sapięgę w nocie z 9 października, że rząd polski, nie biorąc odpowiedzialności za samowolny czyn gen. Żeligowskiego i jego podwładnych, musi liczyć się z tym, że *politycznie i uczuciowo stoi za nim cały naród polski*, wywołało w pierwszej chwili wielką wrzawę w świecie. Nie skąpiono nam potwarzy, groźb i poła-janek, demonstrując przy tym często zupełną ignorancję samego zagadnienia. Propaganda litewska, dysponująca w sporze z Polską środkami znacznie przekraczającymi jej możliwości własne (vide Tommasini, str. 223) zasypywała Ligę Narodów i rządy alianckie skargami na postępowanie Polaków na terytorium Litwy Środkowej.

„Wojska polskie” — pisał dyplomatyczny przedstawiciel litewski w Paryżu Oskar Miłosz, 15 października 1920 r. — „dopuszczają się pogromów ludności żydowskiej w Wilnie. Rząd litewski posiada dane o 30 wypadkach mordu, ale na pewno ofiar jest więcej. Cała ludność miasta jest poddana gwałtom i wymuszeniom”.

Depesza z Kowna z tegoż dnia do Ligi Narodów skarży się, że „pogromy Żydów w Wilnie szerzą się. Na ulicach odbywają się polowania na ludzi w wieku poborowym. Z miarodajnych źródeł donoszą, że obecne działania polskie są tylko wstępem do wykonania planu, który przewiduje zajęcie Rygi i Libawy”. Przedstawiciel litewski w Londynie, hr. Alfred Tyszkiewicz, alarmuje Ligę Narodów codziennie tegoż rodzaju wiadomościami. (Vide „Dziennik Urzędowy” Ligi Narodów, dodatek specjalny Nr 4, str. 124 i 126).

Cytuję te rzeczy jako curiosum. Podobne fałszywe alarmy zdarzały się i po stronie polskiej. Należą te sprawy już do historii i nie powinny dziś rozjatrzać wzajemnych stosunków i uczuć.

Rozmowa posłów z Naczelnikiem Państwa z 12. X. zrobiła na nich ogromne wrażenie co wyraźnie widać ze sprawozdania Loraine'a dla Curzon'a z 14 października. Dyplomaci alianccy przekonali się, że akcja Żeligowskiego nie jest zagonem dla zdobycia jakiegoś kawałka terytorium, lecz *ważnym elementem w realizacji szerokiego planu Piłsudskiego* uregulowania stosunków nad Bałtykiem.

W tymże czasie delegat angielski w Radzie Ligi Narodów Balfour, pyta swego szefa Curzon'a co ma zrobić na najbliższym posiedzeniu Rady, gdy wpłynie skarga litewska. „Paryż chce poprzeć Polaków w ramach przyzwoitości” — pisze. Odpowiedź Curzon'a przychodzi za późno, już po zakończeniu debaty nad sprawą polsko-litewską, która odbyła się 28 października. Rada uchwaliła zarządzić plebiscyt na terenie spornym pod nadzorem Wojskowej Komisji Kontroli i kontyngentu wojsk członków Ligi, który by zastąpił wycofane i zdemobilizowane oddziały gen. Żeligowskiego.

Ta spóźniona odpowiedź Curzon'a jest bardzo znamienita. Żadnych potępień, osądów i pomstowania na Polskę i Piłsudskiego — mimo gromów sypiących się w tym czasie z mównic i łam prasy angielskiej. *Sedno rzeczy — pisze — leży nie w rozstrzygnięciu sporu o Wilno na podstawie etnicznej, lecz w rozwiązaniu problemu przyszłych stosunków polsko-litewskich.* Litwa nie może się utrzymać jako państwo samodzielne: do wyboru jest federacja z Rosją lub z Polską. Curzon wypowiada się za federacją z Polską. Plebiscyt nie rozwiązuje tego problemu — pisze. Trzeba zaprosić obie strony i starać się doprowadzić je do porozumienia na podstawie federacyjnej. (Curzon do Graham'a, pisał w Brukseli — 27 października).

Za rozwiązaniem federacyjnym stosunków polsko-litewskich wypowiadają się również: lord d'Abernon członek Misji Alianckiej do Polski, dalej poseł brytyjski w Warszawie Rumbold i zastępca jego Loraine; nawet delegat brytyjski w Kownie Wilton, nawet płk. Chardigny, rusofil i podejrzwany o niechęć do Polski (vide rozmowa Wilton'a z Chardigny z 24 listopada 1920 r.). Również zastępca Curzon'a lord Hardinge i szef wydziału wschodnio-europejskiego w Foreign Office, Gregory.

Niedługo potem zaczęły napływać do Londynu i Paryża pogłoski o gotującym się ataku sowieckim na Polskę — po podpisanych dopiero co preliminariach pokojowych. Ewentualnie mają to zrobić nieregularne wojska za przykładem Żeligowskiego.

7 grudnia 1920 r., na posiedzeniu Rady Ligi Narodów, Waldemarasz wyjmując z kieszeni traktat pokoju z Sowietami z 12-go lipca, i powołując się na niego, oponuje przeciwko plebiscytowi i przewidywanej obecności wojsk obcych na terenie spornym. „Litwini zdają się być — pisze Wilton z Kowna do Curzon'a — zastraszeni nie na żarty”. Tegoż dnia Balfour rozmawia z Waldemaraszem i odnosi wrażenie, że Litwini pod wpływem Sowietów chcą pozbyć się plebiscytu. Z pomocą Waldemaraszowi przychodzi przewodniczący delegacji sowieckiej na Konferencji Pokojowej w Rydze Joffe, który doręcza stronie polskiej notę oskarżającą Żeligowskiego o zamiary anty-sowieckie i organizację na jej terytorium oddziałów Bałachowicza i Sawinkowa. Twarda i stanowcza postawa delegacji polskiej i rządu stłumia w zarodku tę próbę zastraszenia.

W tymże czasie skończyły się zupełnym niepowodzeniem rokowania delegacji litewskiej z rządem polskim o zgodne określenie obszaru plebiscytowego, wszczęte wskutek propozycji płk. Chardigny. Joffe oskarżył delegację litewską w nocy do posta litewskiego w Rydze o konszachty z Polską przeciwko Sowietom.

Rada Ligi Narodów odrzuciła argumenty Waldemarasa, poczyniła pewne zarządzenia przygotowawcze, ale terminu plebiscytu przezornie nie wyznaczyła. Waldemarasz zasiał zwątpienie wśród członków Rady, bo dostrzegli oni za nim widmo Sowietów. Sprawa plebiscytu była już przesądzona. Nikt go już nie chciał, choć każdy z innych powodów. W końcu lutego zadał mu cios śmiertelny delegat szwajcarski, sprzeciwiając się tranzytowi wojsk do Litwy Środkowej przez terytorium neutralnej Szwajcarii, bo to ją może wciągnąć w konflikt szerszy, a nawet — broń Boże — zbrojny. Rada Ligi skorzystała z tego aby plebiscyt ostatecznie pogrzebać. Obciążwszy strony spór wiodące za nie dojście do skutku plebiscytu, postanowiła za sugestią francusko-angielską spróbować bezpośrednich rokowań stron pod przewodnictwem belgijskiego ministra spraw zagranicznych Hymans'a w Brukseli. Niewątpliwym źródłem tej decyzji była instrukcja Curzon'a dla Balfour'a z 27. X. 1920, o której wyżej.

KRÓTKI ŻYWOT PAŃSTWA ŚRODKOWO-LITEWSKIEGO

Nie mogę w tym szkicu historii dyplomatycznej Litwy Środkowej zajmować się rozwojem stosunków wewnętrznych tego quasi państwa. Jednakże trzeba zanotować zachodzące tam przemiany zasadniczej natury.

Na ogół sytuacja w tym kraju uległa znacznej poprawie a ad-

ministracja działała dość sprawnie. Wśród ludności brały wyraźnie górę nastroje inkorporacyjne, wzbraniające się przeciwko wszelkiej spółce Polski z Litwinami, których od kilku lat uważano za marionetki w rękach bądź niemieckich, bądź sowieckich, których w gruncie rzeczy w Wilnie nie znano i języka nie rozumiano. Kurs na inkorporację *pure et simple*, wzięła większość stronnictw i ugrupowań polskich z wyjątkiem grupy demokratów czyli „krajowców”, jednak kilku ich wybitnych przedstawicieli (L. Abramowicz, Z. Jundziłł, Br. Krzyżanowski, T. Wróblewski) uchyliło się od *politycznej* współpracy z reżymem Żeligowskiego. Stanowisko inkorporacyjne mocno poparły Rady Ludowe, kierowane przez bardzo czynną i wpływową na prowincji organizację „Straż Kresowa”, a utworzony świeżo miejscowy oddział Stronnictwa Ludowego „Piast”, do którego weszło kilku „Krajowców”, był wewnętrznie podzielony. Lewicowe stronnictwo ludowe „Odrodzenie” — twór miejscowy — siedziało na dwóch stołkach, góra PPS współdziałała z Krajowcami (federalistami), lecz miała w swoich dołach zwolenników inkorporacji.

Z łatwo zrozumiałych względów masa ludności czującej się kulturalnie lub uczuciowo polską, nie rozumiała zawiłej, intelektualnej koncepcji federacyjnej i dążyła instynktownie i szczerze do połączenia z Polską. Tych jej uczuć i dążeń nie rozumieli przeważnie członkowie różnych misji i dziennikarze zagraniczni, operujący w swoich sądach argumentem pochodzenia tych ludzi, lub ich na poły polskiego, na poły białoruskiego języka. Zwolennicy federacyjnego rozwiązania ze swej strony sądzili widocznie, że sam Duch Święty oświeci tę ludność, gdyż żadnej szerszej akcji propagującej ich ideę nie prowadzili, a głos popierającej ich „Gazety Krajowej”, redagowanej przez Ludwika Chomińskiego z udziałem Czesława Jankowskiego, tonął w powodzi hasel bogoojczyźnianych „Dziennika Wileńskiego” i ludowo-demokratycznonarodowych „Gazety Wileńskiej”, wydawanej przez Straż Kresową. Osobliwością tej prasowej sytuacji było to, że akcja Straży Kresowej w ogóle była popierana materialnie przez rząd, prowadzący rzekomo politykę federacyjną w stosunku do Litwy.

Żeligowski był człowiekiem rozsądnym i liberalnym, bardzo popularnym w całym kraju. Miał znakomite podejście do ludzi miejscowych, którzy uznali go za „swego człowieka”.

Co pewien czas Żeligowski urządzał w sali balowej pałacu po-biskupiego odprawy wójtów z całego terenu Litwy Środkowej. Roztrząsano na tych zebraniach rozmaite potrzeby, bolączki i skargi miejscowe — w obecności członków Tymczasowej Komisji Rządzącej, wojskowych i urzędników. Żeligowski bardzo energicznie lecz taktownie zmuszał personel urzędowy do załatwiania

w miarę możliwości poruszanych przez wójtów spraw. Wójtowie byli zachwyceni i sława Żeligowskiego, jako sprawiedliwego zwierzchnika, rozeszła się po kraju pozostając żywą aż do katastrofy 1939 roku. W każdych wyborach Żeligowski był wybierany na 1-szym miejscu, wzorowo prowadził swoje gospodarstwo i był bardzo skutecznym propagatorem produkcji i przeróbki lnu.

Tymczasowa Komisja Rządząca pracowała zgodnie gdy szło o administrację i sprawy gospodarcze. Ale już kwestia plebiscytu wywołała rozbieżności a problem utrzymania lub nie choćby bardzo ograniczonej odrębności w sprawach zewnętrznych i wojskowych — wywołał kryzys.

Prezes Komisji, przywódca federalistów-krajowców, Witold Abramowicz, w swoim dążeniu do zwołania Sejmu Ustawodawczego i do utrzymania odrębności władz Litwy Środkowej łącznie ze sprawami zagranicznymi i wojskowymi, okazał się w mniejszości. Opuścił go nawet piłsudczyk Jerzy Iwanowski, dyrektor departamentu spraw zagranicznych, wypowiadając się za jego zniesieniem. Po rezygnacji większości członków Komisji Rządzącej, Abramowicz też złożył dymisję. Żeligowski za radą delegata rządu polskiego, powołał Komisję Rządzącą złożoną z fachowców i urzędników z gen. Stefanem Mokrzejkim na czele. Departament spraw zagranicznych został zniesiony a jego sfera działania przeniesiona do Kancelarii Cywilnej Naczelnego Dowódcy Wojsk Litwy Środkowej. Departament spraw wojskowych również zlikwidowano i zastąpiono dowództwem Okręgu Wojskowego.

Z tą chwilą Litwa Środkowa utraciła istotne cechy państwa, choć zachowała formalnie odrębną głowę państwa. Zmiany te nastąpiły głównie wskutek nacisku Sejmu i Ministerstwa Spraw Zagranicznych, które niezawsze było zgodne z polityką swego szefa.

Litwa Środkowa stała się faktycznie *sui generis* prowincją autonomiczną Państwa Polskiego. Jej pierwotny charakter zaczątku Kantonu Wileńskiego istnieć przestał akurat na krótko przed podjęciem tej idei przez Hymans'a.

PROJEKT HYMANS'a

W lutym 1921 r. Naczelnik Państwa wyjeżdżał do Paryża, gdzie podpisany został traktat sojuszniczy z Francją. Francuzi obiecywali poparcie polityki polskiej w sprawie z Litwą. Sapieha pojechał stamtąd do Londynu i wręcz zapytał Curzon'a czy Anglia chciałaby pomóc w rozwiązaniu federacyjnym sporu. Odpowiedź

była niewiążąca: w zasadzie chciałby pomóc, ale w praktyce to zapewne nie wyjdzie, bo Litwini nie zgadzają się.

Rozmowa Gregory z trzema politykami litewskimi z premierem Gałwanuskasem na czele, potwierdziła to stanowisko Litwinów. Byli oni przeciwni wszelkiej koncepcji federacyjnej i dowodzili, że Polska jest w katastrofalnej sytuacji gospodarczej, zniechęcona przez Rosję i dni jej są policzone.

Wyjaśniło się więc, że oficjalny Londyn i Paryż sprzyjają koncepcji federacyjnej w sporze polsko-litewskim, ale nie mają zamiaru wywierać presji na Litwinów.

W owym czasie w Lidze Narodów decydowało o wszystkim porozumienie anglo-francuskie, tak samo jak obecnie w ONZ wśród 115 państw tak zwanych niepodległych i suwerennych, decydowałoby porozumienie amerykańsko-sowieckie, gdyby do niego doszło. Na państwa Bałtyckie spoglądano w Londynie jak na wrota do przyszłej Rosji, jakkolwiek ona będzie.

Stanowisko Francji, dotąd liczące się z powrotem jej dłużnika Rosji, zmieniło się po klęsce Wrangla i opuszczeniu przez jego wojska Krymu. Nie pozostało już żadnych „białych” w Rosji.

Ale Francja z różnych powodów znajdowała się w stanie zupełnego wyczerpania po wysiłku wojennym. W akcji dyplomatycznej, mającej na celu regulowanie problemów wynikłych po wojnie, górowała Anglia i jej niezmiernie energiczny premier Lloyd George. Francja próbowała się opierać Anglii tylko w tych punktach, które uważała za szczególnie ważne, jak reperacje niemieckie i przyszłość Rosji oraz utopionych w niej miliardów. Polskę chciała popierać, jako oręż przeciwko bolszewikom, ale jednocześnie obawiała się Piłsudskiego i jego planów rozbioru Rosji na części narodowe. Aż do klęski Denikina a potem Wrangla, polityka jej wobec Polski była chwiejna i dwutorowa. Dopiero klęska wszystkich „białych” Rosjan i wycofanie się Aliantów z różnych pbrzeży państwa sowieckiego przekonało ją, że powrót „prawdziwej” Rosji, jej dłużniczki, trzeba odłożyć *ad calendas graecas*.

Francja zaczęła więc oglądać się za innymi sojusznikami we wschodniej Europie. Foch zmienił swój ujemny pierwotnie stosunek do sojuszu polsko-francuskiego, a liczne i wpływowe koła polityczne i wojskowe widziały w unii polsko-litewskiej najbardziej racjonalne rozwiązanie sprawy (m.in. gen. Weygand i socjalista Paul Boncour).

Włochy nie angażowały się w problemy wschodniej Europy, lecz poseł włoski w Warszawie Tommasini był zdecydowanym zwolennikiem koncepcji federacyjnej, a hr. Sforza, minister spraw zagranicznych również jej sprzyjał.

Ale niezmordowany Lloyd George ściągnął do Luzerny premiera włoskiego Giolitti i tam w ciągu dwu dni 22-23 sierpnia 1920 roku wydusił od niego m.in. zgodę na poparcie zasady, by Polacy nie aspirowali do terenów etnograficznie nie-polskich i pozostawili Litwę z Wilnem w spokoju.

Przed konferencją w Brukseli Sapięha doręczył posłom tych trzech mocarstw poufny memoriał, zawierający projekt dwukantonalnego państwa litewskiego o plus minus 85 tysiącach km. kw. obszaru i koło 3-ch milionach ludności. Projekt ten był produktem wielu autorów i echem różnych pomysłów, ale kośćcem jego stały się tezy wypracowane w gronie około 10 osób w Wilnie, które pod nazwą „Biuro Prac Politycznych”, pod kierownictwem Bronisława Krzyżanowskiego, późniejszego Senatora i prezesa tajnego Komitetu Polskiego pod okupacjami w czasie II-ej wojny światowej, pozostawało w owym okresie w stałym kontakcie pisemnym i osobistym z kilku wybitnymi urzędnikami MSZ-tu i wpływowymi kołami wojskowymi. Głównym autorem tych tez był Marian Świechowski, mój kolega z Kancelarii Cywilnej gen. Żeligowskiego, publicysta i późniejszy kierownik naukowy w Instytucie Spraw Narodowościowych w Warszawie.

Projekt Sapięhy dawał pewną przewagę elementowi polskiemu w strukturze Unii. Tommasini, Panafieu i Max-Müller następcą Rumbold'a w Warszawie, poczynili poprawki na które Sapięha się zgodził, po czym rząd francuski i hr. Sforza zalecili go Hymans'owi. Na posiedzeniu 20 maja 1920 r. Hymans złożył swój projekt obydwu delegacjom.

Rząd polski domagał się, przyjmując zasadę pertraktacji bezpośrednich, dopuszczenia do udziału w delegacji ludności Litwy Środkowej. Żeligowski zgodził się przyjąć ewentualne decyzje rządu polskiego pod warunkiem, że: 1) rząd nie przyjmie arbitrażu jako metody; 2) wola ludności Litwy Środkowej będzie wzięta pod uwagę; 3) terytorium nie ulegnie podziałowi.

W razie nie dojścia do porozumienia w Brukseli gen. Żeligowski zapowiedział wybory do Sejmu z całego terytorium Litwy Środkowej. Prawo samostanowienia ludności zostało również silnie zawarowane przez wszystkie stronnictwa w Sejmie polskim — łącznie z Klubem Żydowskim.

Hymans nie zgodził się na dopuszczenie delegacji Litwy Środkowej do udziału w konferencji. Wyznaczeni przez gen. Żeligowskiego w porozumieniu z rządem polskim, dwaj eksperci, pozostali jednak w Brukseli w tym charakterze nieoficjalnie. Byli nimi dr Z. Fedorowicz, podówczas wice-dyrektor departamentu oświaty w Wilnie, a w II-ej wojnie światowej ostatni delegat rządu polskiego w Wilnie, oraz autor tego szkicu. Fedorowicz

reprezentował poglądy kół narodowych, ja — krajowców-federalistów.

Analiza projektu Hymans'a wymagałaby całego rozdziału. W kilku zdaniach można tylko powiedzieć, że był on kombinacją systemu federalnego szwajcarskiego w stosunkach pomiędzy Kantonami Wileńskim i Kowieńskim z systemem austro-węgierskim w stosunkach pomiędzy Wilnem, jako stolicą całości — a Warszawą, czyli federacja pomiędzy Kantonem Wileńskim i Kowieńskim Litwy, oraz konfederacja pomiędzy całą Litwą a Polską.

Ale projekt ten zawierał jeden punkt ze stanowiska polskiego niebezpieczny: wprowadzenie ustroju dwu-kantonalnej Litwy w życie powierzał rządowi litewskiemu, z tym jedynie zastrzeżeniem, że w razie niezgody co do interpretacji układu, rozstrzygał arbiter wyznaczony przez Ligę Narodów za zgodą stron. Było dość podstaw do liczenia się z tym, że w podobnych sporach Londyn popierać będzie Litwę.

Był to projekt niezmiernie ciekawy ze stanowiska prawnopństwowego i politycznego. „Była to śmiała próba — jak pisze Dziewanowski — rozwiązania sporu, który nie mając pozornie wielkiego znaczenia, miał pociągnąć za sobą daleko idące skutki w stosunku sił we wschodniej Europie. Korzyści tego projektu były obustronne i trafnie zrównoważone”.

Otrzymawszy projekt Hymans'a Askenazy³ zażądał od Federowicza i ode mnie opinii na piśmie. Napisałem kilku-stronnicowy elaborat, pełen zastrzeżeń i poprawek i zaniósłem go Askenazemu, który leżał na kanapie obłożony papierami. Przeczytawszy ostatnią stronę, gdzie były moje konkluzje (Askenazy był krótkowidzem i gdy czytał, literalnie wodził nosem po papierze), zerwał się z kanapy na równe nogi. „Ależ panie — wołał gestykulując — i Pan, Jagiellończyk, para się z drobiazgami a nie widzi sedna rzeczy. Idziemy do unii — to jest rzecz główna. Wyobraź Pan sobie akt podpisania układu w Krakowie na Wawelu; otwarcie Sejmu Wielkolitewskiego w Wilnie. Trzeba tą wizją się kierować, a odsunąć na razie na bok drobiazgi...” Zawstydyłem się i odstąpiłem od tych drobiazgów. Zresztą nasze opinie ekspertów nie miały istotnego znaczenia. Obie delegacje projekt Hymans'a przyjęły, jako podstawę do dyskusji, ale, jak słusznie zauważa prof. Komarnicki, każda w innym rozbieżnym celu. Już w swoich poprawkach z 30. V. do projektu Hymans'a Litwini odrzucili główne jego tezy: federalny stosunek dwóch Kantonów oraz powiązanie dwukantonalnej Litwy z Polską za pomocą kilku wspólnych

3. Szef delegacji polskiej.

nych instytucji i umów. Pozostała tylko obietnica udzielenia „mówiącym po polsku Litwinom” pewnej autonomii w zakresie religii i kultury. Litwa w swoim nieustępliwym stanowisku czuła się mocna, ponieważ odpowiadało ono życzeniom Niemiec i Rosji Sowieckiej, a wskutek obrotu rzeczy na Śląsku, do tych dwóch przeciwników rozszerzenia polskich wpływów w Nadbałtyce, dołączała się Anglia — czynnik w ówczesnej koniunkturze tam najsilniejszy.

Jeszcze w czasie trwania konferencji brukselskiej, w maju 1921 roku, litewski minister spraw zagranicznych Puryckis jeździł do Rygi w celu przekonania rządu łotewskiego o potrzebie stworzenia związku państw bałtyckich bez Polski, a nawet z pewnym ostrzem antypolskim. Puryckis konferował z wielu politykami łotewskimi, m.in. z ministrem spraw zagranicznych Mejerowiczem, utworzył litewskie biura prasowo-propagandowe w Rydze i Tallinie, oraz doręczył rządowi łotewskiemu dokumenty, mające świadczyć o rzekomym polskim ruchu separatystycznym w Łatgalii (byłych Inflantach Polskich).

Koniunktura międzynarodowa zmieniła się w tym okresie wybitnie na niekorzyść Polski. Wybuchło III Powstanie Śląskie. Lloyd George wystąpił 13 maja 1921 r. z gwałtowną diatrybą przeciwko Polsce. Na poparcie polskiej koncepcji przez Londyn, nie można było liczyć. W Sejmie polskim wybuchła burza przeciwko nieobecnemu Sapieże z powodu jego federalistycznej polityki. Sapieha ustąpił i na jego miejsce przyszedł poseł R.P. w Rzymie — K. Skirmunt, zbliżony do prawicy narodowej. Przy tym Skirmunt z innych powodów naraził się Piłsudskiemu, który stracił do niego zaufanie. Intymna współpraca ministra spraw zagranicznych z Naczelnikiem Państwa w tym ważnym momencie urwała się.

Hymans, mimo negatywnego stanowiska delegacji litewskiej, uzyskał aprobatę swego projektu przez Radę Ligi 28 czerwca 1920 r. Rada, wskutek żądań polskich, uzupełniła tekst Hymans'a przez postanowienie, że układ polsko-litewski ma być przedstawiony do ratyfikacji przez Sejmy polski i litewski, a także przez Sejm Kantonu Wileńskiego. To stało się kamieniem obrazy dla strony litewskiej. Rząd polski po ciężkiej batalii w Sejmie 15 kwietnia, przyjął projekt za podstawę do dyskusji, lecz rząd litewski 22 lipca 1921 r. odrzucił go ostatecznie, nie godząc się z prawem ratyfikacji układu przez Sejm Kantonu Wileńskiego.

W sierpniu Hymans, za sugestią angielską, złożył zrewidowany projekt. Kanton Wileński został w nim zastąpiony przez autonomiczną prowincję wileńską w państwie litewskim, a konfederacyjny stosunek Litwy z Polską — przez szereg umów mają-

cych charakter *sui generis* Sojuszu. Wspólne instytucje według 1-go projektu w 2-gim już odpadły.

Projekt ten miał być przyjęty albo odrzucony *en bloc*, bez dyskusji szczegółowej. Jako dodatkową przynętę dla Litwinów projekt zawierał obietnicę zgody na inkorporację Kłajpedy. 20-go września Rada jednomyślnie zaaprobowala 2-gi projekt Hymans'a obłudnie dowodząc, że pomiędzy tym a 1-szym projektem, różnice są jedynie w drobiazgach. Ponadto Alianci na równoczesnym Zgromadzeniu Ogólnym przeprowadzili przyjęcie Litwy do Ligi Narodów. Polska wstrzymała się od głosowania. Wywołało to nową falę ostrej krytyki ze strony Anglików i prasy.

Wszystko to nie przekonało Litwinów. W Litwie nastroje antypolskie wzrosły tak silnie, że obróciły się nawet przeciwko rządowi, pomawianemu o ustępliwość.

Rzeczywiście delegacja litewska po powrocie z Genewy, czyniła starania, aby przekonać przywódców partyjnych, posłów i wpływowe jednostki, że sytuacja jest niebezpieczna, że Wilno może być stracone, trzeba więc nie zatrząskiwać drzwi przed 2-im projektem Hymans'a, by po uspokojeniu opinii można było wznowić dyskusję nad tym projektem. Ale kto sieje wiatr — zbiera burzę. W toku tej akcji delegacji jakiś fanatyczny patriota strzelał do premiera Gałwanauskasa, a rząd był zasypywany uchwałami i groźbami przeciwko ustępstwom wobec Polski. W rezultacie Sejm kowieński odrzucił projekt Hymans'a 37 głosami przeciwko 33.

Ludność polska w Litwie w tym czasie była szykanowana i molestowana, co odbiło się również na nastrojach w Litwie Środkowej i wzmocniło bardzo sfery przeciwnie koncepcji federalistycznej.

12 stycznia 1922 r. Rada Ligi, już po wyborach do Sejmu wileńskiego, zakończyła postępowanie koncyliacyjne i postanowiła wycofać Wojskową Komisję Kontroli. Zaznaczyła przy tym, że nie będzie mogła uznać żadnego jednostronnego rozwiązania sporu. Oznaczało to, że nie uzna ewentualnych uchwał Sejmu wileńskiego.

SEJM WILEŃSKI I „WCIELENIE”

W Wilnie powrócono do sprawy wyborów do Sejmu, odłożonych na prośbę rządu polskiego. Zjechały się delegacje ciał samorządowych i uchwały wobec nieudanych prób porozumienia z Kownem, przystąpić do wyborów. Bezkompromisowe stanowisko Litwinów i szykany, którym ulegała w tym czasie ludność

polska w Litwie kowieńskiej, wzmocniały coraz bardziej nastroje inkorporacyjne, intensywnie popierane również przez znaczną część duchowieństwa i zorganizowane przez „Straż Kresową” lokalne organizacje pod nazwą „Rady Ludowe”. Jasne było, że uchwała inkorporacyjna w Sejmie jest zapewniona.

Przewidując ten wynik, a nie chcąc by uchwała inkorporacyjna objęła tylko część obszaru oznaczonego jako sporny uchwałą Rady Ligi Narodów z 28 października 1920 r., Piłsudski zażądał od Sejmu rozszerzenia terenu wyborów na cały ten obszar, którego część znajdowała się już pod regularną polską administracją.

Powstał na tym tle zacięty spór pomiędzy Naczelnikiem Państwa i rządem, a obozem narodowym w Sejmie i jego prasą. Walka przybrała formy dotąd nie praktykowane, wykraczające poza dopuszczalne maximum, rzucające cień na formy politycznego życia w nowym państwie.

Piłsudski zjawił się w Sejmie na posiedzeniu przywódców partyjnych i osobiście uzasadniał swoje żądanie. Chodziło mu o to, aby zalegalizować przynależność do Polski całego terytorium uznanego międzynarodowo za sporny, a zarazem stworzyć poważniejszą podstawę terytorialną na wypadek powstania koniunktury w której wznowienie koncepcji federalistycznej stałoby się możliwe.

W rezultacie niesłuchanie namiętnej kampanii dwóch stron w tym sporze, niezbyt zrozumiałym dla szerszego ogółu, rozszerzenie terenu głosowania na prawie cały obszar sporny uchwalone zostało przez Sejm polski dnia 16 listopada 1921 r., 172 głosami przeciwko 158-miu.



W Wilnie ten spór nie wywołał podniecenia. 30-go listopada gen. Żeligowski wydał dekret wyznaczający termin wyborów do Sejmu na 8 stycznia 1922 r. na podstawie pięcio-przymiotnikowej ordynacji wyborczej w 12 okręgach wyborczych obejmujących terytorium zawarte pomiędzy linią traktatu pokoju litewsko-sowieckiego z 12 lipca 1920 r. od wschodu i południa, a linią faktycznego rozgraniczenia polsko-litewskiego z roku 1919-go. Pas od północy był jednak w rękach litewskich i w wyborach wziąć udziału nie mógł. Komisarz generalny wyborczy, Zygmunt Zabierzowski, zorganizował aparat wyborczy i kierował nim bardzo sprawnie. Uprawnionych do głosowania było 387.397 na ogólną liczbę mieszkańców 735.089. W bardzo mroźną niedzielę 8 stycznia 1922 r. głosowało 249.325, czyli 64,4%. Udział wyborców

podług narodowości był następujący: z ogólnej ilości uprawnionych do głosowania — Białorusinów głosowało 24,8%, Litwinów — 8,2%, Żydów — 15,3%, Polaków — 80,8%.

Wybory, wbrew rozpowszechnianym pogłoskom, odbyły się z zachowaniem wszystkich zwykłych form. Zarówno organy administracyjne odpowiedzialne za techniczną stronę, jak też i organizacje polityczne, uczestniczące w wyborach, bardzo gorliwie starały się nadać postępowaniu wyborczemu jaknajbardziej nienaganny przebieg. Wiedzano, że na ten mały kawałek Europy i na zachowanie się jego biednej ludności, zwrócone będą w tym dniu oczy wielu obcych potencji, a przede wszystkim prasy zagranicznej, której około pół setki przedstawicieli rozjeżdżało po terenie wyborczym, pilnie wypatrując nadużyć lub „uproszczeń”. Wybory były jednak z nielicznymi wyjątkami uczciwe, gdyż prócz ludności litewskiej i pewnej części białoruskiej, rzeczywistym dążeniem większości było połączenie się z Polską.



Przed swoim ustąpieniem, gen. Żeligowski mianował prezesem Tymczasowej Komisji Rządzącej Aleksandra Meysztowicza, ziemianina z Litwy i prezesa Banku Ziemińskiego w Wilnie, przekazując mu zarazem resztę artrybutów swojej władzy zwierzchniej. Był to wybitny polityk konserwatywny o wielkim poczuciu niezależności sądu. Nowy prezes, sympatyzujący „Krajowcom” lecz zwolennik polityki „twardej ręki”, przez całą serię zupełnie bezcelowych represji przeciwko instytucjom, a potem i działaczom litewskim i białoruskim, rozjątrzył jeszcze bardziej stosunki, nie zyskując na tym nic, gdyż każdy „spisek” litewski był w ówczesnych warunkach groźbą urojoną. Pomimo interwencji rządu polskiego z którego ramienia przyjeżdżał do Wilna minister Narutowicz, i Wojskowej Komisji Kontroli, nie zgodził się Meysztowicz na uwolnienie 33 aresztowanych działaczy litewskich i białoruskich z prewencyjnego więzienia, lecz tylko na wysiedlenie do Litwy kowieńskiej bez prawa powrotu. Zarządzenie to było niepraworządne i politycznie szkodliwe. Szczegółowy i dla polskiej strony przykry raport Wojskowej Komisji Kontroli tuż przed jej rozwiązaniem, powędrował do Genewy w przeddzień Konferencji Brukselskiej. Skutki i echa tej sprawy przyczyniły się do rezygnacji Meysztowicza po uchwale sejmu wileńskiego o przyłączeniu Litwy Środkowej do Polski⁴.

4. Niedługo po swej rezygnacji Meysztowicz napisał i wydrukował na prawach rękopisu bardzo ciekawy memoriał, zawierający ogólny pogląd jego na sprawę Litwy Środkowej i uzasadnienie własnej polityki w ciągu kilku

Uchwała ta zapadła 20 lutego po 3-tygodniowych dość jałowych obradach, 96 głosami przy 6 wstrzymujących się, zwolennikach autonomii. 12 krajowców-federalistów głosowało za formułą ogólną z uwagi na aspekt międzynarodowy całej sprawy⁵.

Rząd Ponikowskiego pragnął, w myśl koncepcji Naczelnika Państwa, utrzymać pewną odrębność tego terytorium, a tym samym zapobiec zastrzeżeniom angielskim wyraźnie zakomunikowanym posłowi polskiemu w Londynie przez Curzon'a. Zaproponował więc zaaprobowaną przez Komisję Spraw Zagranicznych Sejmu poprawkę do formuły wcieleniowej następującej treści: „Rząd polski oświadcza, że Sejm Polski określi Statut Ziemi Wileńskiej”. Połowa delegacji Sejmu wileńskiego odmówiła podpisania tej formuły. Rząd Ponikowskiego zgłosił dymisję. Rozpętała się znowu gwałtowna kampania przeciwko Naczelnikowi Państwa i rządowi. 7 marca trzech posłów alianckich zjawilo się u Skirmunta z ostrzeżeniem, że zwykła inkorporacja (*annexion pure et simple*) zrobi fatalne wrażenie zagranicą. Po kilkunastu dniowych sporach i deliberacjach w bardzo napiętej atmosferze, udało się w końcu przekonać opozycjonistów i akt połączenia Litwy Środkowej z Polską z artykułem 3-im o Statucie Ziemi Wileńskiej, został podpisany przez delegację wileńską i nowy rząd Ponikowskiego 24 marca 1922 roku. Wskutek ogólnej ewolucji życia politycznego w Polsce statut ten nie został nadany Wileńszczyźnie, która go też nie żądała.

16 kwietnia odbyło się w Wilnie przejęcie władzy nad faktycznie już nie istniejącą Litwą Środkową. Dzień ten był dla Piłsudskiego dniem smutku i radości zarazem. Smutku — bo rozwie-

miesiący sprawowania urzędu prezesa Tymczasowej Komisji Rządzącej. Memoriał był drukowany, zdaje się, w stu egzemplarzach i większa ich część przepadła w Wilnie i w bibliotece Krasieńskich w Warszawie w czasie wojny. Pewna ilość uratowała się zapewne w rękach prywatnych. Autor niniejszego opracowania zwraca się do nich z prośbą o wypożyczenie dla zrobienia fotokopii, — oczywiście, za zgodą osób do tego uprawnionych.

5. Wstrzymali się od głosowania: trzej członkowie P.P.S.: Stanisław BĄGIŃSKI, Bronisław SZEPTUNOWICZ i Aleksander ZASZTOWT, oraz trzej członkowie Stronnictwa Ludowego „Piast”: Bronisław KRZYŻANOWSKI, Witold STANIEWICZ, Marian ŚWIECHOWSKI i Bronisław WĘDZIAGOLSKI; Cztery członkowie Stronnictwa Demokratycznego („Krajowców”): Witold ABRAMOWICZ, Marian JANKOWSKI, Jan PIŁSUDSKI i Antoni PRZYBYTKO; cztery członkowie Stronnictwa Ludowego „Odrodzenie-Wyzwolenie”: Ludwik CHOMIŃSKI, Antoni HAŁKO, Stanisław HELMAN i Aleksandra KARNICKA.

wał się ostatni akt jego ambitnej wizji sprzęgnięcia w solidarny związek z Polską narodów Bałtyckich i umocnienia wspólnej ich pozycji na przesmyku pomiędzy Niemcami a Rosją; radości — bo jego ziemia rodzinna z umiłowanym miastem, po ciężkich doświadczeniach 7-miu lat wojny, znalazła się w państwie polskim, z którym łączyły ją wielowiekowe więzy uczuć i dążeń do wspólnego bytu.

Miałem sposobność — i szczęście — trzykrotnie widzieć i słyszeć złożoną i głęboką grę uczuć tej naszej wielkiej postaci. Najpierw podczas przejmowania władzy nad swoim krajem na czele rządu w Wilnie. Tę niezapomnianą scenę opisałem w swoim wykładzie w cyklu „Dziejów ziem byłego Wielkiego Księstwa Litewskiego” w roku 1952, wydrukowanym w III tomie „Almae Matris Vilmensis”; następnie w parę dni potem podczas obiadu wydanego przez miasto dla Naczelnika Państwa, gdy mówił z głęboką troską:

„... przez cześć dla przeszłości, przez szacunek dla krwi wspólnie przelanej, dzisiaj, w dniu wielkiego tryumfu, tryumfu polskiego ... nie mogę nie wyciągnąć przez kordon nas dzielący, ręki do tych tam w Kownie, którzy może dzień dzisiejszy, dzień naszego tryumfu, uważają za dzień klęski i żałoby. Nie mogę nie wyciągnąć ręki do zgody i miłości. Nie mogę nie uważać ich za braci”.

Wreszcie, po raz trzeci, w jesieni tegoż roku, w mieszkaniu Jana Piłsudskiego, brata Marszałka, gdy w małym gronie zwolenników jego idei mówił długo i ze wzruszeniem o przebiegu sprawy wileńskiej, o przyczynach tego jej finału, o potrzebie podtrzymywania kontaktów ludzkich z Litwinami i wzajemnego oddziaływania, o podsycaniu tlejącej iskry w popiołach z myślą o przyszłości. (Wspomina o tej nocy prof. Z. Jundziłł w swoich wspomnieniach wileńskich w „Pracach Zebranych”, wyd. w 1958 r. przez Społeczność Akademicką U.S.B.).

ELEMENTY DRAMATU

W polskiej literaturze politycznej i historycznej, traktującej o latach 1918-1920, przeważa pogląd, że niepowodzenie planów Piłsudskiego należy przypisać głównie stanowisku Aliantów, którzy odmówili swego poparcia, a nawet często tym planom przeciwdziałali.

Autorowie obcy, jeżeli nie wykazują wielkiej ignorancji to, z nielicznymi wyjątkami, zapatrują się na politykę wschodnią Piłsudskiego jako na porywanie się z motyką na słońce, na podbój obcego terytorium, na awanturnictwo i tp.

Historyk amerykański Senn, który w ostatnich latach zajmuje się specjalnie Litwą i sporem polsko-litewskim, nie dowierza federalistycznym zamiarom polskim i pisze o nich z przekąsem.

Opinie te grzeszą znaczną jednostronnością, choć niektóre zawierają ziarenka prawdy.

Studium nawet tylko najbardziej dostępnych źródeł na których oparłem zarys przebiegu zdarzeń, w połączeniu z własnymi wspomnieniami i obserwacjami, prowadzi do odmiennych konkluzji.

Jest już bezsporne, że federalizm Piłsudskiego nie wynikał z doktryny, lecz z geopolityki i tradycji historycznej Rzeczypospolitej. Piłsudski nawet nie lubił tego słowa i podkpiwał sobie z abstrakcyjnego federalizmu Paderewskiego. Z jego spuścizny pisemnej i ustnej każdy przekonać się może, że uważał polskie państwo narodowo jednolite za zbyt słabe aby uniknąć w końcu satelizacji, zaś państwo quasi-narodowe, jak to które stworzył Traktat Ryski, mające 1/3 ludności niepolskiej, przeciętej granicą i manipulowanej politycznie przeciwko Polsce przez jej ośrodki zewnętrzne (Mińsk, Kijów, Moskwa, Kowno, Berlin), było w jego oczach czymś w rodzaju beczki z prochem, którą byle pożar w sąsiedztwie mógł obrócić w ogólną pożogę.

Jak już zaznaczyłem, odwrót z Kijowa pozbawił Piłsudskiego atutu ukraińskiego; stanowisko delegacji polskiej w Rydze wobec Mińska, wytrąciło mu z rąk atut białoruski a układ w Spa (w interpretacji Aliantów) atut litewski — Wilno.

W schemacie unijnym Piłsudskiego Litwa zajmowała pierwsze miejsce nie tylko ze względów historycznych i uczuciowych, ale i geopolitycznych. „Klucz na północy” — mówił Wasilewskiemu wyjeżdżającemu w końcu grudnia 1919 r. do Helsinek. — „Tam musi być stworzony wspólny front Finlandii, Estonii, Łotwy, Litwy i Polski”. Teren Litwy pozostający w rękach nieprzyjanych, stawał się wielkim zagrożeniem dla Polski, jako pomost do współpracy dwóch rozbiorców: Rosji i Niemiec. Z drugiej strony odcinał państwa Bałtyckie od Polski i utrudniał zawarcie ścisłego związku. Najlepiej o tym świadczy historia polskich prób ścisłego porozumienia państw Bałtyckich i Polski zawsze rozbijających się o opozycję Litwy. Najdalej idące porozumienie, zbliżone do Konfederacji — zawarte we wrześniu 1920 r. w Bulduri pod Rygą, nigdy nie weszło w życie wskutek — jak słusznie stwierdza Dziewanowski — Traktatu Ryskiego, wyczerpania Polski i wrogości do niej Litwy. Znaczenie, które Piłsudski przywiązywał do spraw bałtyckich wynika jasno z instrukcji udzielonych L. Wasilewskiemu, gdy jechał do Kowna z konkretnymi propozycjami w sierpniu 1919 r. oraz po-

tem na Konferencję Bałtycką w Helsinkach w grudniu tegoż roku. Ten przeto atut — litewski — silnie wiążący go przy tym uczuciowo, postanowił Piłsudski odzyskać. Jak mógł to zrobić w owych warunkach?

Tytułem dostatecznym wobec Aliantów dla zajmowania obszarów białoruskich i ukraińskich były operacje wojenne przeciwko Rosji Sowieckiej. Ale te tytuły nie działały w odniesieniu do terenu odstąpionego Litwie przez Sowiety traktatem z 12 lipca 1920 r., bo tam operowały już władze i wojska litewskie, a z Litwą Polska wojny nie prowadziła. Pogorszył sytuację, zapewne przez niedoświadczenie w tej dziedzinie, Paderewski 18 września 1920 roku, przyjmując z wylewami wdzięczności rezolucję Rady Ligi Narodów, w której terytorium Litwy zostało określone tak samo jak w nieuznanym przez nikogo traktacie litewsko-sowieckim z 12 lipca 1920 roku.

Oczywiście można było mimo bardzo silnego sprzeciwu Londynu i Paryża, zająć Wilno zaraz po zwycięskiej bitwie nadniemeńskiej, motywując ten krok zgodą Litwy na użycie jej terytorium przez wojska sowieckie w chwilach decydujących o wyniku tej bitwy. Wywołałby ten krok taką samą wrzawę w świecie, jaką wywołała rewolta gen. Żeligowskiego. Ale zajęcie Wilna przez regularne wojska polskie nie byłoby pociągnęło za sobą tych skutków, o które Piłsudskiemu chodziło, mianowicie *stworzenie miejscowej, formalnie niezależnej władzy* na określonym terytorium, władzy popieranej przez większość ludności czyli formacji politycznej, mającej atrybuty państwa i mogącej działać samodzielnie, nie angażując bezpośrednio Państwa Polskiego. Polska ludność Wileńszczyzny takiego aktu rewolucyjnego dokonać sama nie mogła, trzeba więc było przynieść tę rewolucję z zewnątrz przez żołnierzy pochodzących z tego kraju i będących w większości w niektórych formacjach Wojska Polskiego. Była to w pierwszym rzędzie I Dywizja litewsko-białoruska, stojąca po bitwie nadniemeńskiej na terytorium z którego musiałaby odejść w wyniku Układu Suwalskiego. Sapięha proponując spotkanie w Suwałkach, znajdował się pod gwałtowną presją Aliantów by nie zajmować Wilna. Piłsudski umyślnie nie informował go o swoim zamierzeniu, nie chcąc obciążać ministra spraw zagranicznych odpowiedzialnością za to, co gotów był sam wziąć na siebie. Jak już wspominałem, Wojskową Komisję Kontroli Ligi Narodów uprzedził zresztą niedwuznacznie o tym co się stanie z Wilnem. Jest więc jasne, że Piłsudski nie sprzeciwiał się zawarciu Układu Suwalskiego, potrzebował go bowiem jako motywu dla rebelii Dywizji Litewsko-Białoruskiej i jej pochodu do Wilna.

Osądzanie tego czynu ze stanowiska rzekomo moralnego jest

pospolitą obłudą, zważywszy że wszystkie mocarstwa nie krępowały się nigdy względami moralnymi, gdy chodziło o ich żywotne interesy przede wszystkim materialne. Ale ich usprawiedliwieniem zawsze była maksyma: *quod licet Iovi, non licet bovi*. Motywem Piłsudskiego nie był ani podbój, ani zysk materialny.

Cytowałem już kilka wypowiedzi miarodajnych polityków alianckich, przychylnych polskiemu planom federacyjnym, w szczególności w stosunku do Litwy. Chcę tu przytoczyć nieco więcej tych głosów.

Posłowie mocarstw alianckich doskonale orientowali się co do celów polityki Piłsudskiego. Poseł angielski Sir H. Rumbold, który objął swoją placówkę na początku października 1919 roku, już w styczniu 1920 r. w raporcie do Lorda Curzon'a, ówczesnego szefa Foreign Office, określał zupełnie trafnie nie tylko cele ale i motywy tej polityki. Poseł włoski Tommasini, napisał bardzo solidną książkę, w której obok wielu ciekawych szczegółów, opowiada się całkowicie za tą polityką. Francuzi uważali Litwę z początku za wymysł niemiecki potem za instrument walki przeciwko bolszewikom, — na ogół byli gotowi poprzeć każdą akcję polską, oglądając się jedynie z jednej strony na Anglię, z drugiej — na Rosję. Dyplomaci orientowali się również doskonale w podziale polskiej opinii politycznej na dwa obozy — Piłsudskiego i Dmowskiego. Zdawali też sobie sprawę, że w owym okresie 1918-1922, kiedy Piłsudski był Naczelnikiem Państwa i Naczelnym Wodzem, prowadzącym kampanię wojenną, decyzje o wielkim znaczeniu leżały całkowicie w jego rękach.

W sprawie polsko-litewskiej wpływ Anglii spośród Aliantów był najsilniejszy. Nadbałtyka, wedle układu o podziale wpływów Anglii i Francji z 27 grudnia 1917 roku, należała do sfery angielskiej. Od końca 1917 do 1920 roku angielskie wojsko i flota toczyła na Bałtyku prawdziwą wojnę z Sowietami, ochraniając najpierw rosyjskie białe wojska, a potem powstające państwa — Estonię, Łotwę i Litwę. Historia tej interwencji angielskiej mało jest znana. I-sza lekka eskadra krążowników angielskich pod dowództwem Admirała Cowan'a. liczyła około 100 jednostek. Dwukrotnie atakowała Kronstadt, zatopiła główne siły floty sowieckiej na Bałtyku, ponosząc sama poważne straty.

Poseł angielski Rumbold 28 lutego 1920 r. pisze do Curzon'a, że polityka francuska dąży do Unii Polsko-Litewskiej, a Amerykanie są obojętni. Zastępujący go w roku 1920 Sir Percy Loraine, w Memorandum z 11 grudnia 1920 r. uzasadniał znakomicie konieczność utworzenia bloku państw pomiędzy Niemcami a Rosją: „Cała ta koncepcja — pisze — stoi lub upada w zależności od układu stosunków pomiędzy Litwą a Polską”.

W połowie lutego 1921 r. Curzon znów wraca do tej sprawy i zawiadamia następcę Rumbold'a w Warszawie Max-Müllera, że próbował przekonać Puryckisa „dziwnie nierozgarniętego w sprawach zagranicznych” do jakiegoś federalnego związku z Polską.

To samo robi Gregory w rozmowie z Gałwanuskasem, Gai-galatem i Naruseviciusem 15 lutego 1921 r., lecz odnosi wrażenie, że są oni „zupełnie niezdolni do spojrzenia na tę sprawę z jakiegokolwiek szerszego punktu widzenia niż z własnego i wyłącznego egoizmu”.

Zdecydowanym wrogiem nie tylko planów Piłsudskiego, ale wszelkich aspiracji polskich wykraczających poza ściśle etnograficzny teren, był Lloyd George. Ale i on oceniał Polskę i Piłsudskiego według przysłowia rosyjskiego „zwycięzcy nie bywają sądzeni”. Gdy szanse polskie w wojnie stały najniżej, w dniu 8 i 9 sierpnia 1920 roku na konferencji anglo-francuskiej w Lympe Lloyd George mówił Millerand'owi że „zachowanie się Piłsudskiego jest zdradzieckie”, do czego Millerand dodał: „Zgadza się z tym. Piłsudski ma zapewne jeden tylko cel — utrzymanie się przy władzy”. Tenże Millerand w pół roku później podejmował Piłsudskiego z honorami w Paryżu i zawierał z rządem polskim Układ Sojuszniczy. Poparcie Francuzów w Nadbałtyce było bez znaczenia, gdyż III Republika nie miała tam żadnego autorytetu. Lloyd George, mimo swojej niechęci, nie przeszkadzał Curzon'owi lansować I-go projektu Hymans'a. Dopiero plebiscyt śląski i III powstanie, a głównie wynikły na tym tle spór z Francją, wpłynął na zmianę nastrojów angielskich w duchu przeciwnym Polsce, co się wyraziło m.in. w II-gim projekcie Hymans'a.

I-szy projekt Hymans'a, zalecony przez Radę Ligi Narodów, był od razu zgodnie zwalczany przez obydwa obozy nacjonalistyczne — litewski i polski.

W Polsce jednak obóz nacjonalistyczny nie dysponował wyraźną większością ani w rządzie ani w Sejmie, przeto jego opozycja mogła być przewyciężona. Natomiast w Litwie obóz nacjonalistyczny był właściwie wszechobejmujący. Opór jego przeciwko każdemu szerszemu rozwiązaniu sporu był dlatego tak bezwzględny, że miał zakulisowe poparcie Niemiec i Sowietów. Mocarstwa alianckie nie miały powodu angażować się zbyt silnie, bo nie był to ich żywotny interes, tym bardziej narzucać Litwinom coś gwałtem. Przy tym na Polskę spoglądano z mieszanymi uczuciami: z irytacją i z podziwem, z sympatią i z niedowierzaniem. W sumie dokoła niej przeważały opinie negatywne. Barometr autorytetu Polski podnosił się i opadał w oczach Europy równolegle z jej wzlotami i upadkami w wojnie polsko-sowieckiej i w

rozwoju stosunków wewnętrznych. Opór Litwinów i rezerwa Łotyszów i Finnów zniknęłyby bez śladu, gdyby białorusko-ukraińskie plany Piłsudskiego zostały zrealizowane.

To prowadzi do konkluzji: przyczyny załamania się planów Piłsudskiego na wschodzie trzeba szukać nie tylko na zewnątrz, lecz przede wszystkim wewnątrz Polski.

Nieusuwalną przyczyną był fakt, że państwo polskie toczyło wojnę z wielkim sąsiadem w 2-gim roku swego istnienia, bez wyraźnie określonych granic, w toku organizacji wszystkich dziedzin życia, że dopiero co z największym wysiłkiem zdołało odeprzeć nieprzyjaciela od wrót stolicy i pobić go jeszcze raz w pościgu w bitwie nadniemeńskiej, decydującej o wyniku kampanii.

Na pograniczu nieusuwalności przyczyn niepowodzenia pomysłu Litwy Środkowej, trzeba postawić jego improwizacyjność, brak przygotowania politycznego i dyplomatycznego. Gregory w notatce z 11 października opisuje jak po zajęciu Wilna przyszedł do niego polski chargé d'affaires zupełnie roztrzęsiony, a gdy mu Gregory wypalił kazanie, uderzył w płacz i pytał co ma zrobić. Ale tu trzeba zaznaczyć, że cały personel polskiej służby zagranicznej był improwizacją. Wypominamy Lloyd George'owi, że nie wiedział o Galicji i sądził że to prowincja hiszpańska. Ale polski wiceminister spraw zagranicznych Władysław Skrzyński nie wiedział gdzie leży Estonia. (L. Wasilewski: „Piłsudski jakim go znałem”, str. 193).

Rewolta Żeligowskiego musiała być zaskoczeniem, faktem dokonanym, nie tylko wobec obcych ale i swoich. Stąd też niewiele można było tu zrobić aby zapobiec różnym błędom i niedociągnięciom. W opinii ogółu i w samym wojsku, było i pozostało nawet do dziś dnia przekonanie, że jedynym celem akcji Żeligowskiego było przyłączenie Wileńszczyzny do Polski, a rewolta i utworzenie Litwy Środkowej — tylko obejściem różnych przeszkód natury międzynarodowej. Zresztą, niezawodnie, alternatywą w samym planie Piłsudskiego w razie nieudania się rozwiązania federacyjnego, była inkorporacja terytorium spornego do Polski, ale, *pro futuro*, na zasadach autonomii.

Złowrogą i szczególnie szkodliwą dla polityki Piłsudskiego była zaciekle walczona polityczna, mająca cechy rozłamu, wykraczająca daleko poza środki dopuszczalne w życiu politycznym, skierowana przeciwko osobie Naczelnika Państwa i Naczelnego Wodza, poszukująca pomocy w tej walce u czynników obcych. „W lipcu 1920 roku — pisze prof. Wandycz („France and her Eastern Allies”, str. 165) — prasa narodowo-demokratyczna w Polsce, zachęcała Francuzów do interwencji w sprawy wewnętrzne w Polsce i do oddania naczelnego dowództwa w ręce francuskie”.

Rozmowa Lloyd George'a z Millerand'em w Lympe (o której wyżej była mowa) o „zdradzieckich” zamiarach Piłsudskiego porozumienia się z Sowietami i stanięcia na czele sowieckiej Polski, były tylko odbiciem tego co podówczas w pewnych „narodowych” kołach Warszawy i Paryża mówiono, szeptano „na ucho” Aliantom a nawet pisano w prasie. Kto o tym wątpi, temu radzę przeczytać „70 lat wspomnień” Hipolita Korwin-Milewskiego, przeciwnika Piłsudskiego, ale człowieka o wybitnym instynkcie państwowym, który w latach wojny czynny był w Paryżu i Szwajcarii.

Zwycięstwo przypisywano siłom niebieskim, adorowano Weygand'a w sposób poniżający godność narodową, rozprowadzano legendę o jego roli po całym świecie, gdzie dotychczas, wbrew oczywistym dowodom (papiery Rozwadowskiego i pamiętniki Weygand'a) się utrzymuje. W drugim miesiącu po zwycięstwie nad Sowietami, Polska znajdowała się na skraju przesilenia państwowego o nieobliczalnych następstwach.

Walka wewnętrzna miała swe skutki również w Litwie Środkowej. Pod gwałtownym naciskiem opozycji pozbawiano ją z tygodnia na tydzień cech formalnej odrębności, a po uchwale inkorporacyjnej Sejmu Wileńskiego, sprzeciwiono się nadaniu jej autonomii, która nie mogła niczym zagrozić związkowi z Polską, natomiast mogła służyć punktem wyjścia w przyszłości do porozumienia z Litwą. Nawet te czynniki polityczne, które w Polsce, w Sejmie i poza nim popierały politykę Piłsudskiego, wyrzekły się jej w Wilnie — np. Straż Kresowa a częściowo także Stronictwo Ludowe „Piast”.

Polityka polska nie doceniała finansowych i gospodarczych motywów, kierujących polityką Aliantów. Politykę Francji determinowała troska o ogromne kapitały ulokowane w Rosji carskiej. 80% tego kapitału były zainwestowane na Ukrainie i dlatego należała ona do sfery wpływów francuskich. Nadbałtyka była domeną angielską i polityka angielska dążyła do umocnienia swoich wpływów gospodarczych w państwach Bałtyckich i ich portach, jako wylotowych dla każdej Rosji. Po klęsce Niemiec, bolszewicy od razu najechali państwa Bałtyckie, lecz spotkali się tam z czynnym oporem nie tylko miejscowych rządów, lecz i Anglików, którym te rządy przyobiecały znaczne koncesje. Brytyjską Misją Wojskową w Libawie kierowali dwaj majorowie Keenan i Ellis, przed wojną wielcy kupcy angielscy lnu i drzewa, a agentem dyplomatycznym angielskim był były konsul w Rydze, Bosanquet. Potem Foreign Office przysłało do Rygi swego byłego bardzo aktywnego i zręcznego urzędnika Sir Tallents'a. Bez żadnej przesady można powiedzieć, że zainteresowanie i pomoc okazana

przez Anglików państwowemu Bałtyckim, miała podłoże czysto gospodarcze. W sierpniu 1919 r. banki angielskie zawarły z rządami państw Bałtyckich kontrakty na całą produkcję lnu i wypłaciły duże zaliczki. „Bałtyccy farmerzy — pisze historyk amerykański Anderson — ponieśli w tym interesie znaczne straty”. Ale rządy uratowały się od bankructwa.

W lutym 1920 r. Gałwanauskas uzyskał w Londynie dużą pomoc finansową dla utworzenia sieci bankowej w Litwie. W marcu rząd litewski zawarł umowę z „National Metal and Chemical Bank” o eksploatacji lasów wzamian za co Litwini otrzymali pożyczkę w złocie na podstawie dla Banku Emisyjnego.

„Brytyjczycy — pisze tenże autor — sprzeciwiając się polityce gen. Niessel'a, szefa Komisji Alianckiej, popierali blok państw Bałtyckich pod swoimi wpływami, jako pomost handlowy pomiędzy Anglią a Rosją Sowiecką... W następnej dekadzie Anglia cieszyła się wielkim autorytetem i korzystała z hegemonii gospodarczej w państwach Bałtyckich, które zawdzięczały jej swoją niepodległość”.

Poselstwa polskie w Rydze i Tallinie powinny były zwrócić większą uwagę na tę stronę polityki państw Bałtyckich. Kiedy Żeligowski przyszedł do Wilna, znajdowali się tam też kupcy angielscy lnu i drzewa, którzy wyrażali zadowolenie, że teraz Wilno połączy się z Kownem i handel rozszerzy się na większy obszar. Ale nikt z nimi rozmawiać nie chciał.

W Polsce rozważano przed Aliantami, ludźmi myślącymi przede wszystkim kategoriami gospodarczymi, rozmaite wielkie plany polityczne, nie troszcząc się o uczynienie ich atrakcyjnymi pod względem gospodarczym, nie otwierając przed tymi ludźmi perspektyw po prostu mówiąc zarobkowych. A w tym czasie kasa państwowa była pusta; wojna prowadzona była na kredyt. W instrukcji dla polskich placówek dyplomatycznych z 10 września 1920 r., ks. Sapieha pisał: „Skarb polski bez pomocy z zewnątrz dalszej wojny wytrzymać nie może. Stronnictwa i społeczeństwo spragnione jest pokoju, wojsko nie jest armią do trudnych i na dalszą metę obliczonych operacji”.

W Memorandum z 27 listopada 1920 r. ppłk. Maxse w Foreign Office pisał: „Uważne studium polityki gospodarczej rządu polskiego w ciągu ostatnich 18-tu miesięcy, nie wykazuje żadnego śladu rzeczywistej oceny spraw gospodarczych i własnych konieczności i potrzeb. Ani w zarządzeniach finansowych, ani w dziedzinie cła, ani w stosunku do cudzoziemców pragnących inwestować kapitał w Polsce, nie widać ze strony rządu polskiego należytej oceny realnej sytuacji”. Ale gdy Sapieha w rozmowie z Loraine'em w końcu listopada 1920 r. rzucił sugestię co do możliwości wy-

dzierżawienia polskiej sieci kolejowej na pewien okres, poseł angielski uchwycił się tego z wielkim zapałem. Oto gdzie tkwiły zainteresowania angielskie, i jakimi drogami można było pozyskiwać ich poparcie w rozwiązaniu problemu polsko-litewskiego. Ale w polskim M.S.Z. nie pamiętano, że dewizą angielską jest — „British policy is British trade”.

Na tle takiego zaniedbania aspektów gospodarczych w polskiej polityce zagranicznej, uderzającym jest zrozumienie ich znaczenia przez polityka, który w swej działalności konspiracyjnej i rewolucyjnej mało miał sposobności poznać wagę czynników gospodarczych w polityce mocarstw przemysłowych. A jednak Piłsudski, dając Sapieżę instrukcje na Londyn i wymieniając je kolejno w liście do Paderewskiego z 31 maja 1919, stawiał mu jako jedno z głównych zadań „zainteresowanie Anglii ekonomicznie w sprawach Polski”.

Cztery przyczyny złożyły się na to, że wśród obcych szerzył się pogląd sceptyczny co do trwałości państwa polskiego w granicach rysko-wersalskich: aktywna wrogość Niemiec i Rosji; żarliwość walk wewnętrznych; stosunek do państwa tak zwanych mniejszości narodowych, i zaniedbanie zadań finansowo-gospodarczych w polityce państwowej.

Ten sceptycyzm naszych sąsiadów był największą przeszkodą we wszystkich polskich poczynaniach zewnętrznych, a co najgorsze — nie był przez nas samych dostrzegany. Dzisiaj, po upływie prawie pół wieku jest również niedostrzegany przez historyków tego okresu.

PIŁSUDSKI

Piłsudski miał sposobność w ciągu wielu lat swej pracy konspiracyjnej poznać dokładnie Rosję i psychikę rosyjską. Przekonał się, że dopóki Rosja jest wielo-narodowym imperium, jej roszczenie do Polski, jako co najmniej dependencji tego imperium, jest nieusuwalne. Dlatego pisał w liście z 12 sierpnia 1920, w chwili najgroźniejszej w wojnie z Rosją Sowiecką, do premiera Witosa: „Byłem i jestem stronnikiem wojny *à outrance* z bolszewikami dlatego, że nie widzę najzupełniej żadnej gwarancji, aby te czy inne umowy były przez nich dotrzymywane”. Dlatego dążył do pozbawienia Rosji jej okrainnych kolonii i stworzenia z nich dość silnej kombinacji związkowej, aby móc odeprzeć każdy zamach na poszczególnego jej członka. Myśląc kategoriami historycznymi, budował swoją *współczesną* koncepcję na wzorach historycznych. Ale Litwy prawie nie znał, i z Litwinami w swej

pracy politycznej nie spotykał się. Natrafił u Litwinów na prąd *anty-historyczny*, potępiający związki z Polską, jako że miały zahamować litewski rozwój narodowy. Stąd płynął gwałtowny opór Litwinów przeciwko pozostawieniu w nowej litewskiej Litwie ośrodka narodowo-kulturalnych wpływów Polskich. Litwini woleli ograniczyć zasięg terytorialny swej władzy *państwowej*, niż dopuścić na jej terenie istnienie jakiegokolwiek kulturalnego rywala. Wilno, jako stolica całości federalnej Litwy i zarazem stolica *polskiego* kantonu, stawało się w ich oczach groźnym rozsądnikiem wpływów polskich na całą Litwę i nie mogło być oczywiście, zlitwinizowane. To było głównym motywem odrzucenia I-go projektu Hymans'a. Ale nawet autonomia *polskiego Wilna*, o ile by tej polskości wskutek pewnych zobowiązań wobec Polski, nie dało się usunąć, wzbudzała w nich obawę i psuła obraz narodowego ekskluzywnie litewskiego państwa. Ten motyw z kolei spowodował odrzucenie przez Sejm litewski w Kownie II-go projektu Hymans'a.

Abistoryczność stanowiska Litwinów musiała być obca Piłsudskiemu i irytująca. W późniejszych jego wypowiedziach o tych sąsiadach Polski przebija kilkakrotnie irytacja i gniewne zniecierpliwienie.

Ale w jego pierwotnych zamiarach względem Litwy w latach 1918-1920 nie było niczego co by mogło być zakwalifikowane jako ukryty zamach na odrębność narodową i polityczną emancypację Litwinów⁶.

W liście do gen. Szeptyckiego z 22 lipca 1919, dając dyrektywę utrzymania linii demarkacyjnej przez siebie proponowanej, Naczelnny Wódz dodaje: „przy czym unikać walki z oddziałami litewskimi”. Dalej pisze: posunięcie się do tej linii „nie może mieć miejsca w obszarze sięgającym za Koszedary, Strawieniki, Jewie, gdzie obsadzono miejscowości przez silniejsze oddziały litewskie”. W liście do premiera Skulskiego z 6 maja 1920, pisząc o koncentracji litewskiej na linii demarkacyjnej, dodaje: „cel nasz w tym czasie jest jedynie utrzymanie obecnej linii, bez prowadzenia kontrataku w głąb Litwy”. I dalej w tymże liście: „... w wypadku gdyby Litwini istotnie zaatakowali na całej linii, należy wyzyskać sytuację natychmiast dyplomatycznie i politycznie, i rozpocząć wszędzie w Warszawie i w centrach politycznych Europy *pourparlers* o kwestii litewskiej, wykazując niemożliwość sytuacji dla Polski...” Wreszcie, jeszcze dalej w tym liście: „wo-

6. E. E. Senn, który w swej książce „The Emergence of Modern Lithuania” korzysta głównie ze źródeł litewskich, nie daje wiary w narodową bezinteresowność polską wobec narodowej emancypacji litewskiej.

bec naszej obietnicy, że załatwimy sprawy na tamtym terenie zgodnie z wolą ludności, a więc w razie wypowiedzenia się Wilna za poddaniem go rządowi Taryby (Litewskiej Rady Narodowej), możemy go jej oddać”.

Gdy historyk amerykański A. E. Senn pisał swój artykuł „On the State of Central Lithuania” w „Jahrbücher für Geschichte Osteuropas” (zeszyt 3 z października 1964), musiał nie znać tej korespondencji Piłsudskiego, oraz uchylecia przez niego planu gen. Rozwadowskiego zaatakowania Litwy (vide A. J. Rozwadowski (wyd.): Generał Rozwadowski).

Dla tych kilkunastu ludzi, którzy mieli sposobność słyszeć szczerą i intymną wypowiedź Piłsudskiego owej późno-jesiennej nocy w Wilnie, przy ul. Portowej, w małym mieszkanku brata Jana Piłsudskiego, nie mogło pozostać wątpliwości co do rzeczywistych planów Marszałka wobec Litwy — gdyby nawet brakowało innych na to dowodów. Z tego co mówił, a co miało formę bardziej literacką niż polityczną, nie precyzując w punktach ani formułkach, wynikało z całą pewnością, że próbował, nie zrażając się trudnościami, doprowadzić do Unii z Litwą, rozumiejąc ją w granicach mniej więcej historycznych. Po preliminariach ryskich, odpadł człon białoruski, lecz pozostał najważniejszy — litewski, mający prowadzić stopniowo do Związku Bałtyckiego, dobrowolnie zawartego przez narody: litewski, łotewski i estoński, ewentualnie fiński z polskim. Piłsudski doradzał obecnym nie ustawać w szerzeniu tej idei również po wcieleniu Wilna do Polski i impasie w stosunkach z Litwą, świat jest bowiem w ruchu.

Wynikało z tej wypowiedzi, że Piłsudski tworząc Litwę Środkową nie obiecywał sobie zbyt wiele, wiedząc o oporach wewnętrznych i zewnętrznych. Swoim zwyczajem, rzucił „na głęboką wodę” grupę ludzi zaufanych, zwolenników tej idei, aby próbowali ją realizować pomiędzy Wilnem a Kownem. Ale rzuceni na „głęboką wodę” pływacy, nie okazali się mistrzami w tej konkurencji, a prąd przeciwny był zbyt silny, aby mogli nad nim zapanować.

Czy, w razie zwycięstwa, po stronie polskiej istniały konieczne warunki, aby te powstające państwa skłonić do bliższych związków z Polską? Czy polscy przywódcy polityczni — pomijając już szerszy ogół — byli dojrzały do podjęcia tak trudnego zadania?

Spoglądając z perspektywy prawie pół wieku na ówczesnych ludzi i nastroje społeczne, wydaje się wątpliwe aby obie strony — polska i litewska, czy białoruska — zdołały poskromić w sobie wybuch nacjonalizmów hamowanych przez długie lata życia bez-państwowego. Nawet wśród bliskich współpracowników Pił-

sudskiego jego polityka wschodnia nie spotykała się ze zrozumieniem. Robili oni to co kazał, bo był to ich komendant w walce o niepodległość, bezsporny wódz i autorytet, ale serca do tej idei — oczywiście z wyjątkami — nie mieli. Potwierdziły to lata późniejsze — okres po Piłsudskim, oraz smutne dzieje dwudziestolecia emigracji 1945-1965.

Dramat Piłsudskiego tkwił w dysonansie pomiędzy jego ambitną *polityczną* wizją, a przeważającymi w narodzie dążeniami do pełnego wyzycia się — ale tylko w ramach *narodowego* bytu.



Piłsudski, jak każdy człowiek, mógł mylić się i błędzić. Nie ma ludzi bezbłędnych — nawet pomiędzy największymi których zna historia. Różnica tkwi jedynie w tym, że błędy małych ludzi mają nieznaczące, a wielkich ludzi — wielkie następstwa.

Piłsudski przecenił dynamikę instynktu państwowego w swoim narodzie oraz dojrzałość polityczną narodów, na których współdziałanie liczył. Nie docenił przywiązania Litwinów i Polaków do wyłącznego mikro-nacjonalizmu.

Ale wielkość jego planów niewątpliwie kontrastowała z małością jego współczesnych — swoich i obcych. Ta szalona koncentracja energii w sobie samym, to nieugięte przekonanie o słuszności podjętej sprawy wbrew wszystkiemu dokoła, zawziętość w walce o nią a zarazem zrzeczność w taktyce wobec sił trzecich — wszystkie te cechy tworzą zjawisko ludzkie porywające, fascynujące. Dziewanowski w mającej wkrótce ukazać się książce o polityce Piłsudskiego w tym okresie, słusznie pisze:

„Piłsudski był przekonany, że równowaga Europy wymaga skonsolidowanie Europy Środkowo-Wschodniej. Zdawał sobie sprawę, że slogan narodowego samostanowienia jest tylko etapem, lecz nie celem, że nie jest żadnym talizmanem otwierającym wszystkie wrota, lecz tylko ważnym warunkiem bezpieczeństwa i zapewnienia egzystencji (*survival*)”.

Rozumiał, że będąc ważnym instrumentem narodowego wyzwolenia, slogan samostanowienia kryje w sobie poważne niebezpieczeństwa, mianowicie prowadzi do mikro-nacjonalizmu, do tego co by Niemcy nazwali „Kleinstaaterei”. Po polsku można by to nazwać — państwowym parafianstwem.

Ostatni etap — litewski — walki Piłsudskiego o ukształtowanie państwa, przyniósł mu tylko połowiczną wygraną. Kończył się trzy-letni okres heroiczny, okres polityki ofensywnej, twórczej. Nadchodziły lata kryzysów wewnętrznych, potem lata odpierania ataków z zewnątrz, okres obronny.

W latach 1926-1935 Piłsudski był innym człowiekiem, niż w okresie heroicznym lat 1918-1922. Musiał bronić konstrukcji państwowej, która nie była pełnym urzeczywistnieniem *jego* wizji politycznej i mieściła w sobie zarodek narastających niebezpieczeństw.

KONKLUZJE

Szkic powyższy, oparty na studium dostępnych w tej chwili skąpych źródeł i literatury politycznej o latach 1920-22 w połączeniu z własnymi przeżyciami i obserwacjami z owego okresu, prowadzi autora do następujących konkluzji:

1. Litwa Środkowa była szczątkowym fragmentem wielkiego planu Piłsudskiego, zniweczonego przez odwrót z Kijowa i pokój ryski. Fragment ten nie miał być środkiem do podboju całej Litwy lub polonizacji jej części etnicznie litewskiej. Jego celem było zapewnienie ludności polskiej, stanowiącej większość absolutną lub względną na spornym terytorium, prawa samostanowienia i przez porozumienie i związek z Litwą etnicznie litewską — otwarcie pomyślniej perspektywy na utworzenie Związku Bałtyckiego od Warszawy po Helsinki.

2. Układ w Suwałkach 7. X. 1920 roku i pozorna rewolta gen. Żeligowskiego, były zamierzonymi z góry krokami w celu stworzenia *via facti* załączka Kantonu Wileńskiego, inne bowiem drogi były już zamknięte.

3. Polityka Kowna nie była ani *a priori* pro-niemiecka ani pro-sowiecka. Była to po prostu polityka mimikry, otoczonej przez trzy znacznie silniejsze organizmy. Spośród nich organizm polski był najsłabszy, lecz wykazywał w tym momencie najwięcej dynamizmu i był uważany przez Litwinów za kulturalnie najgroźniejszy. Polityka litewska była oportunistyczna, bez skrupułów i potrafiła zainteresować Anglików gospodarczymi perspektywami swojej niezależności politycznej.

4. Litewski fragment polityki Piłsudskiego był, po upadku Wrangla, podzielany w zasadzie przez Aliantów, a nawet w pewnych chwilach popierany. Ale nie postarano się uczynić go atrakcyjnym dla Anglii. Przy tym, zbiegł się on w czasie z bardzo ostrą fazą stosunków polsko-brytyjskich z powodu Śląska.

5. W ogólnym bilansie przyczyn załamania się litewskiego fragmentu planów Piłsudskiego, *przeważają przyczyny natury wewnętrznej*, przede wszystkim gwałtowna opozycja silnego obozu

narodowego i psychiczne wyczerpanie całego społeczeństwa po wysiłku 1920 roku. Drugą przyczyną był bezwzględny opór Litwinów, bardzo wzmocniony przez zaniedbanie przez politykę polską gospodarczego aspektu problemu wobec Anglii, jako decydującego podówczas czynnika w Nadbałtyce.

Listopad 1965.

Kazimierz OKULICZ

WYBÓR PREZYDENTA I. MOŚCICKIEGO

Jednym z najmniej wyjaśnionych epizodów historii Polski międzywojennego 20-lecia jest sprawa wyboru Ignacego Mościckiego Prezydentem Rzeczypospolitej po przewrocie majowym, osobistości w ówczesnych kołach politycznych prawie nieznaney. Mościcki piastował od 1912 roku katedrę na Politechnice Lwowskiej i zaliczany był wśród jej profesorów do grona wybitniejszych uczonych. O jego zainteresowaniach czy sympatiach politycznych na ogół nic nie było wiadomo, poza tym, że w młodości brał czynny udział w kółkach socjalistycznych, zarówno jednak na emigracji w Szwajcarii, jak i później po powrocie do Polski, trzymał się z daleka od ruchu socjalistycznego.

W ostatnich czasach pojawiły się na temat kandydatury Mościckiego dwie wersje. Pobóg-Malinowski twierdzi, iż kandydaturę tę wysunął ówczesny premier prof. Bartel zgodnie z sugestią Piłsudskiego. Wincenty Witos w swych „Wspomnieniach” (tom III str. 131-132) notuje, iż w sprawie głosowania za kandydaturą Mościckiego członków „Piasta”, od którego głosów de facto wybór ten w ówczesnej koniunkturze zależał, decydującą rolę odegrała „bardzo energiczna interwencja marszałka Rataja, który zaręczał słowem honoru, że Mościcki jest jego kandydatem, a nie Piłsudskiego”.

Równocześnie mamy inny przyczynek do historii tej kandydatury. W wyczerpującym wspomnieniu o prof. Marianie Zdziechowskim, wygłoszonym w Instytucie Polskim w Bejrucie w 10-tą rocznicę jego śmierci przez prof. Stanisława Kościółkowskiego, wydrukowanym w „Kulturze” (Nr 1/195-2/196) znajduje się następujący ustęp: „Po wypadkach roku 1926 przez najwyższe sfery warszawskie prof. Zdziechowski był wysuwany na kandy-

data do godności Prezydenta Rzeczypospolitej. Zdziechowski jednak kategoriycznie odmówił. Dopiero wówczas została ustalona kandydatura prof. Ignacego Mościckiego”.

„Dobrze się stało — czytamy dalej w tym wspomnieniu — że Zdziechowski odmówił i proponowanej kandydatury nie przyjął. Nie wyobrażam go sobie w roli tak odpowiedzialnej. I przy całym uznaniu dla jego autorytetu moralnego, wydaje mi się, że może mało było ludzi, którzy by mniej od niego do tej godności i roli z nią związanej się nadawali. Nieprzyjęcie przez Zdziechowskiego uczynionej mu propozycji i nawet odrzucenie jej *a limine*, stanowi dodatni dowód jego samokrytycyzmu wewnętrznego”.

Z powyższej relacji wynikałoby więc, że do kandydatury Mościckiego doszło dopiero po kategoriycznej odmowie Zdziechowskiego.

Jaka jest prawda?

Wydaje mi się, że jestem w tej sprawie pewnego rodzaju świadkiem koronnym a to z następujących powodów.

Nieprzyjęcie przez Józefa Piłsudskiego wyboru na Prezydenta Rzeczypospolitej, dokonanego przez Zgromadzenie Narodowe w dniu 31 maja 1926 r., było tak dla popierających kandydaturę klubów lewicy jak w ogóle dla zwolenników Piłsudskiego niesłychanym uderzeniem. W chwili kiedy przewodniczący Zgromadzenia marszałek Rataj i premier Bartel udali się do Piłsudskiego, aby uwiadomić go o wyborze, odbywała się na Placu Saskim manifestacja zwolenników Piłsudskiego, podczas której przewodniczący międzynarodowej federacji kombatanatów (FIDAC) gen. Dr Roman Górecki „meldował” ks. Józefowi Poniatowskiemu, że pierwszy marszałek Niepodległej Polski Józef Piłsudski został właśnie wybrany Prezydentem Rzeczypospolitej. Jeszcze manifestanci nie zaczęli się rozchodzić, gdy dodatki nadzwyczajne obwieszczały, że Piłsudski nie przyjął wyboru...

Inna, niemniej charakterystyczna scena rozegrała się w tym czasie w gmachu Sejmu, kiedy to przewodniczący najbardziej z Piłsudskim związanego 5-cioosobowego Klubu Pracy Marian Kościłkowski wpadł do Klubu sprawozdawców parlamentarnych, oświadczając, iż udaje się na miasto, aby przy pomocy nowej demonstracji „zmusić Komendanta do poddania się woli narodu”. Żadnej demonstracji nie udało mu się już jednak zorganizować.

Niespełna w godzinę po ujawnieniu faktu, iż Piłsudski wyboru nie przyjął, pojawiło się zarządzenie marsz. Rataja o zwołaniu Zgromadzenia Narodowego już na dzień następny — 1 czerwca. Pośpiech ten wskazywał, iż za kulisami zapadły jakieś decyzje i to tego rodzaju, że należało je jak najszybciej for-

malnie zaaprobować. Omawiałem właśnie z członkami klubu parlamentarnego N.P.R., którego byłem przewodniczącym, wytworzoną sytuację, gdy zjawił się sekretarz marszałka Sejmu z zaawizowaniem, iż pragnie on ze mną jak najszybciej rozmawiać.

Rozporządzaliśmy w Zgromadzeniu Narodowym 21 głosami, a więc liczbą, która w ówczesnej koniunkturze posiadała swoje znaczenie. Piłsudski otrzymał wprawdzie większość dość poważną, bo 292 głosów, gdy na kandydata prawicy Bnińskiego padło tylko 193 głosy, co wskazywało, iż na prawicy były dość duże absencje. Kartek białych lub nieważnych w tym głosowaniu było 61. Za Piłsudskim obok lewicy i mniejszości narodowych głosowały i to dość zwarcie oba kluby centrowe obalonej przez przewrót większości parlamentarnej tj. PSL „Piast” i N.P.R. Głosowanie „piastowców” za Piłsudskim jako zwycięzcą, nie oznaczało bynajmniej, że poprą oni każdą inną kandydaturę przez niego wysuniętą. Z tym niewątpliwie liczył się Rataj i temu prawdopodobnie zawdzięczam dość długą i wyjątkowo szczerą rozmowę jaką ze mną na temat wyboru nowego prezydenta przeprowadził.

Znalazłem Rataja w wyjątkowo dobrym usposobieniu. Odniosłem wrażenie ze słów jakimi skomentował nieprzyjęcie wyboru przez Piłsudskiego, iż jest on z takiego obrotu sprawy wybitnie zadowolony. Dopiero bowiem po zlikwidowaniu kandydatury Piłsudskiego w sposób dający twórce przewrotu pełną satysfakcję, powstała szansa, iż Polska może otrzymać takiego prezydenta, jakiego wymaga trudna jej sytuacja. „Piłsudski — mówił Rataj — przedstawił mi listę czterech ewentualnych kandydatów, z którymi gotów jest lojalnie współpracować. Daję Panu — powiedział — do wyboru dwu ludzi z prawicy ks. Zdzisława Lubomirskiego i prof. Mariana Zdziechowskiego, oraz dwu z lewicy: Artura Śliwińskiego i prof. Ignacego Mościckiego”.

„Rozumie Pan — ciągnął dalej Rataj — że musiałem uchylić obie kandydatury prawicowe. Co się zaś tyczy pierwszej kandydatury lewicowej Śliwińskiego, powiedziałem otwarcie Piłsudskiemu: „Panie Marszałku, można Polskę zdobyć, nie wolno jej ośmieszać. W ten sposób — kończył Rataj — zostaje tylko jedna możliwa kandydatura prof. Mościckiego i apeluję do Pana aby Pański Klub udzielił jej poparcia”.

Byłem zupełnie wstrząśnięty relacją Rataja. Może najbardziej uderzyło mnie u niego — przywódcy ludowców — zdyskredytowanie kandydatury Artura Śliwińskiego, z tego, jak zrozumiałem, powodu, że ten będąc w lipcu 1922 roku kilkudniowym premierem rządu (jedynym — nawiasem mówiąc — w ciągu 20-lecia obalonym w formalnym głosowaniu Sejmu) „poniżył”

się do tego stopnia, że w jakiś czas później objął stanowisko dyrektora teatrów miejskich stolicy.

Nie znaczy to wcale bym był tą kandydaturą specjalnie zachwycony. Artur Sławiński był średniej miary historykiem, a właściwie popularyzatorem historii. Nie umiem określić, kiedy on był aktywnym działaczem PPS. Gdy go poznałem, wkrótce po wybuchu 1-szej wojny w Warszawie, występował wówczas w roli sympatyka PPS, posiadającego specjalne jej zaufanie do tego stopnia, iż reprezentował partię w różnych rozmowach i układach międzypartyjnych póki po wejściu Niemców do Warszawy nie zjawili się w niej autentyczni przedstawiciele władz partyjnych. Wtedy to właśnie podczas bardzo bliskiej współpracy na terenie Centralnego Komitetu Narodowego poznałem dość dobrze Sławińskiego. Pamiętałem, że jeszcze przed powstaniem tego Komitetu, bo już w sierpniu 1915 roku Sławiński, który dotąd stale podkreślał, że jest wielkim zwolennikiem Piłsudskiego, potrafił się mu przeciwstawić w związku z wydanym przezeń po zajęciu b. Kongresówki przez wojska państw centralnych zakazem werbunku do Legionów organizowanego przez Dep. Wojskowy N.K.N.

Pamiętam z licznych rozmów argumentację Sławińskiego dlaczego po tym zarządzeniu nie może współpracować z „obozem Komendanta”. Potępiając zakaz werbunku do Legionów, Sławiński twierdził uporczywie, iż przyszedł czas, w którym trzeba bronić Piłsudskiego i jego dzieła przed nim samym... Upłynął prawie rok nim Sławiński przełamał w sobie wątpliwości wobec taktyki Piłsudskiego, uaktywnił się w Centralnym Komitecie Narodowym i objął w nim stanowisko przewodniczącego. Przypomniałem sobie w tej chwili ówczesne okoliczności i pomyślałem sobie, że ten sam Sławiński najprawdopodobniej jako Prezydent Rzeczypospolitej nie byłby marionetką w rękach zwyczajny przewrotu.

Jeżeli chodzi o kandydatury tzw. pravicowe to nie miałem żadnej opinii odnośnie osoby prof. Zdziechowskiego, Wiedziałem, że jest to wybitny myśliciel i uczony, artykuły jego, które czytałem w „Przeglądzie Współczesnym”, wydawały mi się, jeśli chodzi o zagadnienia polityczne, do tego stopnia mgławicowe i przepojone mistycyzmem, iż skłonny byłem zgodzić się z poglądem, że nie jest to najodpowiedniejszy kandydat na prezydenta. Nie miałem pojęcia o tym, że ten sam uczony w kilkanaście miesięcy później w wydanej przez siebie broszurze pt. „Sprawa sumienia polskiego”, poświęconej zaarrestowanym po przewrocie majowym generałom, a w szczególności wypadkowi „zaginięcia” gen. Zagórskiego, wypowie jakże rzadkie i odważne w ówczes-

nych warunkach słowa prawdy i potępienia pod adresem obozu, którego wódz uznał go za godnego objęcia najwyższego stanowiska w państwie. (Jest rzeczą wysoce charakterystyczną, że w bardzo wyczerpującym wspomnieniu o Zdziechowskim, na które się powołuję na wstępie niniejszych uwag, nie ma nawet wzmianki o tym jego wystąpieniu).

Miałem natomiast zupełnie inną opinię o ks. Lubomirskim, przy czym przyznaję, iż byłem na pewno w tym odosobniony nawet w swym własnym stronnictwie, nie mówiąc już o tych naszych ówczesnych „sojusznikach” z centrum i prawicy, bez których głosów wybór tego kandydata nie byłby możliwy. Dla wielu moich przyjaciół, jak zresztą dla całej tzw. narodowej opozycji to przede wszystkim b. członek Rady Regencyjnej Królestwa Polskiego „z łaski okupantów”. Ja patrzyłem zupełnie inaczej na tę dość wyjątkową wśród naszej arystokracji osobistość. Z paru z nim zetknięć w czasie pierwszej wojny światowej i późniejszych obserwacji w pierwszych latach niepodległości wyrobiłem sobie pogląd, że jest to człowiek o wielkim poczuciu odpowiedzialności obywatelskiej, właściwie niezwiązany z żadnym stronnictwem, bardzo samodzielny i niezależny w swym postępowaniu, kto wie czy bodaj nie najodpowiedniejszy kandydat na urząd tak odpowiedzialny, który wypadnie sprawować licząc się z dominującą rolą Piłsudskiego w nowym okresie życia publicznego Polski... Rola Lubomirskiego podczas kryzysu zaolziańskiego w 1938 roku, która spowodowała pozbawienie go mandatu do sanacyjnego Senatu oraz wywołany nią bojkot ze strony Rydza-Śmigłego, później całkowicie tę moją opinię potwierdziły.

Zrezygnowany, odpowiedziałem Ratajowi, iż właściwie on sam dokonał już wyboru, godząc się wobec Piłsudskiego bezapelacyjnie na kandydaturę Mościckiego. Kiedyś we Lwowie, kiedy obejmował katedrę na Politechnice, przeczytałem o nim notatkę, z której utkwiło mi, że w młodości był socjalistą. W Polsce Niepodległej słyszałem poza tym o nim tylko jako o administratorze fabryki chemicznej w Chorzowie. Mam obawy, czy są to dostateczne kwalifikacje na takiego prezydenta, jakiego Polska w tej chwili potrzebuje.

Na moje wątpliwości Rataj odpowiedział dłuższą pochwałą kandydata, streszczającą się w konkluzji: „To będzie polski Masaryk”. „Daj Boże — odpowiedziałem — by Pan Marszałek się nie pomylił, bo Polska dzisiaj gwałtownie kogoś w rodzaju Masaryka potrzebuje”...

Zreferowałem szczegółowo przebieg tej rozmowy na posiedzeniu Klubu i po ożywionej dyskusji stwierdziwszy, iż Zgromadzenie Narodowe znalazło się w pewnego rodzaju sytuacji przy-

musowej, postanowiliśmy oddać swe głosy za kandydaturą Mościckiego. Plan Rataja i Bartla przeprowadzenia tej kandydatury już w pierwszym głosowaniu nie udał się z powodu nieoczekiwanego wystąpienia PPS, która zgłosiła kandydaturę swego prezesa klubu dr. Marka. Otrzymał on 56 głosów. Kartek nieważnych było 63 a więc o dwie więcej niż dnia poprzedniego. Kandydat prawicy, którym był tak samo wojewoda poznański — Bniński, otrzymał 18 głosów więcej, a Mościcki dostał zaledwie cztery głosy więcej niż Bniński. W ponownym głosowaniu rozstrzygnęły głosy PPS i w ten sposób Ignacy Mościcki został Prezydentem Rzeczypospolitej.

Już w ciągu najbliższych trzech dni okazało się kim będzie nowy Prezydent. Przez jego wybór uzyskał Piłsudski na stanowisku Prezydenta powolne narzędzie do najbardziej złośliwych posunięć i rozgrywek jakie zademonstrował w stosunku do ciał ustawodawczych Rzeczypospolitej. Gdy obaj dotychczasowi prezydenci składali wymaganą przez Konstytucję przysięgę wobec Zgromadzenia Narodowego w jego siedzibie, tj. w sali Sejmu, tym razem Piłsudski postanowił, że przysięga ma być złożona w siedzibie Prezydenta, tj. na Zamku. Oburzenie na tę zmianę zbyt wyraźnie oznaczającą dyskryminację ciał ustawodawczych, i to zwłaszcza na lewicy, było tak wielkie, że aktowi zaprzysiężenia na Zamku towarzyszyło bardzo nieliczne grono posłów i senatorów. Musiałem się tam udać jako przewodniczący klubu, i co mnie najwięcej uderzyło, to zgrupowanie na podwórku zamkowym, dużej ilości jednostek wojskowych wszystkich broni, które nowy prezydent prowadzony przez Piłsudskiego po kolei obchodził odbierając od nich honory wojskowe. Któryś, stojący obok mnie, poseł lewicowy powiedział w jakimś jasnowidzeniu, że jest to symbolika nowych rządów, jakie się w Polsce zaczynają. Niestety w niczym się nie pomylił. Sam zaś główny aktor wyboru rzekomo „polskiego Masaryka”, jak to notuje w swych „Wspomnieniach” W. Witos, wystawił najlepsze świadectwo ówczesnej swej operacji, mówiąc parokrotnie, iż radę udzieloną swemu klubowi głosowania za Mościckim „uważa za największy grzech jakiego się w polityce dopuścił”.

W świetle powyższej relacji jest rzeczą jasną, iż w stosunku do pozostałych trzech osobistości wymienionych przez Piłsudskiego na pewno nie miało miejsca żadne zasięgnięcie opinii. Upada tym samym wersja że prof. Marian Zdziechowski „odmówił kategorycznie” zgody na postawienie swej kandydatury i dopiero wówczas została ustalona kandydatura prof. Mościckiego.

Karol POPIEL

OSTATNIA WOJNA A POLSKA

CZY POLSKA MOGŁA UNIKNĄĆ KLĘSKI?

Diplomacy and defense are no longer distinct alternative, one to be used, where the other fails, each must complement the other.

J. F. Kennedy

Kto ze znających dobrze wyposażenie wojska naszego i niemieckiego mógł być szczerze, uczciwie dobrej myśli?

gen. T. Kutrzeba

Jestem głęboko przekonany, że klęska Polski w ostatniej wojnie była do uniknięcia, a co najmniej mogła być wydatnie zredukowana. Muszę to sprecyzować. Wejście Polski do konfliktu, którego narastanie było widoczne od szeregu lat, powinno tak być pomyślane, by zachować ją jako państwo niepodległe i odsunąć wybuch wojny dla wzrostu sił własnych. Krótko — być podmiotem w grze, utrzymać ster we własnych rękach. Zmęczenie długotrwałą wojną nerwów oddało decyzję o nas w ręce sojuszników, którzy nie mieli sił i chęci wykonania zobowiązań. Już w pierwszych dniach wojny klęska stała się widoczna dla każdego.

Nie przedsięwzięto żadnej akcji realnej, dającej wyjście z położenia ciężkiego, ale bynajmniej nie najgorszego. Pisząc tak mam na myśli działalność polityczną, mocno wówczas oklaskiwaną, której konsekwencje odczuliśmy we wrześniu.

Chcąc udowodnić istnienie możliwości niewykorzystanych, bę-

Artykuł dyskusyjny.

dę opierać się na danych, które wówczas, w ostatnich latach istnienia II Rzeczypospolitej, były dostępne i nie powinny być lekceważone przez rząd, a zwłaszcza najwyższe czynniki wojskowe. Jest w tym pewien mankament. Nie mam dostępu do oryginalnych dokumentów. Opieram się na publikacjach ogłoszonych po wojnie, ale ich tezy odnoszą się wyraźnie do posiadanych informacji lub faktów zaszytych przed wrześniem.

Podkreślam, że konflikt, który nas zniszczył i przeorał pół świata narastał stopniowo. Można go było obserwować jak cyklon, od chwili powstania, śledzić jego trasę i z niemalym prawdopodobieństwem określić gdzie i kiedy uderzy. Można było wymierzyć jego siłę. — Nie było zaskoczenia.

Kiedy generał Śmigły-Rydz objął po śmierci Marszałka Piłsudskiego stanowisko Generalnego Inspektora, był czas dokładnego przeglądu sytuacji i powzięcia decyzji podstawowych dla obrony państwa.

Jeden z najbliższych Komendantowi ludzi, a nadto artysta, powinien odczuć wymowę poetyckiego tylko testamentu. Marszałek, odpowiedzialny przed swoim sumieniem za przyszłość Polski i jej wojska — nie wyznaczył wyraźnie swego następcy. Nie widział nikogo, kto by po nim wziął pełny ciężar. Ten fakt (testament był znany wówczas tylko nielicznym) wskazywał obarczonymu następstwem na ostrożność poczynań. Na posuwanie się śladami poprzednika. Na konieczność uchylania się od pogromu, gdy idziemy po liniach tradycyjnych przyjaźni i nienawiści.

Wskazówką ogromnej wagi było zawarcie przez Marszałka paktu o nieagresji z Niemcami w 1934 roku. Rok przedtem Piłsudski proponował wojnę prewencyjną. Oceniał, że siły Polski i Francji wystarczą na ujęcie Niemiec w rzy. Była to ostatnia możliwość pobicia Niemiec* Przed decyzją o pakcie Marszałek kazał min. Beckowi przeprowadzić specjalny wywiad na terenie Niemiec i po otrzymaniu raportów uznał, że nie możemy narażać się na wojnę.

W tym czasie Hitler opanowuje całkowicie Niemcy od wewnątrz, wygrywa plebiscyt w zagłębiu Saary i zostaje kanclerzem Rzeszy. Cele jego są jasne — zniszczenie Traktatu Wersalskiego i rozprawa z komunizmem. Ogromny przemysł niemiecki może szybko uzbroić potężne siły zbrojne. Wymienione elementy a zwłaszcza dysproporcja sił, która będzie rosła na naszą nieko-

*) Spekulacja na temat wojny prewencyjnej z inicjatywy Starego Marszałka była i jest czyniona przez dyplomatów i pisarzy politycznych. Jako żołnierz nie wierzę by Piłsudski z niezabezpieczonymi od Rosji tyłami angażował się na zachód.

rzyść, były powodem zawarcia paktu. Zapewniał on spokój od jednej ściany, choćby na pewien czas.

Kiedy Marszałek dogorywał, Hitler przywracał służbę powszechną i lotnictwo wojskowe, po czym zagarnął Nadrenię w obliczu zdziwionego i bezczynnego zespołu zwycięzców I-ej Wojny Światowej.

Od 1932 r. obowiązywał pakt nieagresji z Rosją.

Tak z obu stron świata byliśmy bezpieczni za dwoma traktatowymi przegrodami. — Co się za nimi dzieje? „Planując musimy przewidywać. Przewidując widzieć najgorsze możliwości. Jeśli zrealizuje się sytuacja pomyślniejsza łatwiej damy sobie radę” (z wykładów gen. Kutrzeby).

A więc jest rok 1935. Rosja po reformie Frunzego ma 1.000.000 ludzi pod bronią. Za lat pięć może wystawić 200 dyw. strzeleckich, 5-7 korpusów mot.-mech. (równowartość niemieckiej dyw. pancernej), nadto 35 dywizji kawalerii. Silne lotnictwo wsparte potężnymi organizacjami cywilnego przeszkolenia i rosnącym przemysłem. W wielkich manewrach pod Kijowem (1936) biorą udział W.J. spadochronowe. Powstają dywizje artylerii ciężkiej i przeciwlotniczej, jako jednostki dyspozycyjne armij lub frontów. Rosja wiecznie nieupierzonej rewolucji na wynos pamiętająca Trockiego: „po trupie Polski do opanowania świata”. Gotowa pomścić klęskę 1920 r. i pokój Ryski.

Niemcy w tym czasie posiadają — 36 dywizji piechoty. W 1939 r. mogą wystawić ponad 100 dywizji. Gen. Kutrzeba w swoim Memorandum oceniał, „wojsko nasze będzie miało przeciw sobie co najmniej podwójną przewagę niemiecką”. Wypada tu zwrócić uwagę na przestarzały system kalkulacji z I-ej Wojny Światowej. Dywizje wtedy miały podobne stany i zbliżoną siłę ognia. Dyw. piech. niemieckie przy niewiele większych stanach od naszych miały dwukrotną siłę ognia a przy potężnym zaopatrzeniu w amunicję, bardzo u nas oszczędnie kalkulowaną, nie przesadzę oceniając trzykrotną siłę nieprzyjaciela w pozornie jednakowej W.J. W ten sposób dochodzimy do sześciokrotnej przewagi niemieckiej nad nami w polu. Jeśli ktoś będzie chciał za czepić te obliczenia dodać musi szybkość i zwrotność dywizji pancernych, uniemożliwiających swobodę manewru naszych pieszych i konnych wielkich jednostek.

Informacje o uzbrojeniu i wyposażeniu niemieckich W.J. były starannie zebrane przez nasz II-gi Oddział i nasze sztaby w końcu 1938 r. otrzymały odpowiednie skrypty już na szczelbu W.J. Po przestudiowaniu skryptów za zgodą dowódcy dywizji i d-cy O.K. III. miałem szereg odczytów dla oficerów, a w twier-

dzy Osowiec i dla podoficerów. Dotąd pamiętam stężale twarze ludzi, którzy ujrzeli prawdziwą groźbę ogromnej siły.

W pierwszej fazie bitwy nad Bzurą natarcie trzech naszych dywizji piechoty, osłoniętych na skrzydłach kawalerią, wyszło w bok rozciągniętej 30 dyw. piech. niemieckiej. Gen. Kutrzeba liczył się z szybkim osiągnięciem powodzenia. Natarcie posuwało się powoli, straty były bardzo duże po obu stronach. Wprawdzie 30 dywizja była pobita, ale przy słabym wsparciu artylerii bitwa trwała trzy dni. Niemcy nie zostali rozbici w proch, dywizja utrzymała osłonę 8 Armii. Mimo błędów taktycznych dowódca Grupy Operacyjnej, niepowodzenie było spowodowane ogromną różnicą siły ognia. Świetna, poznańska piechota zalegała. A była to bitwa piechurów, bez broni pancernej. Tę różnicę należało widzieć i przed wojną. Z tej różnicy wyciągać wnioski.

Sam rysunek granic stawiał nas przed zadaniem nielada. Gros przemysłu ciężkiego i węgiel leżały na linii osłony, która musiała być jednocześnie ostateczną linią obrony. Prusy Wschodnie umacniane nawet w czasie kontroli sojuszniczej groziły dalekim obejściem całego naszego frontu. Uderzenie z rejonu Szczytno-Elk w kierunku na Siedlce-Brześć wyprowadzało na tyły wojsk zaangażowanych na zachodzie, a nawet broniących już środkowej Wisły. Wreszcie nasze głębokie tyły leżące na Polesiu i Wołyniu prosiły się o zrolowanie przez Rosję. Przyjęcie wojny z Niemcami, przy negligowaniu sąsiada wschodniego, było samobójstwem.

Frontalna obrona granic zachodnich linii, nawet wybranie innych, bardziej ku środkowi państwa położonych, była trudna z braku przeszkód terenowych, pozwalających na oszczędniejsze gospodarowanie dywizjami, bez obawy tworzenia iluzji obrony. W tych warunkach wydzielenie odwodów operacyjnych o sile znacznej, umożliwiającej interwencje na polu walki, stawało się niemożliwością. Wreszcie broń pancerna przeciwnika mogła z łatwością co najmniej opóźnić odwody operacyjne przesuwane marszem pieszym wzdłuż frontu, by nigdy nie zdążyły do ogniska walki.

Do tego dochodziło lotnictwo nieprzyjaciela. W 1935 roku Niemcy posiadały ponad 1.000 samolotów bojowych. Liczba ta została podwojona już w następnym roku. Nie było trudno widzieć absolutną przewagę nieprzyjaciela w powietrzu. W konsekwencji sparaliżowanie własnych działań.

Ten posępny obraz stosunku sił mogły zmienić sojusze. Alianse wojskowe z sąsiadami, zagrożonymi przez tego samego agresora, mogą mieć wartość niekwestionowaną. Sojusze z państwami odległymi terenowo, o zainteresowaniach w naszym terenie drugorzędnych, mogą pomóc przez stworzenie drugiego frontu, lub materiałowo, ale wpływ ich akcji może objawić się zbyt późno.

Dokładny i ciągły wywiad, prowadzony odnośnie gotowości militarnej, gospodarczej i nastawienia społeczeństwa ewentualnego sojusznika, pozwoli ocenić przydatność, lub tylko fikcyjność jego sił.

Nade wszystko rozważenie, co przysłemu kontrahentowi dać może sojusz z nami, a nie tylko odwrotnie, rzuci światło na wartość wyciągniętej ręki. Trudności przetworzenia potęgi gospodarczej na wojenną prawdopodobna ocena przez kontrahenta naszej wartości obronnej, rzeczynista gotowość pomocy materiałowej (sprzęt, jednostki lotnictwa umieszczone przed konfliktem na naszym terytorium, poważna pomoc pieniężna) pozwalają na sprowadzenie do właściwej proporcji wsparcia przyrzeczonego. Jeśli przyrzeczenie pomocy jest mgliste — nie opierajmy się na fikcji.

Spośród państw sąsiedzkich główne znaczenie mogła mieć Czechosłowacja. Był to sąsiad silny, o dobrym i lepiej umieszczonym przemyśle, ufortyfikowany, a co najważniejsze zabezpieczający nasze południowe skrzydło przez flankowanie z Sudetów rejonu koncentracji Wrocław-Opole do uderzenia na nasz Śląsk. Montowanie działania po najkrótszej drodze z Opola przez Piotrków na Warszawę, byłoby niemożliwe przy naszym sojuszu z Czechosłowacją. Sąsiad ten posiadał (nie mogłem stwierdzić siły w 1935 r.) 45 dywizji przed zajęciem Sudetów. Uzbrojenie wojska było nowoczesne z 500 czołgami i 500 samolotami pierwszej linii. Solidne fortyfikacje uniemożliwiały nieprzyjacielowi przekroczenie pancerza gór. Wreszcie linie zaopatrzenia Polski biegły szeroko przez całą długość Karpat. Nad porozumieniem z Czechami ciążyły wspomnienia historii. Osamotnienie przez Czechów 5-ej Dyw. Syberyjskiej w 1918 r. i wrogość podczas wojny z Rosją, broniąca nam tranzytu broni i amunicji z Francji. Wobec wspólnego zagrożenia było koniecznością porozumienie. Min. Beck mógł znaleźć wdzięczne i realne pole działalności dyplomatycznej dla wzmocnienia naszych sił.

Litwa, Łotwa i Estonia stanowiły oparcie naszego północnego skrzydła w wojnie z Rosją lub z Niemcami. Jednakowo zagrożone, w razie klęski skazane na niewolę, powinny stanowić zakotwiczenie Wileńszczyzny. Wrogi stosunek do Litwy, bez powiązań z Łotwą i Estonią mógł i powinien być zmieniony.

Sojusz z Rumunią zapewniał nam pomoc w dostawach, transporcie i tranzycie, ale był wymierzony tylko przeciw Sowiетom. Było pożądane sprecyzowanie stanowiska Rumunii w razie naszej wojny z Niemcami.

Od 1921 r. obowiązywał sojusz z Francją. Już w trzy lata później Francja zaznacza wolę osłabienia, lub wręcz uwolnienia

się od zobowiązań wobec Polski. Tendencje pacyfistyczne biorą górę. Francja nie chce być wplątana w wojnę na wschodzie Europy. Sama kryje się za potężną linią Maginot'a, której pomysł wyrósł z walk pozycyjnych I-ej Wojny Światowej. Francuska doktryna wojenna kosztuje w fortyfikacjach i działaniach obronnych. Posiadając w sumie (1939) więcej i cięższych czołgów od Niemiec Francuzi organizują je w 40 batalionów z przeznaczeniem wsparcia działań piechoty. Kilkuletnie zabiegi płk. de Gaulle'a o reorganizację broni pancernej w W.J., dały przed wybuchem wojny dwie niekompletne dywizje.

Zresztą nawet poważna ofensywa francuska mogła mieć wpływ pośredni na front polski dopiero po 6-8 tygodniach, według raczej optymistycznej oceny gen. Kutrzeby.

Wielka Brytania w tym czasie nie była brana pod uwagę jako możliwy sojusznik, wobec jej tradycyjnie niechętniej polityki angażowania się na kontynencie. Gdyby jednak wystąpiła jako sojuszniczka Francji, nie wpłynęłoby to na położenie Polski. Potęga morską nie miała wejścia na zamknięty przez Niemców Bałtyk. Lotniczo Anglia nie mogła wpływać bezpośrednio na przebieg kampanii w Polsce. Wpływ pośredni przez bombardowanie mógł się objawić późno.

Zarówno Francja jak i Anglia mogły poważnie poprawić nasze siły obronne przez materiałową i pieniężną pomoc udzielaną hojnie i przez szereg lat — przynajmniej od opanowania władzy przez Hitlera.

Dalej należało rozważyć siły własne. Dowódcy każdego szczebla, z wyjątkiem naczelnego, znają (lub znać powinni) jednostki im podlegające i ich możliwości, w stopniu doskonałym, podobnym do użycia ramion czy palców. Naczelnym wódz kalkulujący przyszłą wojnę (czas niesprecyzowany) w warunkach nieustannego wyścigu technicznego zmiennej organizacji, pojawiania się nowych broni i rozrostu sił zbrojnych (lotnictwo) musi zachować złoty środek oceny siły własnej między megalomanią, a zbyt niskim jej wartościowaniem. Musi znać zasady strategii i operacji wspartej historycznymi przykładami podobnych sytuacji — identycznych nie ma nigdy.

Bezgraniczne zaufanie narodu do swoich sił zbrojnych, udzielenie na kredyt (przed zwycięstwem) buławy, pieśni o tym „że nikt nam nic nie zrobi”, ciągłe podnoszenie ducha na wyrost wspomnieniami wiktorii sprzed kilkunastu lat, brak krytyki a nawet zapytań w sejmie w sprawie dostatecznej obrony państwa (uważano to za rzecz oczywistą) stwarzało klimat podatny dla nieuzasadnionej pewności siebie.

Wysokie wykształcenie wojskowe, nieustanne własne studia,

zapoznawanie się z rozwojem myśli wojennej obcej, wyjazdy do państw zaprzyjaźnionych na manewry, publikacje własnych prac na tematy operacyjne lub strategiczne, wreszcie osobiste prowadzenie gier wojennych wschodniego i zachodniego frontu, inspekcjonowanie gier w inspektoratach (armiach), to były drogi prowadzące do rozsądnego zwątpienia o sobie i polskiej sile. Nie rozpraszenie się, owszem świadome ograniczenie się do zagadnień wojskowych, zmniejszenie reprezentacji, zupełne odsunięcie od polityki wewnętrznej, ściśle powiązanie z kierownikami polityki zagranicznej, skarbu i przemysłu.

Odczuwając ciężar odpowiedzialności za decyzje podstawowe przyszedł naczelny wódz powinien zaznajamiać się z nieskrępowanymi opiniami oficerów Sztabu Generalnego, wysłuchiwać referatów szefów Oddziałów, poznawać ludzi. Kontrolować swój sposób myślenia.

Marszałek Rydz-Śmigły był oficerem rezerwy armii austriackiej. Szkół wojskowych nie odbył żadnych. Był słuchaczem kursów i szkół oficerskich w „Strzelcu”. Dalej kształcił się wojskowo sam. Gier wojennych na szczeblu obrony państwa nie przeprowadził żadnych. W jego imieniu gry wojenne prowadził gen. Kutrzeba, prawdopodobnie jednak nigdy wyżej niż w ramach armii. Nie inspekcjonował gier prowadzonych przez Inspektorów Armii. Wciągnął się w politykę wewnętrzną. Skryty i nieufny pod pozorami uprzejmej szczerości, nie umiał użyć i nie używał swego Sztabu inaczej jak przez Szefa Sztabu. Z oficerami odpowiedzialnymi za poszczególne działy pracy Sztabu, a więc przygotowanie obrony państwa nie stykał się osobiście poza nielicznymi wyjątkami.

Organizacja wojska, odziedziczona po Piłsudskim, była bardzo skomplikowana, niewydajna i nieekonomiczna. Mogła być użyteczna w wielkim imperium i to tylko w okresie pokojowym. Oprócz ministerstwa Spraw Wojskowych i Sztabu Głównego mieliśmy Generalny Inspektorat Sił Zbrojnych. Organami pracy Generalnego Inspektora był GISZ i Sztab Główny. Obie te instytucje dublowały szereg prac, a przy kulcie tajemnicy i braku odpowiednio wykształconych oficerów przez cały okres niepodległości nie powstał pełny plan obrony od Zachodu.

Dowództwa Okręgów Korpusów (D.O.K.) były dowództwami tylko administracyjnymi. Grupy Operacyjne, które miały wyłaniać Armie zależnie od potrzeby, to były Korpusy istniejące organicznie w składzie innych wojsk. Różnica była ogromna, gdy G.O. miała powstawać jak feniks z niczego, powiększając zamieszanie i ilość pracy w armii. Dowódca G.O. nie znał swego sztabu, nie miał etatowych środków dowodzenia, wojsk technicz-

nych i td. W tym czasie zgrane, rozbudowane sztaby DOK pozostawały nieużytecznie w garnizonach. Na Okręgi Korpusne szli dowódcy teoretycznie słabsi, przed bliskim odejściem w stan spoczynku. Czasem byli to oficerowie świetni, jak znakomity gen. Kleeberg, dowódca DOK Brześć, który bił Niemców pod Kockiem. Improwizacja G.O. to klasyczny przykład Grupy gen. Knoll-Kownackiego w Armii Poznań. Otrzymałszy najlepsze dywizje z armii nie wykonał zadania głównie — wg. mnie — dzięki nieznamomości podległych sobie dowódców i oddziałów.

Inspektorzy Armii (przeznaczeni w czasie pokoju na dowódców Armii lub Samodzielnych G.O.) z wyjątkiem Gen. T. Kutrzeby, gen. W. Bortnowskiego i gen. Przedzymirskiego nie byli przygotowani do dowodzenia na tak wysokich szczeblach. Gen. Młot-Fijałkowski, d-ca S.G.O. Narew, zarówno jak gen. Fabrycy, d-ca Armii Karpaty nie przeszli przez żadną szkołę wojskową. Gen. Römmel, d-ca Armii Łódź ukończył trzyletnią Konstantynowską Szkołę Artylerii — odpowiednik naszej pokojowej Szkoły Podchorążych, Gen. Szylling, d-ca Armii Kraków był oficerem rezerwy armii rosyjskiej, a gen. Dąb-Biernacki, d-ca Armii Prusy — odwodowej, od umiejętnego użycia której zależał (teoretycznie!) los kampanii — nie miał żadnych studiów wojskowych.

Po tej informacji spróbujmy podważyć relację o rozmowie Starego Marszałka z premierem Jędrzejewiczem i Min. Beckiem: „... chcą wojny z Niemcami i to nawet ci głupi, niedouczeni i leniwi generałowie. Nic nie rozumieją”.

Inspektorzy Armii byli odpowiedzialni za wyszkolenie w swych Inspektoratach. Nie wiem jak często instruowali i w jaki sposób dowódców W.J.; z pułkami mieli kontakt bardzo luźny i zupełnie przypadkowy. Przez sześć lat w pułku pamiętam tylko jedną inspekcję gen. Piskora. Oficerów żywnościowych pytał ile kartofli jest w worku, a dowódcy pułku kazał osobiście załadować działo 02/26. Już jako oficer sztabu dywizji z przydziałem mob. na kwatermistrza, byłem na jednej grze szefem saperów, a na drugiej grze (komunikacyjnej) bez przydziału. A więc nie byłem szkolony w mej wojennej funkcji. Na manewrach przez lat dziewięć nie widziałem Inspektora Armii.

Ciążar szkolenia oficerów leżał na dowódcach W.J. Wszyscy byli po kursach dla Wyższych Dowódców przy WSWoj, a pewien procent stanowili oficerowie dyplomowani.

Uzbrojenie wojska było, jak później określi gen. Kutrzeba „anachroniczne”. Dywizje o małej sile ognia, bez broni przeciwlotniczej i słabo wyposażone przeciwpancernie, brak artylerii dyspozycyjnej. Nadmiar kawalerii. Lotnictwo i broń pancerna były

traktowane jako pożądane dodatki do W.J. piechoty i kawalerii. Dywizji piechoty 30, dwie dywizje i sześć brygad kawalerii.

Zaopatrzenie wojska z trudem wystarcza na pełne stany W.J. istniejących w czasie pokoju. Produkcja amunicji zapewnia bardzo oszczędne prowadzenie ognia. Uzbrojenia i zaopatrzenia dla W.J. rezerwowych nie ma. Tabor W.J. polega w całości na trakcji konnej. Dywizja piechoty wlecze za sobą ogon 30 kilometrowy wozów chłopskich, często jednokonnych. Przy słabej drożni i wąskim pasie działania dywizji taki tabor tarasuje drogi i stwarza braki w zaopatrzeniu. Dodajmy — świetny cel lotniczy.

W tym czasie (r. 1935) nasza doktryna wojenna, która nigdy nie doczekała się pełnego opracowania, wyrasta z doświadczeń wojny z bolszewikami, skrzyżowanymi z francuską sztuką wojny nieruchomej. Szerokie ruchome fronty, słabe nasycenie wojskiem, z obu stron uzbrojenie i zaopatrzenie niewystarczające, często odsłonięte skrzydła, buszowania na tyłach, łatwe przerywanie obrony, która nie mogła być stałą. Duże znaczenie mas kawalerskich. Życie z terenu. Wojna 1920 r. bliższa była czasom napoleońskim, niż nadchodzącej rozprawie, gdzie stanął przed nami przeciwnik po wykorzystaniu doświadczeń I-ej Wojny Światowej, naszej wojny z bolszewikami i znakomitego poligonu hiszpańskiej wojny domowej (gdzie nb. nie mieliśmy ani agentów ani obserwatorów) i posługiwał się wyobraźnią i techniką, niemal obcą naszej myślowej i finansowej.

Teoretyczne wizje przyszłych starć mas pancernych Fullera, działań lotniczych armij Duhet'a, teorii de Gaulle'a, a nawet opracowań gen. Sikorskiego nie przenikały do naszych sfer kierowniczych Wojska.

Po długiej supremacji francuskiej teorii wojny w naszej WSWoj nastąpiły lata długiej i wytężonej pracy profesorskiego zespołu oficerów pod kierunkiem Komendanta Szkoły gen. Kutrzeby. Odpowiednie wyłowienie z linii najlepszych oficerów, doszkolenie i zeszlifowanie ich w jeden zespół wymagały czasu. Ciągłe gry i ćwiczenia, dyskusje i studia zespołowe wyłaniały nie tylko najlepsze możliwe rozwiązania, ale dochodziły do określania możliwych do wykonania zadań dla wielkich jednostek i dla operacyjnych związków (armia, S.G.O.).

Zadania zbyt trudne są niewykonywane. Pasy działań zbyt szerokie dla objęcia ogniem i obsadą są nierealne. Teren zbyt obszerny rozgadnia siły. Obrona zamienia się w osłonę. Wydanie rozkazów przerastających moc ogniową i stany ludzkie rodzi kłeskę w polu, a nierealnemu dowódcy rysuje na mapach miraż zabezpieczające kraj.

Siły zbrojne każdego państwa, o średniej nawet wielkości,

muszą stworzyć własną doktrynę wojenną. To jest opracować teorię, określającą zasady użycia wojska, lotnictwa i marynarki w możliwej wojnie. Dla przykładu — doktryna wojenna Francji była wybitnie, obronna, eliminująca ofensywę. Tkwić za linią Maginota i uderzać lokalnie między forty w nacierającego nieprzyjaciela. Ciężyła nad francuską doktryną pierwsza wojna światowa, nie porwała jej naprzód krótka ofensywa z końca 1918 r. gdzie czołg dał przedsmak wizjonerom przyszłości, jaką rozwinięciem potęgę. U kolebki tej doktryny leżało zadomowienie się w głębokim okopie i bogactwo kraju, który wznosił potężne fortyfikacje.

Nasza „jakby doktryna”, jak z zażenowaniem określa gen. Kutrzeba, powstawała w cieniu laurów wygranej wojny 1920 r. Wojna ta przesadnie wbiła w pamięć ówczesnych dowódców wartość morale żołnierza. Nadchodziła wojna, gdzie ogień i pancerny, bomba i karabin maszynowy lotnika przygważdżał do ziemi żołnierza uboższego wojska i odbierał mu morale przed wytrąceniem z ręki broni. Inspektorzy Armii lekceważyli lotnictwo i broń pancerną. Marszałek Piłsudski uważał, że rola samolotu ograniczy się do rozpoznania na korzyść wojsk naziemnych. Te zapatrywania hamowały rozsądną ocenę przyszłego pola walki.

Wyższa Szkoła Wojenna dająca w swych grach i ćwiczeniach dokładny obraz rzeczywistości września, była pod presją dwóch sił, których istnienie i przywileje nie dawały się ominąć. Pierwszą siłą był Sztab Główny, trafnie oceniający, że pełnia barw przyszłej wojny stworzy w słuchaczach niewiarę w skuteczność samotnej walki z łamiącą przewagą. Sztab Główny hamował WSWoj w malowaniu realiów. Bieda, brak pieniędzy, pierwsze kroki przemysłu, zmuszały do nic nie wyjaśniającego zwrotu „w naszych warunkach”. To niby remedium odgórnie narzucone skrzywiło założenia przyszłej wojny. Nieprzyjaciel nie planuje najazdu z taryfą ulgową. Druga siła to potężna „mafia kawaleryjska”. Powodowani wspianym duchem, morale oddziałów podnosząc najwyżej, tworzyli nastrój podobny do rosyjskiego z 1914 r.: „szapkami zabrosim”. Oni najmocniej wierzyli w niemożliwe, wyjeżdżając na wojnę z szablami, na mapach obejmując odcinki kilkakrotnie ponad siły. Oni rzucali butelki z benzyną na czołgi i dla dodania ducha słuchaczom orzekali małe straty po nalocie bombowym.

Te czynniki nie tylko psuły pracę nad stworzeniem doktryny, ale co gorsza gwarantowały, że rozsądna teoria sobie, możliwości sobie, a my „w naszych warunkach”, jakoś tam będzie! Wyższa Szkoła Wojenna doszła w swych pracach do ustalenia odcinka maksymalnego dla dywizji piechoty. Nie mógł wynosić wię-

cej niż 7 km. Konieczność ugrupowania w głąb oddziałów, powiązanie ogni piechoty, odpowiednie odsunięcie artylerii dla najwydajniejszego wsparcia pierwszej linii, dla osłony skrzydeł, wreszcie rygli — nie pozwalały na objęcie szerszego sektora.

Dalej doktryna nie zgadzała się na działanie oderwanej od reszty zgrupowania dywizji. Musiała być w ramach związku wyższego — grupy operacyjnej. Licząc się z działaniem czołgów zakładano, że samotna dywizja zostanie obskoczona jak zaprząg przez wilki i przestanie istnieć. Wydajne działanie G.O. lub armii, a więc możliwość interwencji na polu walki, pomocy cięższej uwikłanym, lub dla wykorzystania sukcesu wymagać będzie odwodu, a więc dalszego ugrupowania w głąb.

Ponieważ teren Polski to brama na oścież otwarta, pomiar zachodniej granicznej linii 1939 r., branej z grubsza da ponad 1.000 km. A więc zgodnie z doktryną trzeba było mieć 145 dyw. piechoty w pierwszej linii, gdy niemal chcemy się bić na granicy. Około 1/4 wyciągniemy na odwody, gdyż skromne, ale istniejące przeszkody terenowe pozwolą nam oszczędzić około 35 D.P. — Tymczasem całe siły dyspozycyjne wynosiły tę jedną czwartą wojsk potrzebnych. A nawet przy posiadanej, teoretycznie potrzebnej masie, możliwa była przewaga nacierającego w punktach przełamania zwłaszcza pancernem działającą. A gdzie osłona od Rosji?

Do takich wniosków, ad absurdum dojść należało, myśląc konsekwentnie, w pierwszym dniu dyspozycji dla Planu Z. Naturalnie pamiętając o doktrynie, a więc mieszcząc zadania w możliwościach wojsk.

Wybiegnę wprzód do września 1939 r. Dywizje miały przydzielane odcinki do 30 km. Były wysuwane wprzód bez osłony skrzydeł. Kawaleria miewała odcinki, forsowane i w WSWoj. dzięki własnej katedrze, po 15-20 km. w terenie „sprzyjającym”. W polu brygady trzaskały w pierwszym dniu, przestawały istnieć w dwa trzy dni walki.

Dalszym, ale nie mniej ważnym elementem doktryny było przygotowanie każdego działania kwatermistrzowsko. Zaopatrzenie było w teorii i praktyce oddziałów lekceważone. WSWoj poświęcała „służbie sztabów, bo tak się przedmiot nazywał około 20% czasu. Zaopatrzenie i ewakuacja w ramach W.J. nawet w 1939 r. to był problem. Wadliwie ustawiony, kończył wysiłek najlepszej jednostki. Równowagę tego problemu zniszczyło z miejsca lekceważone lotnictwo.

W sytuacji, której przegląd nakreśliłem, zapada w umyśle marszałka Śmigłego-Rydza decyzja zachowania niezawisłej polityki Polski i niedyskutowanej obrony jej całości. „Może Pan być

pewny, że ja wojny lekkomyślnie nie wywołam, ale gdy będziemy zmuszeni do wojny, będziemy się bić tak jak potrafimy i umiemy” — mówił do gen. Kutrzeby. Decyzja ta — nie umiem stwierdzić kiedy podjęta — nie była rewidowana. Analiza wojskowa i polityczna dokonywana prawdopodobnie wielokrotnie, zawsze w tym samym otoczeniu nie dochodziła do wyciągnięcia wniosków — niemożliwości wojny. Grały natomiast wspomnienia własnej bitwy nad Niemnem i rozbitych bolszewików. Zupełna zaściankowość i anachronizm w porównaniu z sąsiadami. Gotowość do beznadziejnej walki wzorem powstań. Niedocenianie istnienia państwa i głównego zadania — utrzymania jego ciągłości.

Nad tą decyzją polatywały dźwięki „Warszawianki”, mickiewiczowska recepta o mierzeniu sił na zamiary i niejasne strofy z „Króla Ducha”.

Odcięcie Rydza-Śmigłego od szerszych poglądów, odmiennych pomysłów, było związane z jego systemem pracy, podobnym do Starego Marszałka. Wynikał on z konspiracji, braku zaufania do otoczenia, co wiodło do przesady w tajemniczy. Z inspektorami armii rozmawiał oddzielnie, nie podając im zadań sąsiadów (kardynałny błąd w dowodzeniu). Tylko Szef Sztabu, a potem jeszcze dwóch-trzech oficerów, znali jego plany.

Z decyzji walki wynikała polityka Polski. Śmigły-Rydz nie kierował polityką, tak jak jego poprzednik, ale otaczając się tajemnicą, stwarzał legionowy nastrój zaufania we własne siły — „byczo będzie!” Pewność siebie Generalnego Inspektora, pewność obrony kraju, a więc zwycięskiej kampanii z Niemcami zaczyna opanowywać społeczeństwo. Nieznacznie, ale ciągle zaostrza się język gazet i wystąpień różnych mówców. Energiczne „nie damy”, „obronimy”, słyszy się jeszcze przed sławnym przemówieniem o guziku.

Praca nad lepszym uzbrojeniem zasłaniała Marszałkowi jednoczesny ogromny rozwój sił sąsiadów. Wiara w żołnierza, we własną pracę, w imponderabilia wreszcie, pozwala mu „w czasie majowego kryzysu 1939 r. zapewnić Becka, że na jesieni wojsko będzie zapięte na ostatni guzik. To słyszałem z ust min. Becka tuż po rozmowie z Marszałkiem. Stąd pewność i stanowczość min. Becka w rozmowach z Niemcami”^{*}.

Jak w tym okresie rozwija się polityka Niemiec wobec Polski? — Hitler wyraźnie oszczędza Polskę. Coraz potężniejszy, przestrzega paktu o nieagresji.

Kiedy po zajęciu Nadrenii (7. 3. 1936) Beck deklaruje goto-

^{*}) W. T. Drymmer.

wość wspólnej akcji z Francją, Hitler, choć o niej poinformowany, stara się pozyskać sympatię Polski. Zgłasza przez Goeringa swoje *desintéressement* w sprawie Gdańska i Pomorza. Nie trudno dostrzec osamotnienie Polski między Niemcami, a zawsze żywym niebezpieczeństwem Rosji. Hitler sam planując wojnę chce mieć w nas sojusznika.

W lutym 1938 r. Hitler obejmuje naczelne dowództwo nad siłami zbrojnymi Niemiec. Jednocześnie niemal, w rozmowie z Beckiem, potwierdza swoją wrogość do Sowieców.

W tym czasie Niemcy nie myślą o zmiążdżeniu Polski. Nie precyzuje się jeszcze kierunek głównego uderzenia. Hitler oczyszcza przedpole. Przy działaniu na zachód, Polska mu jest potrzebna dla osłony tyłów. W wojnie z Rosją musi przekraczać polskie tereny — wydaje mu się nonsensem, by Polska biła się pośrednio w obronie Sowieców, będąc przez nią zagrożona i zupełnie obca jej systemowi. Uważam za rzecz w wysokim stopniu prawdopodobną, że ten genialny szaleniec, umiejący dokładnie kalkulować, był przekonany, że dla Polski nie ma innej drogi poza sojuszem z Niemcami.

Podobieństwo metod, stosowanych w tym czasie wobec sąsiadów, przez Polskę mogło utwierdzać Hitlera w jego osądzie. Aneksja Austrii została uzupełniona polską „demonstracją wojskową” wobec Litwy, a kiedy nadeszła kolej na drugiego bezpośredniego sąsiada, Polska nie tylko nie udzieliła mu pomocy, ale wkroczyła na Zaolzie jednocześnie z wojskami niemieckimi. Pod Bohuminem zetknęły się bez strzelaniny nasze oddziały z Reichswehrą.

Wysuwane już od 1936 r. sugestje wspólnych przeciw Rosji zamierzeń (Goering) zaczynają się krzyżować ze stopniowanym naciskiem. W październiku 1938 r. Ribbentrop komunikuje amb. Lipskiemu żądanie włączenia Gdańska do Rzeszy i usprawnienia komunikacji z Prusami Wschodnimi przez nasze Pomorze. Po gwałtownym odrzuceniu przez min. Becka, żądania te pozostają w zawieszeniu do stycznia 1939 r. Podczas pobytu w Berchtesgaden Hitler proponuje min. Beckowi przystąpienie do paktu antykomunistycznego. Beck odmawia.

Stworzenie „niepodległej” Słowacji przez opiekę nad ks. Tiso i popieranie ks. Wołoszyna na Rusi Podkarpackiej wyraźnie oskrzydla Polskę od południa.

Mimo tych niedwuznacznych gróźb i zaproszeń do wojennej współpracy Polska, pozornie niewzruszona, zachowuje układowość wobec obu sąsiadów.

Długotrwałą ustepliwość Hitlera w stosunku do Polski widzę w jego kalkulowaniu sił. Plany dalszych podbojów już przed koń-

cem 1938 r. musiały być gotowe. Mógł ulec zmianie porządek uderzeń. Opanowanie Europy było celem imponującym, a siły pozostały ograniczone. Oprócz niemieckich Hitler liczył na siły polskie. Wystawienie stu dywizji z odpowiednią ilością wojsk armijnych i lotnictwa było w granicach polskich możliwości przy poważnym wsparciu przemysłu niemieckiego.

Kiedy pracowałem (krótko) w W.B.Hist. w Warszawie wpadł mi w ręce odpis raportu gen. Beselera traktujący o wartościach naszego żołnierza. Od Fryderyka zresztą, kradnącego nam rekruta, przez pułki śląskie i wielkopolskie, od Gravelotte po 1918 r. Niemcy poznali nas w polu.

Rozumiem, że kamieniem węgielnym podbojów Hitlera było posiadanie tych stu dywizji polskich. Nie spodziewał się odmowy. Wobec obojętności na propozycje wspólnej wojny z Rosją i podziąłu Ukrainy, wobec wzgardliwego odrzucenia sojuszu przez Becka, zachowuje niezwykłą wstrzeźliwość. Nie wybucha, choć już jest ponoszony falą powodzenia. Wierzy, że mimo trudnych do pojęcia dąsów, Polska pójdzie jedyną — według niego — drogą.

W zawarciu sojuszu polsko-brytyjskiego ten genialny psychopata widzi nie tylko obrazę osobistą i narodu niemieckiego. Widzi w dalekiej mgle przewidywać możliwość klęski z braku sił. W testamencie (Hitler-Borman Documents) pisze: „Polacy nie przynaglani przez Brytyjczyków i Francuzów nie czuliby się powołani do popełnienia samobójstwa” i dalej „... Polska powinna być po naszej stronie”.

Tu leży, według mnie, przyczyna tak ciężkiego losu naszego narodu pod okupacją. Hitler mścił się za zaprzepaszczone zwycięstwo. W miarę postępu klęsk rośnie eksterminacja. Uważam za nonsens propagandowy, że mieliśmy zginąć jako naród z rąk niemieckich nawet w sojuszu z Niemcami.

Straty zadane w 1939 r., wiązanie sił kilku dywizji przez czas okupacji, powstanie, wreszcie walki PSZbrojnych na zachodzie to były elementy mniej ważne. Brak Polaków przy boku Niemców w walce o tysiąc lat germańskiej szczęśliwości, był w umyśle Hitlera przestępstwem, za które i śmierć nie płaci dostatecznie.

Polityka Polski. Niemal do śmierci swej Marszałek Piłsudski kierował polityką, zachowując sobie decyzje w sprawach najważniejszych, które przekazywał ministrowi spraw zagranicznych. Po objęciu Generalnego Inspektoratu przez Śmigłego-Rydza min. Beck staje się niezależnym kierownikiem polityki, gdyż przy rządach jednego obozu krytyka parlamentarna i głos opinii nie wiele

wały. Istnieją różne wersje o wzajemnym ustosunkowaniu się marszałka i ministra. Mając na uwadze efekt końcowy ich współpracy wysuwam przypuszczenie, że nawzajem się nie informowali i nie oceniali sytuacji, że obaj działali zapatrzeni w swoje oddzielne fikcje, jako jedynie prawdopodobne.

Min. Beck, ustawiony przez Piłsudskiego w pozycji balansowania ciągle malejącej siły własnej między dwoma rosnącymi potęgami, miał zadanie początkowo łatwe. Brak nacisków z zewnątrz gruntował w nim przeświadczenie, że pragnieniem Rosji i Niemiec jest idylliczne współistnienie z Polską. Zapominając, że byłoby to możliwe tylko przy masie polskiej, przynajmniej równej jednemu z sąsiadów, zmarnował czas i tak krótki. Nie nawiązano bliskich stosunków z Czechosłowacją, a byłby z nią pożądaný sojusz. Z Litwą nie utrzymywaliśmy stosunków dyplomatycznych. Nie umieliśmy nawet przyciągnąć ku sobie Łotwy i Estonii. Tradycyjna przyjaźń Węgier nie mogła stać się oparciem przeciwko Niemcom. Rumuni byli związani z nami tylko sojuszem przeciwko Rosji.

W ten sposób Polska była zupełnie osamotniona i w razie wojny z Niemcami nie miała sojuszników za miedzą graniczną.

Współpraca kulturalna, wymiana gospodarcza, badania naukowe mogą być nawiązywane z pożytkiem, a bez istotnego niebezpieczeństwa ze wszystkimi państwami. Sojusze wojskowe, zwłaszcza dla państw małych i średnich, są pełnowartościowe tylko z bezpośrednimi sąsiadami. Obrona życia przed wspólnym wrogiem rozszerza własne terytorium, osłania skrzydła, daje głębokość obszaru, sumuje zaopatrzenie, ułatwia komunikację, eliminuje niedotrzymanie zobowiązań. Sojusz na odległość, nawet z potęgą, ale mniej, lub inaczej zagrożoną, włączoną w interesy szersze, obojętną dla lokalnego konfliktu na drugorzędym kierunku, nie rokuje powodzenia. Może być tylko dodatkowym ubezpieczeniem lub gwarancją. Wielki sojusznik, a zwłaszcza sam niezaatakowany, znajdzie szereg luk w umowie, których interpretacje przeprowadzi wygodnie dla siebie. Sojusz z nim to czek bez pokrycia, mimo ogromnych możliwości podpisanego.

Małe lub średnie państwo prowadzące politykę niezawisłą, nieopartą na realnej sile swojej i sąsiadów, balansuje na jednej nodze. Runąć łatwo, a nie wesprze oddalony.

Stosunki nasze z głównym i jedynym niemal sojuszniakiem, od Lokarna psuły się stopniowo. Francja chciała się wycofać z zobowiązań. Szereg posunięć min. Becka stwarzał pozory, że Polska odchodzi od Francji i że jej na dawnym sojuszu nie zależy. Usiłowania francuskie wciągnięcia Polski do wojskowych porozumień z Rosją nie odnoszą powodzenia.

Widnokrąg wyraźnie się zaciemniał. Hitler osiągał sukcesy szybkie i bezkrwawe.

Sfinks rosyjski wcześniej, bo w 1933 r. używając Radka w nieoficjalnych rozmowach z red. Miedzińskim, a trafnie osądzając zaborczość Hitlera, starał się wysondować wytrzymałość Polski na zaloty niemieckie. Sugerowano wówczas pomoc materiałową i wojskową przez koncentrację wojsk w pobliżu Prus Wschodnich. W 1938 r. attaché rosyjski ponawia i rozszerza Radkowe propozycje wobec naszego attaché, płk. dypl. Mitkiewicza. Raporty te są zbagatelizowane przez ówczesnego szefa Oddziału II i nie jest pewne, czy były referowane wyżej.

Polska jest w tym okresie przedmiotem zabiegów dwóch potężnych sąsiadów.

Czas wyboru staje się coraz bardziej krótki.

Minister Beck odrzucając obie realne możliwości — z Niemcami lub z Rosją, wypracowuje teorię, dla zrealizowania której działa do końca. Obserwując ginące po kolei państwa i powstające protektoraty bez reakcji potęg Zachodu, uważa, że wzmocnienie sojuszu polsko-francuskiego przez sojusz z Wielką Brytanią, zmusi te państwa do wypowiedzenia wojny Niemcom, gdy Polska zostanie napadnięta. Wykład tej teorii przewidywał poważne prawdopodobieństwo klęski Polski, osamotnionej na polu walki, ale ostatecznie zwycięskiej, bo przez szlachetnych aliantów podniesionej. Było to dalsze ślepe utrzymanie równowagi na linii, która już trzeszczała. Było to chętnie podporządkowanie się Anglii, zawsze niechętniej lub wrogiej Polsce, jeśli sytuacja historyczna żądała od niej więcej niż protestu i deklaracji.

Najsłabszym punktem tej teorii, która się zrealizowała, była z góry założona klęska (czasowa) Polski. Rząd polski (min. Beck) opierał swe kalkulacje na zupełnej nieznajomości Anglii. Wierzył w *fair play*, które nie pozwoli Anglikom na pozostawienie nas w niewoli. Tak dalece ufał Anglii, że przeoczył konieczność uzyskania od sojuszników gwarancji całości granic Rzeczypospolitej.

Polacy na początku 1939 r. są wyraźnie zmęczeni zbyt długą wojną nerwów i zupełnym osamotnieniem. Są chyba zdecydowani walczyć w obronie kraju w najgorszej sytuacji. Ale czy wytrzymają w obliczu wojny bez nadziei?

Wywiad Wielkiej Brytanii stwierdza, że Hitler planuje uderzenie na zachód w pierwszej kolejności. Wiadomości o tym przychodzą do Warszawy niemal jednocześnie przez ambasady amerykańską, francuską i angielską.

Wielka Brytania wyczuwa niebezpieczeństwo przedłużania sam na sam Polski z Hitlerem. Proponuje wzajemne konsultacje Fran-

cji-Polski-Anglii dla przeciwstawienia się agresji. Konsultacje przedradzają się szybko w sojusz. Rozbrojona Anglia zyskuje bezcenny czas. Polska jest popchnięta w szranki — już nie ma wyjścia.

Można kwestionować tak ujęte motywy działania Wlk. Brytanii. Jest pewne, że była niemal zupełnie rozbrojona, a więc potrzebowała czasu, wiedziała, że jest na kolejce działań nie tylko Hitlera, a całej osi, że będzie musiała się bić, a więc nic nie ryzykuje stając po stronie Polski.

Nieoczekiwany zwrot w dotychczasowej polityce nieangażowania się Anglii w sprawy wschodniej Europy, powinien uczynić nasz rząd ostrożnym i nieufnie zadać proponowanemu sojusznikowi pytanie — *cui bono?*

Nerwowo raczej i podświadomie niż w oparciu o bezwzględną kalkulację sił, wyczuwając zupełne własne nieprzygotowanie do wojny, władze Polski przeceniają pomoc sojusznika. W rozmowach sztabowych z Brytanią w maju 1939 r. znajduje potwierdzenie okrzyk Lloyd George'a w Izbie Gmin w dniu 3. 4. 1939 (a więc przed podpisaniem sojuszu): „jeśli wojna zdarzy się jutro, nie będziecie mogli posłać nawet pojedynczego batalionu do Polski”. Anglia, o czym Sztab Główny wiedział od Francuzów, mogła dysponować na kontynent w marcu 1938 r. tylko dwie dyw. piechoty i około 150 samolotów.

Nasz wywiad wojskowy nie został zupełnie wykorzystany na terenie sojuszników i kandydatów do sojuszu. Przypuszczać należy, że żadne specjalne rozkazy w tym względzie nie zostały wydane. Polegano na miesięcznych raportach attachés, które podawały zwykłą sieczkę. Z zastępcą naszego attaché we Francji zetknąłem się przypadkowo w 1947 r. Jeszcze był pełen zachwytu nad siłą, wyszkoleniem i gotowością armii francuskiej w 1939 r. Attachés wysłani do krajów sprzymierzonych i neutralnych uważali swe przydziały raczej za przyjemne urlopy. Płk. dypl. Smoleński, szef II Oddziału Szt. Gł. od stycznia 1939 r. pisze w liście do mnie — „Co attachés wojskowi meldowali nie pamiętam dokładnie”.

Od podpisania sojuszu w Londynie przestajemy być podmiotem polityki własnej. Stajemy się przedmiotem polityki Wlk. Brytanii, obcej nam zupełnie i nie zainteresowanej nigdy naszym kątem Europy. Sojusz z Anglią i uaktywnienie sojuszu z Francją (pod presją brytyjską) nie dały nam nic dla walki o Polskę. Ze strony Anglii dosłownie nic (nawet finansowo, co było przecież najłatwiejsze). Pomoc francuska z układu w Rambouillet była bardzo ograniczona.

Wishfull thinking naszych władz decydujących jest bez precedensu. Zarówno Anglia jak i Francja wyraźnie ukazują nam

swą niegotowość do wojny biernie akceptując postępy Hitlera. Francja, mimo usiłowań min. Becka wzmocnienia sojuszu, pozostawia nas z niepodpisanym protokołem politycznym w przededniu wojny. Odejmuje to wartość protokołu o wzajemnej pomocy Kasprzycki-Gamelin z 17. 5. 1939 r.

Anglia i Francja — co trudno im brać za złe — uważały Polskę za partnera niepełnowartościowego. Ich wywiad pracował wybornie i siła nasza była dokładnie zważona. Oba państwa rozumiały, że w uchwycie obcęgów dla ujęcia z obu stron Niemiec Polska wykruszy się. Dlatego następują liczne francuskie sugestie wojskowe porozumienia z Rosją. Anglia i po zawarciu sojuszu z Polską sięga do Rosji dla wciągnięcia jej do akcji przeciwniemieckiej.

Uparta polityka polska, broniąca suwerenności, którą wrogowie mają już wkrótce roztrzaskać, stoi na zawadzie porozumieniu z Rosją. Ta *immobility* umysłowa, ten brak oceny realnej własnych możliwości pozostawia nas samotnie stojących wobec dwóch wielkich i groźnych potęg. Jesteśmy wsparci o sojusze państw bez siły i chęci angażowania się na odległym teatrze wojny. Nasi sojusznicy wierzą w klęskę Polski. W konsekwencji nie chcą tracić materiału wojennego, a tym bardziej swoich ludzi nad Wisłą.

Polityka polska w tym okresie jest tak nierealna, że zapominając o własnym państwie, stara się z godnym podziwu samozaparciem obudzić Europę, dać jej czas do zebrania sił do walki i odległego zwycięstwa. Odegraliśmy z powodzeniem, ale bez zapłaty rolę kapitoliańskich gęsi.

Inne możliwości.

Tymczasem były dwie lepsze możliwości od biernego przyjęcia jednoczesnego uderzenia ze wschodu i zachodu. Obie nie były świetne. Obie zapowiadały okrojenie suwerenności i wejście w splot interesów nam obcych i nad nami dominujących. Miały jednak nad rozwiązaniem przyjętym tę wyższość, że były realne, przechodziły ze świata fikcyj, liczenia na uczciwość i wspaniałomyślność wielkich aliantów, w walkę z szansami powodzenia. Nade wszystko rozdzielały naszych wrogów przez wybranie jednego z nich za sojusznika. Położenie Polski zmusza ją do wybierania szans życia, a nie śmierci.

Sojusz z Niemcami był jednym z możliwych rozwiązań. Decyzja w tym względzie musiałaby zapaść dość wcześnie. Jeszcze w 1935 lub 1936 roku, aby uprzedzić możliwe naciski. Sojusz po-

winien być zawarty tajnie, dla łatwiejszego utrzymania w błędzie zarówno Zachodu jak i Rosji. Z obu stron nastąpiłoby wygaszenie wrogiej propagandy, co nie było trudne, gdy pakt o nieagresji był i przez Niemcy przestrzegany.

Sojusz powinien uwzględniać w razie wojny z Francją osłonę od Rosji przez nasze siły, ale bez fizycznego angażowania się na innych frontach.

Przed rozpoczęciem działań wojennych musiałoby nastąpić zwiększenie naszego potencjału. Wydatne rozbudowanie przemysłu podstawowego, a zwłaszcza wojennego byłoby zyskiem trwałym — a wymagając czasu — opóźniłoby wojnę. Wojsko polskie znając lepiej od Niemców warunki walki na bezdrożach i w klimacie kontynentalnym byłoby aliantem cenionym.

Sojusz taki wiązałby nas (pomimo wszystko!) z Zachodem. Uniknęlibyśmy pogromu samotnego, na marginesie właściwej wojny.

Nasze siły zbrojne zyskałyby na przeszkoleniu najwyższych dowództw (po pierwszej grze wojennej wspólnej szereg dowódców armii 1939 r. poszedłby w usprawiedliwiony stan spoczynku), w uzbrojeniu i organizacji. Sojusz zawarty jako konsekwentne rozwinięcie paktu o nieagresji, pozwoliłby uniknąć włączenia Gdańska do Rzeszy, a dyspozycyjność linii, kolejowych i zgoda na autostradę do Prus Wschodnich byłaby koniecznością wspólnych przygotowań, witaną na Zachodzie jako dowód dobrosąsiedzkiej polityki polskiej.

Porozumienie w sprawie Ukrainy — sugerowane przez Hitlera w Berchtesgaden w styczniu 1939 r. mogło być wysunięte uprzedzająco przez Polskę. Ujęte w formie stworzenia przez Zachód (tj. Polskę i Niemcy) wolnej wielkiej Ukrainy na wschód od Zbrucza i wolnej Białorusi, obu złączonych w aliansie z Polską i Niemcami.

Zachowalibyśmy niepodległość, ustrój i wolność religijną.

Wydaje się więcej niż prawdopodobne, że rozbicie Rosji w tym sojuszu nie byłoby zadaniem zbyt trudnym. Anglia i Francja okazałyby *desintéressement* jej losem.

Wojna z Rosją, prowadzona pod hasłem uwolnienia podbitych ludów dawała ideę obalającą komunistyczny carat. Rozbicie Rosji i stworzenie szeregu państw narodowościowych zabezpieczałyby trwale Polskę od wschodu.

Iluzją jednak byłoby obarczanie Niemców tak konstruktywną misją na posowieckich terenach. Bezwzględność podboju germańskiego wyklucza aprobatę niezależnych organizmów, związanych z imperium.

Olbrzymia przestrzeń Rosji pochłonęłaby zwycięzców. Okupa-

cja terenów do Uralu i dalej Syberii rozwodziłaby siły niemieckie. Współpraca z Japonią, dążąca do podbojów na południu, w klimacie łagodnym, pozwala kwestionować, jej gorące zainteresowanie, a więc pomoc w podboju i okupacji terenów syberyjskich. Jeśliby to przypuszczenie okazało się mylne, a Japonia żądała łupu w postaci części lub całości Syberii — rodził się konflikt w łonie osi.

Powstawał moment interwencji potęg dotąd neutralnych, a zwłaszcza U.S.A. zawsze zainteresowanych zmianą statusu nad Oceanem Spokojnym.

Jasne, że przebieg konfliktu światowego mógł być inny, przy założeniu podanym. To nie było istotne dla nas. Istotne było uniknięcie ciosów z obu stron, możliwość bicia jednego z wrogów, wreszcie utrzymanie broni w ręku własnym do chwili ostatecznych rozstrzygnięć.

Patrząc *ex-post* choćby na losy Rumunii, mielibyśmy w zysku pięć lat z wyniszczającej okupacji, a więc lepsze warunki przetrwania sowieckiego wyzwolenia.

Równocześnie istniała inna możliwość, odwrotna do rozważonej. Wymagała stworzenia szerokiego aliansu wojskowego. Najpierw Polski z Czechosłowacją i państwami bałtyckimi. Następnie druga faza sojuszów z Francją, Anglią i Rosją. Dzielę wyraźnie zabiegi dyplomatyczne i wojskowe na dwie fazy. Zawarcie pierwszej grupy aliansów stwarzałoby większą wagę rozmów o alians szerszy, niż prowadzonych tylko przez Rzeczpospolitą. Włączenie Węgier i Rumunii (wymagające odwrócenia sojuszów) prawdopodobnie nastąpiłoby później.

W warunkach tak zakreślonych było możliwe odstępianie Hitlera od planowanych podbojów. Był on realistą w początkowej fali powodzenia. Ugiąłby się przed wojną na dwa fronty. Gdyby jednak teutońska furia zasłoniła mu rozsądek, Polska — bo o nią tylko nam chodzi — nie byłaby w wojnie osamotniona, miałyby oparcie na południu i północy i zapewnione tyły.

O ile zawarcie sojuszu Tallin-Ryga-Kowno-Warszawa-Praga nie nastreżałoby większych trudności wobec rosnącego niebezpieczeństwa (akcja dyplomatyczna trwałaby przez 1936 r. a zakończona nie później niż w czasie aneksji Austrii) o tyle drugi zespół sojuszów, gwarantujący powodzenie pierwszego, budził w umysłach polskich, a na pewno i bałtyckich mężów stanu — obawę, czy Rosja wchodząc na ich tereny będzie przestrzegać umów i czy wróci po wojnie w swoje granice.

W omawianym układzie Rosja zyskiwałaby poważny wpływ na państwa międzymorza i zabezpieczające ją od Niemiec. Bez pod-

boju militarnego otrzymywałyby szeroką sferę wpływów zadowalającą jej ambicję. Uszanowanie przez Rosję niepodległości Finlandii, która zagradza drogę do podboju Skandynawii, przemawia za podobną wstrzemięźliwością, znakomicie opłacalną.

W dobrowolnym sojuszu szeregu państw eliminowało się najazd Rosji, azjatycki podbój bezwzględny.

Rosja w sojuszu miałaaby wyrwane najbardziej ostre kły, interwencji na rzecz mniejszości, przedtem religijnych, potem narodowościowych, wreszcie dla zabezpieczenia swych granic. Wpływałyby ewolucyjnie na życie państw alianckich. Nie byłoby to najgorsze.

Dyplomacja Polski i sąsiadów zagrożonych przez Niemcy powinna włączyć w dokumenty sojuszu wzajemne gwarancje wszystkich sygnatariuszy.

Wreszcie ostatnie, ale nie najmniej ważne. Zawierając sojusz z Polską Rosja pamiętałaaby dobrze o porażce 1920 r. Nasze archaiczne uzbrojenie i kompletne nieprzygotowanie — w tym jedynym wypadku, przed sprawdzeniem w polu — miałyby poblask dawnej glorii.

Powtarzam, Hitler w szkicowanej sytuacji mógł nabrać abominacji do wojny. Gdyby jednak rzucił kości, Polska miałaaby inny start. Przez dwustronne polsko-czeskie uderzenie po linii Leszno-Zgorzelec można było odciąć Śląsk od Niemiec. Nawet w razie niepowodzenia takiej operacji rejon Wrocław-Opole nie mógł być użyty dla koncentracji przeciwnika (w 1939 r. — 8. Armii i 10. Armii). W konsekwencji głębokie obejście polskiego, południowego frontu (w 1939 r. — 14. Armia) nie mogłoby mieć miejsca. W tych warunkach nasz Śląsk byłby obroniony.

Uderzenie 12-20 dyw. państw bałtyckich, wspartych przez Rosję bronią pancerną, na Prusy Wschodnie związałoby wojska niemieckie tam zebrane (w 1939 r. — 3 Armia). Działanie to, a nawet tylko koncentracja sił wymienionych, uniemożliwiłoby uderzenie od północy na głębokie tyły naszej obrony.

Od początku działań zamiast trzech frontów (północny, zachodni i południowy) mielibyśmy do obrony przed zmasowanym działaniem Niemiec — front tylko zachodni od Bałtyku do rejonu Leszno-Rawicz przy osłonie od Śląska i od Prus Wschodnich.

Poprzednio przeprowadzone obliczenie sił w stosunku do granicy zmieniłoby się wyraźnie na naszą korzyść. Odcinki dla działania wielkich jednostek byłyby bardziej realne.

Nawet ograniczony sojusz tylko z Czechosłowacją, identycznie zagrożoną, stawiał nas w pozycji o wiele mocniejszej. Pozwalał nam bić się i przeprowadzić obronę Polski południowej. Da-

wał zysk w czasie. Walka trwając dłużej pozwalała doczekać się opieszalej pomocy Zachodu.

Dysponowaliśmy więc czasem, dość długim by powziąć najlepszą z możliwych decyzję, posiadaliśmy dokładne informacje o sile ewentualnych przeciwników, powinniśmy znać siły własne, mogliśmy przez wybór jednego z wrogów na sojusznika eliminować drugiego, co już byłoby sukcesem, wreszcie mogliśmy — Rosji i Niemcom nie wierząc — oprzeć się o Czechosłowację.

Odrzuciliśmy wszystkie rozsądne, możliwe rozwiązania („polityka to sztuka robienia rzeczy możliwych” — Bismarck) — oparliśmy się o fikcje. Anglia nic nam nie dała dla obrony Polski, Francja wykręcała się sianem z Rambouillet, akceptowaliśmy milcząco siedemnaście dni samotnej walki dla pomocy niezdanemu olbrzymowi, który wylegiwał się za linią Maginota.

Kto jest odpowiedzialny za ten obłąkany stan rzeczy?

Teoretycznie, ówczesny prezydent Rzeczypospolitej z racji swoich uprawnień konstytucyjnych. Prezydent posiadał jako organ doradczy Komitet Obrony Rzeczypospolitej, któremu przewodniczył. Do prac Komitetu należało „rozpatrywanie zagadnień dotyczących obrony państwa i ustalanie w tej dziedzinie wytycznych dla rządu”. Rząd więc nie decydował w sprawie wojny — otrzymywał tylko wytyczne, do wykonania.

W skład KORu wchodził: generalny inspektor sił zbrojnych (druga osoba w państwie), premier, ministrowie — spraw wewnętrznych, spraw zagranicznych, spraw wojskowych, skarbu wreszcie przemysłu i handlu. Szef sztabu głównego, jego zastępca i szef administracji armii uczestniczyli w zebraniach, ale nie mieli prawa głosowania. W czasie poprzedzającym drugą wojnę światową wojskowi majoryzowali cywilnych członków KORu. Premier i minister spraw wewnętrznych (w jednej osobie) był generałem, minister spraw zagranicznych oficerem dyplomowanym (czy nie jedyny dyplom ministra?), a minister spraw wojskowych, jak zwykle w Polsce, generałem.

Nie udało mi się dowiedzieć, jak często KOR zbierał się, czy zawsze prezydent przewodniczył, czy też zastępował go Generalny Inspektor, czy sprawy były poddawane pod głosowanie, czy panowała zwykła jednomyślność wojskowych odpraw. Trudno orzec czy Generalny Inspektor, czy minister spraw zagranicznych ciążył swą osobą nad obecnymi.

Jedno jest pewne, że tam na zebraniu Komitetu zapadła decyzja, będąca powtórzeniem zakomunikowanej przez marszałka w rozmowie z generałem Kutrzebą sprzed dwóch lub trzech lat przed wrześniem — „będziemy się bić!”

Decyzja przyjęcia samotnej wojny z dwoma największymi potęgami Europy stanowiła potworny nonsens wojskowy.

Powzięta przez zawodowych oficerów najwyższych stopni, wsparta radą polityki zagranicznej oficera dyplomowanego, wysłuchana w milczeniu (bez prawa głosowania, ale czy i bez prawa głosu?) przez przedstawicieli sztabu głównego negliżowała śmiertelne dla państwa pewniki:

- 1) nie mogliśmy samotnie walczyć z Niemcami;
- 2) nie mieliśmy żadnej możliwości powstrzymania Rosji od wejścia na nasze ziemie;
- 3) nie mogliśmy prowadzić wojny na dwa fronty, a pewna wojna z Niemcami była na trzy fronty, zaś przy zaangażowaniu się Rosji, na cztery;
- 4) sojusz francuski wisiał w powietrzu, wobec nie podpisania protokołu;
- 5) sojusz z Anglią nic nam nie dawał;
- 6) polityka zagraniczna odizolowała Polskę od sąsiadów, pozwoliła na oddanie bez naszego oporu Czechosłowacji.

Każdy z tych sześciu pewników, a pomniejsze można jeszcze dopisać, winny były być tak samo oczywiste dla członków KORu, jak dziś dla nas.

O wojnie, w różnych państwach decyzję pobiera osoba fizyczna lub osoba prawna ustrojem (konstytucją) upoważniona. Ale wszyscy wiedzą, że zdanie szefa sztabu głównego stanowi *pars magnum* rozważań decydującego.

W sytuacji lat 1937-39 obowiązkiem myślącego szefa sztabu głównego Polski było podać się do dymisji razem z zastępcą i szefami oddziałów (zbrodnia konspiracji) i w ten sposób, nawet idąc pod sąd zwalić kłodę pod nogi bezmyślnej akceptacji wojny przez przełożonego.

Ale między marszałkiem Śmigłym-Rydzem i gen. Stachiewiczem istniała widocznie zgodność poglądów, która przeszkadzała im widzieć jutrzejszą już rzeczywistość.

mjr. Stanisław ŻOCHOWSKI, mjr. dypl.

MIĘKKIE PODBRZUSZE EUROPY I SPRAWA POLSKA

Źródłowy artykuł Leona Mitkiewicza: „Powstanie Warszawskie” (Nr I Zeszytów Historycznych, 1962 r.) skierował moją uwagę na omawiane zagadnienie. Artykuł porusza kapitalny problem, przed którym stanęły nasze ówczesne władze, relacjonując ich tok rozumowania i, wynikające z niego postępowanie. Ponieważ Autor podaje je bez komentarzy, wydaje się konieczne skonfrontowanie jego relacji z rzeczywistym stanem spraw, tak jak znamy go obecnie. Szkoda, że na łamach „Zeszytów” nie zabrali głosu uczestnicy omawianych wypadków. Działalność, naszych władz tamtego okresu odbiła się decydująco na naszych losach. Najszerze wyświetlenie problemu wydaje się ważne. Był on dla nas i jest o decydującym znaczeniu.

Co rozumiemy przez „miękkie podbrzusze” — angielskie: *soft under-belly*? Określenie należy do Winstona S. Churchilla. Oznaczył nim bałkański teatr wojenny, najłatwiejszy, jego zdaniem, do zaatakowania i wtargnięcia do zajętej przez Niemców „fortecy europejskiej”. Plan ten był przeciwstawny amerykańskiemu uznającemu zasadę koncentracji na jednym kierunku, mianowicie uderzenia z wysp Brytyjskich na Francję. Koncepcja uderzenia od południowo-wschodniego kierunku wiąże się z osobą Churchilla już od czasu I-ej wojny światowej. Jego pomysłem była niefortunna wyprawa dardanelska, która miała dwa cele: wojskowy — wyeliminowanie Turcji z wojny i otwarcie połączenia z Rosją przez morze Czarne i cel polityczny — zagrozenie Rosji drogi do Konstantynopola i Cieśnin.

Churchillowska koncepcja II-ej wojny miała, podobnie, oficjalne cele wojskowe i nieoficjalny cel polityczny.

Istniał szereg powodów kierujących uwagę Brytyjczyków na ten kierunek operacyjny. U Churchilla grała, niewątpliwie, rolę pamięć klęski dardanelskiej i chęć rehabilitacji. Jego doradcom fachowym — trzem szefom sztabów myśl atakowania Niemców czołowo, nasuwała przypomnienie krwawych i bezskutecznych natarć flandryjskich. Na takie natarcia nie mieli Brytyjczycy środków. Rezerwy ludzkie były na wyczerpaniu już w drugiej połowie wojny. Armia, marynarka, lotnictwo, rozciągnięte na obie półkule linie komunikacyjne, wreszcie przemysł wojenny — wchłonięły cały materiał ludzki. Nękające ataki na drugorzędnych frontach wydawały się bezpieczniejsze. W momencie głównego natarcia (na francuskie wybrzeża) odciągały na boczne kierunki siły niemieckie.

W paru słowach, plan wyglądał następująco. Po zwycięskiej kampanii w Afryce północnej, alianci lądują na Bałkanach bezpośrednio, lub drogą przez Włochy — Adriatyk. Wciągają do wojny Turcję. Uderzają po linii: Belgrad-Praga-Warszawa. Manewr wychodzi na skrzydło i tyły armij niemieckich walczących przeciwko Rosjanom. Tak powstały „drugi front” dając możliwie najskuteczniejszą wojskową pomoc Rosji. Polityczny cel manewru, pomijany milczeniem; odcięcie Rosji dostępu do Bałkanów i centralnej Europy.

W amerykańsko-brytyjskich rozmowach politycznych i sztabowych, plan był szeroko i nawet gorąco dyskutowany. Przytaczano argumenty za i przeciw. Dyskusja, zresztą toczy się do dnia dzisiejszego. Miejsce polityków i wojskowych zajęli wojskowi rzeczoznawcy i historycy.

Przeciwnicy projektu (mówiąc najbardziej ogólnie — strona amerykańska) wysunęli szereg zarzutów, wśród nich następujące: Trudności działań desantowych z dalekich baz afrykańskich. Złe warunki terenowe Bałkanów i zła rozbudowa drożni. Szczupłość terenu nie pozwalająca na rozwinięcie sił. Niebezpieczeństwo, w razie zaatakowania przez Niemców Hiszpanii i zajęcia Gibraltaru, zakorkowania użytych sił w basenie śródziemnomorskim. Łatwo zauważyć, że te argumenty odpadają w obliczu późniejszego działania przeciw Włochom, czyli w podobnych warunkach. Amerykanie wysuwali te argumenty nie dlatego, że w nie zbyt wnikliwie wzięli. Głównie bali się, że Brytyjczycy chcą ich wplątać w kampanię bałkańską, bo nie chcą uderzenia przez Francję. W oczach Amerykanów, Bałkany mogły się stać pompą ssącą alianckie siły, która mogła przekreślić plan „wielkiej strategii” — lądowanie na francuskich wybrzeżach.

Ze swej strony, Brytyjczycy wysuwali poważne argumenty. Manewr bałkański był militarnie, najszybszą i skuteczną pomocą

dla Rosji, której Stalin tak natarczywie się domagał. Wciągał w wojnę Turcję z jej kilkudziesięciu dywizjami. Upowszechniał ruch partyzancki wojowniczych narodów słowiańskich. Wreszcie, jako pomocniczy teatr wojenny odciągał skutecznie siły niemieckie z przyszłego głównego kierunku uderzenia — zachodnich wybrzeży Francji. Skuteczniej niż projektowane przez Amerykanów działania na południe Francji.

Amerykanie stali twardo i dalej nie wierzyli w szczerą brytyjskich intencji.

Powyższe spory miały miejsce na konferencjach w Casablance (14-27 stycznia 1943 r.) i Quebec (11-24 sierpnia 1943 r.). Na nich zapadły ostateczne decyzje. Zdecydowano *Overlord* (lądowanie na zachodnich wybrzeżach Francji) i *Anvil* (pomocnicze lądowanie w południowej Francji).

Zwyciężyła amerykańska koncepcja. W 1943 roku nie mieli już Brytyjczycy decydującego głosu.

Nie bez wpływu na decyzję, była opinia Stalina, który „nie życzył sobie” aliantów na Bałkanach. Możemy to łatwo zrozumieć.

Pięknie ujął Roosevelt amerykańskie zwycięstwo nad aliancami, w słowach do swego syna Elliotta: „Nie widzę powodu narażania życia amerykańskich żołnierzy dla osłony rzeczywistych, lub urojonych brytyjskich interesów na europejskim kontynencie”.

„Brytyjczycy myśleli o pokoju; zwycięstwo znaczyło dla nich nie wiele, skoro pociągało za sobą polityczne straty. My widzieliśmy w brytyjskim nastawianiu na południowo-europejskie „awantury” wszelkiego rodzaju złą wolę; nawet niektórzy z naszych młodych strategów posądzali Brytyjczyków o niechęć do walki”¹.

Przegrana była zupełna i ostateczna. Churchill walczył dalej, aż po sierpień 1944 roku, czyli do czasu lądowania w południowej Francji. Ze zwykłym sobie uporem i siłą przekonania. Jak w całej jego karierze, ważny był cel — środki były dobre, bez względu na ich gatunkowy ciężar.

1. Hanson W. Baldwin — „Great Mistakes of the War”, Alvin Redman, London 1950; str. 24. Ponadto patrz: Wiston S. Churchill — „The Second World War”, Cassell, London 1951; tomy: III-IV; Chester Wilmot — „The Struggle for Europe”, Collins, London 1952; Maj gen. J. F. C. Fuller — „The Second World War”. Eyre and Spottiswoode, London 1954; Arthur Bryant — „The Turn of the Tide”, (opracowany dziennik f. marszałka Alan Brook), Collins, London 1957; Louis L. Snyder — „The War”, a concise history, Robert Hale, London 1962.

Ogólne naświetlenie problemu: Ralph Ingersoll — „Top Secret”, Partridge Publications, Great Britain, 1946; The Countess of Listowel — „Crusader in the Secret War”, Christopher Johnson, London 1952; Alexandre Cretzianu — „The Lost Opportunity”, Johnatan Cape, London 1957.

Jaka łączność istnieje między polskimi zagadnieniami II-ej Wojny Światowej i koncepcją atakowania Bałkanów? Związek jest bardzo ścisły. Niedoszły do skutku pomysł Churchilla wpłynął bardzo istotnie na naszą myśl polityczną.

Dla zrozumienia tej zależności, okreśmy jakie cele stawialiśmy przed sobą w tamtym okresie. Cele wojenne rządu generała Sikorskiego, powiedzmy ściślej:

- odzyskanie państwa w granicach sprzed 1 września 1939 r.;
- poszerzenie tych granic kosztem pobitych Niemców na zachodzie i północy;
- nienaruszalność terytorialna i suwerenna ze strony Rosji na wschodzie.

Powyższe tezy koronowała jakby idea Generała — Federacji Środkowo-Wschodniej Europy.

Sikorski widział dwojakie rozwiązanie takiej federacji. Jednego wielkiego związku państw między Bałtykiem i morzem Czarnym. Albo dwu federacji: jednej, w skład której wchodziłyby Czechosłowacja, Litwa, Polska, Rumunia i Węgry; i drugiej: Albania, Bułgaria, Grecja, Jugosławia i Turcja (ew.).

Jest jasne, że powyższym celom politycznym najbliższa była strategia bałkańska. Mozolne spychanie Niemców we Francji, następowała skrzydłowym manewrem wychodzącym nie tylko na skrzydło i tyły Niemców, ale odcinającym, równocześnie, jak nożem Rosjan od centralnej i południowej Europy.

Jasne, ściśle i logiczne, tylko nie mające wiele wspólnego z ówczesną rzeczywistością. Rzeczywistość wytyczali alianci. Ich założenia polityczne i strategiczne były całkowicie odmienne.

Podejście do zagadnień wojny było różne u trzech przywódców alianckich mocarstw. Stalin widział wojnę jako okazję do ugruntowania dominującego stanowiska w Europie. Wojna była dla niego środkiem, nie celem. Dla Roosevelta wygranie wojny było celem samym w sobie. Po jego osiągnięciu, widział mgliście zjednoczone narody, współpracę w zgodzie kapitalizmu z komunizmem i niewątpliwie, siebie — prezydenta Stanów — jako arbitra tej wspólnoty. Losy Europy zajmowały go, bez wątplenia, bardzo pośrednio. Częściowo podobne stanowisko zajmował Churchill, wbrew późniejszym interpretacjom, w szczególności jego własnych pamiętników. Jego zainteresowanie Europą było częściowe i zgodne z przestarzałą doktryną morskiej potęgi Wielkiej Brytanii. Zgodnie z nią, interesowały Churchilla losy państw europejskich leżących na szlakach Imperium. Po pokonaniu Niemiec, z państw wojujących brał pod uwagę Francję, Włochy, Grecję, Turcję. Kontynent interesował go mało, tym bardziej, że będąc najsłabszym z partnerów, nie miał decydującego głosu.

W tym „klubie trzech” (jak powiedział Churchill: wpisowe stanowiło minimum milion żołnierzy) nie było harmonii. Churchill w czerwcu 1941 roku przekreślił swoje zasady i ofiarował Rosji nie tylko przymierze, ale przyjaźń bez zastrzeżeń. Już w połowie wojny zaczął mieć wątpliwości co do szczerości partnera. Zachłanny apetyt Stalina stanowił, dla niego, wyraźne zagrożenie brytyjskich interesów. Tych interesów musiał bronić nie tylko przed Stalinem, ale i przed Rooseveltem, który traktował go jako imperialistę. Roosevelt, jak dziecko we mgle, nie orientował się w niczym, nie wiedział nic (patrz: wspomnienia James Byrnesa o przygotowaniach do konferencji jałtańskiej) i ferował wyroki w sprawach sobie obcych w błogim przekonaniu, że byle dogodził Stalinowi — wszystko będzie dobrze. Wreszcie Stalin nie dowierzał ani Churchillowi, ani Rooseveltowi.

Tak rozbieżny triumwirat przestrzegał święcie jednej zasady. W jej przestrzeganiu był niezmiennie zgodny: wszelkie decyzje wojny i pokoju należą wyłącznie do nich.

Tę zasadę łamał generał de Gaulle. Tej zasady nie przestrzegał generał Sikorski. Jeden, bo sojusznikom nie wierzył. Drugi, bo lojalność sojuszników uważał za pewnik. Pierwszy protestował przeciwko traktowaniu go — przedstawiciela narodu — z góry. Drugi był przekonany, że jest równorzędnym partnerem.

W tym przekonaniu i doceniając swoje zdolności jako męża stanu i żołnierza, gen. Sikorski rozwija żywą działalność w kierunku realizacji swoich planów. Jest ona dwukierunkowa. „W górę” — w postaci kontaktów z osobistościami obu anglosaskich krajów; osobistych i w drodze licznych memoriałów. „W dół” — w formie zbliżenia do innych rządów emigracyjnych z myślą o przyszłych federacjach.

Podobnie samodzielna polityka emigracyjnego rządu, bynajmniej nie zgadzała się z życzeniami Churchilla, a zwłaszcza Roosevelta.

Nie upływie trzech miesięcy od czasu przystąpienia do wojny Stanów Zjednoczonych, kiedy w raportach ich ambasadora przy rządzie polskim w Londynie A. J. Drexell-Bidle znajdzie się taka wzmianka: „Sikorski występuje z jednej strony w roli przywódcy powojennej Polski, z drugiej — jako przywódca kontynentalnej Europy, ponieważ, jego zdaniem, Francja utraciła dominujące znaczenie na kontynencie”. Roosevelt reaguje na tę wiadomość pismem do podsekretarza stanu Sumner Wellesa. Poleca odradzić Sikorskiemu podobną działalność. Uważa że: „nie jest teraz czas na rozmowy o powojennym stanowisku małych narodów”. Rozmowy podobne mogą spowodować „poważne trudności z Rosją”. W rok później, w marcu 1943 roku, powie Edenowi w Waszyng-

tonie: „rzeczą wielkich mocarstw będzie rozstrzygnąć, co Polska ma mieć”; on (Roosevelt) nie zamierza „iść na konferencję pokojową, by targować się z Polską lub innymi małymi państwami”.

Wydaje się, że tych kilka zdań obrazuje istotę rooseveltowskiej polityki europejskiej: obawa narażenia interesów Rosji i obrażenia Stalina, oraz lekceważący stosunek dla mniejszych państw i ich interesów.

Nie przeszkadzało to Rooseveltowi, w rozmowie z Sikorskim (24. 3. 1942) złożyć oświadczenia: „Rząd Stanów nie zaciągnie żadnych zobowiązań tajnych w czasie trwania wojny” i on (Roosevelt) nie zgodzi się „na żadne odstępstwa od zasad Karty Atlantyckiej”.

Jak gdyby za obopólnym porozumieniem, zawiązała się jakaś dziwna gra. Strona polska odbywała konferencje z osobistościami brytyjskimi i amerykańskimi, składała memoranda w sprawach często przekraczających bezpośrednio zainteresowania polskie. Anglosasi na konferencjach zachowywali powściągliwe milczenie, na memoranda nie odpowiadali i wystrzegali się informowania polskiej strony o swoich planach. Sikorski, z kolei, milczenie przyjmował za aprobatę swoich opinii i sugestii, a osobiste towarzysko-dyplomatyczne sukcesy za zwycięstwa polskiej racji stanu.

W takich warunkach stało się co było nieuniknione: polskie planowanie polityczne i wojskowe odchodziło coraz dalej od rzeczywistości narzucanej przez Roosevelta i Churchilla. Jedynie w tym aspekcie potrafimy zrozumieć powstanie polskich planów związanych z uderzeniem na *soft underbelly*².

Przechodzę do właściwego tematu artykułu³. Na początek, kilka dat.

— 9 czerwca 1941 r. podał gen. Sikorski do wiadomości Brytyjczyków swoje sugestie „wielkiej strategii”. Podawał w nich dwa kierunki ewentualnego uderzenia: północny — przez Danię i południowy — przez Bałkany.

— we wrześniu 1941 r. gen. Rowecki przesyła z Warszawy

2. Patrz: Robert E. Sherwood — „Roosevelt and Hopkins”, Harper and Brothers. New York 1948; Jan Ciechanowski — „Defeat in Victory”, Victor Gollancz Ltd., London 1948; Władysław Pobóg-Malinowski — „Najnowsza Historia Polityczna Polski”, Londyn 1960, tom trzeci.

3. W dalszym ciągu będę stale powoływał się na wspomniany we wstępie artykuł Leona Mitkiewicza: „Powstanie Warszawskie” (z mojego notatnika w Waszyngtonie) Nr 1-szy „Zeszytów Historycznych”, Paryż 1962. Dla uproszczenia określać go będę skrótem: „Notatnik”. Uważam za obowiązek podkreślić, że pamiętam o uwadze autora mówiącej o cytowaniu planów w skrócie.

do Sztabu Naczelnego Wodza plan zbrojnego powstania w Polsce. Planowano działania na obszarze Środkowej Polski, a mianowicie: wzdłuż biegu Wisły od Krakowa do Warszawy, z punktem ciężkości w rejonie Kielce-Częstochowa-Radom-Piotrków-Łódź. Powstanie może być wykonane tylko w momencie ostatecznego załamania się Niemiec. Jako nieodzowne warunki powodzenia i wykonania zbrojnego powstania, gen. Rowecki uważał: *a*) dostawy drogą powietrzną uzbrojenia lekkiego sprzętu i wyposażenia dla Armii Krajowej; *b*) natychmiastowe wsparcie powstania akcją powietrzną przez przerzucenie możliwie dużych sił lądowych polskich lub alianckich z Zachodu oraz zorganizowanie stałego zaopatrywania powstania z powietrza, niezbędnego do prowadzenia walki z Niemcami do czasu nadejścia bezpośrednio pomocy sił lądowych Alianckich. Wreszcie, określając możliwości samodzielnej walki A.K. na 14-21 dni, domagał się gen. Rowecki działań morskich sił Zachodnich Aliantów na Bałtyku z desantem w rejonie Gdynia-Gdańsk sił lądowych polskich z Anglii i Alianckich dla dania pomocy A.K. Porty Gdynia i Gdańsk stanowiłyby bazę zaopatrzenia. Wariantem działania od Bałtyku byłyby działania od południa przez Turcję i Włochy z bazami zaopatrzenia w Trieście i portach rumuńskich.

Plan gen. Roweckiego, decyzją gen. Sikorskiego został przyjęty za podstawę do studiów i prac przygotowawczych Sztabu Naczelnego Wodza w Londynie.

— 24 i 26 marca 1942 rozmowy Sikorski-Roosevelt w Waszyngtonie. Gen. Sikorski przedstawia swoje poglądy na strategiczne planowanie Aliantów (zgodnie ze swoim elaboratem przesłanym Churchillowi i datowanym 17. XI. 1942). Widzi tu Sikorski trzy możliwe kierunki działania Zachodnich Aliantów: północny — przez Hamburg na Berlin; zachodni — na Francję; i południowy — przez Bałkany lub Włochy na Austrię-Węgry. Za najwydatniejszy kierunek uznał Sikorski kierunek południowy, mimo cech ujemnych, a mianowicie: odległości od „serca Niemiec”, potrzeby wielkiego tonażu i złych warunków terenowych. Zachodni kierunek, przyszłą operację *Overlord*, uznał za „małowydajny”. Tym sposobem postawił się w opozycji do Marshalla, głównego militarnego doradcy prezydenta i promotora uderzenia przez Francję.

29 listopada 1942 - 13 stycznia 1943 r. — trzecia podróż Sikorskiego do Waszyngtonu. Rozmowy z Rooseveltem i Sumner Wellesem. Złożenie memoriału w Zjednoczonym Anglo-Amerykańskim Komitecie Szefów Sztabów (*Combined Chiefs of Staff Committee*) sugerującego bałkańską koncepcję działań.

14-27 stycznia 1943 r. — konferencja w Casablanca. Decyzja

zachodnich sojuszników uderzenia od zachodu: wyspy Brytyjskie-Francja. Brytyjskie sugestie działań od Bałkanów odrzucają zdecydowanie Amerykanie. Następne konferencje: „Trident” w Waszyngtonie (12-27 maja) i w Quebec (11-24 sierpnia 1943) zaprzeczają ostatecznie możliwości bałkańskie.

Polacy nie są wtajemniczeni w plany swoich sojuszników. Natomiast, przedstawiciele brytyjskiego sztabu „Imperialnego” (tzn. sztabu armii lądowej) podkreślają na konferencjach z Polakami, że nie potrzebują, nawet nie życzą sobie, ogólnego powstania w Polsce. W ich planach, Armia Krajowa ma ograniczyć swą działalność do wywiadu, sabotażu i dywersji. W tym zakresie obiecują Brytyjczycy dostarczyć pomocy materiałowej.

Nasze pokolenie weszło do Drugiej Wojny Światowej z tradycją walki pokoleń o odbudowę, względnie utrzymanie istnienia państwa. 1-go września 1939 roku stawka została podwyższona: zaczęła się walka nie o istnienie państwa, ale o istnienie narodu. Milionowe eksterminacje, milionowe deportacje. W porównaniu, cierpienia poprzednich pokoleń należy pisać w cudzysłowie. Cały wysiłek władz winien był być skierowany na oszczędzenie jedyne go i jedynie ważnego naszego bogactwa — żywych sił narodu.

Negatywny stosunek sojuszników do ewentualnego powstania w Polsce winien był być przyjęty przez polskie władze z westchnieniem ulgi: „Więc nie wymagają od nas tej ofiary całopalenia. Wystarczy krew przelewana przez nasze siły zbrojne na obczyźnie. Oszczędzajmy Kraj”.

Stało się inaczej. W pierwszych miesiącach 1943 roku, gen. Sikorski studiuje możliwości użycia Armii Krajowej w generalnym powstaniu zbrojnym. Studiuje, wbrew intencjom sojuszników, bez gwarancji ich pomocy. Studiuje, nie mając wglądu w plany prowadzenia całości wojny. Czołowy wariant swego planowania opiera na działaniu zachodnich aliantów przez Bałkany. O możliwościach pomocy od południa z kierunku Węgier lub Rumunii informuje dowódcę Armii Krajowej.

W tym czasie, nie znajdując oddźwięku u Anglików, decyduje gen. Sikorski szukać pomocy dla swoich politycznych i wojennych planów, w Białym Domu. Zagadnienie użycia całości Polskich Sił Zbrojnych (A.K. i wojsko polskie na obczyźnie) w decydujących działaniach w Europie — decyduje przesunąć ze szczybla sztabów brytyjskich, na szczybel *Combined Chiefs of Staff Committee*.

W wyniku tej decyzji, przedstawiciel polskiego naczelnego wodza w CCS, pułk. dypl. Leon Mitkiewicz (autor „Notatnika”) obejmuje swoją funkcję w Waszyngtonie, w marcu 1943 roku.

Dyrektywy, jakie przedstawiciel Naczelnego Wodza otrzymał

od niego osobiście, mówiły o powstaniu w Kraju, jako o akcji ustalonej przez władze polskie. Uzależniały je od zapewnienia poparcia militarnego i materiałowego i od ogólnych planów Zachodnich aliantów. W szczególności chodziło o wyjaśnienie, „czy decydująca ofensywa aliantów skierowana będzie od południa Europy, przez Bałkany i przez półwysep Apeniński, czy też nastąpi przez Kanał La Manche, przez zachodnie wybrzeże Francji”.

Wreszcie, określały dyrektywy, czas możliwie sprzyjający powstaniu w odniesieniu do przewidywanej klęski niemieckiej na wschodzie. Dogodny moment powstania widziały dyrektywy w okresie wycofania się Niemców do linii Bugu. Niemiecka obrona na linii Bugu, a zwłaszcza Wisły i Sanu, czyniła powstanie nie wykonalne z powodu koncentracji wojsk niemieckich na polskich terenach.

W okresie między kwietniem i czerwcem 1943 r. pułk. Mitkiewicz donosi gen. Sikorskiemu o wynikach swej pracy w Waszyngtonie. A więc: 1) prawdopodobny kierunek decydującego uderzenia nastąpi przez Francję; 2) w myśl porozumienia sojuszników sprawa powstania w Polsce leży w kompetencji brytyjskiej; 3) Brytyjczycy nie życzą sobie powstania z racji ZSSR, obawiając się zbrojnego wystąpienia powstańców przeciwko Rosjanom.

Mimo tych niepomysłnych meldunków i poprzednich pokrywających się z nimi informacji, zostaje złożony w dniu 2 lipca 1943 r. na plenum CCS memoriał w sprawie ogólnego powstania w Polsce. Złożył go w imieniu polskiego naczelnego wodza, jego przedstawiciel płk. dypl. Mitkiewicz.

Zastanawia upór, z jakim polskie władze starały się przeformować myśl powstania. Wbrew chęci sojuszników, wbrew możliwościom materiałowym, bez znajomości założeń sztabowych. Wreszcie, ośmielę się powiedzieć — wbrew interesom narodu.

Nie mając poparcia Brytyjczyków, zwracamy się o pomoc do Amerykanów. Dajemy tym świadectwo naszej zupełnej nieznamomości ich poglądów na sprawy wojny. Obecnie, po dwudziestu latach, nie jest to tajemnica. Dostyc już napisano na ten i podobne tematy.

Oto strategiczne poglądy czterech członków amerykańskiego *Joint Chiefs of Staff* (będących jednocześnie amerykańską stroną *Combined Chiefs of Staff*):

— admirał W. Leahy, szef sztabu Roosevelta i przewodniczący CCS posłuszny wykonawca woli prezydenta, który, z kolei, w dziedzinie strategii polegał całkowicie na zdaniu Marshalla;

— gen. G. C. Marshall, szef sztabu Armii, największa indywidualność i decydujący czynnik wśród amerykańskich szefów sztabów. Zwolennik zasady: najpierw Niemcy, potem Japonia.

Twórca „wielkiej strategii” amerykańskiej polegającej na skupionym uderzeniu z wysp brytyjskich na Francję, bez rozpraszania wysiłku na innych kierunkach.

— admirał E. King, naczelny dowódca i szef sztabu marynarki Stanów Zjedn., kierował cały wysiłek na wojnę na Pacyfiku z Japonią. Godził się z konieczności na działania od zachodu na Francję, jak na zło konieczne. Wszelkie inne działania europejskie traktował jako marnowanie wysiłku.

— gen H. H. Arnold, szef sztabu lotnictwa Armii, wygranie wojny widział w masowych bombardowaniach Niemiec. Użycie lotnictwa do innych celów traktował jako marnowanie sprzętu i możliwości. We wszelkich innych dziedzinach popierał gen. Marshalla, któremu służbowo podlegał. (Amerykańskie lotnictwo czasu 2-giej wojny nie było samodzielne. Podlegało mniej więcej w połowie Armii i Marynarce. Gen. Arnold zasiadał w Joint Chiefs of Staff i CCS dla zrównoważenia strony brytyjskiej która posiadała trzech niezależnych szefów sztabów.)

Wspominani przez autora „Notatnika” generałowie A. Wedemayer i Kroner nie wchodzili w skład komitetów i jako podlegający szefowi sztabu armii, nie mieli decydującego głosu.

Powyższe nie przeczy, oczywiście, że amerykańscy szefowie sztabów mogli osobiście mieć wiele sympatii dla Polski.

Jednak, jeżeli mógł być ktoś przeciwny „Balkan Adventures” i rozpraszaniu wysiłku przez popieranie powstania w Polsce, to właśnie amerykańscy szefowie sztabów. Wszelkie „Adventures” były im tak wrogie, że na konferencji w Quebec (11-24 sierpnia 1943) odrzucą wszelkie możliwości pomocniczych nawet działań bałkańskich. Argument brytyjski o użyciu sił i sprzętu desantowego przeciw Bałkanom w kilkumiesięcznym okresie oczekiwania na „D-day”, odeprą groźbą odesłania tych sił i sprzętu na Pacyfik.

W lipcu 1943 r., więc w czasie kiedy sprawa powstania znalazła się na forum CCS, sprawy wojny w krótkim zarysie wyglądały następująco:

— Majowa konferencja anglo-amerykańska „Trident” w Waszyngtonie ostatecznie zadecydowała o kierunku uderzenia przez Francję;

— siły anglo-amerykańskie, po zajęciu Afryki północnej, szykują się do zaatakowania Sycylii (początek 10 lipca);

— 20 kwietnia nastąpiło zerwanie stosunków dyplomatycznych między rządem rosyjskim i polskim w związku ze sprawą Katynia;

— Rosjanie w przygotowaniu do ofensywy (12. lipca początek ofensywy frontów Zachodniego i Briańskiego, 15 lipca — frontu Centralnego);

— wreszcie, równo pół roku przed złożeniem memoriału, 2 lutego, nastąpiła ostateczna kapitulacja niemieckiej armii w Stalingradzie.

Co przedstawiał sobą memoriał z 2 lipca?

Wiemy z „Notatnika”, że podstawą planów naczelnego wodza było opracowanie przesłane do Londynu przez dowódcę A.K. gen. Roweckiego, we wrześniu 1941 r. W warunkach konspiracji, przy skąpych wiadomościach o możliwościach sojuszników, sztab A.K. musiał w swojej pracy popełniać błędy i fałszywe oceny.

Słuszne było, że Gen. Sikorski zarządził przepracowanie planu przez III (operacyjny) oddział swojego sztabu. Tutaj warunki były całkowicie odmienne. Polskie Siły Zbrojne na obczyźnie były oddane do operacyjnej dyspozycji Brytyjczyków. Sztab naczelnego wodza, pozbawiony trosk „dnia dzisiejszego”, mógł w spokoju opracowywać plany na dalszą metę. Dysponował, lub winien był dysponować, wszelkimi niezbędnymi danymi ze źródeł brytyjskich. W jego dyspozycji były bogata wiedza i doświadczenie polskich lotników, marynarzy i spadochroniarzy. Plany krajowe, po przejściu przez londyński filter, nie mogły mieć braków pod względem wojskowym.

Nie będę omawiał całego memoriału znanego czytelnikom z obszernego skrótu podanego w „Notatniku”. Pragnę omówić kilka z jego założeń.

Plan przewiduje dwa okresy w odniesieniu do użycia A.K. W okresie pierwszym od 1 września 1943 do 1 maja 1944 r., ma być A.K. zaopatrzona w 750 ton materiału, co wymagałoby 500 lotów.

Zadanie dla alianckich dywizjonów „do zadań specjalnych” bardzo poważne, jeżeli w ogóle wykonalne. Jest faktem, że takich dywizjonów posiadali alianci na terenie Europy tylko kilka. Wyjątkowo trudne warunki pracy przeszkadzały w szybkiej rozbudowie. Z zasady załogi były formowane z personelu mającego za sobą kolejkę lub parę lotów operacyjnych. Wśród operacji wykonywanych przez te dywizjony, loty do Polski należały do najtrudniejszych. W omawianym okresie lotniska rejonu Foggia należały, jeszcze, do dalekiej przyszłości. Lotów dokonywano z lotnisk brytyjskich. Odległość do centralnej Polski (rejon Warszawy) wynosiła około 1000 mil, co było na granicy promienia działania używanych samolotów. Ograniczała ona do minimum możliwości zmian trasy przy spotkaniu lokalnych złych warunków atmosferycznych, lub nieprzyjacielskiej opl. Taka ewentualność groziła wyczerpaniem materiałów pędnych. W okresie zimy dochodziła możliwość oblodzenia. Nawigacja musiała być o tyle precyzyjną by po przelecień tysiąca mil, samolot znalazł się nad

zrzutowiskiem oznaczonym paroma słabymi światłami. Z tych paru zdań wynika, że zadanie dokonania pięciuset podobnych lotów w ciągu 243 dni okresu zimowego było bardzo ciężkie.

Inną, że tak powiem odwrotną trudność stanowiły zadania A.K. związane z tymi zrzutami. Wiemy jakie trudności piętrzyły się przed Podziemiem w obliczu przyjęcia każdego zrzutu. Trzeba było znaleźć odpowiedni teren nadający się technicznie i nie zagrożony przez Niemców. Trzeba było go ubezpieczyć. Przyjmująca ekipa musiała być na miejscu. Przyjęte zasobniki musiały być zebrane, wyładowane i zabrane ze zrzutowiska. Do rana otrzymany materiał musiał być rozprowadzony w terenie i ukryty. Podobne zadanie przy codziennej (raczej nocnej) przeciętnej trzech ton w przeciągu 243 dni, zdaje się przekraczać możliwości Kraju. A, jak wynika z memoriału, owe pięćset lotów miały być wykonane niezależnie od lotów z uzbrojeniem dla 50 batalionów piechoty.

W okresie drugim (właściwego powstania) przewidywał polski sztab: „codzienne loty w okresie 20 dni od rozpoczęcia zbrojnego powstania w Polsce z dostawami zaopatrzenia w wysokości 600 ton dziennie”.

Przyjmijmy, że przy zbliżeniu się frontu do Polski, trasa przelotu uległa skróceniu, a tonaż zwiększeniu. Ze samoloty mogły podjąć nie jak w pierwszym okresie: półtorej, ale dwie tony. Ilość samolotów użyta dziennie wyniesie 300. Kalkulowana ilość samolotów potrzebna do przeprowadzenia całej operacji przeniesie pięćset samolotów.

W czasie składania memoriału upłynęło pół roku od kapitulacji Stalingradu. Sztaby alianckie (w szczególności sztab polski posiadający wiadomości z kraju), musiały już znać powody kapitulacji niemieckiej 6-tej armii. W szczególności winny były znać niepowodzenie jakie spotkało niemieckie próby zaopatrywania Stalingradu z powietrza. Oto cyfry:

Niemiecki sztab generalny ustalił minimum dziennego zaopatrzenia Stalingradu na 300 ton dziennie. Von Paulus, dowódca obrony, podniósł tę cyfrę do 500 ton. Ilość potrzebnych samolotów ustalono na 200 dziennie, skoncentrowano około 400 samolotów transportowych na dwóch węzłach lotnisk-bazach (Morozowska i Tażińska). Lotniska wewnątrz obrony, dla przyjęcia dostaw, były cztery, mianowicie: Pitomnik, Bassargino, Gusrak i Gorodiszcze. Przelot wynosił 120, względnie 150 mil. Rezultat: mimo poświęcenia załóg, nigdy nie osiągnięto ustalonej cyfry 200 samolotów dziennie. Maksymalna wyniosła 154 samoloty z ładunkiem 289 ton. Między 22 listopada i 16 stycznia zdo-

łano dostarczyć załodze Stalingradu 5.300 ton zaopatrzenia, co wyniosło średnią: 100 ton dziennie.

Wniosek: w okresie drugiej wojny światowej nie można było liczyć na masowe i wyłączone zaopatrywanie z powietrza. Podobne doświadczenie wynieśli Brytyjczycy z próby zaopatrywania swojej I-ej dywizji spadochronowej w operacji pod Arnheim.

Plan przewidywał przesunięcie do Kraju całości polskiego lotnictwa w Anglii w pierwszych dwudziestu dniach powstania.

Pytanie: w jakim celu?

Na dzień 2 lipca 1943 r. (dzień złożenia memoriału) stan polskiego lotnictwa pracującego w ramach RAF przedstawiał się następująco: 7 dywizjonów myśliwskich, 1 d. myśliwski nocny, 2 d. myśliwsko-rozpoznawcze, 2 d. bombowe, 1 d. (eskadra) do zadań specjalnych. Razem: dywizjonów 14.

Dywizjony bombowe wchodziły w skład lotnictwa strategicznego i do zadań taktycznych z wojskami ani sprzętem, ani wyszkoleniem nie nadawały się. Również, dla dywizjonu obrony wybrzeży zadań w krajowym powstaniu nie było. Dywizjon do zadań specjalnych musiał pozostać w bazie z której przerzucał materiał, czy ludzi do kraju.

Pozostawały dwa dywizjony myśliwsko-rozpoznawcze i siedem dywizjonów myśliwskich. Wydajność ich musiałaby znacznie spaść przy przeniesieniu ich na prowizoryczne, albo poniemieckie (z reguły zniszczone przez opuszczających je Niemców) lotniska. Lotnictwo polskie przy RAF nie było zdolne do samodzielnego istnienia. Egzystencja dywizjonów była oparta na brytyjskich urządzeniach naziemnych. Od warsztatów naprawczych i baz zaopatrzenia po łączność i radar. Polskie jednostki służby lotnictwa były nieliczne, a większość specjalności była reprezentowana przez nieliczne grupy specjalistów stanowiących kadre przyszłych związków. Polskie lotnictwo z Anglii nie było zdolne do samodzielnego życia. Czy nasze władze planowały przesunięcie do Polski brytyjskiego personelu?

Dla przesunięcia do Polski lotnictwa i brygady spadochronowej potrzebne środki określono na $360 + 360 = 720$ samolotów. Trzeba stwierdzić, że (jakiegokolwiek były tego przyczyny) na europejskim teatrze wojny alianci zachodni nie byli w stanie przeznaczyć do, bądź co bądź drugorzędnego działania, takiej ilości transportowych samolotów. W następnym, 1944 roku, jednym z głównych powodów niepowodzenia desantowej operacji pod Arnheim, była konieczność zrzućenia desantu w dwu rzutach wywołana brakiem transportowych samolotów. Cyfra transportowców użytych do operacji wynosiła około tysiąca. Jednocześnie, wysunięta najbardziej wprzód 3-cia armia gen. Pattona, musiała

opóźnić swoje posuwanie z braku materiałów pędnych. Powód? Naczelnym dowódcą aliancki gen. Eisenhower, po skoncentrowaniu swoich sił transportowych do operacji Arnheim, nie dysponował stu samolotami Dakota niezbędnymi Pattonowi. Według obecnych opinii kosztowało to Eisenhowera okazję decydującego przzerwania niemieckiego frontu zachodniego. Sto Dakot!

Tyle o lotniczych założeniach planu.

Przechodzę do jego założeń operacyjnych.

U podstawy planu leży próba zniekształcenia rzeczywistości wojennej. Polacy chcą polegać na zachodnich aliantach i chcą ich widzieć na polskich terenach. Polacy nie wierzą Sowiетom i nie zamierzają pomagać im we wkroczeniu na polskie tereny. Geograficzne położenie Polski jest takie, że walki na jej terenie zagrażają tyłom niemieckich armij na wschodzie. Natomiast, trudno jest podważyć opinię szefa sztabu Eisenhowera, gen. W. Bedell Smith, że: „działania operacyjne na froncie Zachodnich Aliantów (we Francji) są tak odległe od Polski, że przerwanie komunikacji na terenie Polski nie wpłynie na ich przebieg”.

Stąd, wojskowo mało przekonujący wysiłek przekonania Zachodu o jego bezpośredniej korzyści z polskiego powstania i próby sztucznego wiązania dwu niezależnych operacji. Ponieważ, jak to zobaczymy poniżej, idący od zachodu alianci musieliby przejść całe Niemcy żeby stworzyć pomyślne warunki powstania — powraca się uparcie do zarzuconej koncepcji bałkańskiej.

W myśl planu: „morskie lub lądowe drogi zaopatrywania będą otwarte dla dostaw sprzętu przez Zachodnich Aliantów, nie później, niż w 20 dniu działań powstańczych Armii Krajowej...”. Mówiąc inaczej — w 20 dniu powstania winni Alianci Zachodni nawiązywać styczność z Armią Krajową.

Powstanie nie może nastąpić wcześniej niż w czasie kiedy Alianci będą na podstawach wyjściowych do ofensywy. Podstawy winny być w takiej odległości od terenów objętych powstaniem by była pewność że ofensywa aliancka dojdzie w dwadzieścia dni do tych terenów.

Raczej będzie optymizmem twierdzenie, że ofensywy II-ej Wojny Światowej, na terenach europejskich, osiągały przeciętną dzienną szybkość dziesięciu mil. 20 dni ofensywy daje 200 mil. Cyfra jest zgodną z przeciętną głębokością ofensyw tamtej wojny. Możemy, więc, przyjąć ją jako kalkulacyjną.

Zatoczmy na mapie łuk o promieniu 200 mil z Kielc, jako punktu mniej więcej środkowego dla rejonu skupienia A.K. Przekonamy się, że łuk ten przebiega: przez: Nakło — zach. Poznań — wsch. Głogowa — wsch. Kamiennej Góry — wsch. Parubiec — zach. Ołomuńca — wsch. Brna — pdn.wsch. Bratysława

wy — płn. Miskolca — Tokaj — Mukaczewo. Upraszczając zadanie czytelnika, ujmę to następująco: w wypadku działań od zachodu (jak miało miejsce w rzeczywistości): podstawy wyjściowe do ofensywy musiałyby leżeć na wschód od Odry; w wypadku działań od południowego zachodu i południa: w północnych Czechach i środkowej i północnej Słowacji.

W pierwszym wypadku zachodni alianci osiągnęliby tę linię po zajęciu Niemiec, czyli po wojnie i pomoc A.K. byłaby zbędna. W drugim, na drodze aliantów stałaby duża przeszkoda terenu — Karpaty. Powstanie na zapleczu niemieckiej armii broniącej Karpat byłoby wielką pomocą dla aliantów. Trzeba jednak pamiętać, że forsowanie Karpat opóźniłoby posuwanie armii alianckich i ich pomoc dla powstania mogłaby być spóźniona. Rozpoczęcie powstania po sforsowaniu Karpat przez aliantów, pozabawiałoby te powstanie operacyjnego znaczenia. Z drugiej strony, przy niemieckim oporze na linii, czy na północ od linii Karpat, centralna Polska będzie „zapełniona jednostkami wojska niemieckiego”, w myśl postulatów sztabu naczelnego wodza — wykonanie powstania stawało się niemożliwe.

Polska myśl strategiczna zeszała na manowce. Zeszała na nie bo zagadnienie czysto politycznej natury chciała rozstrzygać zbrojnym działaniem. Przyszłość Polski zależała od decyzji politycznych, a nie militarnych. Jak długo Zachód pozostawiał Rosji wolną rękę w środkowej i wschodniej Europie, na akcję zbrojną w Kraju szkoda było każdego życia.

Combined Chiefs of Staff odniosły się negatywnie do planów polskiego sztabu. W odpowiedzi na memoriał płk. Mitkiewicza, przesłano pisma z dn. 23. 9. 1943 i 20. 1. 1944 r. oraz udzielono szeregu ustnych wyjaśnień. Odmowa poparcia powstania przez CCS oznaczała łączną opinię Amerykanów i Brytyjczyków. Istotne motywy odmowy sprowadzają się do trzech punktów:

- sprawa jest rzędu politycznego, a nie wojskowego;
- Rosja „zdecydowanie nie życzy sobie żadnej obcej siły zbrojnej, oprócz swojej własnej, na swoich zachodnich granicach”;
- Wielka Brytania i Stany Zjednoczone nie biorą na siebie żadnej odpowiedzialności za przygotowanie do powstania zbrojnego Armii Krajowej i za przyszłe jej działania.

Sprawa była jasna i dostatecznie naświetlona. W obliczu decyzji politycznych Stanów Zjedn., Brytanii i Rosji przyszłość Polski zależała od działań politycznych a nie militarnych. Owe ćwierć miliona A.K., nawet uzbrojone po zęby w „lekkie uzbrojenie piechoty, lekkie moździerze i specjalną lekką broń przeciwpancerną” nie było zdolne odwrócić nadchodzących wypadków.

Przeciwnie, należało myśleć o oszczędzaniu tego ćwierć miliona, jako potencjału moralnych sił narodu.

Nawiasowo, w końcowym rezultacie, sprawa „miękkiego podbrusza” również straciła na znaczeniu. Wiadomo, że gen. Eisenhower nie zajął Berlina przed Rosjanami bo „nie uważał tego za wojskowo celowe”. Gen. Patton stanął przed czeską Pragę, czekając na zajęcie jej przez Sowiety... bo taki miał rozkaz. Możemy przypuszczać że alianckie armie maszerujące przez Bałkany także otrzymałyby rozkaz zatrzymania się w odpowiednim czasie i miejscu dla celów politycznych.

Mimo takiego i tak wyraźnego położenia sprawy polskiej, polskie władze naczelne dalej planują powstanie i w tym duchu nastawiają Kraj.

12 czerwca 1944 r. staje przed CCS przedstawiciel Armii Krajowej gen. Tabor (Tatar). Referuje sytuację Armii Krajowej. Żąda 1300 lotów dla dozbrojenia oddziałów. Mówi o przyszłym powstaniu jak o sprawie uzgodnionej.

Wypadki toczyły się dalej drogą moszczoną starannie przez nas samych od 1941 roku. Dotoczyły się do szczytowego punktu tragedii, do Warszawskiego Powstania. Jest paradoksem, że osiągnęliśmy go dzięki odrzuceniu wszelkich podstawowych założeń uznanych przez nas za nieodzowne.

Tadeusz NOWACKI

Główne źródła: W. S. Churchill: *The Second World War*, Cassell, tom IV (1951) i tom VI (1954); A. Bryant: *The Turn of the Tide*, Collins, 1957; R. Sherwood: *Roosevelt and Hopkins*, Harper, 1948; K. Bartz: *Swastika in the Air*, Kimber, 1956; J. F. Byrnes: *Speaking Frankly*; Heinemann; „destiny can wait”, Heinemann, 1949; J. R. Deane: *Strange Alliance*, Viking Press, 1947; J. Tickell: *Moon Squadron*, Wingate 1956; S. Sosabowski: *Najkrótszą Drogą*, Londyn 1957; J. Slessor: *The Central Blue*, Cassell 1956; B. Arct: *Samoloty Świata*, MON. 1959; B. Arct: *W Podniebnej Chwale*, MON. 1958; H. H. Arnold: *Global Mission*, Hutchinson, 1951; E. J. King: *Fleet Admiral King*, Eyre and Spottiswood, 1953; D. D. Eisenhower: *Crusade in Europe*, Heinemann, 1949, Butcher H. C.: *Three Years with Eisenhower*, Heinemann, 1946; „Royal Air Force 1939-1945”, H.M.S.O. 1954; R. S. Allen: *Lucky Forward*, Vanguard, 1947; Ch. Wilmot: *The Struggle for Europe*, Collins, 1952; E. J. Kingston McCloughry: *The Direction of War*, Cape, 1955; W. D. Leahy: *I Was There*, Gollancz, 1950.

KONFERENCJA TEHERAŃSKA

Jesień roku 1943 była w Teheranie wyjątkowo piękna. Był już 26 listopada, zbliżał się grudzień, a w ogrodzie attachatu na Kucze Sabba złociły się jeszcze chryzantemy i przekwitały ostatnie róże.

Kiedy wyszedłem tego popołudnia przed willę attachatu — uliczka nasza była pełna słońca. Zdawało się, że dzień się zapowiada, jak każdy inny — trzeba odwiedzić poselstwo, zajrzeć do komendy placu, spotkać kogoś z kolegów-attachés wojskowych... Tymczasem szofer mój, kapral Gintowt, wspaniały wileńczyk, zaskoczył mnie przyciszoną i zaniepokojoną uwagą: „Coś panie pułkowniku niedobrze, tak jakbyśmy byli obstawieni, na rogu naszej ulicy i Szach Reza stało dwóch, którzy mnie bardzo oglądali, teraz znów na dole widzę dwóch, tak jakby NKWD, takie typy jak w Kujbyszewie...”. Byliśmy razem w Kujbyszewie, gdzie oczywiście attachat polski był pilnie obserwowany przez „tajniaków” niezależnie od oficjalnego milicjanta przy bramie. Wielokrotnie przy wyjazdach na miasto byliśmy tropieni przez samochody NKWD, które Gintowt umiał przebiegle „gubić”. Toteż obserwacje jego zastanowiły mnie. W roku 1943 placówki dyplomatyczne polskie korzystały jeszcze z pełni praw, osobiście do tchórzliwych nie należałem i niejedno już się miało za sobą, więc i domniemane „obstawienie” nie zrobiło na mnie wrażenia. Ale być może attachat jest naprawdę obserwowany, a w takim razie dlaczego?

Attachat nasz w Teheranie znajdował się w niewielkiej odległości od ambasady ZSSR i zazwyczaj wypadało mi, udając się do centrum miasta, przejeżdżać obok niej. Tym razem kazałem skręcić w stronę przeciwną, do alei Pahlewi. Na rogu mojej ulicz-

ki Kucze Sabba stały rzeczywiście dwie charakterystyczne postacie enkawudzistów: mongolskie twarze, ponury, szpiegujący wzrok, ubrania wyraźnie „kazienne”. Na rogu alei Pahlewi — to samo, dalej na Naderi również. Wszędzie, na każdym rogu uliczek, prowadzących w stronę ambasady sowieckiej, wszędzie ci sami, jakby ze sztancy wyciśnięci „cywile” NKWD. A więc to „coś” Gintowta niewątpliwie istnieje. Wpadłem do komendy placu z poleceniem ostrożności, potem do poselstwa. Posła R.P. ministra Karola Badera nie było, bawił na urlopie w Kairze, więc udałem się do konsula Okońskiego. Jak się okazało w poselstwie naszym już wiadano o co chodzi: poseł brytyjski Bullard osobiście był przed południem w poselstwie, aby w największej tajemnicy prosić o zawieszenie na parę dni czynności naszej radiostacji, gdyż do Teheranu przybywają na konferencję Churchill, Roosevelt i Stalin.



Idea konferencji alianckiej na terenie Iranu nie była nową. Już w pierwszych dniach października, przed konferencją trzech ministrów Spraw Zagranicznych w Moskwie, meldowałem do Londynu pogłoski, że na moim terenie czynione są przygotowania dla „jakiejs” konferencji w Ramsar, miejscowości letniskowej nad morzem Kaspijskim, dokąd wyjeżdżał w tym celu szef protokołu perskiego MSZ. Mówiono wówczas, że to tam właśnie mają się spotkać ministrowie Spraw Zagranicznych Anglii, Stanów Zjednoczonych i Rosji. W tygodniu poprzedzającym wyjazd „wielkiej trójki” nastąpiły dalsze wypadki, które w kołach dyplomatycznych Teheranu pozwalały domyślać się jakichś doniosłych wydarzeń. Poseł USA Dreyfus przerwał swą podróż do Ameryki na urlop i wrócił z Kairu. Kilku urzędników poselstwa brytyjskiego odwołano z urlopu. Równocześnie czynione były pewne przygotowania, jak gdyby do konferencji i w innych miastach Bliskiego Wschodu, pozorne, jak się okazało, w Kairze i Jerozolimie, gdzie na przykład zarządzono opróżnienie na 1. XII. dwóch największych hoteli: „King David” i „Eden”.

Przyjazd Stalina rankiem 26. XI. 1943 do Teheranu był tak zakonspirowany, że nawet rząd Iranu został o tym zawiadomiony dopiero wówczas, gdy Stalin znajdował się już za murami ambasady sowieckiej, strzeżonej przez silne posterunki wojskowe. Dopiero o godz. 17-ej minister Spraw Zagranicznych Iranu Saed otrzymał od chargé d'affaires sowieckiego Maksimowa list następującej treści: „Panie Ministrze, Mam zaszczyt poinformować Pana, że dziś dnia 26 listopada marszałek ZSSR Józef Wissario-

nowicz Stalin, prezes Rady Komisarzy Ludowych ZSSR i Komisarz Spraw Zagranicznych Wiaczesław Michajłowicz Mołotow przybyli do Teheranu. Zgodnie z poleceniem W. M. Mołotowa mam zaszczyt w imieniu Marszałka Związku Sowieckiego J. W. Stalina złożyć zapewnienia najlepszych uczuć Marszałka dla Jego Cesarskiej Mości Szachinszacha Iranu”.

Mimo środków ostrożności dla zachowania tajemnicy, miasto już na drugi dzień wiedziało o sensacyjnej wizycie i oczekiwanym przybyciu pozostałych z „wielkiej trójki”. Przed poselstwem brytyjskim, wzdłuż alei od lotniska do poselstwa amerykańskiego, stały od rana 27. XI. tłumy w oczekiwaniu wysokich gości. Sklepy zaczęły przybierać odświętny wygląd wystawiając wśród kwiatów portrety „wielkiej trójki” i szacha, a jakiś jubiler zdążył nawet wystawić w swym oknie srebrne papierońnice z portretem Stalina. O godz. 15.20 przybyli wspólnie samolotem Churchill i Roosevelt. Konwoje z ich limuzynami otwierały i zamykały samochody z wojskiem i motocykliści. Wzdłuż ulic, którymi jechał Roosevelt, stały posterunki wojskowe amerykańskie. Ruch na ulicach został wstrzymany. Starania o bezpieczeństwo i zachowanie tajemnicy były bardzo daleko idące. Urzędnicy poselstwa brytyjskiego i amerykańskiego nie wiedzili nawet początkowo kto przybył z wielkimi mężami stanu, a nawet do wieczora utrzymywała się pogłoska, że zamiast Roosevelta przybył Wallace.

Przed wieczorem tegoż dnia Mołotow złożył wizyty premierowi Soheili i ministrowi Spraw Zagranicznych Saedowi.

Ambasada sowiecka i poselstwo angielskie, które sąsiadowały, były usytuowane w ten sposób, że południowo-wschodni narożnik murów ambasady był naprzeciw północno-zachodniego rogu ogrodów poselstwa angielskiego. Przedzielała je ruchliwa ulica. W miejscu tym stanęły pod wieczór 27. XI. angielskie samochody pancerne, zamykając ulicę dla jakiegokolwiek ruchu, a nazajutrz zbudowano tutaj dwie ogromne zasłony-przepierzenia z wojskowych płacht brezentowych, które stworzyły korytarz, łączący obydwie poselstwa dla komunikacji, niedostępnej dla obserwacji z zewnątrz. Przez to przejście już w godzinach rannych dn. 28. XI. udał się Churchill do ambasady sowieckiej i spacerował ze Stalinem w parku w towarzystwie tłumacza. Stalinowi asystowali wyżsi oficerowie sowieccy¹. W południe Churchill odbył rozmowę z Hopkinsem, lecz wskutek jakiegoś niedomagania nie wziął udziału w śniadaniu u posła angielskiego Bullarda. Na śniadaniu byli Eden, Hopkins, Sara Churchill, gen. Dill i gen.

1. Obserwował to ze swego mieszkania mój zastępca, por. Guttry.

Ismay. O godz. 5.45 odbyło się w poselstwie angielskim uroczyste wręczenie Stalinowi „Miecza Stalingradu”².

Tegoż dnia zaszedł fakt, który dziś wydawałby się wręcz nieprawdopodobny, a który dla historyka może być psychologicznym kluczem do zrozumienia atmosfery w jakiej zapadały decyzje teherańskie. Oto Roosevelt przenosi się z rezydencji poselstwa amerykańskiego, położonego zresztą na krańcu miasta, do... ambasady sowieckiej, jako gość Stalina, co stworzyło później szereg protokolarnych nonsensów. Stało się to na skutek inspiracji sowieckiej jakoby agenci niemieccy przygotowali na Roosevelta zamach³. W ambasadzie ZSSR Roosevelt został pomieszczony wraz z otoczeniem w głównym gmachu pod ochroną straży sowieckich. O godz. 17-ej przybył do niego Churchill na dłuższą rozmowę.

W tym czasie Stalin udał się do Klubu Armii Czerwonej, gdzie wygłosił przemówienie do żołnierzy sowieckiego garnizonu⁴. Wieczorem w ambasadzie sowieckiej Stalin wydał oficjalny obiad dla obu aliantów i ich otoczenia. Po powrocie do siebie Churchill, mimo choroby, pracował z Edenem do godz. 2.30 nad ranem. Konferencja się rozpoczęła.

Nic nie wskazywało jeszcze w tym listopadzie 1943, że rezultaty jej będą dla Polski tak tragiczne. Byliśmy w pełni aktywności zarówno wojskowej, jak i politycznej i mimo niewątpliwej utraty dawnego znaczenia po tragicznej śmierci gen. Sikorskiego, byliśmy nadal, równi wśród aliantów. Niedługo przed konferencją teherańską, dn. 17. XI. z okazji przejazdu przez Teheran do Moskwy Edena i Cordell Hulla, premier Iranu Soheili wydał

2. Dla uwypuklenia mych ówczesnych obserwacji i wiadomości — podaję parę ustępów ze wspomnień Elliota Roosevelta „Mon père m'a dit” (w wyd. franc. Flammarion):

„Churchill miał wręczyć Stalinowi w imieniu swego króla miecz honorowy, jako hołd dla bohaterów niezwykłego miasta Stalingradu... Kiedy wszedłem z moim ojcem, Stalin i Churchill byli już na miejscu. Orkiestra zaintonowała najpierw hymn sowiecki, potem narodowy hymn angielski... Premier angielski przemówił: „Mam polecenie Jego Królewskiej Mości Króla Jerzego VI wręczyć panu tę szpadę honorową... Jej klinga zawiera napis: „Dla mieszkańców Stalingradu o sercu ze stali — dar króla Jerzego VI jako świadectwo podziwu narodu angielskiego”. Młody oficer angielski podał miecz Churchillowi, który go wręczył sowieckiemu marszałkowi... ten zaś wzięwszy miecz, przez chwilę trzymał go przed sobą, potem podniósł do ust, aby ucałować jego rękojeść (str. 216).

3. Dowiedziałem się (po przybyciu do Teheranu) że ojciec mój rezyduje w ambasadzie sowieckiej, po czym przekonałem się, że miał do tego słuszne powody... Poselstwo U.S.A. było zbyt odległe tak od ambasady brytyjskiej, jak i sowieckiej, które natomiast przedzielała tylko ulica... Kontrwywiad sowiecki powiadomił nas że aresztowano kilku osobników, podejrzanych o przygotowanie zamachu na życie „Wielkiej Trójki”... (op. cit. str. 208).

4. Każde z wielkich mocarstw posiadało swój garnizon w Teheranie.

obiad, podczas którego miałem okazję do rozmowy z gen. Ismay, szefem gabinetu wojskowego Churchilla. W rozmowie tej gen. Ismay z niezwykłą serdecznością mówił o ostatnim swoim spotkaniu z prezydentem Raczkiewiczem i gen. Sosnkowskim, podkreślał zrozumienie naszych postulatów wobec Rosji i zapewniał, że pamięć o gen. Sikorskim jest rękojmią obrony naszych interesów przez Anglików. W tej zresztą płaszczyźnie rozwijała się moja dotychczasowa współpraca a Anglikami, szczególnie z attaché brytyjskim, gen. Fraserem, który otaczał mnie przez cały czas pobytu w Teheranie przyjacielską opieką. Toteż i rozmowy nasze w czasie pobytu „wielkiej trójki” były częste i pełne wzajemnego zrozumienia. Ja nie starałem się usłyszeć więcej, niżby on chciał sam mi powiedzieć, on zaś starał się dać mi pojęcie w ogólnych zarysach o tym, co się dzieje za tą „kurtyną z płacht namiotowych”, ograniczając się jednak do informacji protokólnych, a nie do treści debat konferencji. Zresztą, jak przypuszczam, sam nie był dokładnie zorientowany, gdyż środki ostrożności pod tym względem były posunięte tak daleko, że na przykład attaché wojskowy amerykański płk. Backer przez pierwsze dni pobytu Roosevelta miał utrudniony wstęp do poselstwa. Nie od razu również dowiedzieliśmy się kto przybył z wielkimi mężami stanu, jako skład ich delegacji. Sekretarki i urzędniczki, mające kontakt z konferencją chodziły stale w asyście agenta bezpieczeństwa i mieszały w gmachu poselstwa brytyjskiego i ambasady sowieckiej, bez żadnej styczności ze światem zewnętrznym. Najwięcej wiadomości dostarczał nam obrotny i ustosunkowany korespondent Reutera, Herman, Polak, szczerze oddany naszej sprawie. Bardzo uprzejmy dla mnie był również tłumacz Churchilla, kpt. Kay, z pochodzenia Gruzin⁵, doskonale władający językiem rosyjskim. Wreszcie moje przyjaźnie irańskie otwierały duże możliwości informacyjne. Udało mi się widzieć ministra Saeda, byłem w kontakcie z marszałkiem Jazdan Panah⁶, odwiedzałem szefa sztabu gen. Arfa, wreszcie w klubie angielskim, popijając whisky, obszernie komentowaliśmy sensacyjny zjazd teherański. Najbardziej ruchliwy był attaché belgijski płk. Dothé, który przy tym mieszkał obok słynnego przejścia między poselstwami. Były to jednak wiadomości nie o zapadających decyzjach, lecz składające się niejako na film protokólny konferencji. A więc: 30. XI. o godz. 11-ej Szach Iranu, Mohamed Reza Pahlewi, złożył wizytę prezydentowi Rooseveltowi... w ambasadzie ZSSR. Rozmowa młodego monarchy z Rooseveltem odbywała się w obec-

5. Który zmienił nazwisko.

6. Bardzo wpływowy, niejako opiekun młodego Szacha.

ności posła USA Dreyfusa, premiera Soheili, ministra spraw zagranicznych Saeda i ministra dworu Ala. Po tej wizycie na tak nieodpowiednim terenie, Szach Iranu, w konsekwencji paradoksalnej sytuacji protokólarnej, przeszedł do innego salonu ambasady sowieckiej i o godz. 11.40 udzielił audiencji Churchillowi. Obie rozmowy dotyczyły tak zwanej „Deklaracji Irańskiej”, ogłoszonej uroczyście nazajutrz, a gwarantującej niepodległość i integralność Iranu. Dla uzupełnienia obrazu bytności Szacha na terenie ambasady ZSSR należy dodać, że Szach ani nie złożył wizyty Stalinowi, ani go nie przyjął tak, jak Churchilla. Dopiero 1. XII. o godz. 10-ej Stalin w towarzystwie Mołotowa i chargé d'affaires Maksimowa udał się z wizytą do pałacu Szacha. Podczas przejazdu ulice były zamknięte i gęsto obstawione sowieckim wojskiem. Po południu rewizytowali Stalina w imieniu Szacha premier Soheili i minister Saed.

30. XI. był uroczyście obchodzony dzień urodzin Churchilla na przyjęciu w poselstwie brytyjskim. Stalin, w doskonałym humorze, trącał się kieliszkiem z Anglikami i Amerykanami. Był to dzień ostatecznych ustaleń politycznych przez „wielką trójkę” i, jak dziś to wiemy, Stalin miał z czego być zadowolony. Nazajutrz w południe Churchill przyjął w obrębie poselstwa brytyjskiego rewię garnizonu angielskiego, po czym wygłosił przemówienie, które zakończył słowami: „Mam nadzieję, że decyzje, któreśmy tu powzięli dopomogą do zakończenia wojny i umożliwią szybki powrót do waszych domów na wschodzie i zachodzie”.

2. XII. o świcie Stalin odleciał jako pierwszy z lotniska sowieckiego pod Teheranem, a potem Churchill i Roosevelt z lotniska Mehrabad do Kairu. Sztaby wojskowe, towarzyszące „wielkiej trójce” opuściły Teheran wcześniej.

Tak się kończy „film” z przebiegu konferencji teherańskiej. Według oświadczeń ze źródeł anglosaskich, w zasadniczych rozmowach brali udział tylko „trzej wielcy” z tłumaczami i rzadko Mołotow i Eden. Tajemnica powziętych decyzji była starannie strzeżona.

Domyślaliśmy się, że głównym celem spotkania „wielkiej trójki” jest zagadnienie drugiego frontu, którego Stalin coraz natrętywiej się domagał już od dłuższego czasu. Prasa sowiecka insynuowała zupełnie wyraźnie, że zachodni alianci celowo opóźniają kontrofensywę przeciw Hitlerowi, a nawet przemycano pogłoski o próbach rozmów z Niemcami o odrębnym pokoju. Anglosasi ze swej strony podejrzewali o to samo Stalina. Obopólne wyjaśnienia stawały się konieczne. Następną sprawą mogło być przystąpienie do paktu antyhitlerowskiego Turcji. Od mego kolegi z Ankary, płk. Zimnala, z którym regularnie wymienialiśmy nasze

wiadomości wiedziałem, że są czynione naciski w tym kierunku przez Anglików na rząd turecki, przy czym wiązały się z tym nadzieje na możliwość inwazji alianckiej przez Dardanele na Bałkany⁷ przy cichym poparciu Rumunii. Idea tej inwazji była od dawna inspirowana przez gen. Sikorskiego Churchillowi w rozmowach o użyciu naszej armii na kontynencie. Turcja jednak bardzo nieufnie przyjmowała angielskie sugestie, zaślaniając się obawami co do zachowania się Rosji na jej pograniczu kaukaskim. Rządy sowieckie w okupowanym perskim Azerbajdżanie były zbyt aktualnym poparciem tych obaw.

Co do Polski — oczekiwaliśmy, że Churchill i Roosevelt wykorzystają możliwość osobistego nacisku na Stalina o przywrócenie normalnych stosunków z naszym rządem w Londynie. Związana z tym sprawa integralności granic z 1939 roku budziła w nas największe niepokoje. Niestety moi koledzy angielscy mogli mi, już po zakończeniu konferencji, podać tylko ogólnikowo, że decyzje co do Polski są dodatnie, a w każdym razie gwarantujące niepodległość Polski, która będzie „silna i wielka”. Obawy moje o granice wschodnie nie były negowane i raczej tuszowane przypuszczeniami, że to się załatwi ugodowo pomiędzy Polską i Rosją. Toteż dni te były dla mnie chwilami wielkiej troski o losy Polski. Stawało się jasne, że coś się decyduje o nas — bez nas. Brak generała Sikorskiego dawał się odczuwać w całej pełni. Równocześnie byłem zdumiony zupełną pasywnością naszych czynników oficjalnych wobec tak ważnego zdarzenia jakim była konferencja teherańska. Mimo zapowiedzi jej już od dwóch miesięcy „gdzieś w Iranie”, poseł nasz dr Karol Bader był nieobecny w Teheranie, spędzając urlop w Kairze i Bejrucie. Poselstwo, gdyby nie redaktor Herman, nie wiedziałoby o niczym, sztab Naczelnego Wodza

7. (Opowiadając o przebiegu plenarnego posiedzenia, prez. Roosevelt zapytuje syna) „Co miał na myśli Churchill, mówiąc o dwóch operacjach równoczesnych: jedna z zachodu, a druga... no zgadnij?” — „Przez Bałkany?” — „Oczywiście”. (ojciec) zaczął się śmiać ponownie, niewątpliwie na wspomnienie o posiedzeniu... (kontynuując:) „Te plenarne posiedzenia to naprawdę rzecz zabawna. Za każdym razem, kiedy premier (Churchill) ponawiał argumenty na korzyść inwazji przez Bałkany — każdy z obecnych zdawał sobie sprawę z jego prawdziwych intencji. Jego zamiarem było przede wszystkim to, aby wejść do Europy Centralnej, zatrzymać Armię Czerwoną poza Austrią, Rumunią i, gdyby to było możliwe, Węgrami. Stalin nie dał się oszukać, tak jak i ja i inni... Jest kłopotliwe (dla mnie) że Churchill zanadto myśli o sytuacji, w jakiej się znajdzie Wielka Brytania po wojnie. Obawia się on, aby Rosjanie nie stali się zbyt silni... Ja nie widzę, dlaczego mamy narażać życie żołnierzy amerykańskich jedynie po to, aby zabezpieczyć interesy brytyjskie, realne lub wymaginowane, na kontynencie europejskim...” (op. cit. str. 220).

jakoś nie reagował na moje depeze⁸. Zdawało się, że nic nie zaszło.

Dopiero przyjazd prezydenta Czechosłowacji Benesza do Teheranu dn. 28. XII. w drodze powrotnej z Moskwy dał zarys tego, co przed miesiącem tu postanowiono.

Ta podróż Benesza, to osobny, dodatkowy rozdział filmu konferencji teherańskiej. Sprytny i zawsze dobrze informowany polityk, prezydent Benesz, musiał dowiedzieć się o decyzji spotkania „wielkiej trójki” i jeżeli nie o miejscu spotkania, to przynajmniej o jego dacie. Wybrał się wobec tego w podróż do Moskwy⁹, w czasie od 25-26. XI., aby być „gdzieś na trasie” możliwego miejsca spotkania i ewentualnie być tam obecnym. Kalkulacja była słuszna, bo 27-go powinien był stanąć w Teheranie. Jednak ostrożność angielska przewyższyła spryt Benesza i gdy samolot jego wylądował w Habanija — lotniczej bazie angielskiej pod Bagdadem, powiadomiono go o „technicznych” przeszkodach dla dalszej podróży i umieszczono, jako gościa, w pokojach gościnnych kasyna oficerskiego bazy. „Przeszkody techniczne” trwały przez 8 dni po czym Benesz przybył do Teheranu 5. XII., skąd odleciał do Moskwy. W drodze powrotnej prezydent Benesz był podejmowany jako gość Szacha, witany przez niego na lotnisku z honorami, należnymi głowie państwa, wziął udział w licznych bankietach, podejmowany przez uniwersytet, który mu nadał tytuł doktora honoris causa i td.

Dzięki dawnej przyjaźni z naszym posłem Baderem, Benesz udzielił mu specjalnej audiencji prywatnej, na której oświadczył¹⁰:

- „1. Rosja jest krajem zwycięskiej rewolucji i narodowego zwycięstwa nad Niemcami.
2. Komintern jest zlikwidowany i nie należy podejrzewać, że jest to tylko pozorne. Komuniści w państwach burżuazyjnych Europy będą obowiązani współpracować z innymi ugrupowaniami politycznymi.
3. Sowiety nie mają żadnych planów zaborczych w stosunku do sąsiadów i pozostawią im zupełną niezawisłość.
4. Rumunia odzyska Transylwanię.
5. Odnosnie Polski:
 - a) Pakt czesko-sowiecki musi objąć i Polskę. Jest to historyczna konieczność i Stalin ponad wszelkie trudności będzie do tego dążyć.
 - b) Granice zachodnie Polski i Czechosłowacji, wspólnie przez nie ustalone, będą przez ZSSR zaakceptowane. Będzie to więcej niż propozycje angielsko-amerykańskie.
 - c) Granice wschodnie Polski są przesądzone. Stanowisko ZSSR w tej sprawie nie jest tylko formalne, bo nienaruszalnym postulatem po-

8. Nr 86 z 27. XI., 87 z 29. XI. i 94 z 3. XII.

9. Zamierzoną zresztą od dawna, aby rozwiązać podejrzania Stalina co do paktu polsko-czeskiego.

10. Z mego meldunku do Naczelnego Wodza.

lityki sowieckiej jest zjednoczenie Ukrainy i Białorusi. Benesz widzi możliwości korektury linii Ribbentrop-Mołotow, ale nieznacznie.

- d) Rosja nie ma zamiaru wtrącać się w wewnętrzne sprawy Polski. Muszą jednak zniknąć pozostałości epoki Piłsudski-Beck. Stalin oczekuje przesilenia w łonie naszego rządu, aby stała się możliwą współpraca ZSSR z nami. Żadne nazwiska nie były przez Benesza wymieniane.
- e) Benesz konstatuje duże podrażnienie emocjonalne Stalina w stosunku do nas m.in. żal za oceny, jakie wypowiadamy o ZSSR przed Anglikami i Amerykanami.
- f) Wielkim błędem politycznym było wycofanie polskiej armii z Rosji. Benesz wyraził się: „Gdyby tych kilka waszych dywizji walczyło obecnie na froncie wschodnim — robilibyście w Rosji, co byście zechcieli”.
- g) Do akcji „Związku Patriotów” Benesz nie przywiązuje specjalnej wagi”.

W parę dni później otrzymałem od mego przyjaciela, amerykańskiego pułkownika Reda Szymańskiego, odpis jego raportu o wynurzeniach teherańskich Benesza, który podawał:

„Wiarygodne czeskie źródło z bliskiego otoczenia Benesza udzieliło mi następujących informacji:

- 1) Rosjanie oczekują od strony polskiej inicjatywy celem wznowienia stosunków i są dobrej myśli.
- 2) Polacy muszą pierwsi zainicjować przyjazny i powszechny sojusz z Rosją.
- 3) Rosjanie pragną ustalenia w Polsce demokratycznego i życzliwego wobec Sowietów rządu.
- 4) Przyrzekają Polsce Prusy Wschodnie i Śląsk, lecz pragną w zamian części Polski.
- 5) Pragną przedyskutować granice Polski z jej przedstawicielami.
- 6) Udzieli pomocy w ewakuacji mniejszości z Polski i reewakuacji Polaków z Rosji.
- 7) Rosja pragnie mieć istotnie zaprzyjaźnionych sąsiadów. Do pojęcia sąsiadów Sowiety włączają: Iran, Polskę, Bułgarię, Rumunię i Turcję.
- 8) Rosjanie zamierzają zatrzymać Besarabię, Państwa Bałtyckie oraz Bukowinę. Transylwania pozostałaby przy Rumunii.
- 9) Benesz pragnie federacji czesko-polskiej. Do czasu ustalenia polsko-rosyjskich stosunków, umowa czesko-polska nie ma większego znaczenia.
- 10) Rosja udzieli Czechom pomocy w wysiedleniu 3 milionów Niemców z Sudetów.
- 11) Środkowa i Wschodnia Europa pozostawione są w sowieckiej sferze wpływów.
- 12) Polacy, według opinii Benesza, nie są wspierani przez Anglików i Amerykanów w ich kontrowersjach z Rosją.
- 13) Rosjanie w sposób niechętny odnoszą się do gen. Sosnkowskiego, natomiast pozytywnie ustosunkowują się do ministra Romera i premiera Miłkołajczyka.
- 14) Jeżeli obecny rząd polski nie poczyni ustępstw wobec Rosji — Stalin stworzy nowy rząd w Warszawie, który zaakceptuje jego żądania”.

Jeszcze inne źródło dorzucało do tych „niedyskrecji” Benesza dalsze szczegóły natury ogólnej. A więc Stalin miał wspomnieć

Beneszowi, że Rosjanie mają rezerwy wystarczające na dwa miesiące ofensywy. Z naciskiem miał żądać od Churchilla i Roosevelta ustalenia dokładnej daty inwazji. Tłumaczył, iż trockistowski internacjonalizm jest zapomniany i stwierdzał, iż w Rosji zaszły znaczne zmiany w pojęciach komunizmu. Rosja nie ma zamiarów na przyszłość oddziaływania czy też narzucania swych żądań w stosunku do państw zaprzyjaźnionych. Sowiety pragną szczerze pokoju i harmonijnego układu stosunków pomiędzy sojusznikami. Benesz nie obawia się wpływów lub przenikania komunizmu do Czechosłowacji. Pragnąłby on odegrać rolę mediatora w negocjacjach polsko-sowieckich, ale dał do zrozumienia iż nie jest w tym charakterze upoważniony przez Stalina. Ewentualna federacja polsko-sowiecka znalazłaby dodatnią ocenę u Benesza.



Prezydent Benesz opuścił Teheran dn. 30. XII. żegnany na lotnisku przez Szacha, ministrów i generalicję irańską. Jego optymistyczne i pełne wiary w siłę Rosji i szczerść Stalina wypowiedzi wywarły niezwykle ujemne wrażenie w kołach dyplomatycznych i wojskowych Teheranu, a wśród nas powiększyły nasze obawy. Ale liczyliśmy nadal na „murowaną” postawę Churchilla w naszej sprawie oraz na obietnice Roosevelta, którym wagi dodawał fakt zbliżających się w USA wyborów, gdzie głosy polskie mają w arytmetyce wyborczej dość cenną pozycję.

Tajemnica konferencji teherańskiej trwała niedługo: dnia 22 lutego 1944 wygłosił Churchill w Izbie Gmin przemówienie, oświadczając:

„Los narodu polskiego zajmuje naczelne miejsce w myślach i polityce rządu i parlamentu brytyjskiego. Z przyjemnością usłyszałem od marszałka Stalina, że i on uważa za niezbędne stworzenie... silnej i niepodległej Polski... Nie gwarantowaliśmy nigdy żadnej określonej linii granicznej Polski. Nie wyrażaliśmy zgody na okupację(?) Wilna przez Polskę w 1920 roku, a brytyjskie poglądy znalazły w 1919 roku wyraz w tak zwanej „Linii Curzona”... Odczuwam głęboką sympatię dla Polski, ale mam również zrozumienie dla stanowiska Rosji... Nie mam wrażenia, aby żądania Rosji, zdążające do zabezpieczenia jej granic zachodnich przekraczały to co jest rozsądne i sprawiedliwe... Marszałek Stalin i ja zgodziliśmy się, aby Polska uzyskała odszkodowanie kosztem Niemiec tak na jej północy, jak i na zachodzie...”.

Stało się jasne co postanowiono w Teheranie w pamiętnym listopadzie 1943.

W tymże czasie żołnierz polski bił się już nad rzeką Sangro w przededniu zwycięstwa pod Monte Cassino.

Tadeusz RUDNICKI

RADIOSTACJA „SWIT”

Cz. I.

W lutym 1943 roku w hallu Stratton House spotkałem wychodzącego z budynku ministra Spraw Wewnętrznych, Stanisława Mikołajczyka.

— Szukam pana już od trzech tygodni i wojsko nie może mi wskazać gdzie się pan znajduje — powiedział na powitanie.

Mnie to nie zdziwiło; już ponad trzy tygodnie siedziałem w Londynie, i chociaż byłem przydzielony oficjalnie do Oddziału Specjalnego, nikt się nie interesował moim przydziałem, wiedząc, że kontaktuję się jedynie z szefem Oddziału płk. Protasiewiczem.

Minister Mikołajczyk wrócił do swojego gabinetu na czwartym piętrze prosząc mnie natychmiast na rozmowę.

Dziwna to była rozmowa. Mikołajczyk żądał, abym podjął się pewnej pracy ale nie chciał mi wyjaśnić o co chodzi.

— Nie mogę podejmować się czegoś na ślepo...

— Ja wiem, że pan to potrafi...

— A jednak...

— Mnie się wydaje, że pełniący obowiązki premiera ma prawo żądać od obywatela polskiego, aby zgodził się na pracę, którą pozna dopiero wtedy, jeśli z góry zgodzi się ją wykonywać.

— Dobrze — powiedziałem — ale pod warunkiem, że będę miał możliwość wycofania się, jeśli uznam, że dłużej pracować nie mogę, lub wówczas, kiedy uznam, że nie potrafię tej pracy spełnić.

— Zgadzam się.

Prezes Mikołajczyk natychmiast umówił mnie z jakimś Anglikiem, do którego zaprowadzić mnie miał kpt. Janusz Tyszkiewicz.

wicz, adiutant Wodza Naczelnego, przydzielony do Prezydium Rady Ministrów.

Nazajutrz spotkaliśmy się z Haroldem Osbornem, wcale dobrze mówiącym po polsku. Osborne powiedział mi, że uczył się polskiego w Cambridge, uzupełniając teoretyczną naukę rozmowami z pannami Piłsudskimi. Korespondował z nimi i później dał mi nawet list napisany po polsku do p. Wandy Piłsudskiej, prosząc abym poprawił błędy gramatyczne. Pojechaliśmy z nim do Bletchley — wówczas stolicy filmu brytyjskiego, gdzie przed dworcem czekał na nas samochód, w którego oknie znajdowała się czerwona blaszka. Był to znak rozpoznawczy dla nas. Kolor czerwony był na dzisiaj naszym kolorem. Zauważyłem, że w sąsiedztwie stały inne samochody, mające w oknach blaszki o innych kolorach.

Osborne powiedział mi, że te samochody są przeznaczone dla innych narodowości.

Ciągle jeszcze nic nie wiedziałem o pracy, jaka mnie czeka. Jedynie ze słów kpt. Janusza Tyszkiewicza zorientowałem się, że praca ta będzie miała związek z radiem.

Samochodem podjechaliśmy przed niewielką willę, nie w samym Bletchley, ale w pobliskim miasteczku, znajdującą się tuż obok ładnego lasu. W willi zastałem Walentynę Pacewiczową (po rozwodzie z kpt. mar. Pacewiczem Wala Pacewiczowa wyszła po wtórnie za męż. Jest teraz żoną reportera, pisarza i poety, a mego przyjaciela Aleksandra Janty), Witolda Mieczysławskiego, znanego mi sprzed wojny i Stefana Świetlika, którego nie znam. Zrobił na mnie bardzo dodatnie wrażenie. Wszyscy byli poinformowani o moim przyjeździe. Zastałem ich przy pracy. Mieczysławski pisał jakiś artykuł na temat polityki Finlandii.

Na wstępie Osborne powiedział, że Anglicy oddali do całkowitej dyspozycji gen. Sikorskiego radiostację „Świt”, jako jeden z atutów propagandowych na Polskę. Gen. Sikorski osobiście nie interesował się akcją „Świtu”, zlecając swojemu ministrowi Spraw Wewnętrznych (Stanisław Mikołajczyk po wyjeździe prof. Kota w roku 1941 na stanowisko ambasadora R.P. w ZSRR) wszystko, co dotyczyło tej radiostacji. Stanisław Mikołajczyk projektował zrobienie ze „Świtu” czegoś bardzo nie fachowego. Zarówno Osborne w pierwszej rozmowie, jak później Mikołajczyk w kilku rozmowach poinformowali mnie, że od chwili powstania „Świt”, dla utrzymania tajnego charakteru i dla skuteczniejszego udawania, iż pracuje w warunkach okupacyjnych, ma zespół nie zawodowy, lecz złożony z amatorów.

Dowiedziałem się także od Osborne'a, że od strony brytyjskiej podlegamy Ministerstwu Spraw Zagranicznych, które kieruje

czymś w rodzaju wydziału zwanego *black propaganda* — czarna propaganda. „Białą” nazywano propagandę na falach np. B.B.C., zaś „czarną” propagandę, prowadzoną m.in. przez stacje udające, iż nadają swoje audycje z krajów okupowanych.

— Będzie pan miał dostatecznie świeże wiadomości z Polski, aby móc z nich zrobić interesującą audycję — dodał Osborne.

— Kto dostarcza wiadomości?

— Polacy. Otrzymujemy je albo przez telefon, jeżeli nie są bardzo ważne, albo przywozi je nasz łącznik. Jest nim kpt. Janusz Tyszkiewicz.

Stefan Świetlik przerwał naszą pierwszą rozmowę, proponując mi napisanie krótkiego artykułu, na podstawie ostatnich wiadomości z Polski. Miało to być coś zupełnie protego, coś, co się działo w naszej codzienności.

Sitting room był zimny, jak cholera. Wprawdzie na kominku palił się węgiel, ale pokój był duży, miał kształt wydłużony, a kominek znajdował się na środku długiej ściany. Ogrzewał więc jedynie tę część pokoju, która znajdowała się bezpośrednio przed ogniem. W pokoju tym urzędowała Wala Pacewiczowa, otulona wełnianym szalem.

— Jeśli pan woli dyktować, to ja napiszę — powiedziała. — Piszemy wszystko w trzech egzemplarzach. Jeden pozostaje w naszym archiwum, drugi idzie do angielskiego ministerstwa, a trzeci — do polskiego prezydium Rady Ministrów.

Nie lubiłem nigdy dyktować. I nie miałem w tym wprawy. Zawsze wolałem sam pisać. I tak już do dziś pozostało. Artykuł napisałem szybko a po południu przyjechał po nas samochód i pojechaliśmy na nagranie. Pojechało nas czterech: Świetlik, Mieczyński i ja, a z nami oczywiście i Osborne.

Nasze studio mieściło się niezbyt daleko, w ślicznym, niewielkim parku, Nagrywaliśmy na wielkie, piętnastominutowe płyty, które natychmiast przesłuchiwaaliśmy bardzo starannie wraz z naszym angielskim cenzorem. Dopiero potem nasz cenzor podpisywał odpowiedni papierek, bez którego płyta nie mogłaby być nadana. 15-tominutowa płyta stanowiła całość naszej audycji.

Audycji mieliśmy dwie: poranną i wieczorną. Główną była wieczorna, w porannej zaś powtarzano jak dotąd wieczorną z dnia poprzedniego. Ale nagrywano dwie różne płyty, aby nasłuch nie domyślił się, że audycja jest z płyt, co w warunkach okupacyjnych nie byłoby możliwe z braku technicznych urządzeń.

Już po pierwszym nagraniu wiedziałem że tę pracę przyjmę. Od razu postanowiłem poranną audycję przeznaczyć dla polskiej prasy podziemnej — dawać jej argumenty dla artykułów poli-

tycznych, omawianych przez nas w audycji wieczornej. Poza potrzebą takiej audycji dla prasy, obawiałem się, że sam nie będę mógł wypełnić programu aż dwóch audycji po 15 minut każda. A na nikogo liczyć nie mogłem.

Wiedziałem już od pierwszego dnia, że z rozgłośni odejdzie Witold Mieczysławski, a wieczorem stwierdziłem, że Stefan Świetlik niestety pisać nie może. Było to zjawisko tym bardziej zaskakujące, że Świetlik doskonale wyczuwał tematykę. Miał wręcz nieomylnego „niucha”. I umiał znakomicie wyłapywać nieraz nawet drobne wiadomości, które świetnie nadawały się do rozbudowania, lub jako argumenty. Kilka następnych dni, jakie spędziłem w „Świcie”, utwierdziły mnie całkowicie w przekonaniu, że Świetlik powinien pozostać w składzie redakcji i że będzie niezwykle pożyteczny przy czytaniu raportów nasłuchowych ze wszystkich stacji świata. Innymi słowy Świetlik będzie inspirował artykuły.

Mimo zgody Świetlika na pozostanie w prowadzonym przeze mnie „Świcie” ciągle jeszcze nie mogłem dać odpowiedzi na pytanie Osborne'a: kiedy uruchomię codzienne nadawanie?

Byłem się codziennych, regularnych dwóch audycji dziennie, będąc jedynym publicystą „Świtu”. Tymczasem Wala Pacewiczo-wa pojechała do Londynu na swoje dwa wolne dni. Każdy pracownik miał dwa, kolejno po sobie następujące dni wolne co dwa tygodnie. Następne zaś dwa tygodnie pracował przez wszystkie dni z niedzielą włącznie. I z Londynu dostaliśmy telefoniczną wiadomość, że Wala do „Świtu” nie wróci, a przecież musiałem mieć w radiostacji jeszcze kogoś poza sobą samym i Stefanem Świetlikiem.

Przebiegając w myśli znajome nazwiska dziennikarzy, nie znajdowałem nikogo. Jeżeli bowiem cały szereg moich kolegów ceniłem za wysokie kwalifikacje zawodowe, wiedziałem, iż dla „Świtu” trzeba było także i innych, rzadziej spotykanych kwalifikacji. Trzeba było przede wszystkim ludzi lekkich we współżyciu.

Drugim kryterium, jakim się kierowałem, była chęć znalezienia człowieka o innym typie zdolności, niż moje.

Kiedy wiosną roku 1942 Wyższa Szkoła Doskonalenia Administracji Wojskowej — bo tak się nazywała szkoła, prowadzona przez Oddział II-gi pod komendą płk. Stefana Meyera — została przeniesiona z Londynu do Glasgow, opuszczałem mój całkiem przyzwoity i tani pokój w pobliżu Notting Hill Gate przy Clancarde Gardens Nr 7. Właścicielami małego hoteliku byli Włosi, którzy chętnie widzieli u siebie polskich lokatorów. Tu udało mi się umieścić Jana Rembieleńskiego, który po skoku grupy

naszych wspólnych przyjaciół w Polsce na początku 1942 roku wyprowadził się z Mill Hill. Na mój pokój miałem już od dawna amatora. Był nim Karol Zbyszewski. I istotnie on zajął go po moim wyjeździe do Glasgow. Z właścicielami hotelu zachowałem świetne stosunki i zawsze zatrzymywałem się u nich, kiedy przyjeżdżałem do Londynu. Oddawali mi nawet kilka razy swój pokój w suterenie, jeżeli nie mieli innych wolnych pokoi. Ostatnio też się tam zatrzymałem.

Poszukując kandydata i myśląc o lokatorach naszego hoteliku zatrzymałem się na Karolu Zbyszewskim.

Pierwszą jego zaletę w pracy „Świtowej” byłby humor. Drugą wyobraźnia i pracowitość. Mógłby doskonale pisać mi wszystkie reportaże w wymyślonych, a równocześnie prawdziwych warunkach krajowych. I wreszcie, przyznaję, że trzecią zaletą była lojalność, o której byłem przeświadczony. Rzecz jasna, że i zamiłowanie do bridge’a brałem pod uwagę, wiedząc, że będziemy skazani na spędzanie razem 100% naszego czasu. Tym bardziej, że nie wolno nam było chodzić nawet do knajp w osiedlu, w którym mieszkaliśmy.

Całkowicie zdecydowany na Zbyszewskiego, postanowiłem nikomu nie mówić o tej decyzji przed rozmową z Mikołajczykiem. Rozmowa ta odbyła się w kilka dni później, kiedy wróciłem do Londynu, aby przedstawić stronie polskiej moje propozycje, dezyderaty i plany.

Minister Mikołajczyk zgodził się na Karola Zbyszewskiego natychmiast, upoważniając mnie do rozmowy z nim. Rozmowę taką przeprowadziłem i Karol... odmówił.

Nie podejrzewałem w owym roku 1943, że Zbyszewski będzie pamiętał tylko fakt, iż wiedział o istnieniu „Świtu”, a zapomni lub uda że zapomni o okolicznościach w jakich się o nim dowiedział. Toteż zdziwiłem się, czytając bodaj że w roku 1949 w „Kulturze”, iż trudno było utrzymać tajemnicę „Świtu”, jeżeli pracował tam Janusz Laskowski. Napisał to właśnie Karol Zbyszewski, który istotnie o „Świcie” wiedział bardzo wcześniej, ponieważ był po mnie kandydatem „numer jeden”.

W owym czasie w Londynie przebywał Czesław Straszewicz. Miał urlop zdrowotny po wypadku samochodowym, jakiemu uległ w Szkocji. Jeśli mnie pamięć nie zawodzi, miał złamaną nogę. W każdym razie chodził jeszcze o lasce, ale już grał w bridge’a. Grał dobrze i szczęśliwie.

Odmawiając przyjęcia do „Świtu”, Karol Zbyszewski powiedział mi:

— Weź Straszewicza.

Zastanowiłem się nad tym projektem.

Na zaangażowanie Straszewicza uzyskałem zgodę Mikołajczyka, który nakazał mi przeprowadzić ze Straszewiczem wstępne rozmowy. Powiedziałem więc mu o co chodzi.

Straszewicz zgodził się.

Pojechał więc moim śladem do Bletchley, a stamtąd samochodem o kolorowej blaszce w oknie przy szoferze — do nas, do redakcji „Świtu”. Kiedy przyjechał, ja już także wróciłem z Londynu. I zastałem spore zmiany.

Już przed kilku dniami, będąc w sprawach „Świtu” w Bush Housie, poznałem tam miłego, starszego pana. Chodził w mundurze. Nazywał się Brysson. Rozmawiałem z nim krótko, nie bardzo wiedząc kim jest.

Po powrocie do „Świtu” zastałem tam majora Bryssona, który objął miejsce Osborne’a. Wprawdzie Osborne jeszcze miał nawet swój pokój w „Świcie”, ale powiedział nam, że opiekę nad nami sprawować będzie Brysson. Opieka ta była nawet przyjemna. Przede wszystkim ogromnie poprawiła się kuchnia, której Brysson pilnował osobiście. Poza tym zaś, bodaj że natychmiast po moim powrocie z Londynu, zaprosił mnie na whisky do miejscowego pub’u. Poszliśmy na piętro — do mieszkania właścicieli knajpy, abym swoją cudzoziemszczyzną nie wywoływał zbytnej ciekawości wśród miejscowych. I od tego czasu ustalił się nie tylko zwyczaj, ale prawo: wolno nam było chodzić do właścicieli knajpy.

Oni zaś wiedzieli, że żadnego z nas o nic pytać nie należy, tylko należy przynosić trunki, jakie zamawialiśmy.

Była to wielka ulga w niemal zakonnym regulaminie „Świtu”. Rzecz jasna, że po przyjeździe Straszewicza poszliśmy do knajpy razem. Od razu przekonałem się, że rada Karola Zbyszewskiego była słuszna i że ze Straszewiczem będzie mi się dobrze pracowało. Wydaje mi się, że i Brysson był tego samego zdania. Na pewno zaś wszyscy trzej byliśmy zdania, że trzeba codzienne audycje zacząć jak najprędzej.

Od pierwszego dnia było jasne, że my żadnego kierownictwa nie potrzebujemy, bo każdy będzie automatycznie robił swoje — a ja będę przeglądał całość materiału. Rano odbywaliśmy konferencję omawiając przy Bryssonie tematy na dzień dzisiejszy. I zawsze zostawialiśmy mały margines, który wypełniałem, jeśli zachodziła potrzeba. Przeważnie jednak w miarę wczytywania się w nasłuch radiostacji światowych, Stefan Świetlik rozpromieniony znajdował jakiś temat. I wówczas obrabiałem go albo ja albo Czesław Straszewicz.

Ale cofnijmy się do samych początków.

„Świt” powstał jesienią 1942 roku. Nie wiem kiedy to

było dokładnie. W każdym razie Stefan Świetlik był tam od samego początku. I on miał nadawać „Świtowi” barwę z jednej strony ludowcową a z drugiej strony naiwną, gdyż tę naiwność minister Mikołajczyk naiwnie uważał za cechę podziemnej konspiracji. Jednakże wszystkie nagrania z tamtego okresu miały nie tylko charakter prób, ale były przez Anglików uważane za próby uruchomienia stałej stacji nadawczej. W grudniu 1942 roku kilka specjalnie napisanych przez siebie tekstów wygłosił przed mikrofonem „Świtu” Jan Karski. Mieczysławski wszedł do „Świtu” jesienią roku 1942 i brał udział w stałych, powtarzających się nieregularnie po kilka razy w tygodniu próbach nadawania audycji. Za każdym razem „Świt” zapowiadał, kiedy zostanie nadana audycja następna.

Ten okres prób trwał właśnie do mojego zetknięcia się ze „Świtem”, a potem stałej pracy w tej rozgłośni.

O „Świcie” z urzędu wiedział Wódz Naczelny i premier, minister Obrony Narodowej, którym był prof. dr Marian Kukiel, dr Józef Retinger, Szef Oddziału VI Sztabu płk. Michał Protasewicz i oczywiście spora liczba współpracowników „Świtu”, którzy przy mnie i przede mną przewinęli się przez rozgłośnie.

Referentem spraw „świtowych” w ministerstwie Spraw Wewnętrznych był Mieczysław Thugutt. On też niejednokrotnie przyjeżdżał do nas pod Bletchley przywoził materiały, brał udział w nagraniach, pisywał od czasu do czasu, a często rozmawiał z nami o sytuacji w Polsce. Thugutt należał wyraźnie do propagatorów Stronnictwa Ludowego. Nie miałem z nim z tego tytułu żadnych trudności, spotkałem się jednak dwukrotnie z jego życzliwymi docinkami. Siudak nie interesował się „Świtem”, chociaż o jego istnieniu wiedział i czasami nawet brał udział w niektórych konferencjach. Wiedziała także sekretarka ministra Mikołajczyka — pani Liebermanowa. Ta nigdy i z nikim nie rozmawiała na ten temat, ale zawsze wszystko doręczała Mikołajczykowi, co jej zostawiliśmy, a jeżeli trzeba było mieć odpowiedź, zdobywała ją rekordowo szybko. Było to bardzo istotne gdyż niezawsze łatwo było znaleźć urzędującego wice-premiera, zwłaszcza, jeżeli sprawa była ważna i pilna. W Londynie nie mieliśmy z tym kłopotów, ale siedząc pod Bletchley, bardzo często zdarzało się, że nie mogliśmy porozumieć się z naszym czynnikiem decydującym. I wówczas czasami trzeba było iść kierując się tylko własnym węchem.



Nieprzytulny, a nawet wręcz odrażający dom, w którym mieściła się redakcja „Świtu”, działał na nas wszystkich fatalnie.

W wilgotnych i wyziębionych pokojach nie można było nawet czytać. Toteż siłą rzeczy po pracy i po powrocie z nagrań chodziliśmy „na górkę”, wypijając raczej więcej, niż mniej whisky. Ale nawet i tam nie zaniebdywaliśmy naszej pracy. Oto przykład.

Major Brysson był Irlandczykiem. Za swoich młodych lat był wice-konsulem brytyjskim w Wilnie. Oczywiście przed pierwszą wojną światową. I tam wszedł w towarzystwo polskie, ucząc się doskonale naszego języka. Równocześnie Brysson był praktykującym katolikiem. Czasami więc sprowadzał rozmowy na zagadnienia katolickie.

Właśnie „na górce” przy whisky, którą Brysson nie gardził, powstała myśl, że „Świt” uczci zbliżającą się rocznicę koronacji Piusa XII-go. Powiedziałem, że zrobię to osobiście i że ostro Papieża zaatakuję. A na to Brysson:

— Bardzo dobrze. Zobaczymy co z tego wyniknie. Taki atak może nawet się przydać, jeżeli w Watykanie są jeszcze ludzie mądrzy, a pewno są...

Okazało się, że byli.

W rocznicę koronacji Piusa XII-go rozgłośnia polska „Świt” nadała nagrany przeze mnie mój własny artykuł pt. „Całun hańby”. Trzeba przyznać, że tytuł był dość ostry. Pamiętam do dzisiaj dosłownie zakończenie tego artykułu. Oto ono:

„... życzymy ci, Ojcze Święty, aby Bóg Najwyższy pozwolił ci za życia zerwać całun hańby, którym okryłeś tron Piotrowy”.

Artykułem tym zyskałem sobie natychmiastową sympatię Mieczysława Thugutta, ale kpt. Janusz Tyszkiewicz, przy okazji jakiegoś przyjazdu do nas z teczką dokumentów krajowych, powiedział:

— Może to było trochę za ostro...

Okazało się, że wcale nie było za ostro. Widocznie Niemcy przyzwyczaili Piusa XII-go i jego dwór do ostrej argumentacji i właśnie ona odnosiła skutek, bo w kilka dni po naszej audycji Watykan mianował chargé d'affaires przy rządzie polskim. Został nim arcybiskup Godfrey.

Nie posiadaliśmy się z radości.

I chociaż żaden z nas nie mógłby udowodnić, że nominacja nuncjusza apostolskiego przy rządzie polskim była dziełem „Świt” wszyscy wierzyliśmy że tak było istotnie. Nawet Brysson.

Wobec tak wielkiego sukcesu Straszewicz postanowił „zrobić trochę porządku”. Nie tylko Czesława niesłuchanie denerwowały środowowe przemówienia do Kraju ministra Informacji, prof. Strońskiego. Przemówienia te z biegiem czasu przerodziły się w wybielanie całkiem nieistotnych dla kraju szczegółów polityki ge-

nerała Sikorskiego. I dlatego były straszliwie nudne, co jest chyba najgorszą wadą i najsłabszą stroną wszystkich oficjalnych wystąpień, jeżeli ich częstotliwość jest przewidziana z góry i przeradza te wystąpienia w instytucję stałą. Tak właśnie było ze środowymi przemówieniami profesora Strońskiego do kraju.

Straszewicz szykował się by zaatakować Strońskiego. Próbowaliśmy go trochę hamować, ale robiłem to w sposób niezdecydowany i z góry wiadomo było, że nie będę miał nic przeciw takiemu atakowi. Tyle tylko, że ponieważ wchodziliśmy przy ewentualnym ataku na Strońskiego w sprawy wewnętrzne, nie chciałem działać bez pokrycia. I nie chciałem sam o to pokrycie występować. Poprosiłem o to Stefana Świetlika.

Nie wiem czy miał jakieś trudności, ale wiem, że załatwił. Przyniósł bowiem odpowiedź, że jeżeli uważamy za wskazany atak na jakąkolwiek osobistość rządową, możemy atakować.

No i Straszewicz zaatakował. Rzeczowo, ale gorąco i namiętne, bo tylko tak można było pisać w „Świcie”.

Nazajutrz po jego audycji dowiedzieliśmy się o rzeczy wręcz strasznej. Profesor Stroński odszedł z Ministerstwa Informacji, a tękę tę objął prof. Stanisław Kot.

Bardzo niewyraźną minę miał mjr. Charles Brysson, kiedy wyraźnie powiedział mi:

— My z profesorem Kotem nie będziemy pracowali. Jeżeli on będzie chciał wtrącać się do „Świtu”, zamkniemy „Świt”.

Cóż mogłem odpowiedzieć? Nie okazałem swego zadowolenia ale stwierdziłem, że mjr. Brysson powinien zakomunikować to nie mnie, ale Mikołajczykowi. Ja ze swojej strony też to powiem, kiedy będę w Londynie.

Uwaga mjr. Bryssona była dla mnie tym ciekawsza, że prof. Stroński nie należał do wtajemniczonych i nie wiedział skąd „Świt” nadaje. Wiem o tym na pewno, bo sam słyszałem, jak natarczywie domagał się od kierownika polskiej stacji nasłuchowej na Mill Hill i zarazem szwagra Juliana Tuwima, aby za wszelką cenę złapał wreszcie audycje „Świtu” i streszczał je w swoim biuletynie.

A „Świt” trudno było złapać w Londynie. Jeszcze myśmy pod Bletchley słyszeli jako tako, ale już o kilka kilometrów od nas fala była nieuchwytna. Była to bowiem fala kierunkowa, która opadała na Polskę z odbicia.

Straszewicz ciężko przeżywał niepowodzenie swojego ataku, co w gruncie rzeczy nie było żadnym niepowodzeniem, tylko zwyčajnym podpuszczeniem nas dla dostarczenia pretekstu do rekonstrukcji rządu i wprowadzenia doń przybyłego ze Wschodu prof. Stanisława Kota.

Równocześnie jednakże w samym ministerstwie Spraw Wewnętrznych powstało bardzo ciekawe zagadnienie. Ponieważ „Świt” może być wspaniałą bronią nie tylko w rozgrywkach z przeciwnikami zewnętrznymi, ale także i z przeciwnikami wewnętrznymi, warto by publikować wiadomości o tym, co „Świt” nadaje.

Podczas jednego ze swoich pobytów u nas Mieczysław Thuggt zapytał mnie, co o tym myślę. A ja już dawno myślałem, że trzeba nasze wypowiedzi puszczać jak najszerzej, a nie trzymać pod własnym korcem. Oczywiście myślałem wyłącznie o wypowiedziach dotyczących nie tarć i walk wewnętrznych, ale stosunku społeczeństwa polskiego do całego szeregu zjawisk politycznych. Przede wszystkim zaś do polityki sowieckiej.

I od tej chwili pełno było wzmianek o „Świcie” w polskiej prasie emigracyjnej. Czytaliśmy to wszystko pilnie i wiele rzeczy nas cieszyło. A zwłaszcza, jeżeli sztokholmski korespondent PAT’a donosił o specjalnie smakowitych szczegółnikach. Na przykład o tym, iż mieszkańcy Berlina tracą zmysły pod wpływem bombardowań alianckich. Dowodem tego była jakaś młoda mieszkanka stolicy niemieckiej, która szła do schronu, taszcząc za sobą nie wiadomo po co doniczkę z kwiatami.

Straszewicz zaśmiewał się z tych wiadomości, których „Świtowi” dostarczała jego własna — jakże wspaniała! — wyobraźnia, wiernie wczuwająca się w sytuację bombardowanych mieszkańców miasta.

W naszym, odciętych od świata domku też zaczęło się jakoś żyć weselej. Major Brysson widząc nadchodzącą wiosnę, porwał się do czynu i wykombinował przeprowadzkę. Przenieśliśmy się niedaleko. Różnica jednak była odwrotnie proporcjonalna do odległości. Dostaliśmy bowiem miły, spory dom z wielkim ogrodem warzywnym. A już kwiecień był za pasem i tego roku bardzo piękna wiosna. Oprócz ogrodu wawrzywnego mieliśmy jeszcze spory teren zupełnie nieuprawiony. Pewnie kiedyś był tam park, zaniedbany podczas lat wojny, ale trawniki były piękne. I jakieś dobrze odżywione konie „mieszkały” na tych trawnikach. Piszę „mieszkały”, bo były tam i we dnie i w nocy. Chyba tylko czasami ktoś zabierał je z pastwiska do roboty.

Nadszedł wtedy okres, kiedy w naszych audycjach sporo miejsca musiała zająć polemika. Bo od chwili, kiedy polska prasa emigracyjna zaczęła drukować wiadomości czerpane z naszych audycji, staliśmy się przmiotem systematycznych ataków radiostacji im. Tadeusza Kościuszki, która prowadziła jawnie prosowiecką politykę. „Kościuszko” atakował nas bardzo często, niemal za wszystko. Nie pozostawaliśmy dłużni i sobaczyliśmy im,

ile wlezie. Nie budziło to entuzjazmu Anglików. A major Brysson nawet powiedział mi kiedyś:

— Jaka szkoda, że Polacy nie mają poczucia humoru. Gdyby mieli, moglibyśmy założyć humorystyczną rozgłośnię komunistyczną. I zrobilibyśmy najlepszą antypropagandę.

Te słowa podziały na mnie zupełnie inaczej niż mógł przypuszczać major Brysson. Było dla mnie zagadką, dlaczego radiostacja im. Kościuszki nie atakowała nikogo na emigracji imienne, nas zaś nieustannie. I niemal natychmiast. Wystarczyło, abyśmy nadali wieczorem, a już nazajutrz mieliśmy atak „Kościuszki”. Myśmy próbowali łapać tę rozgłośnię na naszym — bardzo zresztą dobrym — odbiorniku służbowym. Ale wyniki były słabe, bo słyszeliśmy ich źle, nie wszystko mogliśmy zrozumieć nawet jeśli odnosiło się bezpośrednio do nas. Natomiast Anglicy przysyłali nam walce fonografu, które odtwarzaliśmy u siebie w „Świcie”. I tam bardzo dobrze było słycać to, co o nas „Kościuszko” mówił. To skłoniło mnie do podejrzeń, że rozgłośnia im. Kościuszki mieści się — podobnie jak i my — w Wielkiej Brytanii.

Rozmawiałem o tym z kolegami. Bo chociaż stosunki moje ze Straszewiczem mocno się oziębily, dalekie były od złych. Otóż Straszewicz wolał nad tym się nie zastanawiać.

— Wszystko jest możliwe. Diabli ich wiedzą... Ale nie chce mi się wierzyć, żeby to robili Anglicy.

Stefan Świetlik też nie chciał wierzyć, ale podobnie jak i Straszewicz nie wykluczał takiej możliwości.

Mnie zaś wątpliwości nie dawały ani przez chwilę spokoju. Podzieliłem się nimi z Mieczysławem Thuguttem, który coraz częściej przyjeżdżał do nas, a czasem nawet zostawał przez dwa lub trzy dni. Thugutt był jakby kontrolerem, lub inspektorem „Świtu”, ale z pewnością w ministerstwie Spraw Wewnętrznych miał także i inne zadania.

Otóż Mieczysław Thugutt też nie wykluczał, że radiostacja im. Kościuszki może mieścić się w Wielkiej Brytanii i prosił mnie, abym zbierał wszelkie ewentualnie dostępne materiały i notował sobie wszelkie myśli w tej sprawie, bo to „się może przydać”.

Wiosną roku 1943 dwie więc sprawy pochłaniały mnie całkowicie poza codziennymi audycjami „Świtu” i pracą nad ich przygotowaniem. Sprawą główną było poszukiwanie współpracownika. Sprawą uboczną — zdobycie szczegółów działania rozgłośni radiowej im. Tadeusza Kościuszki.

Upłynęło sporo czasu, zanim dowiedziałem się, że radiostacja im. Kościuszki mieściła się w Taszkencie.

Kiedy dzisiaj przebiegam myślą okres spędzony w roku 1943 w „Świcie”, nie mogę wykreślić z moich wspomnień ministra Mikołajczyka. On bowiem osobiście mnie do „Świtu” zaangażował. Co więcej — chciał mieć właśnie mnie, a nie innego dziennikarza. Muszę też przyznać, że ze współpracy z Mikołajczykiem wyniosłem i zachowuję jak najlepsze wspomnienia. Ilekroć zwracałem się do niego z jakąkolwiek sprawą sporną, zawsze przyznawał mi rację, zawsze moje wnioski popierał i zawsze mogłem liczyć na jego pomoc w moim działaniu. Wystąpiło to nawet w konfliktach, które — jak we wszystkich dziedzinach życia — przytrafiały się także i w „Świcie”.

Sprawa znalezienia jeszcze jednego pracownika została niemal całkowicie załatwiona. Zgłaszano różne kandydatury, ja zaś przypomniałem sobie, że mam przyjaciela, który z pewnością będzie się świetnie nadawał do „Świtu”.

Był nim Tadeusz Kochanowicz.

W swoim czasie — w czasie rozłamu w „Legionie Młodych” — znaleźliśmy się w przeciwnych sobie grupach. Kochanowicz stanął przy Zbigniewie Zapasiewiczzu, podczas gdy ja — przy Leonie Stachórskim. Kochanowicza spotykałem podczas bardzo naszych zażartych bojów, spotykałem też i po zwycięstwie naszej grupy. Zachowaliśmy dobre wzajemne stosunki, ale nie odznaczały się one ani specjalną serdecznością, ani bliskością. Potem dowiedziałem się, że Tadeusz Kochanowicz był deportowany do Sowietów, ale szczęśliwie przetrwał obóz, wyszedł na wolność i z Korpusem Andersa czy też nawet jeszcze przedtem wy dostał się z Rosji. Do Wielkiej Brytanii Kochanowicz przyjechał zdaje się w roku 1942. W każdym razie spotkałem się z nim jesienią tegoż roku w Glasgow, dokąd przyjechał do mnie wraz z Karolem Dorwskim, b. artystą warszawskiego Teatru Polskiego. Obaj byli w Brygadzie Spadochronowej.

Nie wiedziałem, czy Kochanowicz umie pisać. Ale wiedziałem, że wystarczy, aby spędził i przepracował w „Świcie” ze dwa tygodnie, a będzie miał wszelkie atuty w rękę. Będzie świetnym kierownikiem programowym, będzie umiał wybrać materiał i potrafi dobrać argumentację dla artykułu wkładając weń całą siłę wewnętrznego przekonania. To było jedynie ważne.

Otóż i tutaj muszę znowu podkreślić z całym uznaniem, że Stanisław Mikołajczyk doskonale wiedział o przeszłości politycznej Tadeusza Kochanowicza i jego skłanianiu się do PPS, a mimo to nie tylko nie robił żadnych wstrętów, lecz chętnie na tę kandydaturę się zgodził.

Rozmowy wstępne z Kochanowiczem prowadził Mikołajczyk. Nie ja. Może zresztą przejął je z ramienia Mikołajczyka Thugutt.

Nie wiem tego; wiem natomiast, że Kochanowicz przyjechał do „Switu”, rozejrzał się w sytuacji bardzo szybko, a potem spotkał się w Londynie. I tam powiedział mi, że zgodził się przyjść do nas. Zapytany o datę, wybrał bardzo dla mnie wymowną: 13-go maja.

Przedtem miał jakieś zobowiązania i trudno mu było je cofnąć. Mogło to być prawdą, bo Kochanowicz gotował się do skoku w Polsce. Z całą pewnością musiał przed przyjściem do nas uregulować swoje sprawy wojskowe. Mogły one wymagać nawet wyjazdu do Brygady Spadochronowej do Szkocji.

W każdym razie dla mnie wybór 13-go maja był wskazówką, że Kochanowicz chce uniknąć audycji, jaką na pewno nadam w rocznicę śmierci Marszałka Piłsudskiego. Ale nie wyprzedzajmy wypadków. I to tym bardziej, że „Swit” pobił w międzyczasie — jak sądzę — wszystkie rekordy znakomitej obsługi.

Było to pod koniec marca, ale nie zanotowałem sobie tej daty, chociaż właściwie zasługiwała na to. Audycję już napisaliśmy i właśnie wszyscy trzej wsiadaliśmy do samochodu, aby jechać do studia, kiedy przed dom zajechał kpt. Janusz Tyszkiewicz. Miał dla nas wiadomość. Mianowicie, że dzisiaj w Warszawie został wydany dodatek specjalny do gadzinowego „Nowego Kuriera Warszawskiego”, zatytułowany „Hiszpania weszła do wojny”, a w dalszej treści słowa: „ale co to nas obchodzi? Obchodzą nas natomiast polskie Siły Zbrojne na Zachodzie”. Dodatek nadzwyczajny był w całości poświęcony naszym Siłom Zbrojnym na Zachodzie.

Dla „Switu” sprawa ta miała znaczenie olbrzymie, bo w Warszawie sprzedaż tego dodatku rozpoczęła się dopiero o godzinie 15-ej. Jeżeli więc już o godzinie 19,15 nadamy wiadomość o tym w naszej audycji, nikt nie będzie mógł mieć wątpliwości, że nadajemy z okupowanej Polski.

Oczywiście wiedziałem, że nie mogło być inaczej tylko, że nasze ministerstwo Spraw Wewnętrznych przygotowało tekst i było doskonale poinformowane, że taki dodatek nadzwyczajny ukaże się. W dniu zaś, kiedy się istotnie ukazał, z Warszawy nadano umowną depezę potwierdzającą. Bo gdyby tegoż dnia miała przyjść dopiero treść wydanego w Warszawie dodatku w Londynie nie zdążono by odszyfrować depezy, a cóż dopiero przysłać naszego łącznika aż pod Bletchley.

Jeszcze w samochodzie zrobiłem krótką notę, którą w drodze wyjątku Brysson pozwolił dopiero po powrocie z nagrania napisać w trzech egzemplarzach i włączyć do audycji.

Nie było mowy, abyśmy mogli tegoż dnia dokładnie omówić cały ten wypadek — nie mieliśmy już czasu na napisanie tekstu.

Mimo to rozegraliśmy sprawę bardzo zgrabnie: przy nagrywaniu audycji wieczornej wykluczaliśmy z niej Straszewicza. Ja zaś ograniczyłem się jedynie do podania krótkiej wiadomości, że dzisiaj w Warszawie wydarzyła się taka historia, oraz że dodatek został natychmiast rozsprzedany na oczach nic nie rozumiejących Niemców.

Przez czas nagrywania przez nas audycji wieczornej Czesław Straszewicz pracował i w dużym stopniu rozszerzył mój komunikat, podając go w audycji przeznaczony na rano dnia następnego. Równocześnie zaś Świetlik zapowiedział że wieczorem podamy dokładny reportaż z przebiegu sprzedaży w Warszawie tego dodatku do „Nowego Kuriera Warszawskiego”. W ten sposób Straszewicz wygrał 24 godziny dla napisania reportażu. Zrobił to w sposób mistrzowski. Wyczuwało się wręcz miejsca w Warszawie, które sobie dla akcji wybrał, nie nazywając ich po imieniu. Widziałem gazeciarzy warszawskich, widziałem malców wskazujących i wyskakujących z przepelnionych tramwajów, promienny uśmiech przechodniów... wszystko to się widziało, słuchając znakomitego reportażu Czesława.

Wybuchła sprawa katyńska.

Dla mnie miała ona o tyle większe znaczenie, że pochodzę ze Smoleńska i lato w r. 1919 spędziłem na niewielkim folwarku, który bezpośrednio sąsiadował z Borkiem Aleksandra Lednickiego. Kiedy dowiedzieliśmy się o odkryciu przez Niemców zbiorowych grobów rozstrzelanych oficerów polskich, byłych sowieckich jeńców wojennych, nikt z nas — oczywiście — nie miał wątpliwości, że Niemcy mówią prawdę. Na próżno starałem się dodzwonić do Mikołajczyka. Thugutta też nie można było złapać w ministerstwie. Świetlik całe godziny tracił przy telefonie całkiem bezskutecznie. A działać trzeba było natychmiast. Bo takiej sprawy „Świt” nie mógł pominąć milczeniem. „Świt” musiał się wypowiedzieć. I to tego samego dnia, kiedy Niemcy ogłosili swoją strasliwą wiadomość.

„Świt” musiał zająć zdecydowane i wyraźne stanowisko. Instrukcji zaś nie mieliśmy żadnych.

— Niech pan całą audycję poświęci tej sprawie — zwrócił się do mnie Brysson...

— Jakie mam zająć stanowisko? Powiem coś, co potem będzie zdezawuowane przez czynniki krajowe, albo przez rząd w Londynie...

— Ja jestem gotów powiedzieć to, co nie będzie zdezawuowane — wtrącił Straszewicz.

— Co powiesz?

— Trzeba powiedzieć, że te skurwysyny sowieckie wymordowały bezbronnych jeńców...

Nie zdołaliśmy nawet w tak ciężkich okolicznościach powstrzymać śmiechu. Ale taki właśnie był Czesław Straszewicz. Polityka, dyplomacja, skutki jego własnego sformułowania nie obchodziły go wcale. Czesława obchodziła tylko i wyłącznie prawda. Docierał zawsze właśnie do tej prawdy; poprzez swoją świetną wyobraźnię, nastawioną wyłącznie na jej odnalezienie. I nie mylił się niemal nigdy. Miał mnie o tym przekonać wkrótce największy w moim pojęciu sukces Czesława i „Świtu”. Na razie jednak trzeba było zająć się sprawą katyńską...

Zrobiłem to — oczywiście — ja.

Nie warto teraz powtarzać rozumowania. Natomiast warto powiedzieć, że niezwykle spokojny artykuł zawierał w gruncie rzeczy wyłącznie jedną myśl: „klucz do rozwiązania tajemnicy Katynia znajduje się w rękach Moskwy”...

— Jaka tajemnica? — ryczał Czesław. — Nie ma tu żadnej tajemnicy. Zamordowano tysiące bezbronnych jeńców wojennych. Zrobili to Rosjanie. Trzeba to stwierdzić przede wszystkim...

Ale „Świt” tego nie stwierdził. Stwierdził natomiast, że wiadomość ogłoszona przez Niemców, przekracza możliwości sprawdzenia jej przez samych Polaków. Bez sprawdzenia zaś — Polacy nie chcą jej wierzyć. A równocześnie wierzą, że wobec tak ciężkiego oskarżenia, jakie Niemcy rzucili w twarz Rosjanom, sprawa zostanie zbadana od podstaw i że zrobi to Związek Sowiecki. Ponieważ zaś w chwili obecnej nie sprawuje władzy nad okupowanym Smoleńskiem i Katyniem, przeto będzie umiał chyba znaleźć właściwą drogę dla wyjaśnienia straszliwej tajemnicy lasku katyńskiego. Istnieje bowiem Międzynarodowy Czerwony Krzyż, który będzie mógł dotrzeć do Katynia. I istnieje Watykan, którego komisja również może cieszyć się powszechnym zaufaniem, jeśli Sowiety zwrócą się do Watykanu z prośbą o powołanie do życia tego rodzaju komisji złożonej z ekspertów medycyny sądowej. Ale zwrócić się powinny Sowiety.

Mnie chodziło o to, aby — broń Boże — nie dać Moskwie żadnych podstaw do zerwania stosunków dyplomatycznych z rządem polskim w Londynie, na co już się zanosilo. Widać było, że Sowiety czyhają na każdy pretekst.

Kiedy napisałem ten trudny i, za mojej kadencji w „Świcie”, najdłuższy artykuł w naszych audycjach, odczytałem go bardzo wolno kolegom w obecności Bryssona, który robił co było w jego mocy, aby mieć stały kontakt ze swoimi władzami angielskimi. Przyznaję otwarcie, że bez Bryssona nigdy nie wpadłbym na pomysł sugerowania ewentualnego zaangażowania Watykanu

do powołania komisji ekspertów. Brysson rozumował słusznie, że nie należy sugerować wyłącznie jednego rozwiązania, jakim był ewentualne wysłanie na prośbę Sowieców komisji ekspertów przez Międzynarodowy Czerwony Krzyż.

Kiedy skończyłem odczytywanie artykułu, Straszewicz uroczyście oświadczył:

— Nie tylko, że się nie zgadzam z takim postawieniem sprawy, ale wręcz najoficjalniej w świecie protestuję przeciw nadaniu tego artykułu w naszej audycji.

— A ty co powiesz? — zwróciłem się do Świetlika.

— Janusz jest odpowiedzialny za całość polityki „Świt” — powiedział. — Jeżeli nie mamy żadnych instrukcji, a Janusz uważa tego rodzaju sformułowanie za słuszne i konieczne, zgadzam się z nim. Janusz też poniesie całkowitą odpowiedzialność za ewentualne skutki.

— To jest jasne. Nie uchylałem się nigdy od odpowiedzialności.

Artykuł został nadany, nagrany moim głosem. Towarzyszył mi tego dnia do studia Świetlik, bo Czesław wyjechał do Londynu na swoje dwa dni wolne od pracy. I wiem z późniejszych opowiadań zarówno Czesława, jak i Thugutta, że próbował rozjeździć się z nowym przydziałem. W ministerstwie Spraw Wewnętrznych powiedział, że poza sprawami osobistymi, nie zgadza się ze mną również i politycznie. Ale nie powiedział, że ta niezgoda jest spowodowana stosunkiem do zbrodni katyńskiej.

Po powrocie Czesława z Londynu byłem zgnębiony całkowicie. W międzyczasie bowiem rząd polski ogłosił swój, spreparowany przez prof. Kota, komunikat który domagał się natychmiastowego śledztwa i wysłania komisji Międzynarodowego Czerwonego Krzyża na miejsce zbrodni. Komunikat ten jednak nie sugerował tej akcji Sowiecom, ale żądał w imieniu Rzeczypospolitej, aby Międzynarodowy Czerwony Krzyż powołał do życia komisję ekspertów. „Świt” zaś zostawiał „klucz” do rozwiązania sytuacji w ręku Sowieców, sugerując im jedynie, że „ponieważ Katyń jest obecnie okupowany” przez Niemców, nie mogą sami przeprowadzić miarodajnego śledztwa. I dlatego mogą i powinni żądać, aby w ich imieniu zrobił to Międzynarodowy Czerwony Krzyż, lub Watykan.

Różnica jest aż nadto widoczna nawet dla laików dyplomatycznych.

Tryumf Czesława nade mną nie trwał długo. Zaledwie 48 godzin. Czesław po powrocie z Londynu przesiedział wśród nas posępny jak noc przez cały dzień, nie chciał nawet grać w bridge'a z dziadkiem i poszedł wcześniej spać. Pewno czytał nie wiadomo

już po raz który „Trylogię”, której był w przeciwieństwie do mnie namiętnym wielbicielem.

Nazajutrz zaś rano, kiedy już ustaliliśmy program na dzień bieżący, odezwał się telefon. Przyjął go — jak zawsze — Brysson. Dopiero potem zawołał Świetlika. Dzwonił Thugutt, aby nas poinformować, że przyszła depesza szyfrowa z Warszawy. Depesza zawierała „gratulacje dla 'Świtu' za stanowisko zajęte w sprawie katyńskiej”.

Brysson miał w oczach łzy rozczulenia. Czesław zaś powoli wstał z miejsca, podszedł do mnie i wyciągnąwszy rękę, powiedział:

— Gratuluję ci z całego serca. Nigdy się tego nie spodziewałem. Miałeś rację!

Uścisnęliśmy się najserdeczniej. I ciężka atmosfera została ponownie rozładowana. Tym razem na czas dłuższy. Bo też sukces katyński był niewątpliwie większy od sukcesu z nadzwyczajnym dodatkiem do „Nowego Kuriera Warszawskiego”. Życie w „Świcie” wróciło do normy.

Rano ustalaliśmy zajęcia, jakie nas tego dnia czekają, po czym Świetlik zasiadł do studiowania olbrzymiego pierwszego „tomu” nasłuchu stacji radiowych całego świata. Drugi tom przywożono nam po południu. Przywoził go cywilny motocyklista wraz z pocztą dla nas. Ta pocztą była zresztą mizerna. Otóż w tym czasie, kiedy Świetlik wczytywał się w wiadomości, z których mogliśmy korzystać, a ja już zaczynałem wystukiwać na maszynie pierwszy z kilku tematów do audycji wieczornej, Straszewicz zwykle wychodził do parku.

Poza tym miał pewne dziwactwo dotyczące ustawienia stolika, przy którym pracował. O ile i Świetlik i ja mieliśmy nasze stoły zwrócone ku środkowi pokoju, aby móc w każdej chwili porozumiewać się ze sobą, Czesław ustawił swój stolik tyłem do nas. Poza tym starał się zawsze postawić stół przed oknem, lub nawet przed drzwiami na zewnątrz. I w „W.W.1” miał przed sobą właśnie oszklone drzwi, prowadzące bezpośrednio do parku.

Podczas pracy Czesław nie rozmawiał z nikim. Przyjmował temat i koniec. Chodził po parku dłużej, czy krócej, co było obojętne, bo i tak przed audycją swój temat oddawał. Niezawsze wychodziło mu świetnie. Ale zawsze wychodziło dobrze. Zwykle ostatni kończył swoje 15 czy 20% wkładu do audycji. A zdarzało się, że kończył dopiero niemal, tuż przed wyjazdem, kiedy ja miałem swoje 80% tekstów dawno napisanych, ustaloną kolejność nadania w audycji, zjedzone śniadanie, godzinę lub więcej

drzemki (kładłem się całkowicie rozebrany do łóżka) i przychodziłem z piętra na podwieczorek.

Praca Świetlika była znacznie mozolniejsza. Tu trzeba bardzo mocno podkreślić, że nie mieliśmy w „Świcie” żadnych materiałów. Wszystko, cośmy płodzili, płodziliśmy z głowy. Tematyki dostarczały wydarzenia polityczne, albo jakieś specjalne wypadki, o których dowiadaliśmy się z depeesz naszego korespondenta z Polski. Równocześnie jednak nie mogliśmy korzystać z wiadomości, jakie przynosiła brytyjska lub polska prasa londyńska. Zasadą bowiem było, iż prasa ta nie dochodzi do okupowanej Polski. Automatycznie więc nie dochodzi i do nas, udających, że żyjemy i pracujemy w warunkach okupacyjnych. Toteż zdarzało się, że uznając temat, znaleziony w prasie za bardzo dla nas odpowiedni, prosiliśmy Bryssona, aby spowodował nadanie wiadomości przez radio. I dopiero potem mogliśmy ten temat uwzględnić w naszych audycjach. Takie prowokowanie nadania przez radio brytyjskie wiadomości, idących nam na rękę, nigdy za moich czasów nie napotkało nawet na najmniejsze trudności ze strony angielskiej. Często jednakże Brysson radził, aby wiadomość nadali Polacy w ramach swojej audycji, czy w ramach działalności „Radia Polskiego na fali Londynu”. Wówczas sprawa przewlekła się nieco, bo musieliśmy łączyć się z Thuguttem, podawać jemu wiadomość i tłumaczyć, jakbyśmy chcieli widzieć jej nadanie, następnie Thugutt powodował zainteresowanie tą wiadomością Radia Polskiego i dopiero potem wiadomość spadała z anteny. Natomiast mogliśmy korzystać ze wszystkich wiadomości, jakie nadała jakakolwiek stacja radiowa na świecie. Oczywiście nie mieliśmy własnego nasłuchu. Ale miała go B.B.C. I wydawała wspomniane dwa „tomy” dziennie. Wiadomości były podane w sposób doskonały. Zawsze z powołaniem się na stację nadawczą oraz godzinę i język nadania.

I my również, aby uniknąć podejrzeń o działanie z Wielkiej Brytanii, powoływaliśmy się na źródło, jeżeli korzystaliśmy z jakiejś wyjątkowej wiadomości, podanej jedynie przez jedną — i to odległą i mało słuchaną — stację egzotyczną. Zdarzało się, że były to np. stacje południowo-amerykańskie, jeżeli nadawały na falach krótkich. Zdarzało się, że powoływaliśmy się na najbardziej odległe stacje w Azji czy Afryce...

Otóż zadanie wyszukiwania dla nas tych wiadomości spoczywało wyłącznie na Stefanie Świetliku. On był naszym biurem „dokumentacji”. Czasami Thugutt przywoził nam rozmaite opracowania z Polski lub dotyczące wydarzeń w Polsce. Przeważnie jednak dostawaliśmy siłą rzeczy te dobrze robione i dokładne opracowania za późno i nie mogliśmy ich używać w audycjach,

gdyż były już nieaktualne. A przecie codziennie nadająca stacja krajowa musiała utrzymywać aktualność!

Fatalnie też przedstawiała się sprawa z książkami. Straszewicz miał „Trylogię”. Trzeba przyznać, że trudno mu było czerpać stamtąd dokumentację dla reportaży z działań w drugiej wojnie światowej.

Ja miałem kilka książek wydanych w Londynie. Ich ozdobą był „Pan Tadeusz”. Ale mógł przydać się tylko w tym samym stopniu, co „Trylogia”.

Tymczasem zbliżał się 3-ci maj. Dzień ten chcieliśmy specjalnie uczcić, tym bardziej, że z depeš krajowych orientowaliśmy się, iż zaczynamy być słuchani.

Audycja poranna już od dość dawna zmieniała charakter — zaniechaliśmy dyktowania naszych argumentów na użytek polskiej prasy podziemnej. Zaczęliśmy natomiast powtarzać rano celniejsze artykuły z audycji wieczornej, oraz dawaliśmy artykuły specjalnie, pisane na rano przeze mnie, lub felietony poranne, których autorem był Czesław. Powtórki z audycji wieczornej nie przekraczały rano 33%. Dwie trzecie zaś audycji porannej stanowił materiał świeży. Jako zasadę stosowałem unikanie najświeższej aktualności w audycjach porannych. Bo ponieważ nagrywaliśmy je po południu w przededniu nadania, obawiałem się, iż wydarzenia mogły wybiec przed nasze informacje i wnieść coś zupełnie nowego i nieoczekiwanego.

Jednakże w takich wypadkach, jak np. zajęcie stanowiska w sprawie katyńskiej, audycja poranna była powtórzeniem w całości artykułu nadanego w audycji wieczornej. Tyle tylko, że dla porannej nagrywałem go jeszcze raz. Najczęściej zresztą stosowaliśmy zasadę, że jeżeli jeden z nas czytał artykuł dla audycji wieczornej, to ten sam artykuł na rano czytał ktoś inny.

Sprawę czytania artykułów rozkładaliśmy nie według autorstwa, ale według tego na czyj głos artykuł najwięcej się nadawał. I dlatego bardzo często zdarzało się, że nie autor czytał przed mikrofonem. Czesław Straszewicz na przykład często prosił mnie o odczytywanie swoich tekstów. Ja ze swej strony również dawałem moje teksty do czytania kolegom.

Na pewien czas przed 3-cim maja zostaliśmy zawiadomieni, że w Warszawie czyni się przygotowania, aby którąś z naszych audycji włączyć w sieć niemieckich „szczekaczek”. Mieliśmy nawet pewne szczegóły, a mianowicie, że takie włączenie do „szczekaczek” mogłoby się odbyć na placu Wilsona na Żoliborzu. Zapytani przez Thugutta co o tym myślimy, oczywiście przyjęliśmy projekt z entuzjazmem, proponując dzień 3-ci maja na tego rodzaju audycję.

I tu bardziej, niż zwykle, dał się odczuć brak jakichkolwiek materiałów i biblioteki. Co mogliśmy wybrać na dzień Święta Narodowego?

Nie chcieliśmy nudzić naszych słuchaczy, tym bardziej, że liczyliśmy iż usłyszawszy w „szczekaczkach” inne głosy i inny program, przechodnie zaczną przystawać... Trzeba więc było wybrać coś, co nie byłoby ani za krótkie, ani za długie.

A wybierać nie mieliśmy z czego...

Czas zaś nagiął.

I ostatecznie stanęliśmy na fragmencie z „Irydiona”. Wybrałem scenę Irydion-Ulpianus.

„Powiedźcie głuchemu i ślepemu kto wrogiem waszym”.

— „Roma, Roma”.

„Kto nektarem łez i nektarem krwi upił się, jako Bóg piekiel”...

Irydionem byłem ja, Ulpianusem zaś Czesław Straszewicz.

Dla uczczenia naszego święta narodowego uzyskaliśmy od Brytyjczyków w dniu 3-im maja trzecią audycję, która miała być nadana o godzinie 14,30 czy też o 15,00. Wybór godziny spowodowany był ewentualnością włączenia nas w szczekaczki niemieckie na placu Wilsona w Warszawie. Trudno bowiem było wymagać aby słuchano nas na ulicy o godzinie 9-iej lub o 19-iej, kiedy ludzie zaczynali już wracać do domów.

Nie pamiętam ile odbyliśmy z Czesławem prób. Było ich sporo. I chociaż ani Czesław ani ja nie umieliśmy naszych ról na pamięć, byliśmy bardzo solidnie przygotowani.

Aż wreszcie nadszedł dzień nagrania. Musieliśmy tego dnia w studio pozostać dłużej, bo dochodziła jeszcze trzecia audycja.

Studio zaś żyło swoim specjalnym, ostrym rytmem. Zdarzało się, że odjeżdżając sprzed ganku, widzieliśmy inny samochód, który przywoził inną ekipę. Oczywiście zdążyliśmy już poznać kilka przydzielonych do tej służby samochodów i zapamiętać twarze kilku szoferów. Wiedzieliśmy więc, że samochodem tym zajechała ekipa jakiegoś innego „Świtu”. Zdarzało się też, że następna po nas ekipa już wjechała przed studio, zanim zdołaliśmy je opuścić. I wówczas Anglicy zatrzymywali nas w bocznych pokojach, wprowadzając przyjezdnych do studia, tak by nas nie widzieli.

Nagranie „Irydiona” było „historyczne”. Pierwsze nagranie — dla audycji wieczornej — przeszło bez zarzutu, toteż Brysson wyszedł ze studia, gdzie bywał z reguły przez cały czas, często śledząc nawet tekst. Myśmy zaś z Czesławem musieli „Irydiona” powtórzyć do naszej audycji specjalnej, wyznaczonej na nazajutrz po południu. I tu stała się jakaś rzecz straszna. Usłyszałem w pew-

nej chwili, że Straszewicz zwalnia... Podniosłem na niego wzrok: — był purpurowo-siny. Przeraziłem się tak bardzo jego wyglądem, że automatycznie spojrzałem na szklankę wody, która w Wielkiej Brytanii zawsze znajdowała się w studio radiowym.

Ręka Straszewicza drżała, nie mogąc trafić do szklanki. Nalałem więc do niej wody, robiąc to oczywiście pod moim pulpitem, aby mikrofon nie uchwycił dźwięku, i podałem Czesławowi. Ledwie mógł szklankę utrzymać...

A tu — jak na złość — musieliśmy jak najprędzej kończyć nagranie, bo już nas uprzedzono, że następna ekipa narodowościowa przyjedzie bezpośrednio po nas.

Straszewicz dusił się. Zachłysnął się przy nabieraniu oddechu. To się nieraz zdarza. Ale wyglądał tak strasznie, że myślałem, iż ma atak sercowy.

Największym wysiłkiem woli — bez odkaszlnięcia — dokończył swoją kwestię. Na szczęście moja replika była tym razem długa. Wszedłem więc w rolę i umyślnie zwolniłem tempo, aby dać Czesławowi czas na opuszczenie studia i wykaszlanie się w korytarzu. Zdążył wrócić równie bezszelestnie, jak wyszedł. Wrócił na czas i z pamięci rozpoczął swoją kwestię, siadając równocześnie przed mikrofonem. Nieobecny w tym momencie w studio Brysson nie zauważył niczego nienormalnego, a Świetlik wierzył nam nie chciał, słuchając już nadania z anteny.

Nigdy nie dowiedziałem się czy włączono nas wtedy w „szkaczkę”, czy nie. Przypuszczam, że nie, bo bym znalazł potwierdzenie tego faktu w książce Stefana Korbońskiego „W imieniu Rzeczypospolitej”. Książka ta bowiem jest niemal w całości poświęcona „Świtowi”, którego warszawskim korespondentem był właśnie Stefan Korboński, o czym dowiedziałem się — oczywiście — dopiero w kilka lat po wojnie.

W każdym razie nagranie specjalnej audycji trzeciomajowej pozostało w mojej pamięci jako ewenement mający duże znaczenie. I chcę wierzyć, że Anglicy zachowali w swoich archiwach naszą płytę.

Ledwie minął trzeci maja, a już zaczynałem przygotowywać się do rocznicy śmierci Józefa Piłsudskiego. Jest to temat, któremu muszę się rzeczy poświęcić bardzo dużo miejsca, albowiem już po wojnie doszły mnie wiadomości o wrażeniu jakie moja audycja miała wywołać na Środkowym Wschodzie, a ponadto stała się ona powodem mego pierwszego podania się do dymisji. Dymisja ta wprawdzie została odrzucona, ale miałem wszystkie podstawy sądzić, że już nie mam nawet u Mikołajczyka tak wielkiego zaufania, jakie miałem do tej pory. Jeśli zaś chodzi o Mieczysława Thugutta, nie zmieniło się nic. Thugutt bowiem nigdy

ze swoimi poglądami wobec mnie się nie krył. Jeżeli miał do zrobienia jakąkolwiek uwagę, dotyczącą prowadzenia „Świtu”, mówił to bezpośrednio, nie owijając w bawełnę. Była to cecha, którą bardzo ceniłem i która w dużym stopniu przyczyniła się do stworzenia ze „Świtu” dobrej rozgłośni.

W wigilię 12-go maja major Brysson już po kolacji zwrócił mi uwagę, że jutro wypada rocznica śmierci Marszałka Piłsudskiego.

— Ja o tym pamiętam, panie majorze.

— Jak pan chce tę rocznicę uczcić?

— Myślę, że wystarczy jeden — wstępny — artykuł. Utrzymamy go w tonie serdecznym i ciepłym.

— Pan go chyba sam napisze i odczyta...

— Tak sądzę, ale jutro rano w naszej codziennej rozmowie o programie poruszę tę sprawę i jeżeli koledzy będą chcieli, aby to zrobił Czesław, nie będę się upierał.

I oczywiście nie chcieli. Ale ani Czesław ani Świetlik nie sprzeciwiali się nadaniu tego rodzaju artykułu. Napisałem go bardzo serdecznie, nagrałem swoim głosem i artykuł został nadany w dniu 12-ym maja 1943 roku w naszej audycji wieczornej.

Po kilku dniach dostałem od Mikołajczyka pismo z wymówkami, że naruszyłem lojalność przez nadanie tego artykułu.

Korzystając z mego normalnego wyjazdu do Londynu, poszedłem w którąś sobotę do Mikołajczyka i najformalniej w świecie złożyłem prośbę o dymisję, motywując ją zarzutem nielojalności, jaki mi postawił. Ale Mikołajczyk nie chciał ani mówić, ani słyszeć o mojej dymisji. Nie chciał też mówić o swoim do mnie liście. Odniosłem więc wrażenie, że list napisał „z obowiązku”. Wobec kogo?

Wydało mi się, że Mikołajczyk mógł spotkać się z uwagami np. Siudaka, lub Thugutta. Co do Siudaka, wątpię, bo nie dostawał kopii naszych audycji, Thugutt zresztą również jedynie o audycjach wiedział ale nie zawsze miał w rękę dokładne ich kopie. Miał je natomiast w prezydium Rady Ministrów dr Józef Retinger. Było więc rzeczą możliwą, że właśnie on zwrócił uwagę Mikołajczyka na mój okolicznościowy artykuł o Józefie Piłsudskim, oraz na wybitnie ciepły ton tego artykułu.

Ale wydawało mi się, że już dostatecznie poznałem dra Józefa Retingera do którego miałem — nawiasem mówiąc — wybitną sympatię. Widziałem w nim naprawdę inteligentnego człowieka.

Polski Londyn od zawsze szalał na temat Retingera. Myślę, że dlatego, że go nie znał, i znać nie mógł, ponieważ Retinger tak górował nad tłumem londyńskich Polaków, że punktu stycz-

ności szukałoby się chyba na próżno. Punktem styczności mogła być i była przynależność do tego samego narodu, ale to nie zawsze wystarcza. Chyba wszyscy mamy spore doświadczenie z życia zagranicą i wiemy, że wykorzenionymi czują się przeważnie ludzie prości, którzy najtrudniej adaptują się w środowiskach obcych, podczas gdy ludzie inteligentni — nie tracąc niczego ze swojej polskości — przystosowują się niezmiernie łatwo, znajdując sobie i towarzystwo i cele istnienia i rutynę codzienności życiowej. Rzeczą jasną jest, że dr Józef Retinger wrastał wszędzie, gdzie mieszkał, i nigdzie nie czuł się wyobcowany. Polski Londyn zaś w bardzo wielkim stopniu był malutkim gettem, żyjącym nie londyńskim życiem, lecz urojeniem. Mieszkanką rzeczywistości z tęsknotą. Bigosu z mgłą londyńską.

Wydawało mi się, że dra Retingera znałem dostatecznie. I dlatego nie wierzyłem, aby to on mógł Mikołajczykowi zwrócić uwagę na mój artykuł o Marszałku Piłsudskim. Zresztą samo zwrócenie uwagi nie spowodowałoby listu Mikołajczyka. Trzeba więc było szukać przyczyny gdzie indziej.

Nie bardzo miałem czas i ochotę zajmować się tymi poszukiwaniami, ale pod koniec wojny czy też po wojnie wpadła mi w uszy następująca wiadomość.

Generał Sikorski był w maju 1943 roku na Środkowym Wschodzie; naiwnie sądził, że podniesie nastroje wśród wojska i przechyli je na swoją korzyść. Przeprowadzając inspekcję rozmaitych oddziałów, trafił pewnego dnia do ośrodka zapasowego, czy jakiejś innej jednostki, gdzie m.in. przyjęto go obiadem. W czasie obiadu siedział naprzeciw gen. Wiatra, co świadczyłoby, że gen. Wiatr dowodził tą jednostką wojskową. Nie wiem ani gdzie to było, ani jaka to była jednostka i nic to mnie nie obchodzi. Natomiast obchodzi mnie wiadomość, jaka do mnie dotarła w Londynie. Otóż podczas tego żołnierskiego obiadu generał Wiatr miał zwrócić się do gen. Sikorskiego, mówiąc mu, że nastroje w kraju wskazują, iż tam istnieje kult Marszałka Piłsudskiego.

— Z czego pan generał to sądzi?

— Słyszałem audycję rozgłośni krajowej „Świt” w dniu 12-ym maja. Audycję tę rozpoczął artykuł poświęcony Marszałkowi Piłsudskiemu. Był to bardzo serdeczny i ciepły artykuł. To się czuło z głosu speakera.

— Możliwe.

— A pan generał wydał w wojsku zakaz grania „Pierwszej Brygady”...

Gen. Sikorski miał się uśmiechnąć i powiedzieć, żeby usta-

wiona pod namiotem orkiestra zagrała „Pierwszą Brygadę”, co zostało natychmiast i z entuzjazmem wykonane.

Jeżeli się przyjmie to opowiadanie za prawdę, wówczas jasne się stanie, że Sikorski wiedząc, iż „Świt” nadaje audycje z Anglii, telegraficznie kazał Mikołajczykowi wyciągnąć konsekwencje wobec „winnego”. Mikołajczyk list napisał, ja złożyłem podanie o udzielenie mi dymisji. I sprawa była załatwiona w sensie biurokratycznym. Mogła więc pójść ad acta.



Szał Polaków londyńskich na temat „Świtu” wówczas już mijał. Bo przez koniec marca i cały kwiecień Londyn wręcz szalał na ten temat. Pierwszą tego przyczyną był fakt, że polskie, doskonale wyposażone biuro nasłuchu na Mill Hill ani rusz nie mogło złapać naszych audycji. Wreszcie je złapało. I odtąd zdawano z nich sprawę w biuletynie nasłuchu Biuletyn zaś był rozdawany po wszystkich ministerstwach. I stąd bardzo wiele osób wiedziało nie tylko o istnieniu, ale też i o działalności „Świtu” dość szczegółowo. Rzecz jasna, że wiele osób zdawało sobie sprawę, iż w warunkach okupacyjnych nie może istnieć regularna stacja na fonię. Można od czasu do czasu nadać audycję, ale nie można nadawać regularnie dwa razy dziennie.

Wiedzieli o tym i Anglicy. I dlatego od czasu do czasu opuszczaliśmy jedną lub dwie audycje, przepraszając następnie naszych słuchaczy. Miało to robić wrażenie, że nie nadaliśmy audycji z powodu bliskiego niebezpieczeństwa. Bywało też i tak, że nie nadawaliśmy audycji przez dwa dni z rzędu. Ale wypadki tego rodzaju były bardzo rzadkie. Decydowaliśmy o nich wspólnie z Bryssonem.

Zaraz po naszej audycji w rocznicę śmierci Marszałka Piłsudskiego Kochanowicz zjechał do nas na stałe. Wprowadziłem go w robotę. Złapał ją z punktu, i jeszcze tego samego dnia napisał artykuł, który sam w studio nagrał. Nagrał zresztą wówczas nie tylko ten swój artykuł, ale także i kilka innych rzeczy. Zauważyłem wtedy ze zdziwieniem, że Tadziowi z lekka trzęsie się głowa. Wziąłem to początkowo za objaw tremy i nie dziwiłem się. Ale jeszcze tego samego wieczora przy bridge'u we czwórkę zauważyłem to samo. Nie była to już na pewno trema, ale skutek sowieckiego obozu w Workucie.

Kochanowicz był wówczas już niemal dwa lata na wolności, a jeszcze jadł u nas w „Świcie” rzodkiewkę razem z zielonymi łądkami i liśćmi, twierdząc, że są bardzo smaczne; jego orga-

nizm jeszcze ciągle potrzebował witamin w zwiększonej ilości.

Nawet Brysson, który widział bardzo wiele, bo był przydzielony do Pahlevi podczas przechodzenia Korpusu gen. Andersa z Sowietów do Persji, wzruszał się bardzo widokiem szczuplutkiego i drobnego Tadzia Kochanowicza; mówiąc o nim wielokrotnie ze mną, miał dosłownie łzy w oczach.

Kochanowicz zresztą od razu podbił nie tylko serce Bryssona, ale wszystkich.

Bardzo szybko wyczuł on, że coś nie klapuje między mną i Czesławem Straszewiczem, mimo, że obaj wzajemnie się cenimy. Początkowo nie mówiliśmy o tym, później przysłała przeprowadzka i na kilka dni stała się wydarzeniem, które zaćmiło wszystkie inne.

We wspaniałych warunkach na małej plebanii Czesławowi kiedyś nawaliły zęby. Należy przyznać, że Straszewicz nie był zbyt tęgiego zdrowia. Trzeba było Czesia odstawić do jakiegoś zaprzysiężonego dentysty. W każdym razie, zanim do niego pojechał, cierpiał. To było zrozumiałe. Ale nie chcieliśmy zrozumieć, dlaczego zaczął czepiać się innych. Oczywiście nie mnie, bo na pewno nie chciał zadrażniać nieco naciągniętych stosunków, ale zaczął się czepiać Kochanowicza. Było to podczas normalnej pracy, więc przy mnie. Burknąłem raz, warknąłem drugi, — nie skutkowało. Czesław wpadł w jakiś styl, którego ani przedtem ani nigdy potem u niego nie spotykałem: czepiał się rzeczy nieistniejących. A ponieważ moje warknięcia od biurka nie odnosiły najmniejszego skutku, wrzasnąłem. Wrzasnął więc i Straszewicz. Ale znowu nie na mnie, a na Kochanowicza. I wówczas złapałem popielniczkę z biurka i puściłem ją w Straszewicza. Uchylił się...

A ja natychmiast poszedłem do niego, aby go za to nieprzyzwoite zachowanie się przeprosić. Incydent był dla mnie więcej niż przykry i kłąłem na siebie w duchu znacznie bardziej i obrzydliwiej, niż koledzy mogli przypuszczać. Wiedziałem bowiem, że od tej chwili nie będę miał sumienia niczego od Straszewicza żądać w pracy. A żądać trzeba było, bo gdybym ja miał nadal w tym tempie i tyle pracować, jak dotąd, wykończyłbym się.

Incydent został zażegnany, zęby podleczone, Straszewicz wrócił do nas w normalnym, a więc dobrym humorze. Karta mu szła w bridge'a w dalszym ciągu. Kochanowicz wymyślił nową grę we trójkę. Licytowało się do otwartego dziadka z 12-tu kart, aby kupić cztery karty w przykupie i następnie rozesać wszędzie po jednej. Ponieważ zaś było nas czterech, więc graliśmy z wychodzącym, bo nas pociągał ten hazard przykupu. I oczywiście

skutek był zawsze ten sam. Płacił Stefan Światlik. Różnica polegała jedynie na tym, że dawniej płacił dużo Straszewiczowi, a trochę mniej, a teraz płacił nadal dużo Straszewiczowi, a mało i Kochanowiczowi i mnie.

I kiedy życie „świtowe” toczyło się całkowicie normalnie, któregoś dnia Kochanowicz poprosił Straszewicza i mnie na rozmówkę do ogrodu. Poszliśmy oczywiście jak najchętniej. Kochanowicz wywalił wtedy Straszewiczowi, że jest „próżniakiem”.

— Co ty tu robisz? Ile materiału dajesz? Jesteś na równych prawach z innymi, musisz więc dawać swój wkład mniej więcej jednakowy.

Straszewicz próbował się bronić.

— Przecież Janusz nic przeciwko temu nie ma...

— Jak to nie mam? Mam jak najbardziej. Diabli mnie od początku biorą, że dawałeś najwyżej 20% do audycji zamiast 50-ciu. Rozumiem, że 50% nie dasz, ale mógłbyś dać więcej. Dawaj teraz swoich 30% i nikt do ciebie nie będzie miał pretensji.

— W każdym razie ja będę robił właśnie 30% — zakończył Kochanowicz.

Upłynęło kilka dni w najlepszym porządku i zgodzie. Czesław bez najmniejszego wysiłku dawał około 30% tekstów, ja miałem czas na przemyślenie wielu innych rzeczy, odpocząłem, nie czułem się ani przez chwilę zmęczony, a Kochanowicz też ciągnął bez specjalnego wysiłku. I od tego czasu nie mieliśmy ani jednej, nawet najdrobniejszej scysji w naszym zespole.

— Czemuś mi nie powiedział, że chciałeś ode mnie więcej tekstów? — zapytał mnie kiedyś Czesław.

— Wydawało mi się to całkiem jasne; są rzeczy tak bardzo podstawowe, że ich nawet tłumaczyć nikomu nie należy. Podchodzę do sprawy pracy z punktu widzenia koleżeństwa i uważam ludzi, którzy się wałkonią, kiedy inni pracują — po prostu za złych kolegów. Pierwszym miernikiem koleżeństwa dla mnie jest wypełnianie swojej pracy w 100%. Jeżeli się pracy swojej nie spełnia, jest się złym kolegą wobec innych.

— Można i tak uważać. Ale wolałbym, abyś mi o tym powiedział wcześniej. Uniknęlibyśmy niepotrzebnych tarć. Cieszę się, że wszystko się wyjaśniło.

Niebo nad „Świtem” było istotnie bez chmurki.

Z błogostanu pogody ducha wyrwała nas wszystkich w „Świcie” wiadomość o potwornym morderstwie, jakiego Niemcy dopuścili się w Zbydniowie... Nasz korespondent warszawski przysłał obszerną wiadomość. Sprawą tą w „Świcie” zajął się Stra-

szewicz, przedstawiając ją znakomicie. Razem z reportażem o przebiegu nieszczęśliwego wesela w Zbydniowie, gdzie Niemcy zamordowali parę młodą i niemal wszystkich gości weselnych, nadaliśmy też po raz pierwszy oficjalny wyrok sądu podziemnego: wyrok śmierci na niemieckiego zarządcę majątku Zbydniów w województwie kieleckim.

Czesław Straszewicz kilkakrotnie wracał do zbrodni w Zbydniowie, ale zasadniczo czekaliśmy ciągle z Polski wiadomości o wykonaniu wyroku. Polskie zaś plutony egzekucyjne czy wykonawcy wyroku czekali na sposobność. Przytrafiła się ona znacznie później — już chyba pod jesień. W każdym razie zostaliśmy powiadomieni na czas. Nasz korespondent warszawski prosił zresztą, aby wiadomość o wykonaniu wyroku na jednej z ulic Lublina podać ustalonego dnia, ponieważ tego dnia wykonawcy będą słuchali w Polsce naszej audycji. Zrobiliśmy to bardzo pięknie. Szczegółów wykonania wyroku nam nie brakło. Czesław rozbudował to, jak należało, i odczytał sam przed mikrofonem. A potem ja wlażem z gratulacjami dla wykonawców wyroku. Było ich dwóch. Byli to młodzi ludzie, którzy w Zbydniowie w czasie morderstwa ukryli się pod podłogą na strychu. I w ten sposób uratowali się. Znacznie później, bo w kilka lat po wojnie, poznałem jednego z nich. Nie mógł mi nic powiedzieć o wrażeniu z naszej audycji, bo — jak to stwierdza również i Stefan Korboński — coś stało na przeszkodzie i wykonawcy wyroku naszej audycji nie słyszeli.

W każdym razie zbrodnia w Zbydniowie otworzyła przed nami nowe możliwości, mające spore znaczenie dla codziennego życia w Polsce pod okupacją. Oto na skutek nadchodzących depesz z Polski ostrzegaliśmy od czasu do czasu niemieckich urzędników. Ostrzeżenia te były zazwyczaj utrzymywane w tym samym duchu: jeżeli nie zmienisz swojego postępowania wobec Polaków, nasze oddziały bezpieczeństwa zajmą się tobą. Po kilku tego typu ostrzeżeniach otrzymaliśmy z Polski wiadomości, że ostrzeżenia te skutkowały. Ostrzeżenia dotyczyły w pierwszym rzędzie okręgu radomskiego. Takich ostrzeżeń nadaliśmy sporo.

Polska prasa emigracyjna przestała się nami interesować w tym stopniu, co na wiosnę, ale to nie znaczy, że o nas nie pisała. Z wielką przyjemnością przeczytaliśmy kiedyś artykuł Wiktora Budzyńskiego, ogłoszony przez „Polskę Walczącą”. Budzyński pojechał do północnej Szkocji. A tam już słysząc nas było dobrze, i złapał „Świt”. Posłuchał nas jednego, drugiego i trzeciego dnia. I przyszedł do wniosku, że mamy tak bardzo starannych speakerów, iż warto napisać o nich cały artykuł, który był od początku do końca atakiem (słusznym) na niechlujne speakerowanie Po-

laków w B.B.C. i jeszcze słuszniej w stosunku do audycji Radia Polskiego na falach Londynu.

Rzecz prosta, że Wiktor Budzyński, stary wyjadacz „Lwowskiej Fali”, podkreślał potwornie ciężkie warunki, w jakich pracują „ci biedacy” w okupowanym Kraju (przez wielkie „K”), ryzykując w każdej chwili życie...

Część artykułu, mówiąca o okolicznościach naszej pracy, wywołała w „Świcie” oczywiście tylko uśmieszki. Ale część, w której „człowiek radiowy”, ocenił dodatnio naszą pracę z fachowego, speakerskiego punktu widzenia, była dla nas wielką zachętą i bodźcem. Była poza tym pierwszym (na nasze szczęście wcale nie ostatnim) głosem publicznym, stwierdzającym, że umiemy robić swoją robotę.

Czerwiec roku 1943 był chyba ostatnim okresem w moim — jakże długim! — życiu emigracyjnym, kiedy miałem jeszcze nadzieję. Przestałem już wierzyć w możliwość utrzymania przy Polsce Ziemi Wschodnich, wierzyłem jednak, że Ziemi te będą okupem, jaki zapłacimy Sowiетom za błąd w sprawie katyńskiej. Wierzyłem bowiem jeszcze ciągle, że Polska będzie po wojnie niepodległa. Później przestałem i w to wierzyć...

Praca w „Świcie” szła świetnie, rutyna zrobiła już swoje, docierając ostatecznie cały mechanizm.

Do „Świtu” przyjeżdżać też zaczęli dość często goście. Przeważnie byli nimi Brytyjczycy, pracujący w „black Propaganda”. Najczęściej przyjeżdżał Mac Laren, który później został usunięty ze swojego stanowiska. Miałem wrażenie, że nastąpiło to na skutek zasadniczej różnicy poglądów między nim, a oficjalną polityką brytyjską, która w owym czasie przygotowywała konferencję w Teheranie.

Te przygotowania dały się i nam odczuć. Brysson coraz częściej wywoływał rozmowę o planach przyszłego opanowania Europy. Czulo się zresztą, że wojna wchodzi w końcową fazę. I co ciekawsze — rozważając możliwości skutecznego działania, Brysson niemal zaraz po klęsce niemieckiej w Afryce, a więc jeszcze w maju 1943 roku, podsuwał nam myśl o zaniechaniu kampanii we Włoszech na rzecz desantu w Grecji, aby od Bałkanów wkroczyć do Europy Środkowej. W „Świcie” długo zajmowała nas sytuacja we Włoszech i stała się przez pewien czas głównym tematem naszych artykułów wstępnych. Bardzo wczesnie zaczęliśmy przebąkiwać nawet w naszych audycjach o ewentualnym ustabilizowaniu się frontu we Włoszech. O desancie w Grecji oczywiście nie mówiliśmy wcale, ale z rozmów z Bryssonem, Mac Larenem i Suttonem, który zajmował wysokie stanowisko zastępcy szefa wydziału „czarnej propagandy” przy Edenie, wynosiłem

przekonanie, iż wyzwolenie Europy Środkowej pójdzie poprzez Bałkany. Cieszyłem się z tego, gdyż widziałem tu możliwość niedopuszczenia wojsk sowieckich do serca Europy.



Zakończenie kampanii w Tunisie w pierwszej połowie maja 1943 r. otworzyło pewne możliwości także i przed polskim uchodźstwem wojennym. W „Afrika Korps” nie mało było Polaków ze Śląska i Pomorza wcielonych do niemieckich sił zbrojnych. Wielu z nich skorzystało z możliwości poddania się alianantom, a wielu po prostu dostało się do niewoli, deklarując natychmiast, że są narodowości polskiej. Wówczas — niestety — nie miałem o tym pojęcia, dopiero później, będąc już korespondentem wojennym w Marynarce Wojennej, poznałem takich chłopców. Opowiadali bardzo ciekawie o życiu pod okupacją. Tego typu opowiadania przydałyby się niesłychanie „Świtowi”, który w owej epoce nie dysponował tego rodzaju ludźmi. Natomiast trzeba podkreślić, że ministerstwo Spraw Wewnętrznych zawsze starało się skontaktować nas z każdym przyjezdnym z Polski. Nie było to łatwe wobec konieczności utrzymywania tajemnicy „Świtu”. Najprościej byłoby — oczywiście — spotkania takie odbywać w Londynie, ale nie mogliśmy zamykać „Świtu” na kłódkę i całą hurmą jechać do Londynu. Najwygodniej byłoby, gdyby taki gość z Polski mógł u nas przez dłuższy czas pozostać. Wówczas jednak należało z góry zrezygnować z tajemnicy „Świtu”, lub raczej tę tajemnicę rozszerzyć na większą, niż dotąd liczbę wtajemniczonych.

Straszewicz w swoim artykule o „Świcie”, ogłoszonym w swoim czasie w „Kulturze”, porusza tę sprawę, mogę więc potraktować ją nieco po macoszemu, potwierdzając jedynie to, co Czesław napisał. Otóż kiedyś do „Świtu” przyjechał jakiś kurier, świeżo przybyły z Polski do Londynu. Chcieliśmy wysłuchać jego referatu, aby potem zadać szereg pytań bardzo dla nas ważnych. Nie chodziło nam oczywiście o żadne wielkie sprawy polityczne, ale o barwę życia okupacyjnego. O szczególności, które pod piórem Czesława mogłyby nadać jego reportażom jeszcze większy blask świeżości.

Nasz gość tak bardzo nie orientował się w naszej robocie, że cały jego referat był chybiony. Kurierem tym był prawdopodobnie jakiś działacz ludowy z terenu o pomniejszym zasięgu i znaczeniu. Odnosiłem wrażenie, że jeszcze przed przyjazdem do „Świtu” ten człowiek ustalił sobie zdecydowany pogląd, iż ma do czynienia z przyszłymi zrzutkami spadochronowymi w Polsce.

I to ze zrzutkami, których zadania będą polegały głównie na sabotażu i walce wręcz. I pod tym kątem widzenia ustawił swój referat.

Nie odnieśliśmy z niego wielkich korzyści. Ale mieliśmy niewątpliwą atrakcję, rozumiejąc, iż nasz gość myli się co do nas w sposób zasadniczy. Straszewicz próbował wypytywać przyjeźdnego o pewne szczegóły życia w Polsce. Odpowiedzi natomiast padały wyraźnie pod kątem widzenia mylnie przewidywanej naszej roli. Oto na przykład opis kiosku z gazetami w Warszawie, kiosku, który każdy z nas znał na pamięć, a o którym chcieliśmy wiedzieć, czy kręcą się koło niego ludzie, czy stoją beczynnie, czy rozmawiają między sobą, słowem czy taki kiosk nie odgrywa czasem w okupowanej Warszawie roli wiejskiego kościółka, pod którym po mszy zbierają się w niedzielę mieszkańcy wioski na plotki i rozmówki.

Nasz gość zrozumiał inaczej. I odpowiedział, jak taki kiosk można wykorzystać w sensie przechowania tam ewentualnie granatów, które dopiero w ostatniej chwili rzuci się Niemcowi lub Niemcom pod nogi na chodniku. Mówił też, że kiosk może być osłoną dla strzelca... słowem wszystko to, czego z całą pewnością nie użylibyśmy w naszych audycjach.

Janusz LASKOWSKI

(Dokończenie nastąpi)

W OBCYCH OCZACH

POLSKA NAZAJUTRZ PO I-SZEJ WOJNIE

W roku 1921 Francuski Komitet Przyjaźni z Zagranicą wydelegował do Polski i Czechosłowacji księdza Desgranges, który poprosił swego przyjaciela, doktora Lory, by mu towarzyszył. Opuścili oni Paryż w Poniedziałek Wielkanocny i zatrzymali się trzy dni w Berlinie, gdzie zostali przyjęci na audiencji przez p. Erzbergera, przywódcę katolików niemieckich, który w krótkim czasie po tej wizycie został zamordowany przez nacjonalistów.

1 kwietnia 1921

O godz. 2.30 przyjeżdżamy do Poznania. Przełożony wielkiego seminarium oczekuje nas i zabiera mnie do hotelu „Bazar”, podczas gdy ksiądz będzie nocował w seminarium.

Ksiądz Desgranges (1874-1958) był wybitnym mówcą i prelegentem. Nadzwyczaj uzdolniony w debatach kontrowersyjnych potrafił zawsze panować nad sobą nawet w dyskusjach publicznych najbardziej namiętnych. Miał on dar repliki i poczucie humoru, które wzbudzały oklaski tłumów. Odbył on we Francji przeszło trzy tysiące konferencji publicznych i debat. Wybrany na posła Vannes odegrał bardzo poważną rolę w Parlamencie, gdzie cieszył się ogólnym szacunkiem i oddał w wielu wypadkach jak największe usługi francuskiemu Kościołowi.

Doktor Georges Lory, urodzony w r. 1888, walczył zawsze w obozie chrześcijańskich demokratów. Po czterech latach wojny światowej, w której zasłużył sobie na odznaczenie „croix de guerre”, towarzyszył on księdzu Desgranges w jego podróży do Polski, wysyłając sprawozdania do „Journal des Débats”. Były internista szpitali paryskich, został mianowany po egzaminach konkursowych profesorem na Wyższej Szkole Medycznej w Limoges.

2 kwietnia 1921

O godz. 10-ej przybywam po księdza do wielkiego seminarium, gdzie przełożony częstuje nas nader obfitym śniadaniem. Siadamy następnie do powozu Kardynała-Arcybiskupa i jedziemy zwiedzić drukarnię i księgarnię Św. Wojciecha, które są wspaniale zorganizowane. Nadzwyczajny jest w szczególności dział typograficzny.

O godz. 1-ej obiad w wielkim seminarium. Następnie składamy wizytę biskupowi Mgr. Lubosmoki(?), który włada dość dobrze francuskim i przyjmuje nas z wielką uprzejmością.

Udaję się następnie sam do miasta na spacer. Bardzo ciekawy i charakterystyczny Ratusz. Na ulicy, prawie wszyscy przechodząc przed kościołami zdejmują nakrycie głowy i zegnają się. Na placu Ratuszowym znajduje się posąg Św. Jana Nepomucena, który podobno jest tu bardzo kochany.

O godz. 8-ej udajemy się na kolację do księżnej Ozniskiej (?) w karcie biskupa, który nam towarzyszy. Doskonała kolacja: przed każdym cztery szklanki, które lokaj w rękawiczkach napełnia kolejno herbatą, piwem i doskonałymi winami. Menu: 1) zupa; 2) paszteciki z drobiu i z mózdzkiem; 3) pieczeń z dzika ze słodką kapustą; 4) rodzaj dziwnego kremu. Dziesięć osób przy stole. Siedziałem obok bardzo wykształconej hrabiny, z którą rozmawialiśmy o polityce, literaturze angielskiej i nowoczesnej muzyce francuskiej. Według zwyczaju, po kolacji damy całują panią domu zaś panowie całują jej rękę.

Po kolacji, przyjęcie: przedfilowała cała arystokracja polska. Zostałem przedstawiony niezliczonej ilości panów we frakach i całowałem rękę wielu damom. Długo rozmawiałem z kancle-rzem, z dawnym posłem do Dumy, z wielkimi właścicielami ziemskimi. Są oni zadowoleni z plebiscytu śląskiego i na lepsze wyniki nie liczyli. Wszyscy mówią bardzo poprawnie po francusku. O godz. 11-ej biskup i ksiądz opuścili przyjęcie i ja pojechałem razem z nimi.

3 kwietnia 1921

O godz. 10-ej msza w kościele najbliższym mego hotelu. Głęboko pobożny tłum, Mężczyźni i kobiety klęcząc na kamiennym posadzku wysłuchują mszy z niesłabnącą uwagą. Przy konfesjonatach widzi się długie rzędy ludzi czekających na swoją kolej. Po spowiedzi całują oni rękę i stulę księdza.

O godz. 11-ej w towarzystwie księdza idę zwiedzić katedrę.

Tłum jest tak gęsty, że prawie nie można się posuwać. Boczne przejścia i kaplice są przepełnione. Stały tłok przy konfesjonatach.

Na ulicy wiele osób pozdrawia nas gdyż jesteśmy Francuzami.

O godz. 1-ej zostajemy przyjęci przez kardynała Dalbora. Jeszcze młody (53 lata), wybitnie sympatyczny. Wspaniały pałac, bardzo stylowe salony. Przyjęcie jak najserdeczniejsze. Menu: zupa, rzodkiewki, baranina faszerowana smażonymi w cukrze gruszkami, pieczone kurczę z marchewką, ciasto. I doskonałe wino Bordeaux. Nigdy wody na stole; poprosić o nią byłoby podobno niewłaściwe!

Ciekawa rozmowa, aczkolwiek kardynał wysławia się z trudnością po francusku. Przechodzimy na kawę do jednego z salonów i zostajemy do godz. 3-ej. Wychodząc, zostawiam księdza by przygotował swe przemówienie wieczorne i udaję się na spacer do miasta, by przetrwać te wszystkie barokowe dania.

O godz. 5.30 przyjęcie u księżnej Czartoryskiej, gdzie spotykamy prawie wszystkie osoby z dnia wczorajszego, wielu członków kolonii francuskiej, generała Dupont i konsula Francji.

Wieczorem o godz. 8-ej, w wielkiej sali uniwersytetu, pierwsza konferencja księdza. Liczne audytorium, sympatyczne i wyrozumiałe.

Przy wyjściu spotykam kapitana Lachouque, mego towarzysza z 16-go pułku dragonów, z którym razem walczyliśmy przez dwa lata i który wchodzi w skład francuskiej misji wojskowej. Idziemy na wspólną kolację do eleganckiego lokalu tego miasta.

4 kwietnia 1921

Udaję się na mszę i stwierdzam ze zdziwieniem, że jest prawie tyleż ludzi co poprzedniego dnia. Co prawda jest to okres wielkanocny.

O godz. 10-ej przyjeżdża po nas samochód. Opuszczamy Poznań przez starą, dość ciekawą, bramę. Naokoło znajdują się fortyfikacje wzniesione przez Niemców, które są właśnie w trakcie rozbiórki.

Dobrze utrzymane drogi. Przejeżdżamy przez małe miasteczka czyste i dobrze wybrukowane. Krajobraz jest monotony; pola, gdzie rośnie młode zboże, lasy sosnowe i od czasu do czasu skrzydła wiatraka. Spora ilość krzyży. Figury świętych, w szczególności św. Nepomucena i św. Wawrzyńca.

W towarzystwie prałata i markiza udajemy się do Midzynia, około 70 km. od Poznania. Po przyjeździe, około godz. 11.30, zwiedzamy sierociniec dla małych uchodźców ze Wschodu, pro-

wadzone przez zakonnice Dominikanki. Jedna z nich mówi trochę po francusku. Zwiedzamy sale sypialne, klasy, kuchnie jak również stodoły, w których wylegują się świnie i krowy. Dzieci całują nam ręce. Taki jest tu zwyczaj. Zakonnice lub też kobiety skromnego pochodzenia czynią to samo wobec księży.

Następnie posiłek z doskonałym wieprzowym salcesonem. Przed domem zgromadzono sześciuset pensjonariuszy. Wśród nich znajdują się tacy, którzy pochodzą z terenów zajętych w zeszłym roku przez bolszewików. Opowiadają nam, że w niektórych szkołach tworzyły się trybunały dziecięce, które sądziły swych nadzorców i skazały ich na śmierć, przy czym wyroki te zostały wykonane. Krótko mówiąc, dom do góry nogami!

Dzieci śpiewają ludowe pieśni polskie. Wołają „Niech żyje Francja!” Powiewamy kapeluszami i uśmiechamy się wszyscy zgodnie. Większość dzieci jest boso. Taki jest zresztą tutaj zwyczaj. Po wsiach widzi się wszystkie dzieci, a nawet duże dziewczęta i kobiety boso. Doskonały sposób, by zaradzić kryzysowi obuwia.

Entuzjastycznie żegnani przez tłum odjeżdżamy i przybywamy około godz. 1.30 do Gniezna, które posiada wspaniałą katedrę z grobowcami wszystkich arcybiskupów polskich tego miasta. Prałat katedry oprowadza nas po niej. Znajduje się tam nadzwyczajny skarb zawierający przeszło dwadzieścia kielichów lub też monstrancji z masywnego złota. Wyrażam zdziwienie, że nie zostały one skradzione. Następnie prałat długo pokazuje nam pięknie rzeźbioną bramę z brązu, którą Napoleon chciał zabrać do Francji, lecz nie mogąc temu podołać wobec jej rozmiarów i wagi, wyciął z niej mały kawałek. Czujemy się trochę zażenowani tym aktem wandalizmu, który wydaje się raczej pochlebiać naszym gospodarzom, gdyż tak żywy jest jeszcze kult Napoleona w całej Polsce.

Gniezno jest najstarszym miastem księstwa Poznańskiego. Pośrodku nawy podziwiamy grobowiec świętego Wojciecha, który czczony jest na tych ziemiach.

Zwiedzamy następnie kościół świętego Jana, położony na wzgórzu w środku miasta. Dopiero dwa lata temu odkryto tu pod warstwą wapna bardzo ciekawe freski z XIV wieku.

Następnie zostajemy przyjęci w pałacu prałata Laubitz, gdzie rozpoczęło się pamiętne posiedzenie. Jedliśmy kanapki i ciastka, lecz przede wszystkim piliśmy. W kieliszkach *ad hoc*, zachowując niebывałe środki ostrożności, podano nam: wino węgierskie z r. 1872, tokaj z r. 1832, wino z wysp Kanaryjskich z r. 1880, tokaj z r. 1811, miód — wszystko to ze wspaniałymi hawańskimi cygarami. Ach! jak ci poczciwi Polacy potrafią przyjmować!

Tak pokrzepieni udajemy się w drogę powrotną do Poznania. Rzucając ostatnie spojrzenie na miasto podziwiamy piękne, spokojne jezioro i wieże katedry. Wizja pokoju.

5 kwietnia 1921

O godz. 10-ej odwiedzam konsula francuskiego, pana Dufort. Uprzejmie przyjęcie. Udziela mi wyjaśnień o społeczeństwie. Twierdzi, że jedynie duchowieństwo skutecznie przeciwstawiło się germanizacji. Szlachcie zależy przede wszystkim na tym, by nie utracić swego majątku. Tytuły szlacheckie są w Polsce bardzo liczne, jest bowiem przeszło milion szlachciców na 30.000.000 mieszkańców.

O godz. 1-ej obiad u posła, prałata Adamskiego. Mieszka on w pobliżu katedry, w jednym z tych pięknych domów, które przeznaczone są dla kanoników. W jego domu mieszkał Napoleon.

Postać bardzo sympatyczna. Jest on przywódcą chrześcijańskich demokratów i jego wpływy w całym księstwie są bardzo wielkie. Chciano mianować go ministrem i wchodził w skład triumwiratu, który rządził Poznańskim w 1919 r. Wymienia on nam instytucje, które doskonale funkcjonują w księstwie: banki ludowe, spółdzielnie, parcelacja majątków i ich sprzedaż chłopom.

Jemy obiad. Obecny jest Mgr Łukowski. Zupa szczawiowa z jajkami, różne mięsa i różnorodne wina.

Następnie udaję się na zaimprovizowaną przechadzkę po mieście: muzeum, w którym oglądam kilka interesujących płócien, kościół Bernardynów, kościół Św. Józefa, Synagoga, Ratusz.

Wieczorem, o godz. 8-ej, druga konferencja księdza, olbrzymi sukces, następnie przyjęcie u księżnej Oznickiej(?).

6 kwietnia 1921

Zwiedzam muzeum sztuki znajdujące się przy hotelu „Bazar”, bardzo interesujące: zupełnie dobre kopie Botticellego, Murillo oraz oryginały Delaroche'a i Zurbarana, „Zdjęcie z krzyża” Rubensa. Studium młodej dziewczyny malarza polskiego Konrada Krzyżanowskiego specjalnie przyciąga moją uwagę.

Udaję się następnie do muzeum wojska, gdzie znajduje się drewniany posąg Hindenburga nabity gwoździami, które wbijano składając pięć marek.

O godz. 1-ej obiad u generała Dupont, szefa francuskiej misji

wojskowej. Bardzo przyjemne przyjęcie, dobra kuchnia francuska, która pozwala odpocząć od polskiej. Długo rozmawiam z konsulem.

O godz. 3-ej przyjęcie u Mgr Łukowskiego. O godz. 4-ej udajemy się z nim wozem do Malty. Jest to majątek 50-hektarowy odległy o jakieś dwa kilometry od miasta, nabyty drogą subskrypcji publicznej, przeznaczony na stworzenie ogromnego parku z terenami sportowymi, domami wczasowymi dla robotników oraz ogrodem dla dzieci oraz mający być miejscem niedzielnych spacerów rodzinnych.

Wracamy. Wizyta pożegnalna u księżnej Oznickiej. Kolacja w wielkim seminarium, następnie przyjęcie u pana X.

O godz. 10-ej odjazd do Warszawy. Pan Janasik, dyrektor wielkiego seminarium, będąc dla nas stale bardzo uprzejmy, towarzyszy nam do ostatniej chwili.

Nasi polscy przyjaciele nie pozwalają nam umrzeć z głodu. Stwierdziłem, że częstowali nas dzisiaj siedmiokrotnie: 1) o godz. 9-ej u pana Janasika; 2) w południe u pana Adamskiego; 3) o godz. 1.30 u generała Dupont; 4) o godz. 4-ej u biskupa Łukowskiego; 5) o godz. 6-ej u księżnej Oznickiej; 6) o godz. 7-ej u pana Janasika; 7) o godz. 9-ej u przyjaciół tego ostatniego.

7 kwietnia 1921

Po nocy spędzonej w pociągu, bardzo zimnej i męczącej, przyjeżdżamy do Warszawy. Zostajemy zawiezieni samochodem do seminarium Zgromadzenia Lazarystów, gdzie przygotowano dla nas dwa pokoje. Zmęczony, kładę się i śpię do południa.

O godz. 5-ej jemy obiad u hrabiego Michała Sobańskiego. Piękny pałac, 10-ciu zaproszonych gości wśród których generał Niessel, szef francuskiej misji wojskowej. Menu: zupa, pasztetiki z ryb i z drobiu, doskonały indyk.

Podziwiam różne pamiątki z epoki napoleońskiej, z których hrabia jest bardzo dumny.

O godz. 3-ej w towarzystwie generała Niessela zostajemy przyjęci przez kardynała Kakowskiego, który mówi dobrze po francusku. Mieszka on w olbrzymim pałacu i ma ślicznego białego szpica.

Udajemy się następnie na samotny spacer po mieście. Schodzę wspaniałą aleją 3-ego Maja i docieram do Wisły. Tragiczna wizja pod szarym niebem tego przepięknego mostu, który Rosjanie wysadzili w czasie odwrotu. Jest bardzo zimno. Dochodzę do innego mostu, przekraczam go i trafiam do dzielnicy robotniczej. Wcho-

dzę na chwilę do kościoła z cegieł, gdzie modli się kilka kobiet, i tramwajem powracam do miasta. Przyjeżdżając, widzę kolumnę Zygmunta z krzyżem w ręku.

O godz. 8.30 kolacja u generała Niessela, wyłącznie w towarzystwie Francuzów. Poznaję ojca Lacrampe, dominikanina, którego później odnajdziemy w Lublinie, oraz pana Delagneau, dyrektora „Journal de Pologne”, wydawanego po francusku w nakładzie 9.000 egzemplarzy, z których 2.000 sprzedawanych jest w Paryżu.

Pałac, w którym mieszka generał jest wspaniałą. Zamieszkiwał go wielki poeta Krasiniński. Siedziby te są naprawdę imponujące: amfilada salonów, gustownych i wytwornych, z malowidłami na ścianach i sufitach pięknie ozdobionych, z parkietami o ślicznych i nieraz skomplikowanych wzorach.

8 kwietnia 1921

Około godz. 10-ej udajemy się do banku by zainkasować nasz czek, co udaje się nam po pewnych trudnościach.

O godz. 11-ej zwiedzamy Instytut młodych niewidomych. Zachowuję przemiłe wspomnienie polskich pieśni ludowych w ich wykonaniu. Te młode dziewczęta są bardzo muzykalne.

O godz. 12-ej wizytujemy doskonale zorganizowaną instytucję opieki nad młodymi dziewczętami. Uczy się je tam szyc, prasować, gotować. Oto wspaniałe przedsięwzięcie, o którym nie pomyśleliśmy we Francji. Tam też jemy obiad i to jak najlepszy! w szczególności naleśniki ze szpinakiem.

Następnie w towarzystwie młodego Vitola (?) udajemy się do Łazienek. Odnoszę najlepsze wrażenie z tej letniej rezydencji króla Stanisława-Augusta. Jest to wrażenie porządku, spokoju, gustu i harmonii w tym czarującym parku, które rzadko kiedy odczuwałem gdzie indziej. Zdobią go piękne marmurowe posągi. Widziałem tam królewski zegar słoneczny, pałac, otwarty teatr z posągami wielkich filozofów od Platona po Voltaire'a. Lustrzane tafle wody, po której pływają łabędzie dodają jeszcze melancholijnego uroku temu czarującemu zakątkowi.

O godz. 7-ej lekki posiłek. O godz. 7.30 konferencja księdza, wielkie powodzenie.

9 kwietnia 1921

Wędruję w okolicach katedry, po uroczym wielobarwnym skupisku malowniczych domów.

O godz. 11-ej pragnę zwiedzić muzeum. Jest ono zamknięte z powodu reperacji a także z uwagi na przygotowującą się wystawę pamiątek napoleońskich, która ma się otworzyć 5-ego maja. Mam jednak szczęście i spotykam pewnego oficera, poznanego w Poznaniu, który każe dla mnie otworzyć muzeum i sam uprzejmie służy mi jako przewodnik.

Oglądam najpierw liczne pamiątki napoleońskie, następnie muzeum wojska, w którym znajdują się broń i mundury polskie z różnych okresów, włącznie z tymi z powstania 1830 i 1863 r. Kontempluję przez dłuższy moment odlew głowy Mickiewicza, który robi na mnie duże wrażenie.

W południe obiad u generała Moineville z generałem Spire. Interesująca rozmowa.

O godz. 3.30 młody ksiądz, jeden z najmłodszych posłów na Sejm, (ma zaledwie 26 lat i wygląd dziecka) przyjeżdża po nas samochodem rządowym. Zwiedzamy z nim Sejm, salę posiedzeń z napisem na frontonie: *salus Republicae suprema lex*. Przy drzwiach posąg Chrystusa. Wchodzimy na trybunę i z tego miejsca nasz przewodnik wylicza nam partie polityczne, opowiadając jednocześnie ich historię. Wyrażamy pragnienie przywitania marszałka Sejmu, ale Jego Ekscelencja odbywa sjęstę i przyjmuje nas dopiero o godz. 6-ej. Zwiedzamy bibliotekę, gdzie stwierdzam ze zdziwieniem, że jedyne dzienniki francuskie które się tam znajdują to: *le Temps, les Débats, le Matin, la Victoire i l'Humanité*. Oglądamy również sale zebrań poszczególnych ugrupowań politycznych i w sali ugrupowania, do którego należy nasz przewodnik trafiamy na posła, który najwidoczniej śpi.

Udajemy się następnie na przedmieście, by zwiedzić instytucję prowadzoną przez pewną damę francuską, która nas osobiście przyjmuje. Instytucja ta stworzona została w swoim czasie po to, by odbierać polskie sieroty Rosjanom, pragnącym wychować je w wierze prawosławnej. Miłe dziewczynki, schludnie ubrane.

O godz. 5-ej zwiedzamy inny sierociniec. Śpiewy, radosne okrzyki. Tu właśnie mieszka młody poseł, nasz przewodnik. Przedstawia on nas kilku przyjaciołom, chrześcijańskim demokratom, i częstuje lekkim posiłkiem (herbata, szynka, paszтет).

O godz. 6.30 zostajemy przyjęci w ambasadzie francuskiej przez ambasadora H. de Panafieu, który wygłasza do nas piękne i długie przemówienie.

O godz. 7.30 idziemy do Opery. Odbywa się tam galowe przedstawienie na cześć francuskich i belgijskich studentów. Umieszczają nas w łoży prezydenta miasta Warszawy, którego małżonka uprzejmie zajmuje się nami i nieprzerwanie bawi rozmową. W zupełnie prymitywnym francuskim tłumaczy nam to,

co się dzieje na scenie i jej zabawne wyjaśnienia napełniają nas radością. Jest to opera francuska „Żydówka” Ludwika Halévy. Ogólnie biorąc dobre przedstawienie. Podczas pierwszej przerwy dyrektor teatru wychodzi na scenę i przemawia do studentów. Orkiestra gra „Marsylianke”, którą audytorium wysłuchuje stojąc, w nabożnym skupieniu i gorąco oklaskuje!

Wychodzimy o godz. 11-ej i udajemy się na lekki posiłek do Bristolu.

10 kwietnia 1921

Msza u Lazarystów.

O godz. 10-ej oprowadzam księdza po katedrze i po dzielnicy żydowskiej. W czasie naszej przechadzki napotykamy na oddziale policji, który defiluje z muzyką po wyjściu z mszy.

Niezwykła ilość Żydów. Wszyscy są ubrani w chałaty i czarne czapki. Większość z nich wygląda brudno. Boczą się na nas niezyczliwie.

Gubimy drogę i zmuszeni jesteśmy wrócić samochodem po spowodowaniu zamieszania wśród ludzi życzliwych lecz nie rozumiejących nas.

W południe oglądam Sobór, wspaniałą cerkiew rosyjską, która służy obecnie jako kościół katolicki. Są tam wygłaszane kazania. Wnętrze, o czterech olbrzymich kolumnach z marmuru i kopułą robi wielkie wrażenie. Wszystkie ściany pokryte są malowidłami i nie ma nawet najmniejszego miejsca nietkniętego pędzlem. Przedstawiają one wszystkie sceny z życia Chrystusa.

O godz. 2-ej obiad u żony burmistrza, pani Neronowicz. Około piętnastu zaproszonych gości. Zaczynamy od kieliszka wódki i od zakąsek, które jemy na stojąco. Zasiadamy następnie do stołu. 1) rosół; 2) danie, którego składu nie mogłem stwierdzić: mieszanina mięsa, pasztecików, sosu pomidorowego, całkiem smaczna; 3) cielęcina z kartoflami; 4) doskonała indyczka z oryginalnym farszem; 5) wspaniały budyń z kremem czekoladowym.

Przy deserze nasza gospodyni wstaje i zwraca się do księdza i do mnie z bardzo pięknym przemówieniem.

Po obiedzie, znając już obecnie zwyczaj, całuję jej rękę.

O godz. 4-ej udaję się sam na spacer po mieście. Wracam do parku Łazienkowskiego, ale nie znajduję już w nim przedwczorajszego uroku ponieważ w tę słoneczną i piękną niedzielę jest naprawdę już za dużo spacerujących.

Biorę pierwszy lepszy tramwaj i zdobywam ogólną sympatię

częstując wszystkich papierosami. Tramwaj ten dochodzi do cmentarza. Wracam.

O godz. 7-ej druga konferencja księdza. Wielki sukces. Rozentuzjasmowany tłum.

O godz. 9-ej robię samotny spacer do kolumny Zygmunta. Następnie szybko zjadam kolację w Bristolu. Przykry kontrast między luksusem tego zakładu, a nędzą, którą się widzi na ulicy.

11 kwietnia 1921

W towarzystwie p. Halaine zwiedzam Muzeum. Odbywa się tam czasowa wystawa z kilkoma ładnymi płótnami. Daleko ciekawszy jest jednak dział stały Muzeum.

O godz. 1.30 obiad u p. Delagneau, dyrektora „Journal de Pologne”. Przyjmuje nas bardzo gościnnie i częstuje kuchnią francuską.

O godz. 4-ej major Brault z francuskiej misji wojskowej zabiera nas samochodem do Belwederu. Po kwadransie oczekiwania wprowadzają nas do szefa Państwa. Marszałek Piłsudski jest człowiekiem lat około 50-ciu, lekko siwiejącym, o surowych i energicznych rysach twarzy. Zachowując na początku rezerwę, staje się stopniowo bardziej dostępny i częstuje nas papierosami, które sam pali bez przerwy.

Rozmawiamy dużo o problemach społecznych i żydowskich. Twierdzi on następnie, że Polska nie potrzebuje obawiać się wojny antyreligijnej i że jedyne zadrażnienie stanowi kwestia budynków odebranych duchowieństwu przez Rosjan, a należących do majątku Episkopatu. Budynków tych Piłsudski nie zamierza zwracać gdyż potrzebuje je na koszary. Mówi on w dalszym ciągu o reakcyjnych dygnitarzach kościelnych. Rozmowa, która stała się bardzo serdeczna, trwa 3 kwadransy. Marszałek zupełnie poprawnie wysławia się po francusku.

Gdy wychodzimy schodami honorowymi żołnierze z posturunku prezentują broń.

Jest godz. 5.15. Samochód szybko odwozi nas do Kanoniczek, których domy znajdują się na cichym placu, w cieniu starożytnego kościoła. Damy te noszą na szyi szeroką czerwoną wstęgę, jak Prezydent Republiki Francuskiej. Ich salon jest pełny. Na przyjęciu obecny jest kardynał, jak również i wyżsi członkowie duchowieństwa oraz cała arystokracja stolicy. Zostaję otoczony przez liczne panie, które wypytyują mnie w nieskończoność o francuskie instytucje dobroczynne. Odpowiadam jak mogę najlepiej.

O godz. 7-ej zostajemy przyjęci przez propagandzistów partii chrześcijańskich demokratów. Wzajemne przemówienia.

O godz. 8-ej w wielkiej sali mieszczącej około 1000 osób ksiądz ma przemówienie, które natychmiast zostaje przetłumaczone na polski. Wielki entuzjazm, śpiewy.

O godz. 9.30 udajemy się na kolację do Bristolu.

12 kwietnia 1921

O godz. 9.30 zwiedzanie Zamku pod przewodnictwem konserwatora. Wspaniałe sale, niestety ogołocone z ozdób przez Rosjan. Nadzwyczajna jest szczególnie sala balowa. Na uwagę zasługują parkiety. Nie ma dwóch jednakowych i zarówno wzory jak i drzewo z którego są zrobione odznaczają się różnorodnością.

Z okien jest piękny widok na Wisłę, niestety zeszpecony przez kilka zasłaniających go fabryk. W czasach gdy mieszkali tu królowie i gdy ogrody schodziły wprost do Wisły, widok musiał być imponujący.

Udajemy się następnie na Stare Miasto, które opuszczam z zalem.

Oglądam jeszcze z zachwyceniem dom z 1610 r.

Zwiedzam Muzeum Przyjaciół Polski znajdujące się na Rynku.

Powracam następnie po raz ostatni do Łazienek. Pałac zalany słońcem jest cudowny. Wewnątrz mam zaledwie czas obejrzeć wspaniałe sufity Bacciarellego.

W południe muszę być na Mokotowie, gdzie umówiłem się z p. Halaine. Po pospiesznym posiłku wsiadamy do małego podmiejskiego pociągu, który w pół godziny dowozi nas do Wilanowa. Zwiedzamy kościół, grobowce Sobieskich oraz pałac, gdzie znajduje się sporo mebli francuskich, które należały do królowej Marysieńki. Na górze, interesujące apartamenty chińskie.

Spacer po parku, brzegami rzeki i stawu. Latem, te ściany z zieleni muszą być czarujące. Piękny ogród w stylu francuskim.

Znajduję dużo uroku w pałacu i ogrodach wilanowskich, tak różnych od Łazienek.

Oczekując na pociąg wchodzimy na nieduży cmentarz znajdujący się przy dworcu. Na mogiłach dzieci umieszczono ich zabawki (lalki, baranki), co jest rozczulające.

O godz. 4-ej jesteśmy z powrotem w Warszawie. O godz. 4.30 zebranie w biurach „Journal de Pologne”, gdzie p. Delagneau zaprosił około dwudziestu deputowanych i dziennikarzy, należących do wszystkich partii politycznych. Nasz gospodarz zρέcznie poprowadził ogólną rozmowę, w której wzięli udział młody poseł socjalistyczny Niedziałkowski, kurtuazyjny, subtelny i bardzo obiektyw-

ny w swych wypowiedziach, ksiądz Lutosławski, bezkompromisowy, dumny i bezwzględny, p. Radrizenski (?) z narodowej demokracji, p. Dębski z postępowej burżuazji.

O godz. 6.50 odjeżdżamy do Lublina odprowadzani na dworzec przez około dwudziestu przyjaciół, z którymi żegnamy się ze wzruszeniem. Pan Halaine obiecuje odwiedzić mnie w Paryżu.

O północy przybywamy do Lublina.

13 kwietnia 1921

Zamieszkujemy z Księdzem w najlepszym hotelu miasta, co jednak znaczy niewiele, gdyż brak w nim komfortu. Rano trochę odpoczywamy.

O godz. 1-ej obfity obiad w polskim klubie, do którego jesteśmy zaproszeni.

Następnie, po złożeniu oficjalnych wizyt (biskup, generał) zwiedzamy miasto. Pokazują nam bardzo interesujące ufortyfikowane bramy, z których jedna jest szczególnie godna uwagi.

Następnie oglądamy kościół Dominikanów. Bardzo ładny pulpity kościelny. Piękny antyfonarz. Nadzwyczaj interesujący malowany sufit kopuły, przedstawiający Sąd Ostateczny: widzi się tam skazanych krzyczących w płomieniach, podczas gdy obok nich arystokraci grają w karty, gdyż oni nie mogą być traktowani jak zwykli śmiertelnicy. Dwa posągi z drzewa, bardzo ciekawe, reprezentują jeden Francuza, drugi Turka.

Wśród domów starej dzielnicy, która nas otacza, niektóre mają po trzy okna; jest to przywilej zarezerwowany dla szlachty.

By udać się do zamku zmuszeni jesteśmy przejść przez dzielnicę żydowską, w której roi się od odpychająco brudnych mieszkańców. Wicerektor uniwersytetu i miejscowy archeolog oszalałymi nas nazbyt licznymi wyjaśnieniami, przecząc sobie bez przerwy wzajemnie. Jest to ogromnie zabawne.

Zamek, bardzo stary, odbudowany został przez Rosjan w r. 1832. Wchodzimy do niego po najrozmaitszych formalnościach, gdyż jest to obecnie więzienie cywilne. Z dziedzińców wewnętrznych widać w oknach liczne głowy więźniów i więźniarek; te ostatnie są podobno Żydówkami. Zwiedzamy straszliwie zniszczoną przez Rosjan kaplicę, którą usiłuje się obecnie przywrócić do stanu użytkowego. Wchodzimy następnie na szczyt wieży i piękna panorama, którą oglądamy, wynagradza nam tę dość skomplikowaną wędrówkę. Dwaj archeolodzy wykładają nam topografię miasta.

Wyjaśniają nam oni, że tego rodzaju wizyta zezwalana jest

jedynie znacznym cudzoziemcom, i w istocie, żołnierze, których spotykamy salutują nam z szacunkiem. Gdy przepraszamy naszych przewodników za trud, który im sprawiamy, wykrzykują kilkakrotnie: „Ach! Czego nie zrobilibyśmy dla takich gości!”

Wieczorem, konferencja Księdza na uniwersytecie przed sympatycznym audytorium.

14 kwietnia 1921

O godz. 9.30 odjeżdżamy samochodem do Chełma, miasta położonego 70 kilometrów na wschód od Lublina, w towarzystwie wicerektora uniwersytetu i ojca Lacrampe, dominikanina, poznanego już w Warszawie.

Wicerektor Chyliński długo mieszkał w Rosji, w tym dwa lata pod reżymem bolszewickim, który — jak twierdzi — nie był za twardy dla intelektualistów.

Piaszczysta, dość zła droga, lecz mamy doskonałego szofera. Monotonny pejzaż, pola zbóż, lasy sosnowe, małe strumyki, które się przekracza przez drewniane mosty. Przejeżdżamy przez słynną „świńską” rzekę.

W pewnej chwili samochód psuje się w lesie sosnowym. Wiejscy chłopcy, którzy pilnują krów, otaczają nas tłumnie i zagadują. W 3 kwadransie później odjeżdżamy.

Przejeżdżamy przez pełne Żydów ponure miasteczka o drewnianych domach z kominem i piecem pośrodku, na którym zimą śpią dwie lub trzy osoby.

Przyjeżdżamy do Chełma, gdzie od razu otacza nas tłum ciekawych. Dużo Żydów. Zauważam bardzo oryginalną postać popa.

Zostajemy przyjęci u miejscowego dziekana. Nie mówi on po francusku lecz nie szczędzi nam uprzejmości. Częstuje nas lekkim posiłkiem (herbata, szynka), po czym udajemy się na zwiedzanie miasta.

Chełm liczy 30.000 mieszkańców. Jest to jedno z miast w które Rosjanie włożyli wiele wysiłku, by go zrusyfikować. Wybudowali oni tam aż trzynaście cerkwi, wszystkie w jednakowym stylu.

Zwiedzamy gimnazjum założone przez Rosjan, które jest koedukacyjne. Jest to — według słów wicerektora — doskonała metoda wychowawcza, wolna od niebezpieczeństw, z czym się jednak nie zgadza o. Lacrampe. W chwili gdy przychodzimy, chłopcy i dziewczęta mają na dziedzińcu lekcję gimnastyki, po czym mają udać się na spacer. Oprowadzają nas po tym zakładzie nie darując najmniejszej sali ani umywalni. Na podkreślenie zasługują

interesujące inicjatywy (hodowla kwiatów, prace stolarskie, rysunki, wyroby z papieru, modelarstwo).

Stąd udajemy się na zwiedzenie katedry znajdującej się na wzgórzu we wschodniej części miasta. Obok niej, na pagórku jeszcze wyższym, wznosi się kaplica bizantyńska zbudowana przez zamożnego moskiewskiego kupca. Jest ona właśnie w trakcie rozbioru i wydaje się, że robotnicy wykonują tę pracę z pewną satysfakcją.

W pobliżu znajduje się szkoła Jezuitów. Mówią nam, że byli oni bardzo antyfrancuscy podczas wojny i że takimi rzekomo pozostali do dziś.

Wracamy do domu dziekana spotykając po drodze niezliczonych Żydów, jednych brudniejszych od drugih. Dziekan częstuje nas obfitym posiłkiem, na początku którego zmuszeni jesteśmy do wypicia trzech kieliszków wódki, jak nam wyjaśniają, na cześć św. Trójcy, na którą powoływanie się w tych okolicznościach jest dla nas nieoczekiwane. Staję się całkowicie Polakiem i piję duszkiem. Czasami jednak gorszą mych gospodarzy i proszę o przyniesienie wody.

Menu: rzodkiewki, szynka i różne wędliny, sztuka mięsa z musztardą i chrzanem, zupa, pieczeń, nie wiem z czego, różne jarzyny, jajka w czekoladzie. Wszystko to obficie zakrapiane dobrym winem. Toteż jesteśmy w doskonałej formie by udać się w drogę powrotną, którą odbywamy bez przygód.

15 kwietnia 1921

Zwiedzam katedrę.

O godz. 10-ej oprowadzają nas po różnych spółdzielniach konsumpcyjnych (obuwie, piekarnia, wędliniarnia).

O godz. 1-ej obiad w seminarium duchownym, u ojca Woroniańskiego (Woronieckiego?). Jemy tam doskonałe karpie polane masłem.

Następnie o. Lacrampe zabiera nas do stowarzyszenia Matek Chrześcijańskich, a potem do żeńskiego stowarzyszenia Joanny d'Arc, składającego się wyłącznie z Francuzek. Wiele z nich pracuje jako nauczycielki w dość ciężkich warunkach, gdyż są źle wynagradzane i traktowane z góry przez chlebobawców. Jedna z nich opowiada nam swoje życie na wsi: cały dzień spędza na ziewaniu lub na czytaniu książek starszej pani. Wolna jest dopiero o godz. 8-ej wieczór. Żadnej rozrywki. Otepienie.

Placą im bardzo mało. Jedna z nich po pięcioletnim pobycie u miejscowego ziemianina nie była w stanie zaoszczędzić sumy

potrzebnej na repatriację (zarabiała 200 M. miesięcznie, co stanowi cenę chustki do nosa). Ziemianin ten, na nalegania o. Lacrampe, zgodził się opłacić jej podróż i dać sumę pieniędzy umożliwiającą jej 8-dniowy pobyt w Paryżu. Szlachcice ci nie są zresztą złymi ludźmi. Ten, o którym mowa, jest zamożny, ma 9-ro dzieci i jest dobrym katolikiem. Mają oni jednak swój pogląd na tych, których uważają za niższych i myślą, że mogą się oni zadowolić byle czym.

O godz. 6-ej idziemy do doktora Rogozińskiego, najsłynniejszego lekarza w mieście, który na moją cześć wydaje przyjęcie dla swych kolegów. Rozmowa tocząca się na początku w sprawach naukowych i zawodowych schodzi następnie na tematy religijne. Stary lekarz, który przebywał przez dwa lata w Paryżu około 1880 r. utrzymuje, że w naszej stolicy nigdy nie ma nikogo w kościołach i jest zdziwiony, gdy twierdzę coś wręcz odwrotnego!

O godz. 8.30 konferencja Księdza na uniwersytecie na temat jego wspomnień jako mówcy.

Następnie przyjęcie w Komitecie francusko-polskim.

16 kwietnia 1921

Rano msza w Instytucie.

Interesująca rozmowa z o. Woronieckim o duchowieństwie unickim.

O godz. 11-ej zabiera on nas by zwiedzić biura pomocy społecznej w Ratuszu. Następnie instytucję miejską letnich kolonii, znajdującą się na przedmieściu. Towarzyszy nam jeden z przywódców socjalistycznych.

O godz. 1-ej obiad dla 30-tu zaproszonych na uniwersytecie, z winem węgierskim.

O godz. 5-ej, po wizycie u księżnej Woronieckiej zostajemy przyjęci przez żonę prezesa banku Ziemiańskiego. Znajduje się tu elita towarzyska całego Lublina, jak również biskup, Mgr Jełowicki.

O godz. 8-ej kolacja, którą częstują nas oficerowie francuskiej misji wojskowej (pułkownik Couturier), bardzo wesoła i bardzo dobra.

O godz. 11-ej odprowadzają nas na dworzec. Przyjeżdża strasznie przepełniony pociąg i nawet pomoc kilku policjantów nie jest w stanie zapewnić nam przyzwoitych miejsc. Wpychają nas z trudem do pełnego już przedziału, gdzie spędzam noc ściśnięty jak śledź, podczas gdy jakiś grubo oficer polski śpi na moim ramieniu.

17 kwietnia 1921

O godz. 8-ej przejeżdżamy przez Przemysł, gdzie oglądam słynną fortecę austriacką, której zdobycie tak nas ucieszyło podczas wojny.

O godz. 9.30 przyjeżdżamy do Lwowa i samochód zabiera nas do Pałacu Arcybiskupiego, gdzie przygotowane zostały dla nas dwa wspaniałe pokoje.

Msza. Obiad. Następnie samochodem wojskowym jedziemy na plac Świętej Marii gdzie odbywa się uroczystość nadania odznaczeń 1400 obywatelom, cywilnym i wojskowym, którzy uczestniczyli w obronie Lwowa przed Rusinami i bolszewikami. Umieszczają nas w pierwszym rzędzie, u stóp posągu Adama Mickiewicza, obok szefa francuskiej misji wojskowej. Fanfary, przemówienia. Następnie hymn narodowy, marsz Dąbrowskiego, którego powolny rytm i spokojna melancholia uderzają mnie i urzekają. Wszyscy stoją z gołymi głowami w postawie na baczność. Rozpoczyna się nadawanie odznaczeń.

Jest ich jednak aż 1400 a ponieważ jesteśmy zmęczeni bezsennością nocą więc ulatniamy się po angielsku.

O 12.30 jemy obiad u Jego Ekscelencji arcybiskupa Mgr Bilczewskiego w wielkiej i wspaniałej sali jadalnej ozdobionej portretami jego poprzedników z XVI i XVII wieku.

Następnie o godz. 3-ej odjeżdżamy razem pojazdem arcybiskupa. Zwiedzamy najpierw instytucję dobroczynną matek chrześcijańskich. Gdy przyjeżdżamy, podają prałatowi tacę z jajkami na twardo, pokrajanymi na cztery części. Błogosławi je on, je sam, po czym ofiarowuje zgromadzonemu, wśród których przeważają kobiety z ludu.

Potem udajemy się do swego rodzaju instytucji opiekuńczej, gdzie na nasze przywitanie rozbrzmiewa fanfara. Następnie przemówienia, po których grają okrutnie okaleczoną Marsylianę. Tłumaczy muzykantów fakt, że wykonują ją po raz pierwszy. Następnie hymn Dąbrowskiego, po czym sadzają nas w sali teatralnej, gdzie grają dramat, z pewnością piękny, z którego jednak niewiele rozumiem pomimo wyjaśnień mego sąsiada. Widziałem tam tańce cygańskie, możnowładcę i zdrajcę. Toteż nie rozpaczam, że nie oglądam zakończenia opuszczając salę po pierwszym akcie. Eskortuje nas przeraźliwie głośna fanfara. Nigdy nie słyszałem by takie dźwięki wydobywano z trąby, ani też by z taką siłą walono w wielki bęben.

Udajemy się następnie do siedziby syndykatu urzędników bankowych, którzy wraz ze swymi rodzinami organizują przyjacielskie zebranie, z piwem i kiełbasą. Orkiestra składająca się z mandoli-

nistów. Pozwala to odpocząć po hałasie, z którego wychodzimy. Przemówienia. Wielki entuzjazm. Okrzyki „Niech żyje Francja!”

Po różnych innych wizytach zwiedzamy jeszcze zakon Sióstr Służebniczek. Udajemy się do tych, które są chore. Pewna stara kobieta, do której arcybiskup zwraca się ze słowami pocieszenia, odpowiada: „Cierpienia moje są niczym, gdyż mogę modlić się cały dzień i noszę Chrystusa w sercu”.

W tym dniu dane mi było ujrzeć biskupa o naprawdę głęboko społecznej postawie. Jego dobroć jest wzruszająca i najwidoczniej jest on w swoim mieście ubóstwiany. Trzeba widzieć z jaką żarliwością wszyscy starzy i młodzi otaczają go i całują mu ręce. Mówią, że jest to święty i możliwe, że mają rację. Co do mnie, rzadko spotkałem człowieka bardziej pociągającego i promieniejącego tak łagodną dobrocią. W stosunku do nas jest on pełen delikatnej i wnikliwej uwagi.

Wracamy o godz. 8-ej. Szybka kolacja. Kładę się zmęczony i doskonale śpię.

18 kwietnia 1921

O godz. 10-ej przyjeżdża po nas wojskowy samochód i pod przewodnictwem księdza Żyły, profesora historii i sztuki na Uniwersytecie, jedziemy zwiedzać miasto.

Najpierw katedra ormiańska w stylu średniowiecznym, której arcybiskupem jest Monsignor Teodorowicz.

Następnie katedra łacińska w stylu gotyckim. Piękne proporcje budowli ze wspaniałą nawą centralną. Podziwiamy boczną kaplicę z licznymi alabastrowymi rzeźbami, robiącymi oryginalne wrażenie. Odprawia się akurat mszę żałobną. Piękna gra na organach.

Za katedrą znajduje się mała, bardzo interesująca kaplica w stylu renesansowym. Jest to kaplica Boimów z roku 1609.

Zwiedzamy następnie kościół wołoski w stylu renesansowym. Potem kościół ojców Bernardynów, w stylu rococo lub barokowym. Obok znajduje się klasztor.

Wreszcie udajemy się do kościoła grecko-katolickiego św. Jura, który jest pięknie położony na wzgórzu dominującym nad całym miastem. Od frontu znajduje się posąg św. Jerzego na koniu, przypisywany rzeźbiarzowi francuskiemu. Styl: Ludwik XV. Wnętrze kościoła jest bardzo interesujące. Znajduje się tam olbrzymi posąg papieża Piusa IX, który jest tutaj podobno bardzo kochany.

Na wprost kościoła, który służy jako katedra katolikom unickim, wznosi się Pałac Arcybiskupi, bardzo podobny do naszego starego domu rodzinnego w Chateauponsac.

O godz. 1-ej udajemy się na obiad do pułkownika de Ranty, szefa francuskiej misji wojskowej. Arcybiskup towarzyszy nam. Dobry obiad z kuchnią francuską.

Objeżdżamy miasto powozem Jego Ekscelencji. Zwiedzamy różne instytucje dobroczynne a w szczególności żłóbek do którego przyjmuje się nieślubne matki pod warunkiem, że będą karmiły jeszcze drugie dziecko. Pokazują nam dwoje 15-18-miesięcznych dzieci, które tańczą przed nami kręcąc się zacięcie w kółko i w końcu, prawie jednocześnie, osuwają się na tyłki. Staram się je popieścić, ale uciekają z krzykiem.

Gratuluję pewnej kobiecie, która trzyma na rękach wspaniałego dzieciaka. Moje komplementy zostają jej przetłumaczone i bardzo tym zadowolona, prosi o pozwolenie pocałowania mnie w rękę!

Zwiedzamy następnie sierociniec. Pieśni narodowe. Bankiet. Okrzyki „Niech żyje Francja!”.

Potem zebranie u pań zajmujących się dobroczynnością i patronujących naprawdę interesującym instytucjom.

O godz. 8-ej kolacja u księżnej Lubomirskiej, należącej do dwóch lub trzech najstarszych rodzin Polski. Przybywamy z arcybiskupem. Wspaniały pałac z całą chmarą służby. Nieporównane zbiory dzieł sztuki. Między innymi arcydziełami księżna pokazuje mi obraz Greuze'a (portret nagiej kobiety przedstawiający rzekomo Mademoiselle Babuti), Rembrandta, portret pani Vigié-Lebrun, wyroby z emalii pochodzące z Limoges z XVI wieku. Sama księżna tego wieczoru nosiła na szyi olbrzymi diament подарowany jej przodkom przez Henryka Walezego.

Wytworna kolacja, nie tyle przez dania ile przez luksus nakryć, kwiatów i diamentów zdobiących damy. 18-cie osób. Menu: zupa, rodzaj pasztetu z wątróbki, gotowana szynka, liście szpinaku, budynie. Dwa lub trzy francuskie i węgierskie wina.

Zostajemy krótko przy stole. Przechodzimy do palarni, gdzie księżna pokazuje mi całą kolekcję trofeów myśliwskich, które — muszą przynależać — wcale mnie nie interesują.

Następnie odbywa się w wielkim salonie przyjęcie, które przekracza wszystkie, wydane dla nas w Poznaniu, Warszawie i Lublinie. Cała elita Lwowa defiluje między godz. 10-tą a północą: księżęta, generałowie, wyżsi duchowni. Wszyscy panowie we frakach, wszystkie panie w wieczorowych wydekoltowanych sukniach, w perłach i brylantach. I wszyscy otaczają dwóch Francuzów nadzwyczajną życzliwością. Prestiż Francji jest u szczytu. W dodatku dzienniki warszawskie, które dopiero co nadeszły, podają tak pełne pochwał sprawozdania z konferencji księdza Desgrandes, że napięcie ciekawości jest ogromne.

Ksiądz, który lubi się ze mną przekomarzać, powiedział, że jestem wybitnym znawcą historii sztuki. Natychmiast, ku mojemu wielkiemu przerażeniu, otacza mnie trzech czy czterech profesorów uniwersytetu zarzucając pytaniami o monumenty i kościoły francuskie, które zresztą znają lepiej ode mnie. W szczególności zostaje przez pół godziny przyciśnięty do muru przez Ormianina, profesora Bołoz-Antoniewicza, który wykląda historię sztuki na uniwersytecie i pasjonuje się tą dziedziną.

Wreszcie udaje mi się wymknąć i zostaje przedstawiony wielu osobom, których przypuszczalnie już nigdy więcej nie zobaczę, lecz które dają mi dowody jak najwyższego zainteresowania i jak największej życzliwości.

O godz. 11.15 Księdzu, osaczonemu przez większe grono pań, udaje się uwolnić i odjeżdżamy razem powozem biskupa.

19 kwietnia 1921

O godz. 10-ej odjazd samochodem. Jedziemy do pałacu książęcej Lubomirskiej, gdzie oglądamy kilka interesujących płócien, w szczególności portret Gérarda oraz obraz Matejki.

Następnie zwiedzanie biblioteki Ossolińskich, obejmującej około 1.000.000 tomów. Konserwator pokazuje nam wspaniałe wydania, w tym jedno Horacego i jedno La Fontaine'a.

Potem udajemy się do muzeum sztuki przemysłowej. Na schodach zauważam impresjonujący tryptyk. Na środkowej części postać męska symbolizująca Polskę, w krajobrazie jak ze snu, oczekuje na próżno swego uwolnienia, podczas gdy orzeł — symbol utraconej ojczyzny — unosi się nad jej głową. Po prawej stronie tłum robotników w cierpliwym i zaciętym wysiłku usiłuje holować ciężki okręt. Po lewej stronie, inni ludzie zbroczeni krwią cierpią w blasku apoteozy. Pod obrazem jedno jedyne słowo: *Libertas*. Został on wykonany w 1905 r.!

Oglądamy następnie kościół Dominikanów, który posiada wspaniałą kopułę z XVIII wieku. Mieszkańcy tego miasta są z niej bardzo dumni. Jest to nasz najpiękniejszy kościół — mówią, a mają ich bardzo wiele. Nie podzielał jednak ich zdania. To nagromadzenie złota i ozdób, figur w pozach ekstatycznych i nieraz groteskowych, ciężkich i okazałych filarów wydaje mi się w jak najgorszym guście. Ten kościół byłby z pewnością piękną salą balową lecz nie pasuje na dom modlitwy i wolę od niego najmniejszy z naszych wiejskich kościołów.

Wchodzimy następnie na Żółkiewskiego (?). Znajduje się tam wzgórze wysokości około 300 metrów, które nazywa się

wzgórzem Unii na pamiątkę połączenia Galicji z Królestwem. Docieramy do szczytu bez zmęczenia ścieżką biegnącą ślimakiem i oglądamy stąd jeden z najpiękniejszych krajobrazów, który kiedykolwiek bądź widziałem. W dole cały Lwów ze swymi licznymi kościołami i pasem ciągnących się fortyfikacji i wzgórz. Daleko na wschód granice Rosji, które znajdują się w odległości około 150 kilometrów. Na południu widzi się pasmo Karpat.

O godz. 1-ej obiad u doktora Łukasiewicza, naukowca dermatologa, profesora Uniwersytetu. Dwunastu zaproszonych gości, wśród których arcybiskup. Menu: zupa, rodzaj bardzo smacznej cielęciny z ryżem, doskonale kurczęta, ptysie z kremem, ser, o który proszę dwukrotnie, gdyż zauważyłem, że na wszystkich tych obiadach podają go rzadko, a jako Francuz odczuwam jego brak. Wina są pierwszorzędne: reńskie, burgundzkie, węgierskie. Na zakończenie przyjęcia pijemy stuletni miód. Według mego gustu jest to bardzo złe, lecz rozpiływam się w komplementach jak wszyscy; myślę, że moje zdanie jest odosobnione, gdyż ogół gości wypija po kilka kieliszków.

Po obiedzie nasz gospodarz pokazuje nam swą osobistą kolekcję obrazów, z których niestety najpiękniejsze wysłane zostały do Krakowa w czasie ofensywy bolszewickiej. Cztery lub pięć salonów zawieszonych jest od góry do dołu obrazami, niektóre z nich bardzo piękne: salon malarzy polskich, salon malarzy zagranicznych, salon akwafort i sztychów, wśród których podziwiam autentyczną akwafortę Rembrandta i bardzo interesujące rysunki Matejki, salon miniatur. To wszystko reprezentuje wielką fortunę.

Podczas obiadu długo rozmawiałem z dawnym namiestnikiem Galicji z czasów austriackich, hrabią Leonem Pinińskim. Oświadcza mi, że to on właśnie spowodował mianowanie Mgr Bilczewskiego arcybiskupem Lwowa. Gratuluję mu z tego powodu. Znał on dobrze cesarza Franciszka Józefa i do dziś dnia dziwi się, że mógł on się zgodzić na wojnę.

O godz. 3-ej udajemy się z arcybiskupem na zwiedzenie pracowni o charakterze dobroczynnym (praca wspólna i w domu, przeciętny zarobek 75 M. dziennie).

O godz. 5-ej rewizytujemy deputowanego Mgr Teodorowicza. Jest to jedna z najwybitniejszych osobistości polskich. Jeszcze młody, pełen siły, bardzo inteligentny i doskonale wprowadzony w politykę i sprawy Rzymu. Wykłada nam swoją opinię na temat małżeństwa księży w kościele ormiańskim. U niego nie ma księży żonatych; ma on zresztą zaledwie 3.000 wiernych. Rozmawiamy o kwestii unickiej i o penetracji katolicyzmu do Rosji. Rozmowa nasza trwa półtorej godziny po czym wracamy do Pa-

łacu Arcybiskupiego. Kolacja z biskupem. Jego wpływ na ludność jest tak wielki, że gdy zabronił tańczyć tango, już nazajutrz generał komendant miasta zakazał ze swej strony wykonywania tych melodii przez orkiestry wojskowe.

20 kwietnia 1921

O godz. 10-ej udajemy się samochodem do parku Kilińskiego. Jest to wspaniała promenada obejmująca ogrody w stylu angielskim i w stylu węgierskim.

Oglądamy następnie Panoramę Raclawicką, panoramę bitwy wydanej przez Kościuszkę w okolicach Warszawy w r. 1794. Odnosi się naprawdę wrażenie, że jest się tam obecnym.

Następnie udajemy się z wizytą do arcybiskupa grecko-katolickiego, lecz nie zastajemy go. Przyjmuje nas jego główny wikariusz i długo z nami rozmawia.

Zwiedzamy również położoną 2 kilometry za miastem szkołę gospodarstwa domowego, założoną dla pańienek z burżuazji i córek zamożnych wieśniaków. Jemy tam ciastka przygotowane przez te dziewczęta.

Bezpośrednie okolice Lwowa są nadzwyczaj malownicze: załesione pagórki poprzecinane strumykami, wijące się na zboczach wzgórz drogi; całość daje wrażenie świeżości, uroku i odprężenia.

Wracamy do miasta i składamy wizytę księdzu grecko-katolickiemu z kościoła wołoskiego, który niedawno podziwialiśmy. Jest żonaty, jak większość z nich (z wyjątkiem pięćdziesięciu, nie licząc biskupów, kanoników i przełożonych wielkich seminariów). Wprowadza nas do salonu jego mała córeczka. Przywitania i rozmowy nie zasługujące na specjalną uwagę.

O godz. 1-ej obiad u Jego Ekscelencji arcybiskupa. Szare i smutne popołudnie. Beznadziejnie pada deszcz. Wychodzę jednak o godz. 4-ej by przejść się po mieście. Dużo ludzi na ulicach pomimo deszczu. Nieprzyjemne wrażenie osamotnienia w obcym mieście.

Wstępuję na chwilę do kościoła Bernadynów. Doprawdy, ten cały nadmiar złota, te niemądrze uroczyste girlandy, cała ta wystawa nie podoba mi się wcale.

Kolacja u arcybiskupa. Ksiądz opowiada mu historyjki z zebrań publicznych we Francji, które go bardzo bawią.

21 kwietnia 1921

O godz. 7-ej idę na mszę i przyjmuję komunię. Jest to rocz-

nica śmierci mego brata zabitego pod Verdun. Nie przypuszczam, że będę ją obchodził na obcej ziemi.

O godz. 10.30 udaję się do miasta, by kupić znaczki pocztowe, gdyż obiecałem przyjacielowi francuskiemu, że mu przywiozę całą kolekcję. Stwierdzam wielką wyrozumiałość urzędnika i publiczności dla Francuza, gdyż nikt się nie niecierpliwi, że tak długo pozostaję przed okienkiem.

Następnie jadę tramwajem na Żółkiewskiego (?). Przed odjazdem pragnę jeszcze raz zobaczyć tę wspaniałą panoramę, której pewnie nigdy już nie będę oglądał. Pogoda jest ładniejsza niż parę dni temu. W dwadzieścia minut jestem na szczycie i długo rozkoszuję się przepięknym widokiem, który rozpościera się przede mną.

O godz. 2-iej uroczysty obiad na naszą cześć u Jego Ekscelencji Arcybiskupa: 25-ciu zaproszonych gości. Najpierw zakąski w salonie z obowiązkową wódką. Tłumaczą mi, że należy ją wypić duszkiem, by nie być uważanym za młodą panienkę.

Wśród gości jest trzech generałów polskich, pułkownik de Ranty, szef wojskowej misji francuskiej, konsul angielski ze swoim attaché, rektor Uniwersytetu, gubernator Galicji; krótko mówiąc — całe grono grubych ryb. Siedzę przy stole między konsulem angielskim, który nie odzywa się ani słowem a jedynie je i pije, a doktorem Łukasiewiczem, z którym długo rozmawiam o Paryżu i Wiedniu, gdzie odbywał on swe studia. Twierdzi on, że generałowie austriaccy nie posiadali żadnej wartości z powodu wpływów arcyksiążąt. Nie ma on zdaje się złej opinii o cesarzu Franciszku Józefie.

Przy deserze czcigodny arcybiskup wstaje i wygłasza serdeczne przemówienie na cześć Francji. Robi on jednak niefortunne połączenia słów i mówi dwukrotnie: Je bois à vos-z-héros (piję za wasze zera, za wasze wielkie zera).

Pułkownik de Ranty a następnie ksiądz Desgranges odpowiadają mu. Za każdym razem wszyscy stają na baczność i trącają się kieliszkiem z sąsiadem w sposób mechaniczny i uroczysty.

Potem udajemy się do salonu na kawę po uściśnięciu ręki nie tylko arcybiskupa ale nawet swych sąsiadów, co wydaje mi się przesadą w tym zwyczaju. O ile uważam za wzruszające dziękowanie panu i pani domu (lub też w rodzinie dziękowanie rodzicom przez dzieci), o tyle nie widzę uzasadnienia w podziękowaniu i uścisku dłoni mych sąsiadów. Zapytuję o to jednego z nich. „Dziękuję panu — odpowiada — za pańską obecność i za miłą konwersację”. A więc tym lepiej!

O godz. 5-iej zebranie u pań katoliczek, gdzie Ksiądz ma konferencję nagrodzoną gorącymi oklaskami. Następnie panie czę-

stują nas herbatą. Kilka z nich usiłuje namówić mnie na dziwne ciastka oraz sandwicze i z wielkim trudem wymykam się ich gorliwej gościnności. Żegnam się z tymi wszystkimi jednodniowymi znajomymi, w szczególności z księżną Lubomirską i panią Łukasiewicz, które były czarujące w stosunku do mnie.

Wracamy powozem do Arcybiskupstwa, gdzie zjadamy nasz ostatni posiłek: czerwony barszcz, szynka z kartoflami, szpinak i słodkawy sos, który jak na mój gust psuje całą resztę, pieczone kurczę z osłodzoną sałatą. Uważam, że ten cały cukier jest zbędny.

Zapomniałem powiedzieć, że rano podczas spaceru spotkałem młodego oficera mówiącego dobrze po francusku. Mówił mi, że zachwyca się literaturą; francuską lecz wydaje się, że zna jedynie Zolę. „Czytam obecnie 'Nanę'” — powiedział mi. Oto jak jesteśmy reprezentowani z punktu widzenia literatury!

Ze wzruszeniem żegnamy się z Arcybiskupem, którego nigdy nie zapomnę.

22 kwietnia 1921

Po dość dobrze spędzonej nocy w wagonie sypialnym przyjeżdżamy o 6-ej rano do Krakowa. Pada wielki deszcz i miasto wydaje się tonąć pod tą ulewą.

Powóz zabiera nas do seminarium Lazarystów, gdzie przygotowano dla nas dwa pokoje. Kładę się i śpię do 9.30.

O godz. 10.30 wychodzimy w towarzystwie p. Kazimierza Moranskiego (Morawskiego?), profesora Uniwersytetu, który udaje się z nami do biskupa, księcia Sapiehy, oraz do wojskowej misji francuskiej, gdzie przyjmują nas bardzo serdecznie.

O godz. 1-ej obiad w wielkim seminarium. Menu: omlet i karp.

O godz. 3-ej pomimo deszczu odważam się wyjść. Pada tu od dziesięciu dni i miasto zamieniło się w jezioro niewiarygodnego błota co mi psuje humor. Spędzić mam tu jedynie cztery dni i chciałbym je maksymalnie wykorzystać gdyż jest dużo do obejrzenia.

Udaję się na Rynek. Jest to plac znajdujący się w centrum miasta. Pośrodku mieści się hala targowa z wszelkiego rodzaju sklepami i widzi się mnóstwo Żydów proponujących swoje towary.

Zatrzymuję się przed posągiem Adama Mickiewicza, dla którego mam głęboki podziw.

Wstępuję do kościoła Mariackiego posiadającego dwie intere-

sujące dzwonnice, z których jedna przybrana jest koroną. Wnętrze jest bardzo piękne, zwłaszcza wspaniała gotycka nawa.

Wchodzę następnie do kościoła Franciszkanów, gdzie podziwiam stalle chóru.

Wreszcie, wciąż pod deszczem, kieruję się na Wawel, zamek królewski otoczony murami, który ze wzgórza dominuje nad miastem. U jego stóp płynie Wisła. Nie jest to jednak ta szeroka rzeka, którą zachwyciałem się w Warszawie, ma ona tu bowiem najwyższą szerokość rzeki Vienne w Limoges. W oddali widzę kopiec Kościuszki. Okrężny spacer wzdłuż murów stanowi uroczą przechadzkę, którą psuje jednak zła pogoda.

Wchodzę do katedry znajdującej się na Wawelu. Jest to budowla o ciekawym wyglądzie zewnętrznym, która nie robi jednak tak wielkiego wrażenia jak kościół Mariacki. To samo odnosi się do wnętrza. Widzi się tu grobowce większości królów polskich. Pośrodku, pod baldachimem, spoczywa ciało św. Stanisława, zamordowanego na stopniach ołtarza przez króla Bolesława. Za głównym ołtarzem znajduje się posąg króla Jana Sobieskiego.

Wrażenie, które robi Wawel, nawet pod deszczem i we mgle, jest zupełnie fantastyczne.

O godz. 7.30 kolacja u profesora Moranskiego (Morawskiego), chuda w pełnym tego słowa znaczeniu. Dwunastu zaproszonych gości, którzy — tak samo jak ja — wstali głodni od stołu. Menu: jajka w sosie pomidorowym, bardzo smaczne, ryż po indyjsku z sosem grzybowym, mały kawałek sera i na tym koniec.

Po kolacji przyjęcie na około 25 osób. Przemówienia. Kładowiemy się spać o północy.

23 kwietnia 1921

Dzień św. Jerzego, moje imieniny. O godz. 8-ej msza.

O godz. 10-ej asystent Uniwersytetu przyjeżdża po nas, by pokazać nam miasto.

Udajemy się najpierw na Wawel. Wchodzimy na wewnętrzny dziedziniec zamku i wspaniały widok ukazuje się naszym oczom: wzdłuż murów biegną dwupiętrowe galerie w stylu renesansowym. Zwiedzamy kilka sal, które są właśnie restaurowane, gdyż Austriacy zamienili tę piękną budowlę w koszary. Barbarzyńcy! Zaledwie na kilka lat przed wojną cesarz Franciszek Józef podarował ten zamek miastu (prezent, który go nic nie kosztował) i odtąd dzięki inicjatywie inteligentnego konserwato-

ra starano się odrestaurować Wawel, przywracając mu jego wygląd sprzed trzech wieków.

Zwiedzamy następnie katedrę; Jest ona otoczona domami zamieszkanymi przez kanoników.

Potem udajemy się na Uniwersytet gdzie zachwyca nas dziedziniec wewnętrzny — prawdziwa perła. Pośrodku, posąg Kopernika, który tu studiował. Wokół znajdują się balkony i galerie z których profesorowie wygłaszali przemówienia do stojących na dziedzińcu uczniów.

Oglądamy bibliotekę Jagiellońską oprowadzani przez konserwatora. Pokazują nam globus Kopernika.

Następnie idziemy do kościoła Mariackiego. Z okazji ślubu otworzono ołtarz Wita Stwosza, który przykuwa uwagę nawet wówczas gdy jest zamknięty.

O godz. 1-ej obiad u księżnej Potockiej. Dwunastu zaproszonych gości. Obiad trwa bardzo krótko; w ciągu dwudziestu minut połykamy: zupę, jajka, cielęcinę ze szczawiem (?), budyń. Po posiłku troje dzieci księżnej podchodzi do niej, by ją ucałować. Księżna pokazuje nam piękne płótno Greuze'a.

O godz. 3.30 udaje mi się wymknąć. Idę na kopiec Kościuszki, z którego mam wspaniały widok na Kraków, na klasztor Sorlony (?) i na Karpaty.

Wracam następnie do miasta i spaceruję w okolicy Rondla. Oglądam kościół św. Floriana i mury obronne.

O godz. 7-ej kolacja u Ojców.

O godz. 8.30 przyjęcie u księcia biskupa. Piękne salony, towarzystwo męskie składające się z około czterdziestu osób. Długo rozmawiam z architektem, który pojutrze ma nam pokazać katedrę. Najrozmaitsze przemówienia. Stylowi lokaje, którzy roznoszą różnorodne ciasta i herbatę.

Kładę się spać o północy.

24 kwietnia 1921

O godz. 9-ej odjeżdżamy samochodem do Wieliczki. Samochód się psuje i jesteśmy na miejscu około godz. 10-ej.

Bierzemy udział w wielkiej procesji, podczas której rozwiązuje mi się sznurowadło, co mi sprawia sporo kłopotu.

Następnie niekończąca się msza i prezentowanie sztandaru korporacji, w drzewiec którego osobistości miasta wbijają gwoździe po uprzednim złożeniu daru. Bardzo piękne śpiewy.

Potem na wielkim placu mityng pod deszczem. Około trzech tysięcy osób. Wchodzimy na podium, gdzie jeden z mówców

wita delegatów francuskiego syndykalizmu chrześcijańskiego, kanonika Desgranges i doktora Lory, wywołując entuzjastyczną akklamację i okrzyki: Niech żyje Francja!

Następnie krytyka innego mówcy skierowana przeciw socjalistom, których znajduje się około dwustu, trzystu na wiecu, powoduje energiczne protesty tych ostatnich.

Po czym na podium wchodzi starzec o siwej brodzie. Jest to prezes syndykatu dozorców krakowskich. Przed rozpoczęciem swego przemówienia wita on zebranych słowami: *Laudatur Jesus Christus!* i trzy tysiące głosów odpowiada: *In soecula soeculorum!* Przemawiał on najwidoczniej porywająco, gdyż audytorium oklaskiwało go nadzwyczaj gorąco.

Wreszcie uchwalona zostaje rezolucja, a po niej odśpiewana stara pieśń: „Boże coś Polskę” w czasie której socjaliści śpiewają „Czerwony sztandar”.

Opuszczamy plac śpiewając hymn Dąbrowskiego, a socjaliści biorą w posiadanie podium i rozpoczynają z kolei swój wiec.

Udajemy się na obiad do księdza dziekana. Menu raczej drugorzędne lecz liczne przemówienia. Gdy ksiądz Desgranges zabiera głos, dziekan — wyraźnie podniecony — frenetycznie oklaskuje każde jego słowo, często bez sensu. Jest to bardzo zabawne.

O godz. 3.30 pod przewodnictwem inżyniera schodzimy do kopalni soli na głębokość około 120 metrów. Oglądamy interesujące groty, wielką kaplicę z ołtarzami, ambony — wszystko z soli. W wielkiej sali w obecności licznego tłumu gra orkiestra składająca się z górników. O 4.30 odjeżdżamy.

O 5.30 powrót do Krakowa. Idę na Wawel zwiedzać grobowce królów.

O godz. 7-ej konferencja Księdza.

O 8.30 kolacja u biskupa. Bardzo interesująca rozmowa o Rzymie.

25 kwietnia 1921

O godz. 10-ej w towarzystwie architekta wizytujemy kościół św. Floriana (piękny ołtarz) i kościół Świętego Krzyża z małym ołtarzem gotyckim w jedynej nawie. Pragnę specjalnie podkreślić urok tego małego kościoła. Od zewnątrz, długi spadzisty dach z czerwonych dachówek doskonale harmonizujący z ceglаныmi murami. Wewnątrz, centralna kolumna, od której rozchodzą się łuki sklepienia.

Zwiedzamy następnie muzeum Czartoryskich i podziwiamy piękne płótna Rafała, Rembrandta, Dürera. Oglądam również

impresjonujący obraz Matejki „Męczeństwo Polski”. Na pierwszym planie dwum kobietom o szlachetnym wyglądzie zakładają kajdany. Gruby oficer rosyjski o otyłej i wulgarnej twarzy, z cygarem w ustach, pogardliwie przygląda się tej scenie, której dozorują żołnierze o prostackich rysach. Obraz ten tchnie siłą swej wymowy i realizmem.

Oglądamy następnie dom Matejki, a potem Muzeum Narodowe, zawierające dużą ilość interesujących płócien tego malarza. Uderza mnie również obraz malarza polskiego, którego nazwiska nie pamiętam, zatytułowany: *Et lux in tenebris lucet*.

O godz. 1-ej obiad u Ojców. Dwudziestu czterech obecnych. Potem zwiedzanie różnych instytucji dobroczynnych.

O godz. 5-ej herbata u pułkownika Kail.

O godz. 7-ej druga konferencja Księdza w obecności księcia biskupa Sapiehy. Zachowałem jak najlepsze wspomnienie o tym pralacie: 54 lata, subtelna twarz, inteligentny, o szczerym sposobie życia. Wydaje się, że widzi i rozumie właściwy kierunek, w którym należy poprowadzić naród lecz podlega przypuszczalnie najrozmaitszym presjom ludzi swojej kasty, szlachty i arystokracji.

26 kwietnia 1921

O godz. 6-ej rano opuszczamy Kraków. Na dworzec odpro-wadza nas poczciwy major Durteste z francuskiej misji wojskowej

O godz. 9-ej przekraczamy granicę i o 10-ej jesteśmy w Cze-chosłowacji.

Żegnaj droga Polsko, o której wspomnienie zachowam na zawsze.

Georges LORY

(Przełożył z francuskiego Jerzy KROŃSKI)

UPADEK POLSKI

Już pod koniec r. 1938 odczuwało się w Warszawie nastrój dziwnego podniecenia, jakie towarzyszy zbliżaniu się wielkich wydarzeń. Miasto reagowało zwykłą zuchowatą pewnością siebie na zbierające się nad nim groźne chmury, których nie mogło już ignorować. Po dniach, w których mieszkańcy stolicy wydawali w gorączkowym pośpiechu swoje oszczędności i marnowali siły, przekonani, że groźne jutro nie pozwoli im nic zachować dla siebie czy dla innych — nadchodziły wieczory nie przynoszące uspokojenia, podczas gdy w uśpionych wsiach dwory, pamiętające dawne czasy, trwały w upartym przywiązaniu do legendarnej „feudalnej przeszłości” — na przekór rozsądkowi i historii.

Taką niespokojną i podnieconą Warszawę odwiedził w lutym 1939 r. Galeazzo Ciano, promotor Paktu Osi, przyjaciel Niemiec, ożywiony nadzieją współudziału w ich ambitnych planach.

Niełatwo było nakłonić ministra Ciano do odwiedzenia Polski, która nie wahała się przeciwstawić prawu silniejszego — odwagi i słuszności swoich żądań. Skąd inąd ludzie u steru władzy w Polsce spodziewali się znaleźć w nim — bez ustępstw ze swej strony — najbardziej autorytatywnego rzecznika ich sprawy. Ciano zgodził się przyjechać do Polski dopiero wtedy, gdy mu przyrzeczono, że jego wizyta będzie potraktowana jedynie kurtuazyjnie i że nie będzie wiązana z żadnymi sprawami. Niemniej od chwili przybycia uważał w swej chorobliwej drażliwości, że został wciągnięty w pułapkę. Od początku okazywał nieufność wszystkim członkom naszej ambasady, nie wyłączając mnie, jakkolwiek znaliśmy się od dzieci. Unikał spotkań w cztery oczy z Beckiem, a nawet uchylał się w ogóle od zetknięcia z nim. Jego złe samopoczucie doszło do szczytu, kiedy stojąc na balkonie ambasady wśród okrzyków wiwatującego tłumu rozróżnił wy-

rażnie wrogie głosy pod swoim adresem jako sojusznika Niemiec.

Potem jednak bajkowa atmosfera polowania w puszczy Białowieskiej, atrakcyjność wytwornych Polek, tradycyjny pociąg do dawnych obyczajów, ciepło przyjaznych kontaktów przezwyciężające trudności protokolarne — wszystko to zwalczyło nieufność młodego ministra, poruszając najszczerzej brzmiące struny jego charakteru.

Wyjeżdżał z Polski z żywą sympatią dla jej mieszkańców i nie ulega wątpliwości, że podczas tej podróży wyczuł po raz pierwszy od czasu euforii przyjęcia zgotowanego mu w Berlinie, że rozdzwięk pomiędzy jego uczuciami a utopijnością tego przeciwnego naturze obu narodów sojuszu, jest nie do przezwyciężenia.

Polowanie w Białowieży było w moim przekonaniu najznamienniejszym epizodem tej podróży, najlepiej streszczającym jej znaczenie dzięki pozornie nie mającym ze sobą związku, wrażeniom i przeczuciom.

Puszcza była nietknięta czasem, nieruchoma w swej tajemniczej głębi, jak dusza tego kraju, pełna ukrytych sił i czarów. Im głębiej gospodarze zapuszczali się w gąszcz zieleni, tym bardziej wyraz ich twarzy odzwiercadlał wspólnotę z otaczającą przyrodą. Nawet futra okrywające ich jak prymitywna odzież barbarzyńców, sople lodu na wąsach i oszroniałe brwi, zdawały się ich zmieniać w inne istoty, pół-ludzkie, pół-zwierzęce, przynależące do natury, która ich otaczała.

Każdy nasz ruch, nasze kroki i głosy nieprzystosowane do tła, mąciły niemile tę harmonię, choć nasi towarzysze nie okazali z tego powodu zniecierpliwienia. Byliśmy wszyscy doświadczonymi myśliwymi, szczególnie minister Ciano. Ale to nie było już polowanie, to był obrzęd.

Ciano strzelał dobrze, ale z pewną przesadą i zbyt nim entuzjazmem, jak prawdziwy potomek Latynów, nazbyt często przekraczając surowe przepisy obowiązującej tam liturgii. Kiedy śmiertelnie ranny jego strzałem olbrzymi dzik nie padł trupem na miejscu, Ciano zszedł ze stanowiska i rozgarniając zarośla pośpieszył go dobić. Podążyliśmy za nim: Krystyna Potocka, leśniczy i ja. Niebezpieczna pogoń zakończyła się krótką walką i ostatecznym ciosem. Z marszem na czołe Krystyna Potocka zbliżyła się do ministra, aby zatamować chusteczką krew sączącą się z odniesionej lekkiej rany. Była jeszcze zdyszana biegiem, przepojona zapachem gliwia i gąszczu leśnego.

Nagonki następowały jedne po drugich aż do wieczora w tej krainie baśni, w której roiły się rogacze, rysie i dziki. Wieczorny obrachunek ubitej zwierzyny odbywał się przy dźwięku rogów,

w świetle ognisk rozpraszających mroki i duchy leśne. Na koniec posiłek przy ognisku przeniósł nas w nierealny, mitologiczny klimat, w którym pierwotne uczucia przewyciężają umowną towarzyską powściągliwość i opływają falą ciepła, na zawsze już mającego pozostać w naszym uczuciowym stosunku do tego kraju.

Następnego wieczora ambasador polski przy Kwirynale, Wieniawa, urządził dla nas staropolski bal z udziałem pułku szwoleżerów, który nadal uważał za swój. Wieniawa należał do romantycznej grupy „pułkowników”, którzy w wojnie światowej przywrócili Polsce jej właściwe oblicze, a po wojnie wzięli udział w rządach.

Szwoleżerowie wystąpili w całym blasku świetnego umundurowania, tworząc tło odpowiednie dla najpiękniejszych warszawianek. Była to ostatnia, pełna radości i dumy, wizja świata uprzywilejowanych, ostatnie, płomienne błyski polskiej *belle époque* przed jej zachodem. Migotliwy blask świec ukazywał, w wirze polki i w rozmachu mazura, rozochoczone młode twarze, już jak gdyby świadome swego przeznaczenia. Ta sama młodzież, wierna sobie, w kilka miesięcy potem runęła konno z lancami na niemieckie czołgi by roztrzaskać się o nie w legendarnej szarży pod Gdynią. Parę lat później Wieniawa popełnił samobójstwo.

W następnych tygodniach aparat propagandy niemieckiej prowadził dalej kampanię nienawiści i nietolerancji, pracując na coraz to szybszych obrotach nad stwarzaniem pretekstów dla napaści, od dawna opracowanej w najdrobniejszych szczegółach.

Po mowie Hitlera „Gdańsk dla Niemiec” — dumna odpowiedź Becka, 5 maja 1939, resztki nikłej nadziei na pośredniczenie Włoch rozwiały się, zamieniając się w odruch gniewu, kiedy wkrótce potem nasz ambasador został zmuszony do powiadomienia Becka, że rząd włoski, nie porzucając nadziei pokojowego załatwienia sporu, uprzedza iż w razie konfliktu stanie po stronie Niemiec, jako swego sojusznika. Było to posunięcie zbędne i szkodliwe, które, uniemożliwiając nam wszelki manewr, stawiało nas na równi z napastnikiem i skazywało na odosobnienie. Nieszczęsny ambasador Valentino, typ gentelmana z dawnych lat, który wierzył w swe pokojowe posłannictwo, był zmuszony do podjęcia się tak poniżającego zadania. Długo bił się z myślami pod wpływem dręczącej niepewności, czy nie powinien raczej zrzec się swego stanowiska i wystąpić ze służby, aż wreszcie poczucie obowiązku, którym zwykł się kierować, przemogło osobiste poglądy, nakazując mu pozostanie na posterunku, aby ratować to, co było do uratowania.

Nawiązał jednak kontakt z ambasadorem włoskim w Berlinie,

Attolico, celem uzgodnienia z nim linii postępowania w duchu śmiałego planu, który Attolico opracowywał z myślą pozostawienia Włoch poza konfliktem wojennym.

W owym czasie członkowie naszego rządu — bądź obałamu-ceni przez Niemców, bądź przeświadczeni, że sami Niemcy są tego zdania — żywili przekonanie iż akcja bojowa przeciwko Polsce nie spowoduje wojny powszechnej. Spodziewali się więc, że solidarność Włoch wykazana w ograniczonej rozgrywce między Niemcami a Polską, pozostanie efektywnym gestem bez następstw.

Ambasada tymczasem nadaremnie pisała z Warszawy do Rzymu, że Francja zachęca Polskę do ustępstw, gdyż sama nie chce być wciągnięta w konflikt, że Anglia, doszedłszy do momentu nieuniknionego *showdown*, doradza Polakom nieustępliwość. Ich postępowanie wykazywało dowodnie, jak każde z tych państw pojmowało swoje zobowiązania.

Ale jak to wytłumaczyć w Rzymie skoro, nawet o wiele bardziej powołane głosy naszych ambasadorów w Londynie, w Paryżu i w Berlinie nie znajdowały posłuchu.

Stało na tym, że Valentino znalazł pretekst wysłania mnie do Rzymu, bez wielu złudzeń co prawda, licząc głównie na moją dawną zażyłość z Cianem, która mogła jedynie skłonić go do przyjęcia i wysłuchania mnie.

Tak się jednak nie stało: nie otrzymałem audiencji. Stosowano wówczas surowe przepisy, zabraniające komukolwiek opuszczanie placówki bez upoważnienia. Ponadto minister nie chciał się widzieć z nikim, poza wezwanymi przez siebie osobistście, może w obawie stanięcia oko w oko ze zbyt przykrymi prawdami.

W niemożności uzyskania dostępu do Palazzo Chigi udałem się do Castel Fusano, aby tam przychwycić Ciana, narażając się na ryzyko natrafienia na chwilę złego humoru.

Dookoła kabiny na plaży zebrała się już spora gromadka stanowiąca jego zwykłe otoczenie: piękne kobiety, towarzystwo kawiarziane, arystokracja, osobistości które zdobyły miejsce w towarzystwie rzymskim torując sobie drogę stosunkami w sferach rządzących. Znałem ich wszystkich, więc wmieszałem się w grupę rozproszoną na plaży jak gdyby nigdy nic, tak jak gdybym nigdy ich nie opuszczał.

Czekałem, dzielając ogólną znudzoną obojętność, aż do chwili kiedy usłyszałem pytanie wypowiedziane tonem na poły poważnym, na poły dobrodusznym: jakim sposobem ośmieliłem się zjawić w tych stronach? Był to minister Ciano, który zauważył mnie od razu po swym przybyciu na plażę. Z tonu jego głosu zmiarkowałem, że był nastrojony łaskawie. Byłem uratowany. Wyprostowałem się służbiście i odparłem, że udało mi się

skorzystać z inauguracyjnego lotu LAI, żeby wpaść na kilka godzin do Rzymu. Udał, że zapomniał o zakazie wyjazdów, zaprosił mnie abym usiadł obok niego na piasku i rozpoczął rozmowę. Cóż nowego miałem do opowiedzenia o przyjaciółach Polakach? Czy wciąż trwali w swej niezłomności? Jak się przedstawiała sytuacja z naszego punktu obserwacyjnego? Zadawał te pytania tonem lekkim, niemal roztargnionym. Znałem go zbyt dobrze aby nie wiedzieć, że często jego lekkomyślność była raczej pozorna niż istotna. Ale wiedziałem także, iż nie znosił nudziarzy. Starałem się więc jak najbardziej streścić to co miałem do oznajmienia, rozmawiając w tonie równie lekkim. Wspomniałem o różnych hrabinach i księżnych, którymi się zainteresowałem podczas swego krótkiego pobytu w Polsce. Powiedziałem, że Beck przyjął z uczuciem zawodu depeszę, w której Włochy opowiedziały się tak bezwzględnie po stronie sojusznika. Powstrzymałem się jednak od opisywania objawów tego zawodu, żeby nie urazić nadmiernej drażliwości ministra i nie osłabić głównego przedmiotu naszej rozmowy: a mianowicie stwierdzenia, że stanowczość — bo była to właśnie stanowczość, nie zaś nieustępliwość czy nietolerancja — rządu warszawskiego opierała się na przeświadczeniu o słuszności swych praw i na uzasadnionej pewności, że Francja i Anglia wywiążą się ze swoich zobowiązań.

Nie ukrywał swego niezadowolenia z mojej wypowiedzi, która jednak niewątpliwie zastanowiła go.

Przerwał mi:

— Ribbentrop zapewnia, na zasadzie najwiarygodniejszych informacji, że Francja i Anglia nie wmieszają się w porachunki między Niemcami a Polską. Co do mnie, nie mam powodu w to wątpić. Goebbels określa postawę Polski jako objaw niedojrzałości politycznej.

Ośmieliłem się wtrącić:

— ... który mógłby nas także drogo kosztować.

To mu się jeszcze mniej podobało. Wstał i pożegnał mnie krótkim skinieniem. Był to dzień 19 czerwca.

Nazajutrz wróciłem do Warszawy. Poinformowałem ambasadora o usztywnieniu się Ciana na pozycjach niemieckich i o nastroju nieodpowiedzialnej lekkomyślności, w jakim mnie przyjął.

Rzym wydawał się nam nieprawdopodobnie daleki, prawie tak jak Warszawa Rzymianom. Wiedzieliśmy, że siedzimy po uszy w wojnie, ale jak przekonać o tym kogoś przez telefon?

Dni mijały w odosobnieniu spowodowanym naszą bierną solidarnością z Niemcami. Tylko ten i ów spośród zaprzyjaźnionych z nami Polaków, znających nasze prawdziwe uczucia, zachodził jeszcze do nas. Wszyscy ci, którzy zajmowali jakiegokolwiek odpo-

wiedzialne stanowisko, unikali nas. W stosunkach z cudzoziemskimi kolegami przyjęta serdeczność staje się w naszym zawodzie, jeśli się ją umie stosować, obroną przeciw skokom polityki, którą często musimy uprawiać bez przekonania.

Z Niemcami nigdy nie było wielkiej zażyłości. Z tym większą nieufnością przyjmowaliśmy więc ich ostrożne aluzje do wpływu, jaki Włochy mogłyby jeszcze wyrzucić na sojusznika, aby go skłonić do większego umiarkowania.

Może ambasador von Moltke nie wyobrażał sobie jeszcze wtedy, jak daleko sięgały plany Hitlera i może w dobrej wierze zachęcał nas do interwencji, która i tak niczego by nie zmieniła. Przemawiałby za tym słaby zapał, okazywany w czasie jego następnej misji, w Madrycie oraz tajemnicza śmierć jego przez otrucie.

Von Scheliha, radca tejże ambasady, nie wzbudzał niczyjego zaufania z powodu swego arystokratycznego polskiego pochodzenia, a także z powodu pozornej lekkomyślności i zbytnej otwartości w wypowiedaniu niezależnych a krytycznych poglądów. W kilka miesięcy potem zapłacił za to, kładąc głowę pod topór.

Wühlisch, drugi radca ambasady, połączył później swój los z osobą Franka, z którym dzielił nieograniczoną władzę. Znajdujemy go w Krakowie w pierwszych miesiącach okupacji. Giętki, dwuznaczny i nieuchwytny, podobnie jak jego pan i władca, był jednak od niego szczęśliwszy, bo zamiast skończyć na szubienicy, zginął śmiercią naturalną.

Jeden tylko ambasador francuski wierzył jeszcze w pośrednictwo Włoch i nie omijał żadnej okazji nadsyłania nam pism w tym duchu i udzielania słów zachęty.

Usiłowaliśmy nadal składać w jaką taką całość rozbite i często nie pasujące do siebie strzępki chaotycznego obrazu i zdawać sprawę Rzymowi z sytuacji, lecz to pozostawało bez echa.

Później zaczęły do nas po trochu dochodzić pierwsze słycho o nastrojach, z których wyłonił się następnie definitywny rozłam między Ribbentropem a Cianem. Jeszcze później — pierwsze oznaki zachwiania się zaufania naszego ministra do Niemców, którzy wobec stanowczej postawy anglo-francuskiej nie robili już sobie złudzeń co do nieinterwencji tych państw i starali się przekonać nas — jeżeli nie siebie samych — że uporają się z Gdańskiem w tak piorunującym tempie, iż nikt nie będzie miał czasu pospieszyć na ratunek Polsce.

Im bardziej pogarszał się stan rzeczy, z tym większą nadzieją spoglądano na Włochów. Pewnego dnia otrzymaliśmy list od Studnickiego, z propozycją nieoficjalnego spotkania. Przedstawił on nam projekt rozstrzygnięcia kwestii gdańskiej, mający dać

pełną satysfakcję Niemcom, przy uratowaniu pewnego minimum prestiżu państwa polskiego. Niemcy otrzymałyby Gdańsk i kanały wiślane, eksterytorialną autostradę, łączącą Niemcy zachodnie ze wschodnimi przez terytorium polskie i gwarancje dla mniejszości niemieckiej. Polsce pozostałaby tylko władza nad podmokłym i bezużytecznym ujściem Wisły, tyle zaledwie, aby mogła sobie pozwolić na utwierdzenie tylokrotnie głoszonej nie-tykalności swej rzeki, uświęconej przez historię.

Propozycja, nawet w pierwszym zarysie, była zbyt gruntownie opracowana i zanadto zobowiązująca, żebyśmy ją mogli na serio uważać za owoc inicjatywy pana Studnickiego, nie mówiąc o tym, że gdyby tak było, narażałaby go na postawienie przed plutonem egzekucyjnym. Oferta była zatem jasna i zbiegała się z treścią pewnych niedyskrecji zabarwionych nadzieją, które nadeszły nas ze strony Moltkego mniej więcej w formie, w jakiej przedstawił ją Studnicki, a z których należało wnosić, że Polska skłania się do kapitulacji.

Wysłaliśmy depezę do Rzymu. Ciano, który był na wyjeździe do Salzburga, gdzie miał się spotkać z Ribbentropem, chwycił się z entuzjazmem tej deski ratunku; wydał ambasadzie rozkaz upewnienia się czy projekt miał charakter oficjalny, i doniesienia mu o tym bezzwłocznie do Salzburga, wysyłając przez specjalnego kuriera szczegółowe plany.

Przedstawiciel Francji, Noël, zorganizował w ambasadzie francuskiej spotkanie ambasadora Valentino z Arciszewskim, który od maja starannie go unikał. Zapytany czy „pogłoski o rzekomych krokach pokojowych” miały jakieś podstawy, odpowiedział, że były to „projekty dyletanckie”, „dość jednak interesujące”.

Dostarczone później przez Studnickiego dokumentarne wyjaśnienia były wykonane na papierze Sztabu Głównego i opierały się na przestudiowanych zasadach prawnych, ich dokładność i autentyczność rozprasały przeto wszelkie wątpliwości co do oficjalnego pochodzenia propozycji.

Historia spotkania w Salzburgu jest aż nadto znana. Ciano stanął wobec faktu dokonanego bez możliwości dyskusji, w sytuacji tym bardziej upokarzającej, że gdy pociąg już ruszał Ribbentrop zapowiedział mu mający zająć „nowy fakt, który rozwiąże wszystkie problemy”. Powstrzymał się jednak od określenia natury tego faktu, ponieważ powziął już wtedy wątpliwości co do dyskrecji Ciano. Dopiero później nasz minister dowiedział się, że to co Ribbentrop zataił przed nim owego dnia, było ni mniej ni więcej tylko ugodą z Rosją.

Nie jest natomiast wiadome — i dziwne się wydaje, że Ciano pomija to milczeniem w swoich „Pamiętnikach” — że kiedy

w toku burzliwych rozmów próbował on wspomnieć o usiłowaniach Polaków wyjścia z sytuacji, rozmówca jego nie chciał nawet o tym słuchać i uciał w pół słowa: „Teraz już nic nie może powstrzymać puszczonej w ruch maszyny wojennej Niemiec”. Nie pozostało też śladu z dokumentu, o którym tu mowa, wraz z tyłu innymi pogrzebanego pod gruzami epoki.

Wiadomo, że Ciano powrócił z Salzburga urażony i zdecydowany do użycia wszystkich sił, aby doprowadzić Włochy do oderwania się od osi.

Nasza ambasada nie mogła, rzecz oczywista, pozostać poza tą grą, jakkolwiek wobec nieprzewidzianego zasięgu planów niemieckich, Polska stawała się już sprawą marginesową, niemniej Warszawa pozostawała nadal niezbędną bazą wypadową. Poza tym Mussolini wciąż jeszcze ufał, że do wojny nie dojdzie, a gdyby nawet doszło, to że skończy się ona wraz z upadkiem Polski, tak nagłym, że inne państwa nie zdążą przystąpić do akcji. Opłacało się więc — wedle jego obliczeń — tanim kosztem okazywać wierność Hitlerowi. Ciano natomiast nie miał złudzeń: tym razem zanosilo się na wojnę powszechną. Ale Mussoliniego trudno było przekonać.

Podczas gdy Ciano i Attolico usiłowali, w poczuciu słuszności, wymanewrować zwolnienie Włoch z solidarności, która z każdym dniem stawała się bardziej bierna, pierwszy sekretarz naszej ambasady w Warszawie, Di Stefano, został nagle odwołany z urlopu z powrotem do Warszawy, z zadaniem zebrania w największej tajemnicy wszystkich możliwych elementów wykazujących, że podbój Polski byłby dla Niemców twardym orzechem do zgryzienia i że nie ma nadziei aby i tym razem Francja i Anglia przyjęły bez sprzeciwu fakt dokonany. Było to dość nieprzekonywające rozumowanie, zważywszy, że przeciwko pięćdziesięciu znakomicie uzbrojonym dywizjom niemieckim stawał przestarzały polski aparat wojskowy, rozporządzający żołnierzami gotowymi na wszystko, ale nie przygotowanymi do nowoczesnej walki. Generał Ironside zrozumiał to od razu. Przyjechał do Warszawy aby upewnić się jaki opór może stawić wojsko polskie w związku z ewentualną pomocą Wielkiej Brytanii i po dwóch dniach wrócił do Londynu przekonany, że jeżeli chodzi o wojnę na serio, trzeba pozostawić Polskę jej własnemu losowi, obwarowaną na swoich najdalszych pozycjach obronnych. Tym sposobem losy Polski zostały rozstrzygnięte w tej samej chwili, kiedy pchano ją do poświęcenia się dla dobra ogółu i Imperium Brytyjskiego.

Wobec powyższego, nasze pierwsze depesze były siłą rzeczy ogólnikowe. Mówiło się w nich o niezłomnej woli oporu przeciw najeźdźcy, o nieprzewidzianych zasobach wewnętrznych, jakimi

rozporządzał ten bohaterski naród, i na tym koniec. Ciano wymagał czego innego. Zażądano od nas telefonicznie, już bez ogródek, zaniechania zbytecznych frazesów i udzielenia ni mniej ni więcej tylko precyzyjnych informacji co do siły oporu Polaków w granicach dwóch, trzech miesięcy. Przyszła nam wtedy w pomoc opatrzościowa, w danej chwili, kompetencja naszego attaché wojskowego, który — nieświadom naszych kłopotów i całej gry w jaką byliśmy wciągnięci — wziął na siebie inicjatywę wysłania do Sztabu Głównego raportu ... o znakomitej sprawności wojska polskiego, „które może stanąć kością w gardle dywizjom niemieckim”. „Musiłyby one walczyć kilka miesięcy aby zdobyć przewagę”. Fakty wykazały, jak mylne były jego przewidywania. Na razie jednak mogliśmy powołać się na ten raport. I Ciano był zadowolony.

Pozostaje otwarte pytanie, do jakiego stopnia ten raport przyczynił się do zorientowania Mussoliniego w kierunku zachowania neutralności i jakie miał znaczenie przy konfrontacji z innymi, o wiele bardziej decydującymi czynnikami polityki Włoch w owym czasie.

Warszawa przeżywała zmorę swych ostatnich dni. Wszyscy mieli w oczach z trudem powściągany niepokój, wszędzie słyszało się pytanie, na które nie było odpowiedzi. W powolnym upływie pozornie normalnych godzin drzemał desperacki spokój. Każdy gest wydawał się sztuczny. Wymuszone było wtedy wszystko, tak samo jak nastrój panujący na wieczornym przyjęciu u nas, od dawna zapowiedzianym na 31 sierpnia, a którego nie mieliśmy odwagi odwołać.

Wszyscy stawili się na zaproszenie, udawali że poruszają się i rozmawiają, jak gdyby to był pierwszy lepszy dzień pierwszego lepszego roku, ale myślami byli gdzie indziej. Z trudem opanowywali gesty i słowa w fałszywej, paradoksalnej atmosferze. Piło się jednak, tańczyło się, za dużo było śmiechu, za dużo pozornej swobody w zachowaniu się, nie dlatego by się uchylić od nieuniknionej rzeczywistości, ale ponieważ napięcie przekroczyło granicę wytrzymałości nerwów.

Wyszedszy o brzasku na opustoszałe ulice, każdy odnajdywał samego siebie.

Wraz z jednym z przyjaciół znajdowaliśmy się jeszcze w pokojach ambasady przesyconych zapachami wina, kwiatów i perfum, gdy doszedł nas nagły warkot silników, salwy karabinów maszynowych, huk pierwszych bomb i odgłos walki powietrznej. Odezwały się ogłuszające syreny, głośniki uporczywie powtarzały ostrzeżenie: „Uwaga, uwaga! Wojna się rozpoczęła”.

Oczekiwaliśmy tego, a jednak wydawało się to *jeszcze* niemożliwe i umysł nasz wzdragał się przed dokładnym wyobrażeniem sobie rozwoju wypadków. Nie mieścił nam się w głowie istotny sens morderczej gry, w której powolne i przestarzałe myślicy polskie ścierały się ze zwartymi formacjami niemieckimi. Walka trwała krótko. Zdążyliśmy jednak połączyć się telefonicznie z Rzymem, po drodze przechwycić absurdalną rozmowę między niemieckimi i polskimi telefonistkami — rutyna porządku który już się zawalił ale jeszcze działał siłą bezwładu — rozmawiać z Luciollim, który przez słuchawkę telefoniczną słyszał zgiełk walki powietrznej gdy zbliżyliśmy się do okna. Połączono nas z Cianem w chwili gdy na pobliskim placu eksplodował zestrzelony samolot. Wtedy gwałtownie przerwano połączenie.

Tego wieczora Ciano mógł opowiadać przy obiedzie na Piazza Colonna, że „słyszał” bombardowanie Warszawy.

Wkrótce potem syreny znowu wszczyły alarm. Z głośników padło słowo „gaz”. Nad miastem przetaczała się, popychana wiatrem, ciężka, oleista chmura.

Byliśmy zaskoczeni. Nie było pod ręką masek gazowych a gryzący dym dusił za gardło, mieszając się z gorzkim smakiem strachu przed śmiercią. Ale chmura odpłynęła. To nie były gazy. Okazało się, że zapalił się od pocisku skład farb i lakierów. Pozostało mi po dziś dzień mrozące krew w żyłach wrażenie przeżytej chwili i wizja tłumu oszalałego paniką.

Obwieszczenie przystąpienia do wojny Francji i Anglii przyjęto z uniesieniem radości, ale groza trwała niezmnieszona.

4 września rząd postanowił opuścić stolicę, którą można było wtedy ogłosić otwartym miastem.

Przekazałem ambasadorowi pismo podsekretarza stanu Szembeka, zalecające by najściślejsze przedstawicielstwo ambasady towarzyszyło rządowi, reszta zaś pozostała na miejscu pod ochroną prawa narodów. Wyruszyliśmy przed nocą po zniszczeniu dokumentów i skupieniu nielicznych Włochów w gmachu ambasady.

Drogi były zatłoczone wojskiem cofającym się — ale dokąd? — działami i taborami, oraz posępnym tłumem uchodzącym — dokąd? Z trudem przeciskaliśmy się przez ten żywy mur, bez świateł, w słabym blasku księżyca. Stopniowo nawiązał się kontakt między konwojem rządowym a dyplomatycznym. Skoro świt nieprzyjaciół rozpoczął znów ofensywę. Szczęściem samoloty nie były liczne i nie ośmielały się zbyt zbliżyć do szosy, być może, w obawie nieistniejącej akcji przeciwlotniczej. Co jakiś czas ten i ów zniżał jednak lot, zmuszając nas do krycia się po rowach. Zdarzały się ofiary.

Widzę w pamięci jasnowłosą dziewczynkę z warkoczami,

pasącą podczas nalotów dwie krowy daleko na łące. I widzę jak jeden samolot odrywa się od eskadry, zniża się — w tejsze chwili dziewczynka i krowy przestają istnieć, podczas gdy samolot wzbiął się znowu ku słońcu. Przebieg tej sceny był tak swym okrucieństwem szybki i tak daleki, że nie wywołał nawet wstrząsu.

Był późny ranek, kiedy stanęliśmy w Nałęczowie. Trzeba było dziesięć godzin na przebycie 160 km.

Nałęczów to opłakane miasteczko, zapewne umyślnie wybrane by ujść uwadze zwiadowców niemieckich. Co za mieszkania, o Boże! Wedle przewidywania władz, mieliśmy się tam zatrzymać czas dłuższy.

.....
Wieczór zastał nas przystosowanych do nowych warunków, bez kontaktów ze światem zewnętrznym, w oazie względnego spokoju i dobrobytu.

Następny ranek wstał pod złym znakiem: wysoko na niebie ukazał się niemiecki samolot wywiadowczy. Zaraz potem zaczęły dochodzić wiadomości, że wojska niemieckie zbliżają się do uciekającego rządu. Nie ulegało bowiem wątpliwości, że była to ucieczka. Wieczorem Szembek zapowiedział, że trzeba jak najprędzej zbierać manatki. Mieliśmy wziąć kierunek na Krzemieniec, gdzie, jak się spodziewano, dywizje niemieckie nie prędko zdołałyby dotrzeć, choćby dlatego, że wołały uniknąć komplikacji, możliwych ze względu na bliskość granicy sowieckiej.

Podróż ciągnęła się bez końca, przerywana od czasu do czasu nieuniknionymi nalotami. Tam gdzie one nie docierały, życie płynęło nadal w normalnym tempie, jak gdyby nikt nie zdawał sobie sprawy, że cały kraj się wali. Słowo „wojna” jeszcze nie przerażało. Nie widziano dotychczas wojny z bliska.

Tak dotarliśmy do Krzemieńca, który nas powitał sennym zdziwieniem.

Ludzie pogodni i uśmiechnięci udzielili nam gościny w swoich domach. Jakkolwiek zdawali sobie sprawę ze znaczenia naszej obecności u nich, byli prawie radzi przygodzie, która przerwała monotonię bytowania w tym oddalonym ośrodku, zagubionym wśród łąnów zboża odzwierciadlających się w ich oczach i stanowiących cały ich skromny dobrobyt. Nie wiem dlaczego patrząc na nich, tak niezorientowanych i tak ufnych, nie mogłem opanować wyrzutów sumienia, czułem się jakby odpowiedzialny za tych, którzy nie sprostali obowiązkom, jakie im przypadły z racji pełnionych funkcji.

Ileż razy potem podobne zagadnienia wracały by mącić do reszty spokój naszych sumień!

Ale mieszkańcy Krzemieńca nie pytali, nie zastanawiali się jeszcze nawet, nad najbliższą przyszłością.

Eskadra bombowców, która — pewna swej bezkarności — zniżyła do tego stopnia lot, że prawie ocierała się o dachy domów na placu targowym strzelając do bezbronnej ludności jak do celu, wywołała więcej zdziwienia niż przerażenia.

Zbudził nas zgiełk silników. Oczywiście bezużyteczność rowów przeciwlotniczych, pośpiesznie w ostatniej chwili wykopanych, skłoniła nas do nieopuszczania zacisznych pokoi. Dom, w którym chroniliśmy się, cudem zachował się w całości, gdy tymczasem na dworze kogo nie rozszarpały eksplozje, tego zmiotł ogień karabinów maszynowych. Ocalała się także Bogu ducha winna rodzina notariusza, która udzieliła nam gościny, z wyjątkiem najmłodszego z dzieci, nieobecnego w domu podczas nalotu. Przyjęli ten cios bez odruchu buntu, z opanowanym bólem ludzi bliskich ziemi i z modlitwą, wyrażającą głęboką wiarę.

Plac targowy opustoszał. Wzrok mój spoczął nie na zabitych, których bezruch nie robił już na mnie wrażenia, ale na ubogim towarze wystawionym na sprzedaż, rozbitym i popalonym. Zdawał się on wyrażać ducha, łagodność, cierpliwość, oszczędność, a także posłuszeństwo temu, kto posiadając władzę tak źle jej używał.

Tymczasem korpus dyplomatyczny zebrał się na naradę nad wystosowaniem zbiorowego pisma do najeźdźcy. Zagadnieniem było tylko jak je doręczyć?

Wtedy to dowiedzieliśmy się, że Warszawa zamknęła się w dobrowolnym oblężeniu, odrzucając korzyści ogłoszenia się miastem otwartym, Warszawa pragnęła aby historia zapisała rozpaczliwy protest narodu bezprawnie napadniętego.

W ten sposób trudność naszego położenia powiększała jeszcze troska o tych, których zostawiliśmy pod rzekomą ochroną naszej flagi i hipotetycznego prawa. Wiele dni upłynęło, zanim dowiedzieliśmy się o bezlitosnym zachowaniu się Niemców i o chwilowym zawieszeniu broni, które zwolniło drogę między dwoma frontami, żeby umożliwić grupom cudzoziemców wydostanie się w bezpieczne miejsce. Potem potrzask zamknął się znowu i rozpoczęło się dzieło zagłady.

To był koniec. Śmigły-Rydz, Beck i jego otoczenie pierzchnęli już do Rumunii. Ambasador sowiecki wyjechał pod pretekstem konieczności porozumienia się ze swym rządem. Pozostało zaledwie kilku mniej ważnych przedstawicieli władz polskich, a wśród nich Szembek, który najwięcej ze wszystkich zasługiwał na szacunek. Niedługo potem wojska sowieckie wkroczyły do Polski. Od tej chwili byliśmy zdani na siebie samych.

Teraz wszystko stawało się jasne: słowa wypowiedziane przez Ribbentropa w rozmowie z Cianem, śmiała i zdawałoby się, szalona strategia, wysyłająca dywizje niemieckie tak daleko od baz, w sąsiedztwo zbrojnych sił sowieckich, zniknięcie ambasadora sowieckiego, który aż do owej chwili informował nieprzyjaciela o naszych poruszeniach.

Wyjaśniło się dlaczego nie można było zapobiec wojnie.

W tym sponiewieranym miasteczku stanął mi w tym momencie w oczach dramat, jaki przeżywało nasze pokolenie.

Z jednej strony pozbawieni sumienia i żądni władzy napastnicy, wyznający krańcowo przeciwną ideologię, ale połączeni w dążeniu do wspólnego celu: do bezprawnego podboju Polski. Z drugiej strony — masy, oddane na łup egoizmu tych, którzy prowadzili je do wojny, którzy swoją nieudolnością, zawiścią, ambicjami, chciwością i nieodpowiedzialnymi planami skazywali je, być może, na powrót do niewoli.

Nastąpił gwałtowny wyścig w stronę granicy rumuńskiej. W Czerniowcach usłyszeliśmy śpiew chóralny, dumny jak pieśń wojowników. Śpiewali polscy uchodźcy, którzy za chwilę mieli rozpierchnąć się po całym świecie, aby na nowo podjąć walkę. To był ostatni akt wiary w słowa ich hymnu narodowego: „Jeszcze Polska nie zginęła...” Był dzień 18 września.

Przykro uderzył mnie kontrast między tym, co pozostawiłem za sobą, a karnawałową wesołością Bukaresztu. Rumuńskie sfery rządzące w gorączkowej chęci użycia swego źle zdobytego majątku nie chciały dostrzec pożaru, który sięgał już granic ich kraju. Zgniłe społeczeństwo obchodziło hucznie swój zbliżający się koniec w ostentacyjnym przepychu restauracji i nocnych lokali.

Nawet zamordowanie Calinescu i krwawe represje jakie potem nastąpiły nie opamiętały tej niepoczytalnej bandy, nie nasunęły jej myśli, że zbliża się czas obrachunków. Wręcz przeciwnie, odnosiło się wrażenie, że rozprężenie syciło się tragedią i znajdowało w niej swe uzasadnienie.

Wracając jeszcze do Czerniowiec: przejeżdżając przez niezliczone wsie oglądaliśmy szubienice króla Karola nieostygłe jeszcze i drżące, a następnie mieliśmy zaledwie tyle czasu aby się przebrać i pośpieszyć na przyjęcie, gdzie po raz pierwszy zakosztowaliśmy uciech życia bukareszteńskiego.

Obchodzono uwolnienie jednego z najwierniejszych popleczników Karola, skazanego za nadużycia i ułaskawionego przez króla. Przez Bukareszt mogliśmy wrócić do Rzymu.

Rzym przywitał nas swą zwykłą nonszalancką obojętnością. Nie mogliśmy narzekać, byliśmy u siebie! A zresztą wszyscy myśleli tak jak my: nie chcieli wojny i czuli się szczęśliwi że nie

zostali do niej wciągnięci. Niemców niecierpieli, nie chcieli słyszeć ani o nich, ani o wojnie. Skąd inąd zajścia tak niedawno jeszcze dla nas żywe, zaczynały blednąć i zatracać zarysy. Październikowe słońce tak łagodnie świeci w Rzymie. Wydawało nam się, że wszystko jest znowu tak jak dawniej. Front francuski robił wrażenie, jak gdyby nikt tam nie miał ochoty wdawać się na serio w wojnę. Na froncie wschodnim... Ale czy istniał jeszcze jakiś front wschodni? A zresztą, kto tam wiedział, co się teraz dzieło w kraju, który niegdyś nazywał się Polską! Niemcy zaręczali nawet, że wszystko jest w porządku. Co prawda nikt już Niemcom nie wierzył.

Valentino zaraz po powrocie złożył szczegółowe sprawozdanie, ale żartobliwa atmosfera panująca w otoczeniu Ciana rozproszyła wytworzony przezeń nastrój. Z własnej inicjatywy Valentino podał się do dymisji: „Kariera ambasadora, którego misję kończy wojna, jest złamana” — powiedział. Nikt nie docenił jego postawy. Poza tym wszystko to już odpływało w przeszłość. Ciano był w tym czasie całkowicie pochłonięty redagowaniem deklaracji przeznaczonej dla parlamentu, w której wyjaśniał motywy naszego uchylecia się od przystąpienia do wojny. I ten odruch rozważli utonął, jak zwykle, w rozgardiaszu.

Spotkałem go na polu golfowym. Spytał mnie o Polskę, ale z roztargnieniem, zdawkowo. Był podrażniony zapowiedzianą w najbliższych dniach wizytą Ribbentropa. Wiadomo było z góry, na co ten będzie nalegał. Ciano spytał, czy byłbym gotów przyjmując zaproszenie na obiad. Odpowiedziałem szczerze, że o ile to zależy ode mnie, wolę nie spotykać się z Niemcami.

Po wizycie Ribbentropa, po wysłuchaniu jego ciężkich aluzji i niedomówień, Ciano nie robił już tajemnicy z niechęci do niemieckiego kolegi, niechęci serdecznie zresztą odwzajemnianej. Między innymi. Ribbentrop starannie uchylał wszelkie pytania odnoszące się do Polski i jej przyszłości, choć nawet w drażliwym okresie naszego nieustalonego stosunku do działań wojennych pragnęliśmy poznać zachowanie się, cele i metody niemieckiego sojusznika na tym odcinku, ażeby wyciągnąć stąd wnioski i przewidywania co do przypuszczalnego rozwoju akcji Niemiec w dziedzinie wojskowej, politycznej i społecznej. Wydawało się zatem wskazane, aby ktoś z nas powrócił do Warszawy pod pretekstem przeprowadzenia kontroli naszej placówki tak pośpiesznie opuszczonej i starał się pozostać tam możliwie najdłużej. Nie było to rzeczą łatwą, ponieważ Niemcy nie mieli ochoty aby obce oczy oglądały niemiłosierne represje w stosunku do resztek oporu polskiego i wyniszczanie ludności nie-niemieckiej na ziemiach z których chcieli wykorzenić na zawsze wszelką podstawę

do rewindykacji narodowych Polaków. Ze strony Włoch było niepodobieństwem zgłaszanie jakichkolwiek zastrzeżeń: Polska stała się już krajem podbitym.

Wybór padł na Di Stefano i na mnie. Di Stefano wyjechał bezzwłocznie, ale przez więcej niż miesiąc nie wiedziało się o nim nic, lub prawie nic. Jego milczenie nie było niezamierzone. Zdał sobie sprawę, że aby tam pozostać, należało stać się niezauważalnym, nie okazywać ani ciekawości ani aktywności. Co do mnie, miałem odmienne poglądy: żywiłem przekonanie, że wymagano od nas nie tyle dokumentacji dla odległych celów rozprawy przeciw Niemcom w przyszłości, ile śledzenia faktów i sytuacji bieżących, które ujawniały prawdziwą naturę naszego sojusznika, oraz wykazania naszego umiaru i powściągliwości.

Udałem się do Berlina, gdzie przez wiele dni daremnie kołatałem do „Auswärtiges Amt” o pozwolenie na wyjazd do Polski i o możliwość porozumienia się z Di Stefano w Warszawie. Nawiazanie kontaktu było niepodobieństwem. Polskę otoczył już mur nieprzebity.

Di Stefano pojechał za trzydniową przepustką i już się nie ruszył, obmyślając najprzeróżniejsze preteksty dla przedłużenia pobytu. Aby go skłonić do powrotu cofnięto mu nawet *status* dyplomaty. Nie dając się zbić z tropu zawiadomił, że opuści Warszawę dopiero po odbudowaniu dachu na gmachu ambasady, całkowicie rozbitym przez Niemców podczas bombardowania. Prócz tego musiał zająć się losem nielicznej grupki Włochów pozostałych w Warszawie, odzyskać mienie ambasady i zadbać o jej interesy. Jeżeli chcą go koniecznie wydalić, mogą użyć siły. Nie śmiano jednak posunąć się aż tak daleko. Te okoliczności tłumaczyły jednak przytrzymywanie mnie w Berlinie.

Nie był to przyjemny pobyt. Trudno było oddychać w tej atmosferze. Spotkałem Schelię u Horchera, w eleganckiej restauracji, jednej z najbardziej ekskluzywnych w Europie — pozostałość schyłku zeszłego wieku — dostępnej tylko uprzywilejowanym ze świata polityki i wyższych sfer finansowych. Scheliha był doskonale poinformowany, o Di Stefano wiedział więcej niż Atolico, wiedział też dokładnie o moich trudnościach i przyrzekł mi pomoc. Z właściwym mu sceptycyzmem opowiadał mi jak władze okupacyjne — rozporządzając niewielu ludźmi — potrafiły, przy użyciu terroru, ujarzmić w zarodku groźne odruchy buntu, opowiadał o systematycznym tępieniu mniejszości polskich w prowincjach zagarniętych przez Niemcy, o metodach wykańczania ludzi (nie było jeszcze komór gazowych), o zamiarze uczynienia z Polski kolonii Rzeszy i rezerwatu niewolników. Z czasem, jak

mówił, i Włochy nie unikną nieodwołalnego uznania teorii rasy wybranej za niezbitą pewnik. Wymienił mi nazwiska zagrożonych wspólnych przyjaciół Polaków, w których sprawie mógłbym interweniować. Doradził mi, jakimi drogami i sposobami winienbym się o to starać.

Scharakteryzował ponure typy, którym powierzono naczelne stanowiska w Polsce. Meissinger, chamowaty szef Gestapo, ten sam, który później był wykonawcą wyroku zniszczenia getta warszawskiego i znalazł śmierć na szubienicy w Tokio, gdzie się schronił *in extremis*. Zeitschel, osobisty przedstawiciel Ribbentropa, podstępny inspirator tych zbrodni, ten który okazał się najzawziętszym naszym przeciwnikiem w Warszawie, a w rok potem można go było spotkać w Paryżu i w ogóle wszędzie, gdzie fanatyczna zaciekłość Ribbentropa stawała do wyścigu z trzeźwą egzaltacją Himmlera. Thorn, szef trybunału politycznego, SS w przebraniu dyplomaty, niebezpieczniejszy od Meissingera, bo inteligentniejszy i bystrzejszy, głuchy na wszystko co ludzkie, oprawca dokładny i sumienny.

Ograniczałem się do słuchania tych rewelacyjnych szczegółów, zbyt dokładnych, żeby nie robiły wrażenia prowokacji. Byłem mu jednak za nie wdzięczny.

Nazajutrz, zgodnie z jego przyrzeczeniem, otrzymałem przepustkę. Z trzydniową ważnością.

Przybywam do miasta zburzonego przez wojnę: widok mrozący krew w żyłach.

Dworzec przesiąknięty ciężkim fetorem żołnierskim. Widać tylko mundury, morze mundurów, słychać gwar zmieszanych głosów. Po wyjściu z dworca uderza trupi odór, ciągnący od niezliczonych tymczasowych grobów, zaledwie przykrytych pierwszym śniegiem. Dokoła placu sterczą tu szczątki niedopalonego muru, ówdzie skręcona w ogniu belka. I wszędzie, wszędzie te improwizowane mogiły, w każdym załomie, na każdej ulicy. Noc jest jasna, mroźna, gwiazdzista, miasto wyludnione po godzinie policyjnej. Nikt mnie nie oczekuje, nie mam się do kogo zwrócić.

Ładuję walizkę na jakiś wózek, nie wiadomo co przewożący, nie wiadomo do jakim pozwoleniem, ale w danej chwili opatrnościowy. Docieramy do ambasady. Tam zastaję tylko dwie ściany sterczące prostopadle i podtrzymujące kawałek dachu; i to już cud boski. Ale nigdzie żywej duszy, nigdzie nawet światełka. Cisza, cisza, która wydaje się jeszcze bardziej rozpaczliwa w blasku księżyca na miękkim, świeżym śniegu. Idziemy dalej, mam wrażenie że bez końca, ani słowem nie przerywając tej głuchej ciszy, może zresztą człowiek z wózkiem boi się mówić. Dochodzimy do ogrodu sejmowego, do mojego domu, który stoi nietknięty.

Di Stefano siedzi i czyta. Nie okazuje zdziwienia. Cóż może go jeszcze zdziwić? Cała jego powierzchowność zdradza wzburzenie, opanowane i trzymane na wodzy rozumnym spokojem. Pozwala mi długo mówić bez przerywania, a kiedy stawiam mu pytania, ruchem ręki wskazuje okno. Z dworu dochodzi odgłos strzelaniny, który cisza niesie daleko. Gestapo ulokowało w Sejmie oddział egzekucyjny, który co wieczór o tej porze wykonuje wyroki. Odtąd wieczór w wieczór daremnie usiłuję zasnąć przy tym kontrapunktowym akompaniamencie.

Wtedy jeszcze nie było wcale lub prawie wcale, mowy o Żydach w Warszawie. Okupant miał dość roboty z tłumieniem pozostałych ognisk oporu i odkażaniem prowincji niemieckich od resztek ludności słowiańskiej. Ukazywały się już wprawdzie pierwsze żółte gwiazdy, zaczynały się pierwsze wywózki, na ogół jednak Żydzi i nie-Żydzi dzielili wspólny los. Wszyscy uginali się pod ciężarem tego samego przeznaczenia, od którego nie mogli się uchylić, a które miało w sobie fatalną siłę żywiołu, jak on obojętnego wobec jednostki ludzkiej, jej uczuć i czynów. Ludzie szli na śmierć, nie pytając dlaczego. Nasza obecność wniosła niejaką otuchę. Przez nasze ręce pierwsze listy przeszły za granicę, my ułatwiliśmy pierwsze ucieczki, dzięki naszym interwencjom udało się ocalić od śmierci skazanych.

Przyrzekłem Schelidze, że postaram się ocalić Olgierda Czartoryskiego¹. W jego sprawie po raz pierwszy z powodzeniem powołaliśmy się na królową włoską. Królowa ze swej strony zwróciła się do nas z prośbą, byśmy poczynili starania o zwolnienie z więzienia rosyjskiego ks. Radziwiłłowej i wszystkich jej potomków: dzieci, wnuków i prawnuków. Powiodło się nam i w tym wypadku i w innych. Z czasem gra stała się poważna. Zwracali się do nas przywódcy polskiego podziemia. Nie mieliśmy sumienia odmawiać im pomocy, choćby dlatego, że nie żądano od nas zwracania się *przeciw* sojusznikowi, ale *za* Polakami. Ich sztab główny mieścił się naprzeciwko posterunku komendy głównej Gestapo. Na pewno Gestapo tam by ich nie szukało. Oni to dostarczyli nam, w zamian za wstawiennictwo, udokumentowanych dowodów okrucieństw hitlerowców.

Usiłowaliśmy jednocześnie pozyskać sobie sympatię i zaufanie władz niemieckich: wchodziło to zresztą w zakres naszych szczególnych zadań. Z Meissingerem wszedłem w stosunki zupełnie przypadkowo.

1. Ks. Olgierd Czartoryski, baliw Zakonu Maltańskiego, jest obecnie ambasadorem Zakonu w Brazylii (przyp. tłum.).

Zmiana waluty, dokonana w ciągu dwudziestu czterech godzin w samych początkach okupacji, obmyślona przez Niemców jako środek paraliżujący życie gospodarcze kraju, w praktyce pozbawiła całkowicie ludność zasobów gotówki. Wolno było bowiem wymienić tylko pewną ograniczoną kwotę na co często nie pozwalał zbyt bliski termin, jeśli w ogóle nie było się zmuszonym do zaniechania całej transakcji z powodu niebezpiecznej kontroli, jaką mogła spowodować.

Ambasada miała w przechowaniu kilka milionów (ówczesnych) złotych. Udaliśmy się więc z sekretarzem handlowym De Santi do Banku Polskiego w celu wymiany całej walizki banknotów. Musieliśmy przepychać się przez tłum. Był to tłum przejęty trwogą — tłum, któremu odejmowano chleb od ust. Wejścia do banku strzegł kordon uzbrojonych SSów, cuchnących skórą, koszarami, polerowanym metalem. Usiłując opanować instynktowną odrazę, zwracam się do mego towarzysza, który pełni funkcje tłumacza, z prośbą aby zażądał wpuszczenia nas, wyjaśnwszy kim jesteśmy. SS rzuca krótką odpowiedź, której nie rozumiem, ale w tłumaczeniu brzmi to „do diabła”. Krew uderza mi do głowy i zadaje SSowi cios z siłą i precyzją, o jaką siebie nie podejrzewałem. Widzę jak przez mgłę, że SS pada, a zza niego wysuwa się inny, którego znowu walę. Pozostali otaczają mnie, przyciskają do muru lufami karabinów. Nie wiem dlaczego nie strzelają, zważywszy że ten jeden, który wiedział z kim ma do czynienia, jeszcze nie odzyskał przytomności, a tłum zaczyna się niepokoić. Mijają chwile, które wydają mi się wiekami. Wreszcie zjawia się jakiś oficer, któremu De Santi, jaskając się, tłumaczy o co chodzi. Chcąc nie chcąc uwalniają mnie spod nacisku luf i wpuszczają do biura dyrektora banku, który załatwia mi sprawę wymiany pieniędzy.

W ambasadzie oczekuje mnie Mercedes z chorągiewką komyndy policji, mający mnie odstawić do Obergruppenführera Sicherheitspolizei, Meissingera. Kazał mnie łaskawie eskortować do swego urzędu, w obawie że mogę nie wiedzieć, gdzie się on znajduje. Ale wiedziałem oczywiście doskonale: mieścił się on bowiem na przeciw polskiego Komitetu.

Wyszedł naprzeciw mnie z otwartymi ramionami. Był to człowiek olbrzymiego wzrostu, obwieszony żelaznym krzyżem i obwiązywającymi odznakami. Nazwał mnie bratem, towarzyszem, jak to w zwyczaju między starymi kombatantami. Był już powiadomiony o zajściu i wydał był dyspozycje dotyczące ukarania bezczelnego policjanta. Okazując uznanie dla mojej szybkości reakcji, zrobił mi jednak dobroduszną wymówkę za dopuszczenie się obrazy munduru. Tym razem uszło mi na sucho, ale gdyby się miało

znowu zdarzyć coś podobnego, miałbym za swoje, bez względu na przynależność do dyplomacji. Poza tym zastanawiało go to, że pozostawiono mnie przy życiu. Za dużo mniejszy wybryk mogłem być zastrzelony na miejscu.

W gruncie rzeczy, choć zapałał do mnie sympatią, widać było że czuł się niewyraźnie, wobec niewłaściwego zachowania się jednego ze swoich podwładnych.

Meissinger przedstawiał szczególną mieszaninę naiwności, przewrotności, patriotyzmu i cynizmu. Z chłodną i obojętną precyzją opisywał mi będące w toku pełne okrucieństwa akcje, którymi kierował, a jednocześnie ze wzruszeniem prawił o Mussolinim i Hitlerze, o promiennej przyszłości jaka oczekiwała ludzkość. I nie ma wątpliwości że wierzył w to co mówił, pomimo wszystkich swoich dekoracji, orłów, medali i pomimo plutonów egzekucyjnych. Ponieważ zaś ja byłem jego sojusznikiem, wierzył i mnie. Zapytywałem sam siebie, czy ja też wkładam tyle wiary w moje przekonania, czy też one odzwierciadlają raczej stronnictwą obronę mojego świata przed groźbą nowego ładu, stworzonego na podobieństwo Meissingera — takiego ładu, w którym nie byłoby dla mnie miejsca.

Wiedział, że pomagam Polakom w uciezkach z domu niewoli, ale nie przywiązywał do tego wagi. Przeciwnie, im więcej ludzi się wynosiło, tym mniej komplikacji napotykał Meissinger w swym działaniu. A nie zdawał sobie sprawy, że każdy Polak na wolności przechodził z powrotem, jako wróg, na czynne pozycje. Dzięki Meissingerowi i wbrew rozporządzeniom z Berlina, trzy dni pozwolenia na pobyt przedłużyły się w miesiące, on bowiem potwierdził ważność słabych papierów, na których zasadzie przybyliśmy na ratunek licznych pokrzywdzonych i wielu z nich ułatwiliśmy ucieczkę. On też dostarczył środków żywności dla nas i dla zastępu głodujących.

Owego dnia uratowałem mu życie. Jak się dowiedziałem od przywódców podziemia, na ten właśnie dzień była przygotowana zasadzka na Meissingera, ale zamach odwołano wobec tego że po rozmowie ze mną odwiózł mnie do domu: widząc go w moim towarzystwie wstrzymano się żeby mnie oszczędzić. Wykonano ten zamach w kilka dni potem, Meissinger jednak uszedł cało, zaledwie lekko ranny; ale pierwsi którzy mu potem wpadli w ręce przypłacili życiem całą sprawę. W tych sprawach nie było żartów i Niemcy nie przebierali w środkach.

Zeitschel przyszedł do nas do domu, ofiarując z kwaśną uprzejmością pomoc w jak najszybszym załatwieniu wszystkiego co pozostawało nam jeszcze do zrobienia, ażebyśmy mogli się niezwłocznie wynosić z powrotem do Włoch. Wysilał się, żeby nie okazać

złego humoru i ratować sytuację po swojemu, pokrywając ją śliską gładkością manier, którą dyktanci uważają za właściwą funkcję dyplomacji. Prócz oschłego i wstrzemięźliwego wyglądu nie miał jednak nic z dyplomaty. Był i pozostał parobkiem politycznym, niezdołnym do obalenia wykrętnych i wyszukanych pretekstów, jakie perfidnie wysuwał Di Stefano.

Oznajmił nam, że wyznaczono go do opracowania problemów międzynarodowych, jakie przedstawiał nowy *status* prawny strefy okupowanej. W rzeczywistości był okiem i uchem Ribbentropa w Warszawie. Choć tak samo jak on nietolerancyjny, taki sam ignorant, ograniczony i nieludzki, nie był pozbawiony pewnego zmysłu politycznego. Wyczuwał niebezpieczeństwo naszej obecności i był zdecydowany pozbyć się nas. Ale po naszej stronie stał Meissinger. A Meissinger nie znosił Zeitschela.

Zeitschel zaczął więc dokładać starań, by wstrzymać naszych kurierów, ale mimo to udawało nam się zawsze uzyskać możliwość porozumienia się z Rzymem. Każdemu jego wystąpieniu, zmierzającemu do unieszkodliwienia nas, przeciwstawialiśmy nowe pomysły, uciekając się do coraz to innych wybiegów. Nie zdawaliśmy sobie jednak sprawy, jak daleko sięgały informacje Zeitschela o nas, co wiedział o naszej korespondencji z Rzymem, o ile się orientował w tekstach dokumentów, które w naszej przeróbce podawały przeznaczone dane personalne, zmieniały Żydów w aryjczyków; co wiedział wreszcie o naszym kluczeniu między okupantem a stroną przeciwną. Zeitschel chciał nas zaskoczyć.

Wychodząc raz z domu natknąłem się na kordon SSów. Niejaki kapitan Kaiser, którego twarz nie wydaje mi się nieznaną, ma polecenie przeprowadzenia rewizji w całym budynku, mieści się tam bowiem jakoby organizacja podziemna. Z zażenowaniem tłumaczy mi, że rewizja musi być przeprowadzona i w naszym mieszkaniu, ponieważ nie mamy już prawa korzystania z nietykalności, przysługującej dyplomatom.

Ten Kaiser był to zresztą poczciwy człowiek — trafiali się tacy nawet wśród SSów — i dlatego właśnie zginął na froncie wschodnim. Nigdy nie pojąłem, czy zdawał sobie sprawę z prawdziwego celu swego zadania, którym było przyłapanie nas na gorącym uczynku.

Od razu pomyślałem o naszym archiwum, o kompromitujących papierach, o narażeniu wpłątanych w sprawę osób. Wiem że nic bym nie wskórał zakładając protest. Wobec czego rzucam wszystko na jedną kartę i proponuję Kaiserowi, że zaczekam u siebie podczas gdy będą przeszukiwać inne piętra. Gdy wchodzimy razem, Di Stefano przyjmuje nas z chłodną uprzejmością,

obserwując kątem oka pilnie ale na pozór obojętnie. Zdaje mi się, że zrozumieliśmy się wszyscy trzej. Kiedy SSi zastukali do drzwi, Kaiser odprawił ich, mówiąc że sam już dokonał przeglądu lokalu.

Dla Zeitschela wynik był negatywny, ale od tej chwili nie spuszczał nas z oka.

Tymczasem dla Żydów wybiła godzina masowych wywózek. Zareagowaliśmy równie masowym wysyłaniem ich za granicę, wydając zbiorowe wizy i żądając, w imieniu rządu włoskiego, pozwolenia na wyjazd dla setek ludzi, których nazwiska figurowały na sporządzonych przez nas wykazach. Przy pomocy Rzymu udaje się nam pokonać trudności formalne i opór jaki przeciwstawia nam Zeitschel. Żydzi wyjeżdżają, lecz jakże ich mało wobec tych resz, które muszą pozostać.

Z biegiem czasu metody okupanta stają się nie do zniesienia. Na nic się nie zdaje zginanie karku. Już raczej otwarty bunt. Ale wszelki bunt wywołuje represje i tak powstaje nie kończące się błędne koło.

Pewnej nocy wracam do domu bardzo późno, po dłuższym przesiadywaniu w biurze znajdującym się w śródmieściu. W pobliżu gmachu sejmowego panuje niezwykle ruch: przygotowuje się właśnie do odjazdu kolumna ciężarówek naładowanych policją. Ciszę nocną mącą podniesione głosy. Mróz nie do wytrzymania. Zastanawiam się nad przyczyną tego zamieszania. W końcu ciekawość pokonywa ostrożność i ruszam w ślad za oddalającą się kolumną, nie zapalając świeceł. Pozostawiamy miasto za sobą, przed nami i dookoła roztaczają się pola pod śniegiem, a w oddali widać znaną mi sylwetkę Natolina, który przywodzi na myśl polowania, prostoduszną gościnność tamtejszych ludzi, zebrania naokoło ogniska. Teraz widzę w nielitościwym świetle reflektorów zjawy ludzkie, drżące z zimna w głębi kwadratowego placu. Wszyscy stoją z rękoma wzniesionymi nad głową. Wśród mężczyzn są i dzieci, nieświadome swego losu. Na uboczu kobiety, które wszystkie łzy już wyplakały, szepczą modlitwy.

Śmierć dwóch Niemców płacą śmiercią zakładnicy. Jest ich rzekomo stu, ale w istocie więcej, doliczonych hojną ręką rachmistrza. Dla obostrzenia kary dodano dzieci. To już stało się regułą. Skazanych wyrwano ze snu w nocy, na wiele godzin przedtem, ale dużo czasu upłynęło zanim komenda garnizonu uzgodniła po długich dyskusjach z komendą policji, do kogo należy obowiązek naciśnięcia spustu już ustawionego karabinu maszynowego. Czas stanął, niebo na widnokręgu szarzeje. Pierwsze salwy słyszę jak gdyby w całym sobie i odczuwam je jak ulgę. Ale nie

śmiem patrzeć, uciekam. Uciekam upokorzony własną niezdolnością do utrwalenia w swym umyśle jedyne w swoim rodzaju świadectwa.

Relacja tego epizodu, poparta udokumentowanym sprawozdaniem, poruszyła Mussoliniego do tego stopnia, że w liście do Hitlera z 5 stycznia zdobył się na nieśmiałą wzmiankę „o narodzie, który odważnie walczył” i „zasługiwałby na traktowanie, które by nie dostarczało przeciwnikom powodu do wyzyskania sytuacji”. Wiadomo jakim oburzeniem zareagował na ten list Göring i jak brzmiała odpowiedź Hitlera, który kazał na nią czekać dwa miesiące swemu włoskiemu koledze. Nie pokwitował go nawet żadnym wyjaśnieniem, odwołał się tylko do rzezi Niemców w Polsce, „wobec której bledną nawet rozstrzeliwania w Bydgoszczy”.

Nie było wątpliwości skąd Mussolini czerpał swe informacje, wobec czego nasza misja w Polsce miała się ku końcowi. 14 marca Ribbentrop zażądał od ambasadora Attolico odwołania nas. Daty mają swoją wymowę. Skąd inąd, nie mogliśmy się już cofnąć. Zdaliśmy sobie z tego sprawę, kiedy — w pełni świadomości możliwych następstw naszego kroku — interweniowaliśmy u Niemców w sprawie Piaseckiego, jednego z przedstawicieli konspiracji (dziś działacza rządowego w Polsce), którego postanowiliśmy wydrzeć im z rąk sprzed plutonu egzekucyjnego. Nie pozostawało ani chwili czasu do stracenia, było już po godzinie policyjnej, a my nie mieliśmy telefonu, bo go nam odebrano i nie wiedzieliśmy do kogo się zwrócić o tak późnej porze. Wyruszyliśmy na ślepo. Z komendy Gestapo odesłano nas do Sejmu, stamtąd do sądu wojskowego, a tymczasem godziny mijały. Na koniec odkryliśmy gdzie się ukrywał Meissinger. Znaleźliśmy go w klubie oficerskim. Siedział rozwalony na kanapie, mocno podпиты, ściskając w dłoniach rękę młodego oficera służbowego. Za ledwie raczył nas poznać. Powołaliśmy się na zmyślony rozkaz Mussoliniego wstawienia się za skazanym, kładąc nacisk na przyjazne ustosunkowanie się Meissingera do nas. Udało się nam z trudem nakłonić go do zawieszenia egzekucji. Nazajutrz mógł spokojnie rzecz rozpatrzyć. Tym razem jednak chodziło o sprawę zbyt drażliwą, której Meissinger nie mógł rozstrzygnąć na własną rękę.

Nadchodził najczarniejszy wieczór w moim życiu.

Moja żona, której, nie bez przygód, także udało się dotrzeć do Warszawy, musiała zdobyć się na zaproszenie do nas Meissingera, Zeitschela, Thorna i kilku pomniejszych łapsów razem z ich przyjaciółkami, osobami najniższej kategorii. Tegoż wieczora nasz stary służący dowiedział się, że Niemcy zamordowali jego

brata. Wyperswadowaliśmy mu, że dla dobra swego kraju powinien pozostać na miejscu, ale widać było po nim, w jakiej był rozterce.

Di Stefano zdołał wykrzesać skądś muzykantów grających kozackie melodie. Przygrywali coś tęsknego i przytłumionego, piło się, nastrój się zagrzewał. Kobiety zrzucają z siebie zawadzające im części ubrania, pokazują się bez skrępowania, popisują wulgarnością. Moja żona, zaniepokojona niezwykle odgłosami, dochodzącymi z kuchni, wysuwa się tam i wróciwszy po chwili mówi mi szeptem, że Teodor dostał ataku szału. Trzeba go było związać, zakneblować mu usta i ukryć go w najbardziej oddalonym pokoju. Trudno, zasiadamy do stołu, jak gdyby nigdy nic. Muzyka staje się coraz bardziej nastrojowa, robi się coraz goręcej, leje się wino, jest kawior, są kuropatwy, jest krem. Brak jednak kawy. Nie udało się nam jej dostać nawet w niemieckiej intendenturze. Meissinger wzywa jednego z olbrzymów z swojej przybocznej straży, wydaje krótki rozkaz. Wkrótce potem wysłannik wraca, niosąc serwis z ciężkiego srebra i buchającą parą kawę w imbryku. Serwis pochodził z uśpionego domu jakiejś staruszki, która zapewne modliła się w tej chwili, dziękując Bogu za wyjście z opałów obronną ręką. Ostatecznie skończyło się tylko na zrabowaniu jej własności. Pocziwy żołnierz niemiecki, „dobroduszny i powściągliwy”, jak go określił Hitler w liście do Mussoliniego, wybucha serdecznym śmiechem, słuchając sprawozdania z przebiegu całej scenki. Rycyz śmiechem tak szczerym i gromkim, jak za dobrych, dawnych czasów bawarskich w piwiarni, nad kuflem pieniącego się piwa.

Spod Sejmu dochodzi zwykły odgłos strzelaniny, ale nikt nie zwraca na to uwagi. Muzyka staje się drażniąca, mężczyźni podrywają się do tańca i kręcą się między sobą, kobiety też tańczą między sobą. Meissinger, rozgrzany, tańczy sam, zrzuciwszy przedtem bluzę. Wszystko na nim tańczy, brzuch, krzyż żelazny wiszący na szyi. Nagle wybucha płaczem, wzrusza się nad sobą, podchodzi do nas i płacząc opowiada o swoim ubogim i nieszczęśliwym dzieciństwie, o swojej nienawiści do wszystkich.

Pierwszy raz od lat czuję, że ma serce i jest nam za to wdzięczny, pragnąłby jakoś tę wdzięczność okazać: „żądajmy od niego czegokolwiek, wszystko jedno, choćby chodziło o życie ludzkie”. Di Stefano popełnia błąd. Ale może inaczej postąpić nie mógł, w przeciwnym razie okazałaby się stracona. Prosi o darowanie życia Piaseckiemu. Powietrze ścina się nagłym mrozem, nastrój pryska, muzyka cichnie, mężczyźni stają się znowu narzędziami władzy, kobiety opanowują się. Zeitschel wstaje by się pożegnać, inni idą za jego przykładem, ale Meissinger ich powstrzymuje.

Odzyskał panowanie nad sobą. Wyjmuje z grubego portfela bilet wizytowy, nakreśla na nim kilka słów, podaje nam.

— Możecie to oddać jutro rano narzeczonej Piaseckiej. Będzie wolny.

Po czym odchodzi, wyprostowany i nadęty. Nazajutrz drzwi więzienia otwarły się by wypuścić Piaseckiego, który żyje po dzień dzisiejszy.

Były to dni, kiedy profesorowie uniwersytetów polskich¹ dostali w Krakowie wezwanie na odczyt, którego ani temat nie był wymieniony, ani nazwisko prelegenta. Wezwanie miało formę rozkazu. Zbrali się wszyscy z czystym sumieniem i bez złych zamiarów, aby usłyszeć oskarżenie o zdradę, po czym ich uwięziono. Było to zamknięcie w pułapce wedle wszelkich reguł politycznych, jedno z największych przestępstw, niegodnych kraju, który śmiał się jeszcze powoływać na cywilizację. Ludzie, stanowiący kwiat kultury polskiej, zostali zapędzeni pod lufami karabinów do transportu, który ich odstawił do obozu zagłady w Oranienburgu.

Przewidywania Schelihy sprawdzały się: naród skazany na niewolnictwo nie ma prawa do życia umysłowego. Ze wszystkich form niszczenia objawów życia, obmyślanych i stosowanych w Niemczech, ta była najokrutniejsza. Była to zniewaga ludzkości nie do zniesienia, w najokrutniejszej formie. Przekazaliśmy tę wiadomość Mussoliniemu, błagając o wstawiennictwo i nie ukrywając oburzenia, przy czym uprzedziliśmy, że co dzień ktoś z uwięzionych umiera, więc jeśli *duce* ma działać, musi działać natychmiast.

Nie doczekaliśmy się odpowiedzi. Udzielił nam jej dopiero Frank.

Zjawił się u nas w domu 13 marca po południu wraz z Wühlichem. Nawet w mundurze partyjnym jego nieograniczona władza promieniała jowialnością i łagodnością. Spojrzenie ciemnych oczu było głębokie, cera gładka i wypoczęta. Nie był podobny do żadnego z tych, których spotykaliśmy dotychczas. Był pogodny i uśmiechnięty jak człowiek o czystym sumieniu. Przyjechał tylko na kilka godzin z Krakowa do Warszawy, jak nam powiedział, ale zależało mu na tym, aby nas poznać. Przywiózł nam osobiście wiadomość, że na skutek wstawiennictwa Mussoliniego wszyscy profesorowie uniwersytetu liczący ponad lat 40 będą zwolnieni z obozu w Oranienburgu. Młodszych nie można było wypuścić, byli

1. Ściślej: profesorowie i asystenci Uniwersytetu Jagiellońskiego, w liczbie 182, z których wywieziono 173. Prelegentem był ppłk. Müller, tematem wykładu miała być sprawa wyższych studiów dla Polaków (przyp. tłum.).

za młodzi, zaciągnęliby się zaraz do partyzantki, nie było ich zresztą wielu. Wojna ma przykre wymagania. Ale on był właśnie na to, żeby zaprowadzić na tych ziemiach porządek i spokój, żeby przykrócić nadużycia „żołdactwa”, jeżeli się w ogóle jeszcze jakiegokolwiek zdarzają. Odtąd nie będzie ich już wcale. Są to nieuniknione, choć okrutne zjawiska, niepowstrzymane objawy wiekowej nienawiści. Ale on gwarantuje powrót do stanu normalnego i bierze za to odpowiedzialność. Pokój, sprawiedliwość, braterstwo — słowa, słowa płynące z ust pełnych i pąsowych — słowa tak gładkie, tak naturalne, że wydawały się niemal prawdziwe.

Możemy więc uspokoić *duce*: tendencyjne pogłoski o okupacji niemieckiej w Polsce, rozsiewane przez wrogą propagandę, zawierały niewielką cząstkę prawdy, ale teraz i ta cząstka zostanie zlikwidowana. Nam pozostawia udzielenie Mussolinie-
mu pierwszej wiadomości o uwolnieniu profesorów z Oranienburga; jest to dowód wielkoduszności Führera, któremu zawdzięczają ten akt łaski; jemu zaś, Frankowi, zawdzięczają głos doradczy. Jego głos był ciepły, a argumenty tak przekonujące, że było się gotowym mu uwierzyć. Zapytywałem siebie czy ten człowiek, którego miałem przed oczyma, to ten sam, który jest odpowiedzialny za bezlitosne represje w Czechosłowacji. Zaczynałem wprost wątpić nawet w oczywistość tego, czego dotknąłem własnymi rękami, prawie zwątpiłem w prawdziwość strzałów prześladowających mnie w bezsenne noce. Może Thorn nigdy w ogóle nie istniał? Może nie istniał Meissinger ani Zeitschel, ani reszta zbirów, a ja sam stawałem się współnikiem spisku na szkodę naszych sojuszników, którzy oddawali w ofierze własną krew i najlepsze siły aby zbudować „lepszy świat”?

Frank wiedział że ma dar wytwarzania magicznego nastroju. Używał go także w stosunku do sędziów śledczych z Frankfurtu, w których wywoływał niepokojące wątpliwości, niezupełnie zagłuszone nawet jego haniebną śmiercią.

Nie wiedzieliśmy wtedy jeszcze nic o korespondencji między Mussolinim a Hitlerem, nie mogliśmy zatem wyobrazić sobie, że już postanowiono nas odwołać.

Nazajutrz Attolico zawiadomił nas, że mamy w ciągu dwudziestu czterech godzin opuścić Warszawę. Rozkaz pochodził od naszego rządu. Nie pozostawało nam nic innego, jak usłuchać.

Dla Warszawy był to dzień żałoby. Po pierwszych chwilach przerażenia wielki tłum zaczął cisnąć się do naszych biur. Ludzie nie wiedzieli, czego od nas żądać, ale czuli, że tracą ostatnią deskę ratunku. Chcieli nas widzieć, chcieli mówić z nami.

Wraz z naszym odjazdem odpływało od nich światło, odpły-

wała wolność i wszystko co było obietnicą życia leżącego poza bieżącą rzeczywistością. Ludzie przychodzili z rozpaczliwym pożegnaniem, zwracali się z niewykonalnymi prośbami. Tak szedł nam cały dzień. O ósmej wieczorem, nie zwracając uwagi na godzinę policyjną, czekający tłum wciąż zapełniał ulicę. Wraz z wybicciem godziny ósmej upływał dla nas ostateczny termin. Wyszliśmy na palcach bocznych drzwiach. Kiedy samochód ruszył, rozległ się wielki głos chóralnego żalu. Potem zapadła cisza.

Wyjazd nasz był nazbyt pospieszny, zbyt wiele spraw zostawiliśmy za sobą. Moja żona zaofiarowała się pozostać kilka dni dłużej. Ze strony Polaków nie mogło jej spotkać nic złego, Niemcy nie ośmieliliby się mimo wszystko na jakiś wyskok w złym guście. Przy tym Meissinger miał nad nią czuwać, zgodnie z obietnicą daną nam przy pożegnaniu. Był wzruszony i pieklił się na Zeitschela.

Ribbentrop uznał pozostawienie przeze mnie żony za osobisty afront i rodzaj wyzwania. Jak gdyby obraz Warszawy z owych dni był niedość smutny — w dodatku rozeszły się pogłoski, że wraz z pierwszymi odwilżami nieuprzątnięte ruiny rozsiewają zarazki chorób zakaźnych. Moja żona wyjechała w kilka dni później, odstawiona przez Zeitschela na dworzec, gdzie czekał pociąg specjalny wysłany przez Ribbentropa wraz z pozdrowieniami i wielkim bukietem róż.

Na dworcu pożegnał ją profesor Zembrzusi. Przyniósł jej gałązkę konwalii. Takie było pożegnanie pierwszego wiosennego słońca w Polsce, której już nigdy nie mieliśmy zobaczyć.

Spotkanie z ambasadorem Attolico było burzliwe. Był on fizycznie wyczerpany napięciem trwającym od tyłu miesięcy, intrygą, w której odgrywał główną rolę, zużywającym siły ścieraniem się z niemieckimi przeciwnikami, przeświadczeniem, że pomimo jego wysiłków, Włochy z każdym dniem zbliżają się do wojny i borykaniem się z przeciwnościami. Przez dwa dni nie chciał czy nie mógł nas przyjąć, a kiedy wreszcie zdecydował się na to, obsypał nas wymówkami i wyrzutami. Oczy jego błyszczały gorączkowo, twarz pokrywały czerwone plamy, oddychał z trudnością. Zachował jednak całą gwałtowność swego temperamentu i pełną zdolność umysłową. Usiłował odwagą nadrobić upadek sił. Miotał się na naszą śmieszna grę, którą wplątaliśmy w delikatny mechanizm, którym on kierował walcząc z tyłoma trudnościami. Oburzał się, że zostawiliśmy kobietę samą w piekle warszawskim. Smagał nas bez przerwy zarzutami, aż wreszcie nas odprawił nie dopuszczając do słowa.

W kilka dni później wezwał nas znowu do swego mieszkania.

Był w dobrej formie i pogodny pod wpływem chwilowego nawrotu sił pojawiającego się u niego w przerwach między kryzysami. Podtrzymywało to nasze złudzenia co do wyniku tej beznadziejnej walki. Zabrał głos z umiarem człowieka, który się znalazł już poza zasięgiem ambicji tego świata. Wysłuchał naszych opowiadań, których szczegóły potwierdzały tylko to co od dawna przeczuwał w swoich rozmyślaniach. Zapatrzony w dal, powiedział z cieniem uśmiechu, że o ile nasze zachowanie zasługiwało w danej chwili na ocenę ujemną, to kto wie czy przyszłość nie odda nam sprawiedliwości za dowód miłości dla narodu, który musi zmartwychwstać. Polska powstanie siłą tych samych wartości za które poniosła ofiarę i których żadna ideologia oparta na nienawiści i gwałcie nie zdoła nigdy zastąpić. W imię tych wartości i poprzez tę ofiarę dźwignie się do nowego życia w świecie przyszłości. W słowach ambasadora dźwięczało przekonanie, jakiego się nabiera, kiedy po długiej wędrówce dotrze się na koniec do prawdy i na niej pragnie się ugruntować całe własne istnienie.

Nieznacznie przeszedł od refleksji do zwierzeń. Nic już nie mogliśmy zrobić, byliśmy przyparci do muru. W spotkaniu na Brennerze Hitler utrwalił swoją przewagę nad sojusznikiem. Francja nie była w stanie oprzeć się jednoczesnemu uderzeniu i okrążeniu, nic już nie mogło uchronić Włoch od wypełnienia się nieuniknionego losu. Opowiedział mi o historycznej już dziś rozmowie z Hitlerem, kiedy z własnej inicjatywy dodał słowo „natchmiaszt” do słynnego żądania materiału wojennego, mającego w sierpniu 1939 uwarunkować nasze wejście do wojny; a kiedy Ribbentrop oskarżył Włochy, że ich nieprzystąpienie do wojny spowodowało przystąpienie do niej Francji i Wielkiej Brytanii zmusił go do odwołania tych słów, zaciskając pięści i obrzucając go potokiem zarzutów znacznie poważniejszych i bardziej uzasadnionych.

Od owego czasu Attolico i Ribbentrop przestali rozmawiać, co trwało aż do chwili gdy Ribbentrop pozbył się z Berlina naszego niewygodnego ambasadora. Attolico był już dawno na to przygotowany. Z tej też przyczyny nie nalegał na moje pozostanie w Berlinie. Zapewnił, że nie zapomni o mnie. Polecił strzec się odwetu Niemców. Niemcy mają dobrą pamięć.

Zabrałem z sobą do Rzymu tę obietnicę jego i ten wiatyk.

Rzym zrobił na mnie wrażenie miasta z innej planety. Życie płynęło tam w nierealnym świetle, dalekie od rzeczywistości. Wszelkie głosy, uczucia, zdarzenia dochodziły tam złagodzone oddaleniem. Rozprawiło się o chorobach trawiących resztę świata

w taki sposób, jak gdybyśmy byli na nie uodpornieni, a o naszej własnej polityce mówiło się jak o grze sportowej. Panował tam absurdalny klimat, w którym ludzie krzatali się jak w normalnych czasach, zajęci swoimi małymi ambicjami i interesami; byli jak cienie siebie samych jakimi byli w przeszłości, ale jakimi już być nie mogli, bo dosięgały ich płomienie zbliżającego się pożaru. Wiedzieliśmy, że stoimy w przede dniu wojny, że lada dzień włączymy się w nią, ale upieraliśmy się, by jej wciąż jeszcze nie widzieć, bo nie chcieliśmy jej i nie chcemy, bo ta wojna nas nie dotyczyła. O ile się nią interesowano, było to zainteresowanie zupełnie luźne, takie co najwyżej, jakie się odczuwa czytając o pewnym okresie cudzej historii. Odnosiło się wrażenie, że generałowie i dyplomaci zaprzątnięci przygotowaniami do nieuniknionej wojny, zabawiają się teoretycznymi ćwiczeniami na planach i mapach.

A przecie wieści z Brenneru dotarły do Rzymu, bo w owych czasach wszystkie wieści w jakiś sposób docierały. Wiadomo było, że Mussolini przedstawił sprawę królowi tymi słowy: „Włochy nie mogą pozostać neutralne, jeśli mają uniknąć dyskwalifikacji i znizowania się do poziomu jakiejś Szwajcarii pomnożonej przez dziesięć”. Wojska niemieckie zalewały całą Europę. Ale nam się wciąż jeszcze wydawało, że to nie o nas chodzi. Nie był to fatalizm ani apatia, lecz jakieś niepojęte oderwanie się od tego, co miało tak tragicznie pokierować naszym losem w najbliższej już przyszłości. Nawet orędzie papieża Piusa XII do Mussoliniego nie poruszyło żadnej czulszej struny. Nawet jego wykrętna i szorstka odpowiedź nie wywołała oburzenia.

Spodziewałem się, że po moim przybyciu do Rzymu wszyscy będą pragnęli mnie usłyszeć, i to nie tylko w Palazzo Chigi, ale wszyscy, wszędzie każą mi opowiadać cośmy widzieli, zechcą znaleźć potwierdzenie swych wyobrażeń o metodach które były w trakcie przekształcania oblicza naszego pokolenia, podkopując jego istotne wartości, jego zasady polityczne i moralne; tych metodach które zagrażały bezpośrednio i naszej egzystencji.

Ciano odmówił nam przyjęcia. Polska należała już do przeszłości. Niemcy szły od zwycięstwa do zwycięstwa, należało więc znowu okazać im naszą sojuszniczą wierność, postarać się aby zapomniano tam o pewnych objawach nieprzyjaźni co najmniej niełojalnych, stworzyć sobie jakieś mocne alibi. Tym sposobem my, do niedawna jeszcze uważani za wykonawców wyraźnych zleceń, stawaliśmy się natrętami, których ignorowano i od których się odżegnywano.

W tego rodzaju otoczeniu zaczęliśmy wreszcie uchodzić za uciążliwych nudziarzy. Po tak długim przebywaniu między ży-

ciem a śmiercią, po spędzeniu tylu miesięcy wśród wartości istotnych, wyszliśmy z opałów jak gdyby ogłuszeni własnym doświadczeniem. Zaczynaliśmy powątpiewać nawet czy słuszność jest po naszej stronie, do tego stopnia było nam ciężko przystosować się na nowo do świata, którego zewnętrzna powłoka całkowicie stłumiła treść wewnętrzną. Niemniej przyjęto nas, jak zwykle bywa, z tą serdecznością, której się doznaje po powrocie do domu. Zagarnął nas ponownie prąd życia łatwego, obfitującego w rzeczy piękne i rzeczy niepotrzebne, aż wreszcie sami przestaliśmy prawie dostrzegać roztargnioną obojętność, w jakiej tonęły nasze wzmianki o niedawnej przeszłości.

Więc chyba myliliśmy się w Warszawie, wyobrażając sobie, że milczącą zachętę Rzymu należy interpretować jako zajęcie wyraźnie polemicznego stanowiska wobec polityki niemieckiej?

Ta zachęta była więc — jak się okazało teraz — jedynie wyrazem zrozumiałej obojętności dla sojusznika i ogólnikowej dezaprobaty jego brutalności. My w Warszawie mieliśmy możliwość sięgania wzrokiem o wiele dalej. Mogliśmy tam zdać sobie sprawę, dokąd nas zaprowadzą w przyszłości następstwa naszej polityki i to sprawiło że niepostrzeżenie, nie zmieniając zasadniczo naszego postępowania, instynktownie zaczęliśmy się odsuwać od tych, którzy nami rządzą. U innych, stanowiących prawie większość, dawały się zauważyć pewne, jeszcze nieuświadomione, odruchy; nie zdawali sobie sprawy, że ich powierzchowny obstrukcjonizm w stosunku do ustroju, z którym nadal współdziałali, był w rezultacie ujmą dla nich samych.

Guido SORO

(Przekład z włoskiego)

Guido SORO, dyplomata włoski, ur. 29. I. 1907 w Rzymie.

Studia prawnicze na uniwersytecie rzymskim. W czerwcu 1934 wstępuje do włoskiej służby zagranicznej. Wojna zastaje go na stanowisku II-go sekretarza ambasady włoskiej w Warszawie. Towarzyszy Ambasadorowi Valentino w czasie ewakuacji korpusu dyplomatycznego z Warszawy i przez Nałęczów, Krzemieniec i Rumunię powraca do Rzymu. Wkrótce potem, wraz ze swym kolegą, I-ym sekretarzem ambasady Di Stefano, jest z powrotem wysłany do Warszawy, oficjalnie dla spraw administracyjnych i opieki nad pozostałą tam kolonią włoską, w istocie zaś dla obserwacji poczynań i polityki Niemiec na terenach okupowanych. Nawiązuje kontakt z podziemiem polskim i niesie, wraz z Di Stefano, szeroką pomoc Polakom. Po kilku miesiącach, pod naciskiem niemieckim, ich misja jest zlikwidowana i Soro wraca do centrali. Przebywa następnie na wielu placówkach dyplomatycznych w Europie, Stanach Zjednoczonych, Japonii i w Palazzo Chigi. Od 1961 do 1965 jest ambasadorem Włoch w Meksyku. W lipcu 1965 r. objął stanowisko ambasadora w Kairze.

WSPOMNIENIA O LUDZIACH

STULECIE URODZIN WŁADYSŁAWA STUDNICKIEGO

Urodził się w roku 1865 w Dyneburgu w szlacheckiej, lecz niezamożnej rodzinie. Matka jego miała folwarczek, ale musiała się go wyzbyć; ojciec był urzędnikiem i stracił posiadłość w związku z powstaniem styczniowym. Studnicki właściwie nie miał osobistego życia, jego życiem były jego poglądy polityczne formowane z myślą o dobrze Polski, próby wcielania ich w życie.

Od dzieciństwa był małego wzrostu, jak dorósł był mniejszy od przeciętnej kobiety. Zawsze miał ogromny, niepowściągliwy temperament. Jeszcze w gimnazjum, jako najniższy z uczniów w swojej klasie, siedział na pierwszej ławce. Zdarzyło się, że jakiś nauczyciel-nerwowiec wywołał powszechny ryk całej klasy i zaczął uciekać przed swoimi uczniami przez korytarz. Oczywiście pojawił się dyrektor, przed którym klasa miała respekt i wszyscy zajęli swoje miejsca. Dyrektor zwrócił się do klasy z zapytaniem: „kto biegł za nauczycielem”. Ponieważ Studnicki siedział na pierwszej ławce, więc dyrektor skierował do niego swoją indagację: — „Studnickij, proszę powiedzieć, kto biegł za nauczycielem?” Studnicki wstaje i odpowiada:

— Nie widziałem, bo biegłem pierwszy.

Jeszcze o czasach w rosyjskim gimnazjum w Dyneburgu, które znam z opowiadań jego siostr:

Studnicki odpowiada stojąc przy tablicy. Nauczyciel zastanawia się nad odpowiedzią i mruczy:

— Zdaje się, że to nie jest tak.

Na to Studnicki:

— Panu się zdaje, a ja wiem na pewno.

Kiedy w związku z przynależnością do II Proletariatu, Studnicki, jako młody człowiek został w 1889 r. aresztowany w War-

szawie, przy prokuratorskim badaniu zaprotestował przeciwko określaniu siebie, jako „przestępcy politycznego”.

— A kimże pan jest w takim razie? — zachnął się prokurator.

— Ja „wojennopliennyj” — odpowiedział Studnicki, co oznaczało po polsku — jestem jeńcem wojennym.

W Polsce Ludowej, w r. 1959 wydane zostały z wielką atencją pamiętniki prof. Ludwika Krzywickiego. W pamiętnikach tych cały jeden rozdział poświęcony jest Studnickiemu. Pisząc o obu braciach: Władysławie i młodszym Waławie, Krzywicki wyraża się: „niezmierni uczciwi mącimózgowie... Zwłaszcza starszy, Władysław, najuczciwszy z wariatów...”.

Zresztą Krzywicki pisze, że Studnicki był znawcą polityki społecznej i że on sam popierał jego kandydaturę na wykładowcę w Wolnej Wszechnicy Polskiej w 1934 r.

A jakąż uroczą anegdotę opowiada Krzywicki o braciach Studnickich. Cytuję:

„Albo — nie wiem kiedy to było — obaj bracia jadą z Wilna do Cesarstwa. Na którejś ze stacji, tam gdzie kończyły się granice dawnej Rzeczypospolitej, wychodzą z wagonu z otwartymi walizkami i domagają się rewizji celnej. Wprawiają w ruch wszystkich funkcjonariuszy i policję. Sypią się pytania: po co i na co? Ze strony braci odpowiedź brzmi: „Dlatego, że tutaj jest granica pomiędzy Rosją, a Polską”. Wyszli cali z tej awantury, bo musieli wracać do wagonów przybierając mocno obrażone miny”.

II

Studnicki był wychowany w kulcie Powstania Styczniowego. Jego związek z II Proletariatem nie można uważać za przyłączenie się do ideologii międzynarodowej. Było to chwilowe przyłączenie się do tej grupy, która wtedy działała czynnie, propagowała terror przeciwko władzom. Był to skutek wrażenia, które na Studnickim zrobiło poznanie Warszawy, która w jego młodych oczach zapomniała o zdobywaniu Niepodległości, o walce, a zajmowała się operetką i przyjemnościami życia, urządzając sobie bytowanie w niewoli, kapitulując przed przemocą rosyjską. Ale już współwięźniom Rosjanom, a więc rewolucjonistom rosyjskim, powiada Studnicki:

— W każdym z was jest kropla z Murawiewa, atom z Arakcejewą.

Na Syberii przebywał Studnicki aż do roku 1896 i czasu nie tracił. Mieszkał w Minusińsku, Krasnojarsku, Tobolsku i Omsku.

Czytał masami z zakresu historii, prawa, ekonomii politycznej. Zarabiał na życie pisanem do gazet syberyjskich po rosyjsku na tematy lokalne oraz występowaniem po sądach w charakterze tzw. obrońcy prywatnego. Inteligencji rosyjskiej na Syberii było mało; byli zesłańcy jeszcze z 1863 r., których Studnicki szanował i urzędnicy rosyjscy-Polacy, od których stronił.

Przez całe swe życie Studnicki był uważany za romantyka. Niewątpliwie w swoich uczuciach i charakterze swego temperamentu bliższy był poetom romantycznym, pieśniom które wywołały Powstanie Styczniowe, niż artykułom popowstaniowych polityków i organiczników. Ale od polskich romantyków różniło go zasadniczo, kategorycznie, biegunowo, zdanie, które sobie dzięki swym studiom politycznym był wyrobił.

„Nie! — Na samodzielne powstanie, tj. na powstanie wśród ogólnego pokoju nas nie stać, jesteśmy za słabi. Powstanie może się udać tylko podczas przyszłej wojny”.

Czytając to zdanie Studnickiego, człowiek zamyśla się głęboko dlaczego nasze powstania w XIX wieku wybuchały właśnie wtedy kiedy Rosja była w stosunkowo najlepszych stosunkach z innymi mocarstwami.

Studnicki rozpatruje politykę Rosji wobec państw azjatyckich. Czytając jego pisma z pierwszych lat po powrocie z Syberii łatwo można dowiedzieć, iż przewiduje on już wtedy konflikt rosyjsko-japoński i prorokuje, że Rosja w tym konflikcie nie okaże się tak silna, jak się to wówczas wszystkim zdawało.

Pierwsza książka Studnickiego po powrocie do kraju, nazywa się „Współczesna Syberia”; wydana została przez firmę Gebethner i Wolff w Warszawie i wzbudziła wielkie zainteresowanie. Studnicki z miejsca staje się ogólnie znanym publicystą.

Wstępuje do Polskiej Partii Socjalistycznej. Karol Marks, jak wiadomo, był zdecydowanym zwolennikiem niepodległości Polski i restauracja państwa polskiego figurowała w owych czasach w programach międzynarodowego socjalizmu, co oczywiście sympatycznie oddziaływało na Studnickiego. Marks był nastrojony skrajnie-antyrosyjsko i jego hasła polskie miały ostrze zwrócone przeciwko potędze Rosji w Europie. W czasach tych kilku lat, podczas których Studnicki był w PPS, już się dużo zmieniło. Wśród socjalistów austriackich i niemieckich ujawniają się antypatie w stosunku do Polaków. Studnicki inspirował artykuł w „Przedświcie”, pod tytułem: „socjalizm, czy hakatyzm”, atakujący „towarzyszy” niemieckich. „Przedświt” był głównym organem socjalistów polskich wydawanym zagranicą. Piłsudski i Studnicki zamieszczali tam artykuły dotyczące spraw polskich. Piłsudski na przykład szczegółowo referował najście kozaków na kościół w

Krożach i zamieszczał inne podobne korespondencje. Przy wyborach do centralizacji czyli pięcioosobowego kierownictwa PPS, Piłsudski popierał Studnickiego. Przyszli Prezydenci naszego krótkotrwałego państwa niepodległego: Wojciechowski i Mościcki — obydwaj są wtedy socjalistami — głosują także na Studnickiego, który zostaje nie tylko członkiem centralizacji, lecz i zastępcą redaktora „Przedświtu”.

Lecz Studnicki prędko rozchodzi się z partią. Jego temperament z trudnością da się wziąć w karby jakiegokolwiek dyscypliny, ulegać jakimukolwiek oportunistom, nawet takiemu który byłby dyktowany względami na spoistość partii.

Studnicki kręci się wtedy po Europie, uczy się, studiuje, głoduje, otrzymując czasami trochę pieniędzy od niebogatych również siostr: Stanisławy i Wandy, podzielających jego zapaf do idei Niepodległości. Potem napisze: „były to czasy, kiedy za przystąpieniem do realizacji programu Niepodległości było tylko czworo rodzeństwa Studnickich”.

W Galicji, w której Studnicki przez kilka lat zamieszkiwał, o wskrzeszeniu państwa polskiego mówiło się tylko na pogrzebach, względnie podczas innych uroczystości, chociaż nie tylko Galicja była rządzona przez samych Polaków, ale Polacy bywali stale ministrami w Wiedniu. Ale wystarczy powiedzieć, że Agenor Gołuchowski, syn wielkiego Gołuchowskiego, zostawszy ministrem spraw zagranicznych, dążył do tego, aby Austro-Węgry miały jak najlepsze stosunki i z Niemcami i z Rosją. Z polskiego punktu widzenia było to wkuwanie ostatniego gwoźdźcia do trumny polskiej. Tego rodzaju polityka, prowadzona w intencji ultra-łojalności wobec Habsburgów, nie uratuje ani dynastii, ani państwa austro-węgierskiego.

Studnicki poświęca się propagandzie swego projektu przekształcenia stosunków ustalonych pomiędzy Austrią, a Polakami. Zachowuje się, jak człowiek, który by wśród słodkiej nocy dzwonił na korytarzu usiłując obudzić śpiących. Galicja jest prowincją autonomiczną, może być Piemontem odrodzenia Polski, otóż Studnicki chce pogłębić tę analogię historyczną, chce Galicję jeszcze bardziej „upiemontzić”, chce wyodrębnić Galicji. Niech przestanie być „prowincją austriacką, a stanie się państwem wchodzącym w skład monarchii, niech Austro-Węgry przeistoczą się w Austro-Węgry-Galicję, względnie niech Galicja przyłączy się do Węgier i niech zaistnieje państwo węgiersko-galicjskie związane polityczną unią z Austrią.

Poglądy tego rodzaju miały za sobą tylko argumenty prawniczo-polityczne; brakowało sił realnych, które by były ich motorem.

III

Studnicki zamieszkuje Galicję w kilku nawrotach, zawsze po lat kilka. W swej polityce galicyjskiej jest jednocześnie konsekwentnie antyrosyjski i niekonsekwentnie antyrosyjski. Wyodrębnienie Galicji to myśl jak najbardziej konsekwentnie antyrosyjska, niepodległościowa. Galicja awansująca z rangi prowincji do stopnia państwa unijnego na równi z Węgrami mogłaby łatwiej pchnąć całą monarchię Habsburgów w kierunku wojny z Rosją, wywołując jednocześnie powstanie w zaborze rosyjskim. Oczywiście rozumiem wszelkie zastrzeżenia polityków galicyjskich, którzy Studnickiemu odpowiadają, że wyodrębnienie Galicji jest koncepcją nierealną z tysiąca i jednego powodów, oraz — co ważniejsze — że na wojnę z Rosją Austria pójść może tylko w towarzystwie Niemiec, a więc przyszłość sprawy polskiej będzie zależeć nie tylko od Austro-Węgier, ale i od Niemców, co już i w tamtych czasach obfituje w większą ilość obaw, aniżeli nadziei. Ale pomimo tych zastrzeżeń nie możemy tego „wyodrębnienia Galicji” kwalifikować inaczej jak koncepcji konsekwentnie antyrosyjskiej.

Natomiast inaczej jest z postawą Studnickiego wobec Ukraińców galicyjskich. Zwalcza ich na równi z najzjadlejszymi endekami. Są w Galicji nawet konserwatyści i to konserwatyści o dawnych politycznych tradycjach, którzy powiadają: Ukraińcy chcą być narodem, jeśli powstaną jako naród, to będą rozbijać przede wszystkim państwo rosyjskie. Zwalczanie Ukraińców w Galicji może mieć dla Polaków w Galicji znaczenie dodatnie, ale dla spraw ogólnopolskich ma znaczenie ujemne, ponieważ Ukraińcy stają się bardziej antypolscy, niż antyrosyjscy. Są w Galicji dwa kierunki wśród Ukraińców: narodowo-ukraiński i moskalofilski. Oczywiście powinniśmy zwalczać przede wszystkim moskalofili, a nie Ukraińców narodowych. Z tymi powinniśmy się sprzymierzyć.

Tak myślał między innymi Michał Bobrzyński, najbardziej polityczny z ludzi, którzy w tych czasach wchodził w skład wszystkich trzech zachowawczych ugrupowań galicyjskich. Daleko dalej szedł w tym kierunku Józef Piłsudski. W swoim memoriale dla Japończyków tłumaczył im, że imperium rosyjskie nie składa się z jednego narodu, lecz z szeregu narodów: z Ukraińców, narodów kaukaskich, narodów środkowo-europejskich i że należy Rosję rozparcelować na zasadzie narodowościowej. Studnicki inaczej. Uznawał tylko narody, które kiedyś miały swoje państwa. Jeszcze w gimnazjum w Dynaburgu tłumaczył swoim kolegom — Żydom, że są Polakami moźeszowego wyznania. Studnicki, tak sa-

mo, jak Mickiewicz na pytanie cudzoziemca: „Czy pan jest Polakiem?” mógłby odpowiedzieć: „tak, ja jestem Litwinem” — to znaczy, że uważał Litwinów za część składową narodu polskiego. Nie miał jednak żadnego zrozumienia, żadnej tolerancji do żądań współczesnego mu pokolenia Litwinów, lub Białorusinów, którzy żądali odrębności narodowej. Byli ludzie wśród ziemiaństwa na Litwie, jak Alfred Tyszkiewicz, lub Roman Skirmunt, którzy szli na ugodę z tymi odrębnościami, ale większość zarówno ziemian, jak w ogóle Polaków w tzw. „zachodnich guberniach cesarstwa” czyli na dawnych ziemiach Wielkiego Księstwa Litewskiego wołała zapalczywie: „Precz — jesteśmy Polakami i wszyscy tu zamieszkali są Polakami”. Dziś gdy patrzę na tę epokę oczami historyka, sądzę, że to był duży błąd i duża krzywda wyrządzona naszej wspólnej Ojczyźnie przez endeków.

IV

W początku więc XX wieku Studnicki zgadzał się z endekami w stosunku do zagadnień ukraińskiego, litewskiego, czy białoruskiego. W wieku XX ideologia stronnictwa Narodowo-demokratycznego przeżywa wielkie przeobrażenia. Pamiętamy, że jej ojcem była założona w 1887 r. przez T. T. Jeża „Liga Polska” na zamku Hilfikon w Sz wajcarii. Program tej Ligi był nie tylko oparty na tradycjach powstańczych, ale przede wszystkim antyrosyjski. Jeszcze w 1903 r. Roman Dmowski, wódz tych organizacji, które po „Lidze Polskiej” objęły sukcesję, pisze swe „Myśli Nowoczesnego Polaka”, a w tej książce stoi na stanowisku, że, naród jest tworzony przez państwo, że naród to twór państwa. Ale niedługo później Dmowski pisze:

„Nawet najreligijniejsi ludzie umieją oświetlać kościoły elektrycznością, gdy my w swej świątyni narodowej palimy ciągle stare woskowe świece”.

Prędko Dmowski staje się szermierzem dwóch idei. Pierwsza, że nie trzeba myśleć o państwie polskim, a zwłaszcza o jego odrodzeniu w granicach przedrozbiorowych, ale o narodzie polskim. Dobro narodu pojmuje Dmowski, tak samo jak pojmują to także narody, jak czeski. Trzeba bronić przede wszystkim terytoriów wyłącznie przez ludność polską zamieszkałych, trzeba tej ludności, tego „narodu” bronić przed polityką państw zaborczych, ale także, a może nawet przede wszystkim, przed gospodarczą supremacją i gospodarczym wyzyskiem ze strony narodu żydowskiego. Dmowski w tym okresie nie wyrzeka się co prawda nigdy i nigdzie dążenia do odzyskania państwa, ale staje się to dla nie-

go programem dalszym. Poza tym uznając za głównych wrogów Niemców i Żydów, Dmowski przemyślał o politycznej solidarności z narodem rosyjskim. Co tu gadać — Rosja jedna sobie jego sympatie przez to, że państwo carów jest wtedy uważane za najbardziej antysemickie państwo w Europie.

W swej książce: „Klucz do Piłsudskiego”, napisanej w Londynie w r. 1943, podczas wojny, opracowałem zarówno dzieje osobiste, jak politykę Piłsudskiego, a zwłaszcza jego walki z innymi odłamami socjalizmu polskiego w pierwszym dziesięcioleciu XX wieku. Niewątpliwie Piłsudski stanął na stanowisku Studnickiego, które przytaczałem powyżej: „na powstanie samodzielne, powstanie wśród ogólnego pokoju nas nie stać, jesteśmy na to za słabi. Powstanie może się udać tylko w razie wojny Rosji z innym jakimś państwem”. Piłsudski w czasie wojny japońsko-rosyjskiej zwraca się do Japończyków. Ale to jest sojusz egzotyczny, jeśli mamy użyć formuły, którą forsuję w swojej publicystyce. Dla Japończyków Piłsudski i Polacy są wartością enigmatyczną, dla Piłsudskiego Japonia jest sojusznikiem odległym, który w każdej chwili może nas poświęcić.

Bywały lata w których Studnicki wielbił Piłsudskiego. W roku 1909, gdy Piłsudski był szefem przygotowań militarnych polskich, Studnicki oświadcza: „Oddałbym wówczas, gdyby to było można, wszystkie lata, jakie jeszcze miałem żyć, na korzyść przedłużenia jego życia”. Słowa te wywołane chorobą Piłsudskiego, były niewątpliwie szczerze, bo Studnicki był to człowiek, który nie umiał powiedzieć nieprawdy. Przed wybuchem pierwszej wojny, Studnicki powiada publicznie: „Czyn stoi wyżej od myśli. Stąd wyższość Piłsudskiego nade mną”.

Ale na kilka lat przedtem, zaraz po wojnie japońskiej, Piłsudski idzie na sojusz z rewolucją rosyjską, Studnicki jest temu przeciwny i program taki zawzięcie zwalcza. Boi się, że rewolucyjna niepodległość polska zostanie zrusyfikowana, utopiona w wodach rewolucji rosyjskiej.

Ale pierwsza rewolucja rosyjska trwała dopóki rządy carskie były wahające się, słabe i szukały kompromisu. Naród rosyjski nie znosi cugli popuszczonych. Przyszedł Stołypin i rewolucję zwyciężył.

Wtedy zaczyna się współpraca Studnickiego z Piłsudskim na tle polskich przygotowań wojennych na wypadek wybuchu wojny Austro-Węgier z Rosją. Szczegóły tej wspólnej akcji przerastałyby rozmiar tego eseju. Przychodzi konflikt bośniacki, wojny bałkańskie, wreszcie strzały w Sarajewie... Wojna... „Teraz lub nigdy” — woła Studnicki.

V

Nie będę tu szedł za polityką Studnickiego w czasie pierwszej wojny światowej. „Ojcem duchowym aktu 5 Listopada” nazwał go wtedy Erzberger. Nie będę pisał o Studnickim w okresie międzywojennym, ani w czasie drugiej wojny światowej, kiedy Goebbels kazał go zamknąć do szpitala wariatów. Zresztą, gdy Studnicki przed samą wojną napisał memoriał, że Anglia nas oszuka, nie da pomocy i puści kantem — memoriał zupełnie proroczy, to Składkowski także mu groził szpitalem wariatów. Było to konsekwentne: obłęd samobójstwa musiał uznać jedyne go człowieka przy zdrowych zmysłach za wariata.

Ale chodzi mi o Studnickiego jako o człowieka. Nie tylko mówił ciągle o niepodległości w czasach, kiedy inni tego nie czynili. Przeczytałem w latach ostatnich wszystkie pamiętniki i wszystkie biografie naszych pisarzy, uczonych, polityków i artystów w latach 1900-1910. Problem niepodległości nie istniał dla tych ludzi, nie myśleli o nim, emocjonowały ich inne rzeczy. O Studnickim i jego stosunku do Niepodległości można istotnie powiedzieć jego własnymi słowami: „Niewolnik jednej myśli”.

Ale rzecz jeszcze bardziej dla naszych czasów frapująca: — Oto Studnicki nie miał życia osobistego. Jego pamiętniki nie zawierają żadnych wspomnień prywatnych — cały był oddany wyłącznie sprawie, którą uważał za słuszną. Sprawa pieniędzy, sprawa utrzymania, sprawa jakichś przewidywań: — z czego będę żył? — To nie istnieje. Jak jest u progu nędzy, to jakoś zarobi, takim czy innym artykułem, skorzysta z zapomogi rodziny, ktoś nieproszony wciśnie mu jakąś pożyczkę...

Takich ludzi dla których idea byłaby wszystkim obecnie już nie ma.

Poszedł kiedyś do Sienkiewicza, aby go namówić na pewne posunięcie polityczne i żartem Sienkiewiczowi powiedział: „Mój przodek Podbipięta” i roześmiał się, zważywszy, że był mały, cherlawy, miał piąstki wielkości piąstek dziecka. Sienkiewicz popatrzył na niego i powiedział: „Tak pan jest Podbipięta. Fizycznie jest pan słaby, ale duchowo jest pan olbrzymem, właśnie Podbipięta”.

VI

W dniu 22 września 1965 roku grzebaliśmy na Powązkach Stanisława Janikowskiego byłego polskiego dyplomata w Rzymie, który wrócił do kraju, aby tu umrzeć między swoimi i po którego

śmierć litościwa przyszła. Kiedyś, w 1916 r. był on prezesem świeżo połączonych wówczas organizacji: niepodległościowego „Zarzewia” i również niepodległościowej warszawskiej „Młodzieży Narodowej” to jest organizacji „Zetowej”. Przywlekłem się o dwóch laskach na ten pogrzeb. Jakież panie witają się ze mną, przypominają, że były moimi koleżankami, kiedyśmy mieli po lat dwadzieścia i studiowali razem na powstałym podczas pierwszej wojny Uniwersytecie Warszawskim. Dzień jest czarowny. Połowa liści jeszcze całkiem zielona, a połowa żółta, a raczej złota i to wszystko miłośnie całowane przez słońce. Zaiste śliczne, kojące, są Powązki o tej porze. Jest nastrój nie rozpaczy, lecz jakiegoś misterium. I oto jeden z mówców nad trumną dawnego kolegi powiada o jego roli w tym 1916 roku za czasów pierwszej wojny, po której przyszła „przygoda Niepodległości”. Tak wielka przygoda! Powstała z tego, że wszyscy trzej zaborcy ponieśli klęskę jednocześnie, co było rzeczą nielogiczną w stosunku do metody przewidywań politycznych i historycznych. Tak! — wielka nasza piękna przygoda: niepodległość w życiu Polski, zakończona samobójstwem w 1939 roku.

Stanisław MACKIEWICZ

KAZIMIERZ FUDAKOWSKI

Zmarły w listopadzie 1965 r. w Poznaniu Kazimierz Fudakowski był postacią dobrze znaną w życiu publicznym niepodległej Polski.

Urodzony w Olakach na Ukrainie w roku 1879, po skończeniu szkół w Kijowie, odbył studia uniwersyteckie w Monachium i w Paryżu. Odziedziczywszy piękny majątek leśny Krasnobród w Lubelskim utrzymywał gospodarzkę na wysokim poziomie. Był prawdziwym miłośnikiem lasu. Jeszcze za młodu wciągnięty został w nurt pracy społecznej; możliwości jakie powstały w czasie pierwszej wojny pod okupacją austriacką, wyniosły go wkrótce na czołowe stanowiska w organizacjach rolniczych i ziemiańskich. Niejedną z tych organizacji powołał do życia. Był także członkiem Rady Stanu w roku 1918, rozszerzając w ten sposób zasięg swojej działalności publicznej. Zakres pracy Kazimierza Fudakowskiego nabiera prawdziwego rozmachu w Polsce niepodległej: przypada mu w udziale zajmowanie naczelnego stanowiska w rolnictwie, prezesa Centralnego Towarzystwa Rolniczego w latach 1923-1929, w okresie bardzo trudnym, w okresie antagonizmów społeczno-agrarnych, podsycanych przez demagogię polityczną. Po rozłamie, jaki nastąpił w C.T.R., Kazimierz Fudakowski był prezesem Centralnego Towarzystwa Organizacji i Kółek Rolniczych w latach 1929-1932 oraz prezesem Związku Izb i Organizacji Rolniczych od 1929 do 1934.

W latach 20-ych był także prezesem Związku Ziemian (1920-1927) i Rady Naczelnej Organizacji Ziemiańskich (1920-1924). Był prezesem Zrzeszenia Związków Właścicieli Lasów w latach 1931-1939.

Prócz szeregu instytucji gospodarczych (Rada Banku Polskie-

go, Rada Finansowa przy Ministerstwie Skarbu, Komitet Towarzystwa Kredytowego Ziemińskiego, Państwowa Rada Drzewna i tp.) był czynny na terenie międzynarodowym, jako wiceprezes Międzynarodowej Konfederacji Rolniczej (1924-1935), prezes Polsko-Francuskiej Izby Rolniczej (1937-1939), Delegat Rządu do Międzynarodowego Instytutu Rolniczego w Rzymie, delegat Rządu do Komitetu Higieny przy Lidze Narodów; wykładał także we francuskim Instytucie Agronomicznym, był członkiem Akademii Rolniczej francuskiej i czechosłowackiej.

W latach 1935-1939 był senatorem Rzeczypospolitej.

Wyliczenia różnych pochodnych obowiązków czy związanych z nimi zaszczytów ciągnąć można bez końca. Ważniejsza jest sylwetka człowieka : wszechstronnie wykształcony, władający świetnie kilku językami, bystry, w obejściu prosty, ujmujący. Kraj kochał gorąco, a miał w naturze rzadko spotykaną harmonię serca i rozumu.

Nigdy nie zasklepiął się w ciasnych poglądach, zawsze gotów do dyskusji z ludźmi odmiennych przekonań. Zwłaszcza gdy wierzyli w swoje przekonania. Miał „słabość do otwartych głów” jak sam często mawiał. Obdarzony był nieprzeciętnym talentem oratorskim.

Z działalności publicznej Kazimierza Fudakowskiego przytoczę parę przykładów które mi żywo stoją w pamięci: jako senator, należący, wedle charakterystyki jednego z kolegów, do „czołówki intelektualnej” Izby Wyższej, pracuje w komisjach, najwięcej boddaj czasu poświęcając Komisji Spraw Zagranicznych. Gdy sojusz z Francją wisł na włosku, organizuje Polsko-Francuską Izbę Rolniczą, która odegrała rolę nie tylko gospodarczą ale i polityczną o niemalym znaczeniu. Dostarcza on wtedy rządowi szeregu wnikliwych analiz, dotyczących sytuacji wewnętrznej we Francji, w Niemczech. W pracach międzynarodowych pomagała mu gruntowna znajomość języków: po francusku przemawiał równie łatwo i pięknie jak po polsku. Obserwowałem nieraz w czasie tych przemówień zachwył audytorium francuskiego, tak wrażliwego na zasięg światowy swego języka; dziwili się, jak cudzoziemiec może tak „manier la langue”. Pamiętam Kazimierza Fudakowskiego, gdy na prośbę marszałka Senatu, Prystora, podjął się niewdzięcznej misji uzyskania satysfakcji od ministra Skarbu dla senatorów Ewerta i Heymana-Jareckiego, przeciw którym min. Kwiatkowski wysunął niesłuszne zarzuty. Misję wykonał, obroniwszy godność Senatu i senatorów. Misja naprawdę niełatwa w ówczesnych stosunkach wewnętrzno-politycznych.

Pamiętam, jak przełamując obustronne opory i uprzedzenia, doprowadził do kilkuletniej współpracy lasów państwowych i

prywatnych. Kto pamięta ówczesne stosunki, ten wie, że zadanie podobne wymagało nielada wysiłku i determinacji.

Jak rozumiał Kazimierz Fudakowski pracę w instytucjach gospodarczych, mówią jego własne słowa, skierowane kiedyś do jednego z bliskich współpracowników: wspominając, że niektórzy chcą widzieć w instytucjach gospodarczych i zawodowych wyłącznie narzędzie obrony interesów pojętych egoistycznie, mówił: „taka obrona wychodzi zwykle z założeń ciasnych, podawanych jako prawdy niewzruszone, nie bacząc na to, że inni przeciwstawiają im swoje równie niewzruszone prawdy. Z ich zestawienia wyrastają starcia tym ostrzejsze, a jednak tym bardziej jałowe, im dalej posuwały się w walce strony w wyjaskrawieniu swych rzekomych prawd”. Inni natomiast oceniają gospodarkę prywatną i jej znaczenie ekonomiczne i społeczne „nie tylko miarą prywatną, lecz szerszą, publiczną, czerpaną z oceny gospodarki ogólnonarodowej, która musi stanowić harmonijny zespół interesów indywidualnych z interesem kraju”.

„Właśnie w tym poglądzie wymienione interesy (mowa o jednej z instytucji którą reprezentował) oparły swą działalność, rozumiejąc, że nie może być skuteczniejszej obrony interesu zawodowego, jak w zespoleniu z interesem kraju. Z tego stanowiska wynikają dwa obowiązki: jak najgłębsze, z sumienia patriotycznego wynikające, poznanie prawdy w odniesieniu do potrzeb kraju i rzetelne oświecenie interesów tego odłamu społecznego, który instytucja reprezentuje. Dla doktrynerów jedyną prawdą jest ich doktryna, a wykształcenie, erudycja i dialektyka często służą im po to, by niewygodne fakty i prawdy rozpinać na doktrynie jak szewc rozbija na kopycie niewygodny trzewik, ale ci w zaślepieniu nie wiedzą, jak dalece bronią nieprawdy”.

Kazimierz Fudakowski we wszystkich pracach walczył z ciasnotą poglądów, parafianstwą i egoistycznym doktrynerstwem; umiał zawsze znaleźć głęboki motyw, który cechuje prawdziwego działacza społecznego. Sądzę, że ci, którzy jego poglądów nie podzielali, nie odmówią mu cech ofiarnego działacza społecznego wielkiej miary.



W czasie okupacji niemieckiej Kazimierz Fudakowski więziony był przez Niemców w Zamościu i Lublinie. Cudem prawie wyszedł żywy z rąk Gestapo.

Aby kielich goryczy się spełnił — więziony był po wojnie także przez Bezpiekę.

Ostatnie lata wypełniła mu praca (głównie tłumaczenia) dla

instytucji naukowych w Poznaniu. Dumny był, że mimo podeszłego wieku potrafi jeszcze zapracować na skromne utrzymanie.

W listach, jakie z rzadka na Zachód wysyłał, myślą przewodnią było: rdzeń narodu jest zdrowy.

Bo Kazimierz Fudakowski wierzył w Polskę i nic mu tej wiary odjąć nie było w stanie. Znając go od dawna, sądzić mogę, że wierzył on także w przysłowie: dłużej klasztoru niż przeora.

Witold BABIŃSKI

WSPOMNIENIE O ABRAHAMIE GEPNERZE

W życiu gospodarczym i społecznym Polski przedwojennej Abraham Gepner zajmował stale czołowe pozycje. Urodzony w Warszawie w 1873 roku, stracił ojca mając lat 12. Od tego czasu zaczął pracować zarobkowo, aby pomóc matce i licznemu rodzeństwu, a wieczorami uczęszczał do szkoły, biorąc równocześnie udział w pracy kół samokształceniowych. W ten sposób chłopiec na posyłki osiągnął szybko stanowisko „głównego prokurenta” w jednej ze znanych firm metalowych w Warszawie. Wkrótce potem usamodzielniał się i przedsiębiorstwa jego zaczynają szybko się rozwijać. Kontakty jego wykraczają daleko poza granice kraju; współpracował z całym szeregiem firm światowych, zajmując czołowe pozycje w życiu społecznym. Przez szereg lat był Prezesem Związku Kupców Żydowskich, Wiceprezesem Izby Przemysłowo-Handlowej, członkiem Komisji Odwoławczej przy Izbie Skarbowej, protektorem i głównym filarem domu sierot, domu starców, szpitala na Czystem, Szkoły Rzemieślniczej, Kasy Pomocy Bezprocentowej i tp. Otrzymał kilkakrotnie najwyższe odznaczenia państwowe.

W pracy społecznej interesował go zawsze człowiek, jego problemy, potrzeby, trudności i aspiracje. Była to zawsze działalność bezinteresowna, czysto ludzka. Była to zawsze pomoc człowieka, który z doświadczenia znał trudności innych. Był popularny w świecie artystycznym i niejednemu z malarzy polskich podawał rękę w trudnych i decydujących okresach życia.

Podkreślał zawsze swoją *żydowskość* i był dumny ze swego pochodzenia. I chociaż w młodości, pod wpływem dążeń asymilacyjnych zmienił imię z Abraham na Adam, w wieku dojrzałym znowu używał imienia Abraham. Kiedy Niemcy po kapitulacji

Warszawy wzięli zakładników spośród mieszkańców stolicy, Gepner był jednym z dwóch Żydów należących do tej grupy i zawsze mówił o tym z dumą.

Poznałem bliżej Abrahama Gepnera dopiero w lipcu 1942 r. Od tej chwili aż do pierwszych dni maja 1943 roku, kiedy zginął z rąk oprawców niemieckich, losy nasze były ze sobą blisko związane. Najtragiczniejszy okres getta warszawskiego przeżyliśmy razem. Widywaliśmy się codziennie w pracy i poza pracą. Prowadziliśmy ze sobą długie rozmowy. Dyskutowaliśmy problemy tak nam bliskie i tak dla nas żywotne. Często zgadzaliśmy się ze sobą, niekiedy zajmowaliśmy odmienne stanowiska. Ale w tych tragicznych miesiącach likwidacji getta warszawskiego, w sytuacjach kiedy charaktery ludzkie ujawniały się w całej nagości, kiedy wartości ludzkie poddawane były ogniowym próbom — nauczyłem się szanować i lubić Abrahama Gepnera. W uczczeniu pamięci tej pięknej postaci żydostwa polskiego — pragnę skreślić garść wspomnień z nim związanych. Są to luźne wspomnienia z sytuacji które najbardziej utkwiły mi w pamięci, pomimo 20 lat które od tego czasu upłynęły.



Za wysokimi murami i kolczastymi drutami getta warszawskiego dogorywali powoli jego mieszkańcy. Łapanki, tortury i areszty, zakaźne choroby, wszy i tyfus, a przede wszystkim głód, straszliwy, niekończący się głód, dziesiątkowały szeregi żydostwa, osaczonego w warszawskim getcie. Nowe ładunki i transporty z różnych miasteczek Polski stale pogarszały sytuację. Przydział żywności na każdego mieszkańca getta wynosił przeciętnie 2 kilo chleba i ćwierć kilo cukru na miesiąc. Podczas gdy Niemcy otrzymywali w Warszawie 2310 kalorii dziennie, Żydzi zaledwie 184 kalorii. Podział tych racji głodowych oddany został w ręce Zakładu Zaopatrywania Dzielnicy Żydowskiej w Warszawie (popularnie znanego pod nazwą ZZ), na czele którego stał Abraham Gepner.

Wprawdzie pod względem formalnym Zakład Zaopatrywania był jednym z departamentów Rady Żydowskiej, powołanej do życia przez okupanta i podległej niemieckiemu Komisarzowi, faktycznie była to organizacja działająca niezależnie na terenie getta warszawskiego. Gepner zdawał sobie sprawę z tego, że podział głodowych racji musi być zorganizowany i że tylko w ten sposób uda się wydostać od Niemców maksimum środków żywności. Była to praca syzyfowa. Wymagała niebywałej energii, żywotności i siły woli. Wymagała rzutkości, odwagi i twardości. Wraz

z Gepnerem na czele ZZ stali ludzie tego pokroju co Samuel Winter, sędzia Kobryner i inni. Gepner starał się skupić wokół siebie kwiat inteligencji żydowskiej, udzielając pomocy i ochrony na terenie Zakładu elementom godnym poparcia. Setki urzędników i działaczy społecznych wspólnie z Gepnerem prowadziło akcję aprowizacji getta. Równocześnie komitety naukowe i statystyczne w ZZ zbierały materiały dotyczące tragicznej sytuacji getta oraz nieludzkiego wyzysku w tzw. szopach.

„Szopami” nazywały się fabryki i warsztaty, operujące w getcie, organizowane najczęściej przez niemieckich przedsiębiorców, szukających taniej, niewolniczej siły roboczej. Największymi „szopami” w Dzielnicy były Zakłady Toebbensa na Walicowie, Prostej, Ciepłej i Lesznie, Zakłady Schultza na Nowolipiu, szop Hoffmana i inne. Były to przeważnie zakłady krawieckie i szewskie, w których pracowały w pewnym okresie dziesiątki tysięcy Żydów. Istniały też szopy stolarskie (Schillinga), zakłady metalowe („Transavia”), produkujące części samolotowe oraz wielki „szop szczotkarzy”, produkujący szczotki dla armii niemieckiej. Aby dostać się do szopu trzeba było wnieść własne maszyny, które rzekomo miały pozostać własnością rzemieślnika, a które w rzeczywistości przechodziły automatycznie na własność przedsiębiorcy niemieckiego, który w ten sposób organizował dla armii ogromne warsztaty, zaopatrzone w bezpłatną siłę roboczą. Wynagrodzenie za pracę stanowiła opłata w pieniądzu, za którą nic nie można było kupić. Mimo to, tysiące wykwalifikowanych robotników i rzemieślników garnęły się do szopów, wierząc, że stanowią one ochronę przed łapankami, obozami pracy i akcją likwidacyjną. W ostatniej fazie getta szopy wydawały się jedynym zabezpieczeniem przed wysiedleniem i komorą gazową.

Kiedy po rozpoczęciu wojny niemiecko-sowieckiej w czerwcu 1941 r. uciekłem z Nowogródka dalej na Wschód i zostałem otoczony przez wojska niemieckie w słynnym kotle smoleńskim, nie mogąc przerwać się przez linie frontowe, rozpocząłem drogę powrotną do Warszawy. Po siedmiotygodniowych marszach nocnych przedostałem się do Warszawy i wszedłem do ciasnych i cuchnących ulic getta warszawskiego. Musiałem natychmiast rozpocząć starania o kartę pracy, aby nie wpaść w ręce żydowskiej policji przeprowadzającej łapanki do obozów pracy. Wtedy to, przyjaciel mój, adwokat Tadeusz Teszner, wysoki urzędnik ZZ, poszedł ze mną do Gepnera i przedstawił moją sytuację. Stałem wobec człowieka pełnego energii, żywotności i chęci walki z trudnościami. Pomimo podeszłego już wieku pracował w tym okresie z samozaparciem po 12 i 14 godzin na dobę. Podejmował szybkie decyzje, bez wahania. Kiedy przedstawiłem mu sytuację w jakiej

się znajduję, przyrzekł natychmiast pomoc. W kilka dni później zostałem urzędnikiem ZZ, w jednej z filii Zakładu na ul. Gęsiej 6 (Centrala znajdowała się na ul. Leszno).

W tym to okresie przyglądałem się działalności Abrahama Gepnera tylko z daleka. Wyglądanie getta przez Niemców postępowało szybko naprzód. Getto broniło się wzrostem szmuglu i nielegalnego wwozu żywności. W ciasnych uliczkach przylegających do dzielnicy aryjskiej, z narażeniem życia, tuż pod okiennymi niemieckimi, przrzucono worki z żywnością. Małe, malutkie dzieci przekradały się przez mury getta i wracały pod ochroną nocy ze zdobyczą składającą się z kromki chleba i zgniłych kartofli. A równocześnie Gepner walczył o przydziały u władz niemieckich, różnymi półlegalnymi sposobami zdobywał wozy z jarzynami, skupował kartofle, starał się ulżyć losowi ludności, walczyć z głodem który coraz to większe zakreślał kręgi i docierał niemiłosiernie do coraz to szerszych warstw ludności. Walka była z góry skazana na klęskę. Decyzja niemieckiego okupanta była jasna: wygłodzić, a potem zlikwidować fizycznie getto. Gepner wiedział o tym doskonale. Ale swoją siłą, swoim optymizmem, wrodzonym humorem, starał się — choćby sztucznie — podtrzymywać ludzi na duchu, dodawać otuchy, dodawać sił do beznadziejnej i z góry straconej walki. Na zewnątrz wydawał się uśmiechnięty, pogodny, zrównoważony. Ale ci z nas, którzy go znali, potrafili dostrzec umiejętnie ukryty smutek głęboki i niepokój.

Poznałem Gepnera lepiej i zbliżyłem się do niego w czasie pierwszej skcji likwidacyjnej getta warszawskiego. Zlikwidowano wtedy dzielnicowe oddziały Z.Z. znajdujące się w różnych punktach miasta i całą pracę skoncentrowano w biurach Centrali przy ul. Leszno. Czuliśmy się tam bezpieczniej. Wiedzieliśmy dobrze, że jak długo pozostanie przy życiu część choćby getta, Z.Z. będzie nadal działał, ponieważ potrzebny będzie jako centrum aprowizacji. Wiedzieliśmy, że Niemcy przede wszystkim muszą zlikwidować szopy Schultza, Toebensa i inne, zanim zabiorą się do centrum rozdziału żywności. Z początku sypialiśmy w domach i przychodziliśmy do Zakładu skoro świt, zanim jeszcze sołdateska niemiecka, wspomaganą przez szaulisów litewskich i Ukraińców rozpoczynała swoją morderczą akcję. A potem poruszanie się po ulicach było już tak niebezpieczne, że pozostawaliśmy często i na noc w Z.Z., śpiąc na podłodze i stołach biurowych. Pewnego dnia, w samym ogniu akcji, Z.Z. otrzymał rozkaz przeniesienia się do dwóch domów na ulicy Dzikiej, tuż przy rogu Gęsiej ulicy. Getto, zgodnie z planem niemieckim, miało być znowu zmniejszone. Leszno wyłączono z getta. Dano nam czas na przeprowadzkę 48 godzin. Wszystko co nie zostanie przeniesione w tym terminie

zostanie skonfiskowane. Zrobił się niesłychany popłoch. Każdy myślał o reszcie swego dobytku, o uratowaniu resztek mienia. A przecież główny problem polegał na przeniesieniu składów, na uratowaniu resztek żywności. Zakład miał do swojej dyspozycji ograniczoną ilość furmanek, zaprzęzonych w stare, wychudłe szkapę. Jasne było, że chaotyczna przeprowadzka grozi istnieniu Zakładu. Trzeba było skoncentrować wszystkie wysiłki aby opanować sytuację. Zwróciłem się do Gepnera i przedstawiłem plan zorganizowania przeprowadzki. Zaproponowałem przede wszystkim mężczyzn Zakładu dla celów przeprowadzki, oddanie za pokwitowaniem wszystkich bagaży prywatnych jak w przedsiębiorstwach transportowych i oddanie do naszej dyspozycji wszystkich wozów Z.Z. Gepner wysłuchał mnie uważnie. Zaakceptował natychmiast projekt, mimo tendencji ze strony niektórych wysokich dygnitarzy Z.Z. aby im przede wszystkim oddać do dyspozycji wozy Zakładu i wszystkie inne środki transportowe. Gepner zawsze widział przede wszystkim interes organizacji, interes społeczeństwa a nie jednostek. W oznaczonym terminie, na terenie zmniejszonego getta, znalazły się wszystkie składy Z.Z. Udało nam się również w zorganizowany sposób przenieść wszystkie bagaże prywatne. Kiedy akcja przeprowadzkowa skończyła się, Gepner zaprosił mnie do swego biura i zaproponował bliższą współpracę w kierownictwie Zakładu. Rozpoczęła się długa rozmowa na temat sytuacji. Nie ukrywał przede mną swego niepokoju. Ale nie było w tym strachu o własny los. Czuł głęboki niepokój o los resztek żydostwa polskiego. Czuł zbliżający się kres. Ale ani przez chwilę nie myślał o poddaniu się. Nie uznawał sytuacji bez wyjścia. A przecież w tym samym okresie tylu zdolnych i wartościowych przywódców społecznych załamało się całkowicie.

Od tego czasu Gepner wciągnął mnie do kręgu swoich bliskich współpracowników. Mieliśmy możliwość częstego dzielenia się wrażeniami i myślami. Przypadło nam w udziale przejść wspólnie przez ostatni etap tragedii.

Wkrótce potem nastąpił kryzys.

Noc z 4-go na 5-go września 1942. Tej nocy nigdy nie zapomnę. Z głębokiego snu wyrwał mnie nagle niezwykle hałas dochodzący z ulicy. Otwieram okno na roścież, ale trudno cokolwiek rozróżnić w ciemnościach. Słyszę tylko gwar rozmów, nawoływania, głosy męskie i kobiece, tupot nóg, skrzyp kół popsutego wózka. Szybko ubraliśmy się. Nie było wątpliwości że coś ważnego wisi w powietrzu, coś zasadniczego. Nie wiedzieliśmy jeszcze dokładnie o co chodzi. Przecież jest noc, godzina policyjna, zakaz wychodzenia na ulicę. Rozpoczęły się domysły, panika rozszerzała się lotem błyskawicy.

Wychodzimy na ulicę. Grupy ludzi kroczą szeregami; obładowani paczkami, tobołkami, tłumokami. Okazało się, że policja żydowska wraz z rodzinami otrzymała w nocy rozkaz opuszczenia swych bloków mieszkalnych przy ulicy Nowolipki i przeniesienia się na ulicę Miłą i Wołyńską. Zaraz potem przychodzą i dla nas rozkazy. Dowiadujemy się dalszych szczegółów. Wszyscy Żydzi żyjący jeszcze w Dzielnicy mają się zebrać w czworoboku utworzonym przez ulice: Dziką, Stawki, Smoczą, Gęsią i Zamenhofa. Dotyczyło to również pracowników szopów, Rady Żydowskiej, Zakładu Zaopatrywania i td. Tam miała się odbyć ostateczna selekcja.

Ocenialiśmy to jako pułapkę, chęć szybszego zakończenia akcji, która ciągnie się już od sześciu tygodni. Potem, kiedy byłem w obozach koncentracyjnych i spotykałem Żydów z różnych gett i ośrodków, przekonałem się, że metodę tę istotnie stosowano powszechnie w końcowej fazie akcji. Robiono to we Lwowie, Będzinie, Sosnowcu, w całym Zagłębiu.

Mieliśmy zaledwie kilka godzin czasu. Posterunki wojskowe obsadzały już ulice. Udałem się szybko do mieszkania Gepnera, gdzie było już zebranych kilku kierowników Z.Z. Odbyła się krótka narada. Mimo ogólnego zdenerwowania Gepner nie tracił równowagi ducha. Rozumiał grozę sytuacji, ale uważał, że nie ma innego wyjścia, że trzeba stawić się na selekcję. Był pewny, że mimo selekcji uda mu się jeszcze uratować członków Z.Z., bo najpewniej pozostaną nadal w getcie szopy pracujące dla wojska. Starał się przekonywać i działać uspakajająco na innych.

Dla pracowników Z.Z. wyznaczony został — jako miejsce zbiórki — placyk na dziedzińcu Rady Żydowskiej, w byłym więzieniu wojskowym, obok budynku gdzie mieściła się prowadzona przez nas fabryka sztucznego miodu „PALMA”. Niedaleko nas zbierają się pracownicy Rady Żydowskiej wraz z rodzinami. Na Stawkach, Niskiej, Wołyńskiej i Smoczaj zbierają się pracownicy szopów. W brudnych i cuchnących domach ulicy Libelta i Ostrowskiej zbiera się reszta mieszkańców Dzielnicy. Wojsko zamyka czworobok.

Obok wyznaczonego nam placyku znajdujemy dużą ilość siana. Były to zapasy dla S.S. Stąd załadowywano je na tabory wojskowe. W małym budynku fabrycznym umieściliśmy starszych. Sami rozłożyliśmy siano na placyku i pozostali pod gołym niebem.

W wyznaczonym czworoboku zebrano około 80.000 ludzi. Wkrótce miała się rozpocząć selekcja. Zakomunikowano kierownikom Rady Żydowskiej, że w getcie miały pozostać jedynie nieliczne szopy (Schultz, Toebbens, Transavia, szczotkarze, i zred-

kowana obsada urzędników Rady Żydowskiej i Z.Z. — razem około 30.000 mieszkańców). Niemcy opracowali dokładny plan akcji. Na zasadzie ułożonego schematu, policja miała być zredukowana do 750 funkcjonariuszy, szop Schultza do 4.000, i td. i td. Z.Z. nadal miał zajmować się aprowizacją ale ze zredukowanymi tzw. numerami życia. Były to wydrukowane na kartonie kolejne numery z oficjalnym stemplem władz niemieckich.

Zarządy szopów, dyrekcje warsztatów, prezydium Rady Żydowskiej i tp. miały opracować listy uprawnionych do otrzymania numerów życia. Miała to być selekcja przeprowadzona całkowicie przez samych Żydów. Ci, którzy otrzymywali numery życia, mieli być wyprowadzeni pod kontrolą oddziałów Gestapo i S.S., reszta zaś — stłoczona w kilku ciasnych i brudnych uliczkach — miała być odstawiona na Plac Przeladunkowy, ostatni przystanek przed Treblinką.

I tak ciągną się długie godziny wyczekiwania. Tak ciągną się długie godziny mąk. W zarządach szopów i prezydium Rady Żydowskiej sporządzają listy. Ustala się, kto dostanie numer a kto nie. Otrzymanie numeru — to przedłużenie życia. Nie na długo. Aż do drugiej, aż do następnej akcji likwidacyjnej.

Obserwowałem wtedy uważnie Abrahama Gepnera. Nie chciał brać bezpośredniego udziału w decyzji rozdziału numerów dla pracowników Z.Z. Decyzje podejmowała grupa dyrektorów bez jego udziału. Było to ponad jego siły. Na to był zbyt czysty, na to nie pozwalało jego sumienie. Pomimo siły woli, pomimo, że nigdy nie uciekał od podejmowania decyzji bez względu na jej tragizm i wagę — tym razem odmówił. Nie był zdolny do wydawania wyroków. Nie chciał do tego przykładać ręki. Chodził więc wraz z nami po placyku, niepokoił się wraz z nami, szamotał się i gnębił myślami.

Na drugi dzień rozpoczęło się wydawanie numerów życia. Były to najtragiczniejsze godziny jakie przeżyłem. Wszystko zaczęło się odbywać w błyskawicznym tempie. Dyrektor Z.Z., adwokat Drybiński przychodzi z obrad w prezydium Rady Żydowskiej. W rękę trzyma listę. Wywołuje się nazwiska, wręcza się numery i „szczęśliwych” posiadaczy kart życia wpuszcza się do oddzielnego pomieszczenia. Szybko załatwiona jest sprawa samotnych, którzy nie mają ze sobą rodzin. Przy umieszczaniu na listę ci mieli pierwszeństwo, u nich problem jest prostszy, mniej skomplikowany. Potem wywołuje się nazwiska ludzi obarczonych rodzinami. I wtedy rozpoczęły się dramaty. Wywołują nazwisko, występuje naprzód wywołany, obok niego żona lub dziecko. Ale numer jest tylko dla jednego. I nie ma czasu na perswazje, na rozmowy, na prośby i dyskusje. Niemcy poganiają. Wszystko od-

bywa się jak na froncie. Decyzje są ostateczne, wyroki — bezapelacyjne.

Trudno się opanować w tej chwili. Trudno się wziąć w karby. Jedni przyjmują numerek. Ostatnie spojrzenie. Nawet czasu nie ma na pożegnanie, na pocałunek, na uścisk dłoni. Przechodzi na drugą stronę, tam gdzie znajdują się „szczęśliwcy”. A żona, a dziecko, cofa się z szeregu, idzie z powrotem na placyk. Inni oddają numerek. Jeśli najbliżsi mają zginąć — idę z nimi. I złamani całkowicie wychodzą z szeregu, czekając swej kolejki w ostatniej wędrowce.

Te godziny, te godziny w ciągu których mordercy doprowadzili swoją sztukę męczenia ludzi do takiej perfekcji, że mężów zmuszali do porzucania żon, i ojców do opuszczania dzieci, i synów do pozostawiania rodziców na pastwę losu — te godziny na zawsze pozostaną w mej pamięci — jak żywe.

I wtedy to, w tych tragicznych chwilach stałem blisko Gepnera. Nic nie mówił. Ze strachem, ze zgrozą przyglądał się sytuacji. Nie pocieszał. Stał w bezruchu. Widać było jak walczy ze sobą, jak stara się opanować wzruszenie.

Ale ten mocny człowiek nagle się załamał i zaczął płakać. Trwało to krótko, szybko zrozumiał, że nie ma prawa, że nie wolno mu w tej chwili okazywać słabości. Otarł łzy niedostrzegalnym ruchem i zaczął wracać do getta wraz z innymi „wybrańcami” losu.

Mijają tygodnie. Znowu zmniejszono getto. Znowu stłoczono resztki żydostwa do nowych uliczek. Znowu postawiono nowe mury oddzielające nas od wolności i życia. Tym razem Z.Z. został przeniesiony do domu przy ul. Franciszkańskiej 30. Tam mieliśmy mieszkać i pracować.

Rozpoczął się zupełnie nowy okres w życiu mieszkańców getta. Dla nikogo nie ulegało już najmniejszej wątpliwości, że jest to ostatni akt dramatu.

Getto postanowiło organizować się do walki. Rozpoczęła się gorączkowa działalność organizacji wojskowej, budowa bunkrów, przygotowywanie się do ostatniej walki. W tym to okresie rozpoczęła się też wzmozżona ucieczka na stronę aryjską. Kto mógł, starał się ratować. Ludzie uciekali z getta jak szczone z tonącego okrętu. Kto miał jakikolwiek punkt oparcia po stronie aryjskiej zniknął. I wtedy to, kiedy część uciekała, pozostali skupiali swe szeregi. Wtedy też ukazała się w całej swej wielkości i szlachetności postać Abrama Gepnera.

Pewnego dnia zajęchało do Zakładu Zaopatrywania prywatne auto, w którym siedziało dwóch Niemców. Udali się do gabinetu Gepnera i rozmawiali z nim długo, sam na sam. Byliśmy niespo-

kojni, nie wiedzieliśmy co się dzieje, mimo, że zachowywali się przyjaźnie. Po prawie godzinnej rozmowie wyszli z Zakładu, wsiedli znowu do auta i szybko opuścili granice getta. Okazało się, że przyjaciele Gepnera ze strony aryjskiej, orientując się w tragicznej sytuacji, postanowili przejść do akcji i go ratować. Proponowali ukrycie go wraz z żoną po stronie aryjskiej, pod fałszywymi papierami. Gepner miał wszelkie szanse uratowania się. Miał środki materialne, stosunki i wygląd nie zdradzający w niczym żydowskiego pochodzenia. (Kiedyś opowiedział mi, że w Lewiatanie — organizacji polskiego wielkiego przemysłu przed wojną — należał do nielicznych którzy mieli doprawdy wygląd szlachcica polskiego). Miał wielu przyjaciół aryjskich, którzy chcieli mu pomóc za wszelką cenę. Dlatego też przekupili dwóch oficerów niemieckich, wystarali się o fałszywe papiery i posłali ich do getta, aby wyprowadzić Gepnera za przepustką na stronę aryjską. Gepner wysłuchał propozycji i zapewnień, skreślił kilka słów podziękowania do swych przyjaciół i odmówił.

— Miejsce moje jest z moim narodem — powiedział. Z nim żyłem, z braćmi moimi zginę.

Fakt ten nie wymaga komentarzy.

Tegoż wieczora, w małym i skromnym mieszkanku Gepnera przy ul. Franciszkańskiej 30, w nowej siedzibie Zakładu Zaopatrywania, zebrało się kilku przyjaciół i bliskich współpracowników Gepnera. Głównym przedmiotem rozmów była oczywiście ranna wizyta Niemców i propozycja przyjaciół ze strony „aryjskiej”. Niektórzy z obecnych nakłaniali Gepnera aby skorzystał z możliwości ukrycia się. Były to ostatnie szanse. Nie ulegało to najmniejszej wątpliwości. A ponieważ getto szykowało się do walki, ponieważ młodzież zaczęła zajmować pierwsze miejsce w zbliżającej się tragedii, w której Gepner już mało co mógł pomóc, poczęto poddawać rewizji jego decyzję. Nikt nie miał najmniejszej wątpliwości że było to równoznaczne z samobójstwem. Nie miał jej też i sam Gepner. Ale chciał zginąć wraz z ostatnimi mohikanami warszawskiego getta.

Od zakończenia ostatniej akcji upłynęło kilka miesięcy.

Na Franciszkańskiej, tuż u rogu Bonifraterskiej i Nowiniarskiej, stał stary, odrapany, kilkupiętrowy dom. Z okien górnych pięter tego domu widać było wąskie i brudne uliczki przylegające do Franciszkańskiej, pełne małych lokali sklepowych, gdzie przed wojną odbywał się żywy handel od wczesnego ranka do późnego wieczora. Teraz, za czasów getta, niedaleko przebiegał wysoki mur dzielący getto od reszty miasta. Lokale sklepowe były zamknięte, uliczki prawie wymarłe.

W podwórzach opisanego wyżej domu na Franciszkańskiej sta-

ło zawsze kilka wozów, starych i zniszczonych. W środku domu, w jego brudnych, ciasnych i cuchnących lokalach, mieszkało kilka razy więcej ludzi niż za czasów przedwojennych. Gnieździli się w małych pokoikach, po kilka rodzin w jednym mieszkaniu. Mimo tej nędzy zewnętrznej, mimo ciasnych podwórek do których rzadko docierał promień słońca, mieszkańcy tego domu należeli do warstwy „uprzywilejowanej”.

Nazywano ich „śmieciarzami”. Wywozili śmiecie poza mury getta. Niemcy bali się epidemii. I chociaż całe getto stanowiło jeden wielki, cuchnący śmietnik, zobowiązali kierowników getta do wywózki śmieci. Była to oczywiście tylko formalność, bo na całą ludność getta wywożono dziennie zaledwie kilkanaście wozów śmieci. Dla wywożenia śmieci zorganizowano „szop śmieciarzy” z siedzibą we wspomnianym domu na Franciszkańskiej. Właściciele szopu zorientowali się natychmiast, że śmiecie stanowią tu „złoty interes”. Upoważnienie do wyprowadzenia poza bramy getta kilkunastu wozów dziennie dawało niebywałe okazje, otwierało wielkie możliwości. Niemieckie wachy brzydziły się dokładnej rewizji wozów załadowanych śmieciami. Toteż, pod kupami śmieci, nad dnem wozów, wbudowano dodatkowe deski, zrobiono podwójne dno i — tuż pod okiem Niemców — rozpoczęto szmugiel na wielką skalę. Codziennie wywożono w ten sposób stare ubrania, resztki futer, wszystko co przedstawiało jeszcze minimalną choćby wartość. Po drugiej stronie miasta, tuż obok miejsca gdzie wyrzucano śmiecie, odbywał się handel wymienny; do getta wwożono żywność, a od czasu do czasu, dobrze ukrytą broń.

W tym to czasie Niemcy nie dawali gettu ani chwili spokoju. Stałe areszty, stałe łapanki, stałe likwidacje. 18 stycznia 1943 r. przeszli znowu do zorganizowanej akcji likwidacyjnej. Akcja ta trwała zaledwie kilka dni i była ostatnią większą akcją przed powstaniem w getcie warszawskim.

18 stycznia Niemcy obstawili Z.Z. Żandarmi zawiadomili Dyрекcję, że nikt nie może opuścić gmachu i że wszyscy powinni się zebrać na podwórzu. Szybkie, nerwowe zebranie w gabinecie Gepnera. Część z nas reprezentowała pogląd, że należy się ukryć częściowo w bunkrach, jeszcze niewykończonych, częściowo zaś w licznych kryjówkach wybudowanych w składach i piwnicach Z.Z. Dyrekcja Zakładu w swej większości była odmiennego zdania. Myślano, że jest to ponowna kontrola papierów. Skoro istnieją jeszcze szopy — rozumowano — Zakład będzie nadal istniał. Kazano wszystkim stawić się na dziedzińcu. Duża część urzędników posłuchała rozkazu. Członkowie organizacji bojowej nie stawili się na apel. Ukryliśmy się szybko, czekając rozwoju wypad-

ków. Nie byliśmy jeszcze przygotowani do zorganizowanej i zbrojnej akcji oporu, ale nie mieliśmy też zamiaru oddać się dobrowolnie w ręce żandarmerii niemieckiej.

Był to tragiczny posiew. Większość urzędników poszła na Plac Przeladunkowy otoczona wachami S.S. Na czele pochodu szedł Gepner z żoną, Jerzy Graff i inni. Nie pomogły tłumaczenia, pertraktacje, długie rozmowy i interwencje Rady Żydowskiej. Jedynie Gepner z żoną i Jerzy Graff zostali uwolnieni. Reszta została załadowana na pociągi towarowe, które kierowano do stacji gazowej w Treblince.

Kiedy pod osłoną nocy wyszliśmy z kryjówek, widziałem się z Gepnerem. Trudno było go poznać. Był przybity, zgaszony, pełen troski i rozpacz.

I znowu minęło kilka miesięcy. Aż nadszedł 18 kwietnia 1943. Gdyby obcy przybysz chodził owego pięknego dnia kwietniowego ulicami warszawskiego getta, nie byłby ani przez chwilę przypuszczał, że znajdują się tam żywi ludzie.

Tak jednak mogło się wydawać tylko niewprawnemu oku obcego przybysza. Bo ludzie żyli jeszcze w tym czasie w getcie. Większość 30.000 ludności getta znajdowała się owego historycznego wieczora, 18 kwietnia 1943 roku, w podziemnych bunkrach, budowanych wytrwale i konsekwentnie przez długie miesiące. Na zewnątrz znajdowali się tylko ludzie czekający z bronią w ręku.

Złowroga cisza unosiła się w powietrzu. Nikogo nie widać na ulicach. Gdzieś tam, za rogiem, ktoś szybko przejechał na rowerze, pędząc w nieznanym kierunku, wioząc widocznie jakiś rozkaz. Wysokie mury, mury niewoli, dzielą getto od świata zewnętrznego. Ostre druty kolczaste okalają Dzielnicę i bronią do niej dostępu. Tam, z drugiej strony murów stoją już niemieccy żołdacy gotowi do ataku. A z tej strony czeka garstka straceńców którzy postanowili godnie żyć i godnie umierać.

Na terenie Z.Z. — poza członkami organizacji bojowej — prawie wszyscy znajdują się już w bunkrach. Z nami na zewnątrz, jest jeszcze Abram Gepner. Kilkakrotnie prosiliśmy go aby przedostał się do bunkra przez podziemny labirynt, łączący go ze światem zewnętrznym i tzw. bunkrem miodziarzy (wybudowanym przez pracowników fabryki sztucznego miodu). Ociąga się. Czeka. Tłumaczymy mu, że w niczym nie może pomóc, że musi się ukryć. Jakoś niebardzo przyjmuje to, niebardzo dociera to do jego świadomości. Jakto? Czyżby już Abram Gepner nie mógł być w niczym pomocny?

Prawie ostatni wszedł do bunkra, w momencie kiedy słychać już było pierwsze odgłosy wystrzałów i terkotanie karabinów maszynowych.

Rozpoczęła się regularna walka — jak na froncie. Niemcy ściągnęli armaty, czołgi, samoloty. W płomieniach stanęła dzielnica żydowska. Podpalano dom za domem. Regularne oddziały saperów wysadzały je dynamitem, grzebiąc pod gruzami obrońców.

Mijały dni. Byliśmy zamurowani w bunkrach. Od czasu do czasu pod osłoną nocy dokonywało się zbrojnych wypadów. Bunkier miodziarzy został odkryty. Niemcy nakazali aby wszyscy poddali się i opuścili bunkier. Powitano ich strzałami. Po kilku chwilach wrzucono do bunkra bombę gazową. Nikt nie pozostał żywy. Wraz z wszystkimi innymi w tym bunkrze zginął jego dowódca, adwokat Tadeusz Teszner.

W drugim bunkrze Zakładu, wraz z nami, znajdował się Abram Gepner. Mimo rozpaczliwej sytuacji starał się znowu wpływać na otoczenie. Zachowywał niebywały spokój. Wiedział, że zginie. Głęboko w duszy nie miał najmniejszej wątpliwości. Był zbyt mądry i zbyt dobrze wiedział co nas czeka. Ale mimo to starał się dodawać otoczeniu otuchy, a przede wszystkim spokoju. Leżał na pryczy obok mego ojca. Obserwowałem jak godzinami całymi mówili ze sobą. Gepner starał się być pogodny, a przecież było to prawie ponad siły ludzkie. Czynił to jednak przez wszystkie dni następne, aż...

Aż bunkier nasz odkryli Niemcy. Wybili granatami podziemne wejście i przez głośniki wezwali wszystkich do opuszczenia bunkra. Jeśli nie zacznie się ewakuacja w ciągu pięciu minut, wrzucą bomby gazowe. Wtedy to po raz ostatni widziałem Gepnera. I po raz ostatni widziałem rozpacz w oczach mego ojca, którego tak kochałem, a któremu już w niczym pomóc nie mogłem.

Mała garstka bojowców rzuciła się do zamaskowanych wyjść. Wypadliśmy zniemacka odstrzeliwując się niespodziewającym się nas z tej strony Niemcom. Z naszej grupy tylko część potrafiła się przebić w pobliskie ruiny. Reszta zginęła w boju.

Kiedy po wielu godzinach, pod osłoną nocy, wróciliśmy do bunkra nikogo w nim nie było. Wyprowadzono wszystkich. O kilkadziesiąt metrów natknęliśmy się na dogorywającą, ciężko raną, matkę koleżanki naszej Ireny Brysz. Nie mogliśmy jej dać nawet kropli wody, aby ulżyć cierpieniom.

Jan GALEWICZ

WSPOMNIENIA GEN. KOPAŃSKIEGO

„Moja Służba w Wojsku Polskim 1917-1939” (Veritas, Londyn 1965) stanowi ważną pozycję w pamiętnikarstwie Dwudziestolecia. Wypełnia, także, lukę pozostawioną przez poprzedni tom wspomnień (chronologicznie późniejszy): Wspomnienia wojenne 1939-1946.

Książka, pisana jasno, przystępnie i bezpretensjonalnie, dostarcza nam ciekawych danych z dwu punktów widzenia. Po pierwsze — odtwarza przebieg służby zdolnego oficera z okresu minionego. Po drugie — sztabowiec, zajmujący szereg odpowiedzialnych stanowisk, podaje szereg stwierdzeń i obserwacji w skali państwowego znaczenia.

Generał Kopański, urodzony i wychowany w Petersburgu, wspomnieniami dzieciństwa związany z północno-wschodnimi kresami, stanowi typową sylwetkę dla polskiej kolonii petersburskiej. Kto z nas odbiegał daleko od tego wzoru? Dom polski, środowisko polskie, doraźne stosunki z Rosjanami. Zaczytywanie się historią wojenną Polski, z zamknięciem zakresu zainteresowań na 1831 roku — „ostatnia wojna, gdzie występowało regularne wojsko polskie”. Marzenia o mundurze, z jednoczesnym zrozumieniem od wczesnego dzieciństwa, że rosyjski mundur jest nieprzekraczalnym tabu. Mówiąc krótko, jeżeli młody Kopański wyróżniał się zdolnościami — w zakresie sposobu myślenia i moralnych zasad, był typowym przedstawicielem swojego środowiska.

Z domu wynosi dobrą znajomość francuskiego i niemieckiego języka; ze szkoły — rosyjskiego. W 1913 roku kończy I-sze gimnazjum petersburskie ze złotym medalem. Charakterystyczne dla środowiska: matka autora przewiozła ten medal w 1918 roku do Warszawy i „oświadczyła mi, że jeżeli otrzymam kiedy Złoty Krzyż Virtuti Militari, będę mógł przetopić złoto medalu na Order Virtuti Militari”.

Po osiągnięciu matury, autor zdaje wstępny egzamin i wstępuje do Instytutu Inżynierów Dróg i Komunikacji. Nadeszła Wielka Wojna. W 1916 roku wkłada Kopański mundur rosyjskiej konnej artylerii, broni do której zachowa przywiązanie mimo zmiennych losów swojej dalszej służby.

Znowu wpływ środowiska: mając prawo wyboru jednostki, wybiera 3-cią konną baterię bo „nie miała odznaczenia za uśmierzenie polskiego powstania”. Front, rewolucja, korpus Dowbora-Muśnickiego. Powrót do Polski, II-ty listopada. Wstąpienie do polskiego wojska — do ukochanej konnej artylerii. Pierwsza konna!

Zaczyna się dla porucznika Kopańskiego bogaty okres wojenny. Wczorajsze marzenie, dzisiaj staje się rzeczywistością. Tradycje Włodzimierza Potockiego i Bema — otwarte pozycje, ogień na wprost.

Na wiadomość o rozbrajaniu Austriaków w Radomsku, jedzie tam z kolegami i formuje pluton artylerii, oczywiście konnej. Pluton z młodych ochotników, z 37 mm. działkami Hotchkiss, zostaje wcielony do I-go Krechowieckiego ułanów. Z nim rozpoczyna kampanię ukraińską. Organizacja armii ustala się i pluton wchodzi w skład I-ej baterii, I-ego dywizjonu artylerii konnej. Ale kampania trwa nadal i dopiero w kwietniu 1919 r. dołącza pluton do swojej baterii po wyprawie na Wilno.

Zdobycie Wilna jest szczytowym punktem kariery por. Kopańskiego. Na rozkaz wspierania szwoleżerów majora Dreszera w walkach ulicznych, wprowadza działo do pierwszej linii i prowadzi bezpośredni ogień w ręcznym i maszynowym ogniu przeciwnika. Sam na siodełku celowniczym. Siodełko to okazuje się fatalne. Kopański, a za nim dwaj jego oficerowie, kolejno spadają z niego ranni. Kopański traci oko. Jest głównym bohaterem zdobycia Wilna. Działo użyte do tej akcji stanie później na pomniku artylerii konnej w Warszawie.

Następuje kuracja i rekonwalescencja w Warszawie i znowu powrót do I-ej konnej. Kampanie białoruska i wołyńska, bitwy i potyczki, marsze i kontrmarsze. Raid na Korosteń. 18 października zakończyła się epopeja wojenna „I konnej baterii”. Kopański rozpoczął pokojową służbę.

Na marginesie wspomnień tamtej wojny, podaje gen. Kopański szereg krótkich, dosadnych charakterystyk oficerów z którymi zetknęły go losy wojny. Poznajemy także jego ocenę rozmaitych formacji. Dzieli je, jak to nazywa, na autorament regularny i legionowy. Oddaje pierwszeństwo pierwszemu, uznając również zalety drugiego. Z pułków kawaleryjskich wysuwa na czoło I Krechowiecki i 8 ułanów. Ten podział i krytyczna ocena legionistów przewija się przez cały dalszy ciąg jego wspomnień. Krytyka jest spokojna, rzeczowa i zapewne nie spotka jej potępienie Koła Generałów jak w wypadku „p. T. Machalskiego (gen. bryg.)”.

Bojowy konny artylerzysta musi przestawić swoją mentalność na warunki pokojowej pracy. Wierzmy że był to wielki wysiłek. Pierwszym krokiem jest powrót na studia i uzyskanie dyplomu inżyniera na warszawskiej politechnice. Dyplom inżynierii lądowej nie dopasowany specjalnie do artylerijskiej kariery. Szereg przydziałów. Staż w francuskiej szkole artylerii w Fontainebleau. Wypadki majowe, które zastały Autora w Toruniu. École Supérieure de Guerre w Paryżu. III oddział Sztabu Głównego. Dowódca dywizjonu w 6 pac we Lwowie. Staż w armii jugosłowiańskiej. Znowu Oddział III Sztabu Głównego. Członek misji polskiej na manewrach włoskich na jesieni 1943 r. I-szy zastępca Dowódcy Broni Pancernych Min. Spraw Wojskowych. W 1935 r. członek misji wojskowej wizytującej niemieckie siły zbrojne. Dowódca I pułku artylerii motorowej. Zaokcie. Kurs dla szefów sztabów i kwatermistrzów armii przy Wyższej Szkole

Wojennej. Szef Oddziału III Sztabu Głównego. Przygotowania do nadciągającej wojny. Kampania wrześniowa.

Tak, w paru zdaniach, wyglądał przebieg pokojowej służby generała Kopańskiego. Widzimy, że dała mu ona szerokie możliwości poznania zagadnień wojskowych wyższych szczebli, a w ostatniej fazie szczebla najwyższego. Miał też możliwość porównania polskich poczynań i poglądów z traktowaniem ich przez czynniki wojskowe szeregu innych państw.

Dlatego uwagi generała Kopańskiego o naszych przygotowaniach obronnych okresu Dwudziestolecia są specjalnie cenną częścią pamiętników. Uwagi ograniczają się ściśle do zakresu wojskowych poczynań. Jak sam zastrzeża, na polityce się nie znał i nie miał z nią do czynienia. Jego krytyka spokojna i rzeczowa daje smutny obraz naszej przedwojennej wojskowej sytuacji. Może nie są to rewelacje, ale stwierdzenia podane przez autorytatywne źródło. „Ich ciężar gatunkowy przewyższa wypowiedzi Kirchmayera, Romeyki, czy Machalskiego.

Generał Kopański stwierdza, że wbrew zwyczajom przyjętym w sztabach generalnych wszystkich państw, w Polsce nie opracowywano planów wojennych na wypadek ewentualnego zagrożenia. Powołując się na opracowania płk. dypl. H. Piątkowskiego, widzi Generał źródło tego stanu rzeczy w ujmowaniu przez Marszałka Piłsudskiego zagadnień strategicznych; mianowicie w przyjęciu za regułę zasad „strategii konkretnego wypadku”. „Mozolne opracowywanie planów... które mogły okazać się całkiem niedostosowane do przyszłej sytuacji, nie leżało w charakterze Marszałka”. Dwoistość naczelnych władz wojskowych: „tor pokojowy” Ministerstwa i „tor wojenny” Generalnego Inspektoratu, sprzyjała wyeliminowaniu sztabu generalnego, teraz Głównego, z jego podstawowego zadania — przygotowania państwa do ewentualnej wojny. Za brakiem planów szedł, w logicznej kolejności, brak doktryny wojennej.

Lekceważenie przygotowań szło tak daleko, że, kiedy w czerwcu 1934 roku, szef Sztabu Głównego polecił Kopańskiemu zestawić akta dotyczące stosunków wojskowych polsko-francuskich, z trudem udało się je odnaleźć w postaci stosu zakurzonych papierzysek na dnie jakiejś szafy.

W 1933 czy 1934 roku plan mobilizacyjny „S” (z 1925 r.) był do tego stopnia nieaktualny, że przewidywał 5 dowództw armii, gdy aktualnie planowano użycie na wschodzie sześciu armii. Mimo to „nie wolno go było poprawiać i w ogóle ruszać”. W tym czasie nie istniał plan transportowy ani mobilizacyjny, ani koncentracyjny, „gdyż *Ordre de Bataille* poszczególnych armii nikomu nie był znany”. Jeżeli istniała koncepcja wojny na wschodzie (zresztą ograniczona do wstępnej fazy osłony) to gorzej było z „Zachodem”. „Tam nie istniała żadna koncepcja, nawet osłony”. Sam referat „Zachód” został zredukowany do jednego oficera”. (przypominam: rok 1933/34).

Tyle jeżeli chodzi o „bieżące” prace normalnej pokojowej pracy sztabu.

Kiedy w marcu 1939 roku został pułkownik Kopański wyznaczony na szefa III oddziału (operacyjnego) sztabu Głównego, zastał prace nad planem „Zachód” w pełnym toku. Powzięcie jego nastąpiło bez jego udziału, a dalsze prace nad nim nie leżały bezpośrednio w obowiązkach szefa operacyjnego. Nad rozwinięciem planu czuwał osobiście II zastępca szefa Sztabu płk. dypl. Jaklicz.

„...W ciągu trzech dni zostały opracowane i podpisane przez Generalnego Inspektora Sił Zbrojnych (23 marca) dyrektywy operacyjne dla inspektorów armii...” „Plan zachodni rodził się szybko, w pewnej improwizacji, pod wpływem nagłych wydarzeń politycznych”. „Po podpisaniu planu nie był już on nigdy tematem do dyskusji”. „W dniu 23 marca właściwie została usankcjonowana podpisem Generalnego Inspektora Sił Zbrojnych koncepcja rozwinięcia całości sił na froncie przeciwniemieckim”.

Generał Kopański wysuwa szereg zastrzeżeń odnośnie metod dowodzenia marszałka Rydza, w szczególności brak ścisłej współpracy ze sztabem; posunięcie do absurdu zasady zachowania tajemnicy; brak koncepcji dalszego prowadzenia wojny.

W zakończeniu zestawia Generał militarne przyczyny wrześniowej klęski. Dzieli je na niezależne i zależne od nas. Do pierwszej grupy zalicza przewagę militarną i gospodarczą Niemiec; geograficzne położenie Polski; z góry planowane późne podjęcie działań ofensywnych sprzymierzeńca francuskiego.

Do przyczyn „bardziej zależnych od nas” zalicza: brak doktryny wojennej; brak planowania wojny; usterki organizacyjne Armii jako narzędzia wojny. Do usterek organizacyjnych zalicza Generał wadliwą politykę personalną od 1926 roku.

Jak powiedziałem na wstępie, książka wnosi wiele cennego materiału do wiedzy o militarnej historii naszego „Dwudziestolecia”.

Tadeusz NOWACKI

DRUGA WOJNA ŚWIATOWA WIDZIANA Z ANKARY

Polska literatura pamiętnikarska okresu drugiej Wojny Światowej wzbogaciła się ostatnio o nową pozycję — *Dziennik ankarski* pióra ambasadora Michała Sokolnickiego*. Okazały tom, liczący ponad pięćset stron druku, wydany został przez Instytut Józefa Piłsudskiego i stanowi niewątpliwie interesujący przyczynek do historii stosunków międzynarodowych współczesnej doby. Michał Sokolnicki, historyk i dyplomata, wieloletni ambasador R.P. w Turcji, uczynił wszystko, aby zapiski jego ukazały się we właściwej naukowej szacie. Ustępów pisane później umieszczono w nawiasach. Książka jest zaopatrzona w przypisy i objaśnienia. Kilka ważniejszych dokumentów znajduje się w załącznikach. Skorowidz nazwisk ułatwia czytelnikowi poszukiwanie się *Dziennikiem*.

Diariusz Sokolnickiego uzupełnia istniejące zapiski i wspomnienia ambasadorów polskich z Waszyngtonu, Moskwy i Londynu: Jana Ciechanowskiego, *Defeat in Victory*, Stanisława Kota, *Listy z Rosji i Rozmowy z Kremlem*, oraz Edwarda Raczyńskiego, *W sojuszniczym Londynie*. W tych warunkach trudno się spodziewać, aby diariusz ankarski mógł wnieść zupełnie nieznaną informację dotyczące polskiej polityki zagranicznej tego okresu. Placówka w Ankarze, jakkolwiek bardzo ważna, nie dawała tych możliwości wglądu w rozwój sytuacji międzynarodowej co powyższe trzy stolice. Rząd generała Sikorskiego z kolei nie traktował ambasadora Sokolnickiego, jednego z najstarszych Piłsudczyków, jako swego człowieka. Były nawet kilkakrotne próby odwołania go z Turcji; jedynie stanowczy sprzeciw rządu tureckiego, który nie chciał zgodzić się na akredytowanie nowego ambasadora, udaremnił te plany.

Dziennik ankarski stanowi jednakże ciekawą lekturę z szeregu względów. Zawiera on jedyny szczegółowy opis historii stosunków polsko-tureckich w latach 1939-1945. Ilustruje zmieniające się, w miarę narastania konfliktu polsko-sowieckiego, nastawienie do Polski przedstawicieli Stanów Zjednoczonych i Wielkiej Brytanii. Stosunek obu ambasadorów do Sokolnickiego był jak gdyby barometrem notującym fluktuacje sprawy polskiej na terenie międzynarodowym. Jakkolwiek Michał Sokolnicki poświęca mało miejsca rządowi

* Michał Sokolnicki, *Dziennik ankarski 1939-1945*. Wydawnictwo Instytutu Józefa Piłsudskiego. Gryf Publications. Londyn, 1965. s. 576.

londyńskiemu i rozgrywkom wewnętrznym, wiele jego spostrzeżeń i obserwacji zasługuje na uwagę. Chociaż ton *Dziennika* nacechowany jest dużą wstrzemięźliwością w osądach ludzi i wydarzeń, sylwetki niektórych polityków skreślone są sugestywnie. Pomiędzy wierszami widać sympatie i antypatie autora.

Sokolnicki wystawia doskonałe świadectwo Turcji, podkreślając jej życzliwy i lojalny stosunek do spraw polskich. Epizody takie, jak przepuszczenie złota banku polskiego, interwencje tureckie w Moskwie, zatrudnienie specjalistów polskich, czy tranzyt transportów wojskowych Polaków, ujawniają jak bardzo rząd turecki starał się iść na rękę Polsce. Z kart *Dziennika* przebija też stała sympatia okazywana ambasadorowi Sokolnickiemu przez czynniki tureckie. Nawet w tak drażliwej kwestii jak uznawanie ambasadora kraju okupowanego za dziekana korpusu dyplomatycznego, Turcja podtrzymywała godnie swą starą tradycję ignorowania rozbiorów Lechistanu.

Jakkolwiek stosunki Sokolnickiego z przedstawicielami Anglii i Ameryki w Ankarze były dobre, odczuwa się brak bliższego zrozumienia i obustronnych sympatii. Zwłaszcza ambasador amerykański Steinhardt odznaczał się nadmiernie gorliwym kultywowaniem przyjaźni ze swym sowieckim kolegą. Podział ambasadorów alianckich na klasę uprzywilejowaną, przedstawicieli wielkich mocarstw, i grupę „ubogich krewnych” zarysował się w Turcji dość wcześnie. W miarę pogłębiania się konfliktu polsko-rosyjskiego, izolacja ambasady R.P. stawała się coraz wyraźniejsza. Opis wydarzeń od kwietnia do lipca 1943 stanowi najbardziej żywą i równocześnie przykrą część książki. Okres załamywania się wiary w sojuszników i narastającej niemocy rządu polskiego tkwi dobrze w pamięci tych, którzy spędzili ten czas na Zachodzie.

Sokolnicki pisze stosunkowo mało i ogólnie o sprawach wewnętrzno-polskich na emigracji. Wyraża się krytycznie o działalności Kota; pisze niechętnie o rozpolitykowaniu i intrygach. *Dziennik* zawiera szczegółowy opis dwóch rozmów z generałem Sikorskim, przy czym Sokolnickiemu udało się doskonale oddać osobowość premiera i naczelnego wodza. Energia i pewność siebie Sikorskiego, jego trochę władczy stosunek do rodaków, stała dążność do podkreślenia znaczenia i roli Polski wobec sojuszników — wszystko to uchwycone jest nader przekonująco i sugestywnie. W porównaniu z dobrze naszkicowaną sylwetką generała, krótkie wzmianki o przyszłym Janie XXIII — wówczas legacie apostolskim — nie dają pojęcia o kalibrze i osobowości tego niezwykłego człowieka. Inne postacie z *Dziennika* są również mniej żywe i barwne.

Dziennik ankarcki jest dokumentem historycznym. Czytelnik odnosi z tej lektury wrażenia podobne do tych, które wyraża sam autor we wstępie. Sokolnicki pisze, że odczytując swe własne zapiski ma uczucie, że „pochodzą one z innej epoki, z dawno minionych wieków”, że są czymś „odrębnym i dalekim, przeminionym i zamkniętym”. Istnieje powiedzenie, że lata wojny liczą się podwójnie. Kalejdoskop wydarzeń od końca Drugiej Wojny Światowej sprawia wrażenie, że obecne lata odpowiadają dawnym dekadom. Świeża i niedawna przeszłość, którą opisuje Michał Sokolnicki, staje się w dobie rakiet i sputników, coraz bardziej odległa.

Piotr WANDYDZ

POLEMIKI I LISTY

SPRAWA BRZESKA

Szanowny Panie Redaktorze!

Należy zgodzić się z p. Witoldem Grabowskim, że wobec ogromu polskiego nieszczęścia narodowego sprawa brzeska wydaje się marnością a pisanie o niej odstręcza. Mimo to czasem musi się o niej pisać. Prof. Pragier napisał swe pamiętniki. Czy miał z nich wykreślić sprawę brzeską? Czy należało wykreślić sprawę brzeską ze wspomnień Witosy? Czy należy ją wykreślić z przygotowywanych do druku pamiętników Liebermana? Nieszczęście narodowe kiedyś przeminie — czyż jedynym źródłem do sprawy brzeskiej dla przyszłych historyków mają być wywiady marsz. Piłsudskiego i „Strzępy meldunków” Sławoja-Składkowskiego?

P. Grabowskiego zdumiewa, że b. więźniowie brzescy jeszcze i dzisiaj nie chcą się przyznać do winy. Do czego mamy się przyznać? Za co innego byliśmy uwięzieni, o co innego oskarżani, za co innego skazani. Wedle komunikatu urzędowego z dnia 10 września 1930 r., przyczyną aresztowania naszego były „nagromadzone przez cały okres ubiegłej kadencji sejmowej przestępstwa zarówno natury kryminalnej (kradzieże, oszustwa, przywłaszczenia i tp.), jak i natury politycznej (strzelanie do policji, nawoływanie do gwałtów i nieposłuszeństwa władzom, wystąpienia antypaństwowe)”. To była nieprawda i akt oskarżenia nie podtrzymał zarzutów ani o przestępstwa kryminalne ani o strzelanie do policji czy wystąpienia antypaństwowe. Wedle aktu oskarżenia, odczytanego w Sądzie Okręgowym w Warszawie w dniu 26 października 1931 r. zawiniliśmy tym, że w okresie czasu od 1928 r. do 9 września 1930 r. po wzajemnym porozumieniu się, działając świadomie, wspólnie przygotowaliśmy zamach, którego celem było usunięcie przemocą członków sprawującego w Polsce władzę rządu i zastąpienie ich przez inne osoby, wszakże bez zmiany zasadniczego ustroju państwowego. To także była nieprawda i Sąd Okręgowy w Warszawie niewinność nas od powyższego zarzutu. Natomiast wyrokiem z dnia 13 stycznia 1932 r. uznał dziesięciu z nas winnymi, że w r. 1930 braliśmy udział w spisku, utworzonym w łonie

organizacji pozaparlamentarnej, popularnie zwanej Centrolewem, albo Związkiem Obrony Prawa i Wolności Ludu, albo wreszcie komisją porozumiewawczą stronnictw lewicy i środka, wiedząc o tym, że spisek ten dążył do zamachu mającego na celu obalenie przemocą członków rządu sprawującego w tym czasie władzę w Polsce i zastąpienie go przez inne osoby, wszakże bez zmiany zasadniczego ustroju państwowego. To jednak również była nieprawda. Żadnego spisku nie było. P. Grabowski trzyma się uporcezywie podręcznika rosyjskiego prawa karnego, wydanego przez Tagancewa w r. 1902 i powołuje się na logikę, która rzekomo sprzyjała i nadal sprzyja oskarżycielom w procesie brzeskim, a nie sprzyja oskarżonym i świadkom obrony. Mnie nie jest potrzebny do pomocy ani Tagancew ani podręcznik logiki, bo ja *wiem*, jak było naprawdę. I otóż jako uczestnik rzekomego spisku, wbrew temu co utrzymuje p. Grabowski stwierdzam: żadnego spisku nie było.

Najpierw o sprawcach rzekomego przestępstwa, potem o czasie jego popełnienia. P. Grabowski pisze o oskarżonych w sprawie brzeskiej, że „byli to czołowi ludzie, którzy nie mogli nie kierować ruchem”. Nie mógł nie kierować ruchem np. Niedziałkowski albo Pużak z PPS, Róg z Wyzwolenia, Wrona ze Stronnictwa Chłopskiego, należeli oni do najbardziej czołowych ludzi „Centrolewu”, a jednak nie było ich na liście aresztowanych i oskarżonych. To prawda, że oskarżonych mogło być „jeszcze więcej”, ale nieprawda, że lista czołowych ludzi „Centrolewu” mogła pominąć Niedziałkowskiego lub Pużaka. P. Grabowski pisze, że „proces był symbolem, aby przestrzec także tych innych; na to wskazuje niska kara i odpowiadanie z wolnej stopy oskarżonych”. To nieprawda, kara nie była niska, sąd w uzasadnieniu wyroku określił wymiar kary jako średni. Oskarżeni odpowiadali z wolnej stopy, ale przedtem przeszli przez Brześć, gdzie wiadomo jak byli traktowani. Zresztą prawo nie zna procesów symbolicznych, a już komentarz p. Grabowskiego, że chodziło o ostrzeżenie dla innych jest niezrozumiały w ustach prokuratora: ostrzeżenie może odnosić się tylko do potencjalnych przestępców, do ewentualnych naśladowców, nigdy — do współwinnych zbrodni. Sąd Okręgowy w uzasadnieniu wyroku starał się być bardziej precyzyjny i podał, że wszyscy oskarżeni z wyjątkiem Sawickiego byli członkami komisji porozumiewawczej „Centrolewu”, więc musieli wiedzieć o środkach, jakimi „Centrolew” zdążył do obalenia rządu. Znowu nieprawda, gdyż spośród wszystkich oskarżonych tylko dwaj, a mianowicie Lieberman i Kiernik wchodzili w skład komisji porozumiewawczej „Centrolewu”. Co więcej, wśród więźniów brzeskich znalazł się Karol Popiel, który nie był członkiem ani „Centrolewu” (posługując się terminologią wyroku I instancji) pozaparlamentarnej, ani nawet „Centrolewu” parlamentarnej, bo w kadencji 1928-1930 nie był wcale posłem na Sejm. Miarą zakłopotania organizatorów procesu sądowego był fakt, że Popiel nie został objęty aktem oskarżenia. Wreszcie przypomnę, że w Brześciu znalazło się pięciu posłów ukraińskich, dwóch posłów ze Stronnictwa Narodowego, Wojciech Korfanty z Chrześcijańskiej Demokracji śląskiej i Józef Baćmaga, wybrany posłem z listy BBWR, którzy nie tylko nie wchodzili w skład komisji porozumiewawczej „Centrolewu”, ale nawet nie byli członkami stronnictw „Centrolewu”. Dlaczego zamknięto ich do więzienia w Brześciu? czy i oni byli symbolem? i czego symbolem? Prawda historii jest taka, że listę więźniów brzeskich zdecydował marsz. Piłsudski i że w swym wywiadzie prasowym z dnia 14 września 1930 r. nie

wspomniał ani słowem, że stoją oni pod zarzutem organizowania zamachu stanu czy też spisku i nawet nie umiał powiedzieć, „za co właściwie taki czy inny pan jest ścigany przez sprawiedliwość”. Prawdę o Brześciu ujawniła rządowa „Gazeta Polska” z dnia 23 grudnia 1930 r., pisząc: „Dotkliwą ceną Brześcia... wypadało okupić większość w Sejmie”. Brześć miał za cel sterroryzowanie kraju w okresie wyborczym, a ponadto zemścić polityczną. Oba te cele były obce wymiarowi sprawiedliwości. Proces brzeski miał zalegalizować bezprawie Brześcia i dlatego lista oskarżonych mogła, a nawet musiała, być węższa od listy więźniów brzeskich, lecz nie mogła poza nią wykroczyć. Niedziałkowski czy Pużak więźniami brzeskimi nie byli, więc nie mogli znaleźć się na ławie oskarżonych w procesie „Centrolewu”, mimo, że należeli do najbardziej żełowych ludzi ruchu.

Co do granic czasu, w którym rozwijaliśmy naszą rzekomo przestępną działalność, zauważę, co następuje. Sąd Apelacyjny w Warszawie przyjął, że punktem zwrotnym w antyrządowej działalności „Centrolewu” była odezwa sześciu stronnictw z dnia 29 maja 1930 r., wzywająca do udziału w krakowskim kongresie „Centrolewu”. To była zatem jedna rama czasu. Drugą była oczywiście data aresztowania nas, tj. noc z 9 na 10 września 1930 r. Oskarżenie miało obowiązek udowodnić, że w tym właśnie okresie istniał i działał pozaparlamentarny spisek „Centrolewu”. P. Grabowski stosuje sztukę oratorską i zapytuje, czy prasa opozycyjna, ulotki i bardzo gwałtowne przemówienia poszczególnych oskarżonych nie były „przygotowaniem do rewolucji, czy też spiskiem rewolucyjnym”. Nie, nie były, albowiem gwałtowność przemówień i wystąpień prasowych niczego nie dowodzi, jeśli chodzi o spisek. Najgwałtowniejsze przemówienia wygłaszał Adolf Sawicki, poseł ze Stronnictwa Chłopskiego — i on właśnie został w procesie brzeskim całkowicie uwolniony od winy i kary. Istnienie spisku, a więc porozumienia się osób, które powzięły zamiar obalenia sprawującego władzę rządu, należało udowodnić, wykazując poczynienie przez oskarżonych czynności i przygotowań do wykonania zamachu, a więc czynnik przemocy bezpośredniej, czynnik starcia fizycznego. P. Grabowski to rozumie i dlatego taki nacisk kładzie na dwa dowody rzeczowe: rzekomo przygotowywany zamach na marsz. Piłsudskiego oraz zajścia w czasie pochodu w Warszawie w dniu 14 września 1930 r. Zdaniem p. Grabowskiego, główną słabością (*sic*) obrony było to, że oskarżeni nie chcieli przyznać się do tych dwóch spraw. Jakże jednak mieliśmy się do nich przyznawać, skoro obie te sprawy miały miejsce w czasie naszego pobytu w twierdzy brzeskiej, o obu tych sprawach dowiedzieliśmy się dopiero po wyjściu z więzienia, nikt nas o obie te sprawy w śledztwie nie zapytywał i dopiero z aktu oskarżenia dowiedzieliśmy się, że mamy za nie odpowiadać? P. Grabowski przyznaje, że oskarżeni w procesie brzeskim nie brali bezpośredniego udziału ani w przygotowaniach do zamachu na marsz. Piłsudskiego, ani w zajściach 14 września, mimo to utrzymuje, że jedno i drugie dłuższą swą akcją spowodowali. Czyli że wprawdzie udział oskarżonych nie był bezpośredni, jednakże obie akcje były bezpośrednie, *ergo* oskarżeni je spowodowali. Tak rozumując, można udowodnić absolutnie wszystko, co się zechce — każde *post hoc* staje się *propter hoc*.

Główny atut p. Grabowskiego to twierdzenie, iż oskarżeni — nie przyznając się do sprawy zamachu na marsz. Piłsudskiego i do sprawy zajść 14 września — przyznawali się jednak do tego, że uważali wybory za bez-

nadziejne dla siebie. Beznadziejne, albowiem były „rzekomo fałszowane”. Tym samym — twierdzi p. Grabowski — w umysłach oskarżonych „musiał istnieć jeden cel, choć nawet alternatywny (?) — doprowadzenie tłumy do zastosowania przemocy, z braku innego wyjścia”. Cały ten sylogizm jest błędny, gdyż jedna z jego premis jest fałszywa. Ani w śledztwie, ani w oświadczeniach złożonych na rozprawie sądowej żaden z więźniów brzeskich i żaden ze świadków obrony nie powiedział, że uważał wybory za beznadziejne. Było wręcz odwrotnie. Do nocy z 9 na 10 września 1930 r. przywódcy „Centrolewu” byli pewni swego zwycięstwa wyborczego. Istniało więc w ich umysłach inne wyjście.

Na pytanie, które — jak pisze — narzucało się p. Grabowskiemu: „jaki był cel oskarżonych”, nie trudno odpowiedzieć. W umysłach naszych rysował się jeden cel naczelny, którym było ocalenie i utwierdzenie demokracji w Polsce. Na cel ten składało się kilka elementów. Jednym z nich była gotowość do odparcia zamachu stanu w Polsce. Wezwań do zamachu i jego zapowiedzi było ze strony obozu rządowego bardzo wiele, więc należało się z nimi liczyć, tym bardziej, że pochodziły z niebylejakich ust. Poprzestaną na dwóch cytatach. W dniu 1 lipca 1928 r. marsz. Piłsudski rzucił groźbę, że może „stanąć do dyspozycji Pana Prezydenta, aby okrojować nowe prawa w Polsce”. W dniu 21 czerwca 1929 r. pułkownik Walery Sławek, człowiek najbliższy marsz. Piłsudskiemu, zapowiedział, że konstytucja będzie zmieniona, albowiem „autorytet marsz. Piłsudskiego pozwoliłby nawet na eksperymenty przewrotowe”. Stąd owe trzy bardzo stanowcze dyrektywy, zawarte w uchwale krakowskiego kongresu „Centrolewu” z dnia 29 czerwca 1930 r.; cytuję je dosłownie: 1) na każdą próbę zamachu odpowiemy najbardziej bezwzględny oporem, 2) wobec rządu zamachu społeczeństwo będzie wolne od jakichkolwiek obowiązków, a zobowiązania wobec zagranicy nielegalnego rządu nie będą uznane przez Rzeczpospolitą, 3) na każdą próbę terroru odpowiemy siłą fizyczną. Te trzy dyrektywy były nienaganne jeśli chodzi o konstytucyjny sposób działania i nawet Sąd Okręgowy w Warszawie uznał je w swej motywacji wyroku za obojętne z punktu widzenia kodeksu karnego, tj. niekaralne. Przechodzę do elementów pozytywnych. Postulat wyborów bynajmniej nie był jedyną i wyłączną formułą strategii „Centrolewu”. Jego pierwszą chronologicznie formułą było powołanie rządu, cieszącego się zaufaniem Sejmu i kraju, przy czym stronnictwa „Centrolewu” gotowe były rząd taki sformować. Formuła wyborów przyszła później, gdy zatarg między rządem a Sejmem wszedł w stadium chroniczne i odwołanie się do kraju narzucało się jako droga normalizacji stosunków w państwie. Nie była to jednak formuła ostatnia, gdyż jeszcze później pojawiła się formuła trzecia, a mianowicie postulat ustąpienia Ignacego Mościckiego ze stanowiska Prezydenta Rzeczypospolitej i wybrania nowego Prezydenta. Pojawiła się ona dopiero wtedy, gdy prezydent Mościcki (po uchwaleniu przez Sejm votum nieufności dla min. Prystora, dymisji rządu Bartla i powołaniu rządu Walego Sławka) odroczył o 30 dni nadzwyczajną sesję sejmową, zwołaną na żądanie klubów sejmowych „Centrolewu” na 23 maja, a potem 20 czerwca zamknął ją, chociaż nawet nie została jeszcze otwarta. Stąd, zawarta w uchwale krakowskiego kongresu „Centrolewu” ocena, iż prezydent Mościcki „ani żądań przedstawicielstwa narodowego nie wykonał, ani nie odwołał się do decyzji kraju w drodze nowych uczciwych wyborów”, natomiast „nie-

pomny przysięgi, stanął otwarcie po stronie dyktatury, rządzącej Polską wbrew woli kraju”. Sąd Okręgowy w swym uzasadnieniu wyroku skazującego orzekł, iż „gremium prawem nieprzewidziane” uchwaliło w stosunku do Prezydenta ustalenia, do których upoważniony był jedynie Trybunał Stanu, wobec czego należy uznać, że „osąd ten był wydany w trybie rewolucyjnym, był rewolucyjnym co do swej treści i mógł mieć jedyną sankcję — przymus rewolucyjny”. Nic jednak nie potwierdza takiego rozumowania. Prezydent Rzeczypospolitej w wykonywaniu swych funkcji konstytucyjnych nie jest wolny od krytyki i nie jest prawdą, że do krytyki takiej powołany (wedle konstytucji marcowej) był jedynie Trybunał Stanu. Kongres krakowski nie zamienił się samowolnie w Trybunał Stanu, a tylko ocenił — w sposób surowy, ale myślę, że sprawiedliwy i zasłużony — postępowanie prezydenta Mościckiego. Proszę zresztą zauważyć, że uchwała krakowska mówiła jedynie o dyktaturze faktycznej, nie kwestionowała prawowitości urzędu Prezydenta ani prezesa Rady Ministrów, nazywała Ignacego Mościckiego wciąż Prezydentem, a rząd Walerego Sławka — rządem. Nie formułowała nawet oskarżenia o złamanie przysięgi prezydenckiej. Uchwałę powyższą można było rozumieć dwojako. Można było w niej widzieć zapowiedź zgłoszenia w Sejmie wniosku o postawienie prezydenta Mościckiego przed Trybunał Stanu — istotnie, w procesie brzeskim dwóch świadków, a mianowicie Niedziałkowski i Róg zeznało, że myśl taką w sferach „Centrolewu” parlamentarnego rozważano. Można też było rozumieć uchwałę krakowską jako apel do p. Mościckiego o ustąpienie ze stanowiska Prezydenta. Oba rozumienia mieściły się najzupełniej w granicach prawa. Za naszych czasów zdarzyło się kilkakrotnie, że czynniki polityczne („gremium prawem nieprzewidziane”) dla przyczyn natury politycznej zażądały ustąpienia głowy państwa, więcej, postulat ten przeprowadziły; tak było z prez. Millerandem we Francji, tak było z królem Leopoldem III w Belgii. Prawda, że był to postulat niezwykły, lecz tę niezwykłość sytuacji stworzył sam prez. Mościcki.

Powróćmy teraz do sprawy „rzekomych” nadużyć wyborczych, na które — jak pisze p. Grabowski — mieli jakoby powoływać się oskarżeni i świadkowie obrony w procesie brzeskim. Nie były to bynajmniej nadużycia rzekome. W wyborach r. 1928 zaszły wielorakie nadużycia. Po pierwsze, wbrew wyraźnym przepisom prawa, p. Car został mianowany generalnym komisarzem wyborczym. Po drugie, wydano ze skarbu państwa 8 milionów zł. na agitację wyborczą BBWR. Po trzecie, w niektórych okręgach okręgowe komisje wyborcze unieważniły listy kandydatów. Po czwarte, w niektórych okręgach komisje wyborcze unieważniły oddane kartki wyborcze w dużych ilościach. Nadużycia te nie potrafiły jednak wpłynąć na wynik wyborów na tyle by dać BBWR-owi większość w nowym Sejmie. Trzeba też pamiętać, że stronnictwa opozycji nie próżnowały po wyborach roku 1928. 1) Zgłosiły one wniosek w sprawie nadużyć wyborczych i doprowadziły do uchwały sejmowej komisji administracyjnej w tej sprawie. 2) Pociągnęły min. Czechowicza do odpowiedzialności przed Trybunałem Stanu za przekroczenia budżetowe. 3) Wniosły do Sądu Najwyższego skargi o nadużycia wyborcze, w konsekwencji których Sąd Najwyższy unieważnił wybory w siedmiu okręgach. 4) Uchwaliły ustawę o odpowiedzialności urzędników za nadużycia wyborcze (lex Lieberman). Najważniejsze, że stworzyły w całym kraju taką atmosferę czujności obywatelskiej w stosunku do aparatu rządowego, iż ponowie-

nie nadużyć wydawało się niemożliwe, a co dopiero przeprowadzenie ich na taką skalę, by dać mogły BBWR-owi większość w nowym Sejmie — i to większość kwalifikowaną 2/3, wymaganą do dokonania zmiany konstytucji. Stronnictwa „Centrolewu” nie miały tedy powodu do obawiania się nowych wyborów, odwrotnie, pragnęły ich. Komisja porozumiewawcza „Centrolewu”, która obradowała w dniu 21 sierpnia 1930 r., ustaliła, że gdyby prez. Mościcki rozwiązał Sejm bez rozpisania nowych wyborów — „Centrolew” ogłosi ogólnokrajowy strajk powszechny, natomiast jeśli zostaną rozpisane nowe wybory — „Centrolew” weźmie w nich udział, tworząc wspólny blok wyborczy. Nazwa bloku nie była jeszcze ustalona i mylił się warszawski Sąd Okręgowy, wymieniając w wyroku „Związek Obrony Prawa i Wolności Ludu” jako nazwę „Centrolewu” pozaparlamentarnego, za którego „spiskową” działalność zostaliśmy skazani; nazwa ta pojawiła się po raz pierwszy 9 września 1930 r., na kilka godzin przed naszym aresztowaniem.

Wyżej przytoczona uchwała była najzupełniej zgodna zarówno z logiką jak i prawem. Trzeba tu zaznaczyć, że żadna z przytoczonych przeze mnie uprzednio formuł politycznych „Centrolewu” nie unieważniała sobą formuły poprzedniej i nie nosiła charakteru ultimatywnego. Tym samym hipoteza (mało zresztą prawdopodobna) powołania przez prez. Mościckiego rządu, mogącego liczyć na zaufanie większości Sejmu, uchylała zarówno postulat rozpisania wyborów jak i *consilium abeundi* dla prez. Mościckiego, zaś hipoteza rozpisania wyborów uchylała tak *consilium abeundi* jak i postulat zmiany rządu. Gdy więc w dniu 29 sierpnia 1930 r. prez. Mościcki rozwiązał Sejm i Senat i wyznaczył nowe wybory do Sejmu na 16 listopada, a do Senatu na 23 listopada — „Centrolew” od razu dostosował się do zmienionej sytuacji. Centralny Komitet Wykonawczy PPS w okólniku z dnia 9 września instruiował, iż głównym hasłem manifestacji wyznaczonych w 22 miastach na 14 września „jest hasło czystych wyborów”. Ignacy Daszyński w liście do prez. Mościckiego z daty 24 września pisał: „Z radością... powitałem wiadomość o rozwiązaniu Sejmu i wyznaczeniu przez Pana Prezydenta wyborów na 16 listopada. Ludność państwa naszego, nękana od kilku lat tą bezprzykładną i bezmyślną walką, również z ulgą przyjęła decyzję Pana Prezydenta. Spodziewała się, że za pomocą swobodnego wyrażenia swej woli położy kres postępującemu rozkładowi państwa. Toteż w kraju nastąpiło chwilowe uspokojenie umysłów, a w serca obywateli wstąpiła nadzieja, że znalazło się wreszcie wyjście rozumne, *wyjście pokojowe*”. Nadzieja ta miała okazać się zawodna, przysła ona w nocy aresztowań brzeskich. W tym świetle jednak maksimum zarzutów, które można by przywódcom „Centrolewu” postawić, da się sprowadzić do zarzutu, iż przewidując, że marsz. Piłsudski nie ustąpi przed większością sejmową „Centrolewu”, mimo to wierzyli w celowość walki wyborczej, a przede wszystkim wierzyli w możliwość osiągnięcia — powiedziałbym — wywalczenia czystości aktu wyborczego. Byłby to zarzut przecenienia sił własnych, tj. sił mas robotniczych i chłopskich, a niedocenyenia zdolności aparatu rządowego do popełniania fałszów i nadużyć wyborczych. W żadnym jednak razie nie można dopatrzeć się braku logiki w streszczonym powyżej stawianiu sprawy przez „Centrolew”, a przede wszystkim przez PPS. Właśnie logika wymagała, by partia, która od komunistów różniła się w pierwszym rządzie swą wiarą w możliwość dokonania przemiany społecznej na drodze demokracji parlamentarnej, wytrwała na tej drodze

w najtrudniejszych sytuacjach. Nawet jednak brak logiki w myśleniu i postępowaniu nie jest sam przez się karalny i p. Grabowski, zamiast go wykazywać oskarżonemu w procesie brzeskim, winien był wykazać im bezpośredni udział w aktach bezpośredniego gwałtu, czego jednak nie potrafił i nie potrafi. Sądzę, że potwierdzenie trafności drogi, obranej przez „Centrolew” w ogólności, przez PPS w szczególności, przyniósł fakt, iż mimo maksymalnego (jak na ówczesne stosunki) napięcia terroru i fałszerstw wyborczych — BBWR nie potrafił zdobyć większości głosów, a chociaż w konsekwencji ordynacji wyborczej posiadał 26 mandatów poselskich ponad większość, to jednak wciąż brak mu było 46 mandatów do większości kwalifikowanej, nieodzwonej do zmiany konstytucji — tylko nowe nadużycie pozwoliło mu po trzech latach uchwalić tezy konstytucyjne p. Cara jako ustawę. Nie było więc braku logiki w wyżej przedstawionym stanowisku „Centrolewu” i w jego stawce na wybory sejmowe. Taktyka „Centrolewu” nie zdołała co prawda obalić dyktatury, jednakże opóźniła narzucenie krajowi ustroju autorytatywnego o lat pięć. Tak się też złożyło, że wejście nowej konstytucji w życie zbiegło się ze zgonem marsz. Piłsudskiego i ogromnym osłabieniem wewnętrznym systemu rządzenia, dzięki czemu już na jesieni 1935 r. opozycja mogła mu zadać potężny cios, ogłaszając i przeprowadzając bojkot wyborów sejmowych.

Jeszcze kilka słów o fałszywej premisie p. Grabowskiego. P. Grabowski usiłuje nas przekonać, że granicą, po przekroczeniu której powrót do rządów prawa był niemożliwy — był przewrót majowy i że przywódcy „Centrolewu” powinni byli o tym wiedzieć. Było jednak inaczej. Jakaś szansa powrotu na drogę prawa istniała, a przynajmniej wydawało się, że istnieje. W artykule, który wkrótce po Brześciu i po wyborach brzeskich opublikowałem w krakowskim „Kwartalniku Socjalistycznym”, napisałem na usprawiedliwienie „Centrolewu”, że PPS była obowiązana podjąć próbę powrotu do demokracji przez urny wyborcze, „choćby istniało tylko 10% szans takiego powrotu”. Napisałem także, że blok wyborczy „Centrolewu” był mimo wszystko i konieczny i pożyteczny; konieczny jako maksymalny wysiłek, by zorganizować parlament i stworzyć w nim większość demokratyczną, pożyteczny jako lekcja pogładowa istoty systemu rządzenia, która rozwiła złudzenia. Dopiero noc brzeska ujawniła przed całym krajem prawdziwą treść pomajowego systemu rządzenia, już bez żadnych obsłonek, dopiero też wówczas marsz. Piłsudski na oczach całego kraju przeciął ostatecznie i bezpowrotnie wszelką możliwość ułożenia się *modus vivendi* pomiędzy nim a żywymi siłami demokracji polskiej. Gdyby pójść za p. Grabowskim torem jego rozumowania, należałoby przyjąć, że Brześć był nieuniknioną konsekwencją i logicznym następstwem przewrotu majowego. Wcale tak jednak nie było.

Marsz. Piłsudski zmarł w r. 1935, ale pozostawił po sobie w spadku politycznym konstytucję i ordynację wyborczą, która na jakiś czas (w życiu społeczeństw wyrazy „na zawsze” nie są znane) wykluczyła opozycję wszelkiej maści od udziału w życiu parlamentarnym, a tym samym pozbawiła ją możliwości prowadzenia walki o władzę środkami wyborów do ciał parlamentarnych. Musiała ona poszukać sobie innych środków. I dlatego nowy dowód, czy też — jak pisze p. Grabowski — „dalszy ciąg dowodu” w sprawie brzeskiej, którym mają być urywki z diariusza Wincentego Witosa z lat 1936-1939, niczego nie dowodzi, jeśli chodzi o okres objęty datami od

29 maja 1930 r. do 9 września 1930 r. Przytoczone przez p. Grabowskiego urywki dowodzą tylko jednego: że w okresie po Brześciu i po wyborach brzeskich były w Polsce osoby i ugrupowania, które zamierzały dokonać przewrotu. P. Grabowski dodaje od siebie: „Tak akurat jak w 1930 r.” Nie, nie tak jak w 1930 r. Odmienność sytuacji polegała na odmienności ustroju państwowego, w którym drogi do zmiany rządu i systemu rządzenia metodą wyborów parlamentarnych zostały dla opozycji zamknięte. Odmienność sytuacji polegała także na tym, że nie było już od dawna „Centrolewu”, który przestał istnieć zaraz po wyborach 1930 r., z drugiej zaś strony zmieniła się cała szachownica polityczna i powstały nowe formacje opozycyjne, dawniej nieznane, jak np. dwie odmiany ONR-u, z którymi socjalistów nie łączyło nic, absolutnie nic, ani cele polityczne, ani taktyka; zwalczaliśmy te formacje z całą bezwzględnością, nie oglądając się na to, że jedna z nich zabiegała o życzliwość Witosy i ludowców.

Prawdą jest, że w diariuszu Witosy występuje „ten sam co w okresie „Centrolewu” język, te same pobudki i cele”, co jednak nie powinno dziwić, gdyż pobudką i celem stronnictwa politycznego i przywódcy politycznego jest zawsze zdobycie władzy, język zaś jest pochodną tych pobudek i celów. Więc nie o język chodzi, nie o pobudki i cele, bo te są znane. Chodzi o środki, użyte w walce o władzę. Mogły one być w tym okresie tylko poza-parlamentarne, ale nie musiały być sprzeczne z kodeksem karnym. Czy były sprzeczne, czy miały być sprzeczne? Sądząc z notatek Witosy, należy (jeśli chodzi o jego stronnictwo) dać odpowiedź negatywną. P. Grabowski jest co prawda innego zdania i na dowód powołuje się na brzmienie notatek Witosy, lecz czyni to w sposób niedopuszczalny. I tak zapisek z dnia 27. 4. 1938 przytacza jako słowa Witosy, po zbadaniu u źródła okazuje się jednak, że są to słowa Liebermana. Zapisek z dnia 5. 8. 1938 również przytacza jako słowa Witosy, po zbadaniu u źródła przekonujemy się jednak, że są to słowa Pruszyńskiego. Diariusz Witosy dowodzi co najwyżej, że gen. Sikorski myślał o przewrocie i że ONR „Falanga” planowała przewrót. Nie ma ani słowa, które by wskazywało, że Witos solidaryzował się z tymi planami, albo że się w nie włączał. Odwrotnie, z zapisków wynika, że przyjaciele partyjni Witosy ostrzegali go przed wiązaniem się z powyższymi zamierzeniami. Na co więc liczyli? Nie trudno zaspokoić naszą ciekawość w tym względzie, gdyż w diariuszu znajdujemy wyraźną odpowiedź. I tak mówi Bobek, a Witos notuje pod datą 13 stycznia 1937 r., iż władza wypadnie rządzącym z rąk „automatycznie”. Prognoza ta nie sprawdziła się, historia w ogóle nie zna automatyzmu w rozwoju wydarzeń, mimo to błędne przewidywania nie są same przez się przestępstwem i żaden kodeks karny świata nie ustanawia kar za mylne prognozy polityczne. Pozostaje tylko — tak samo jak w sprawie brzeskiej — gwałtowność w sposobie wyrażania się, ale chyba nikogo razić ona nie powinna w diariuszu o charakterze z natury rzeczy intymnym i nie przeznaczonym do druku.

Automatyzmu w rozwoju wydarzeń rzeczywiście nie było, ale też nie było w nich застоju. Najłabszym ogniwem nowego ustroju okazała się sejmowa ordynacja wyborcza z r. 1935. Wprowadzone przez nią kolegia starsościńskie, których zadaniem było cenzurowanie kandydatów na posłów, stanowiły kamień obrazy dla stronnictw opozycyjnych, a przez większość społeczeństwa zostały uznane za zniewagę, co pociągnęło za sobą zbrojotowanie od razu

pierwszych wyborów pod rządem nowej konstytucji przez 53,5% uprawnionych do głosowania. Lecz kolegia owe bynajmniej nie były nakazem nowej konstytucji. Poręczała ona głosowanie powszechne, tajne, równe i bezpośrednie, zaś postępowanie wyborcze odsyłała do osobnej ustawy. Można więc było oddzielić zmianę ordynacji wyborczej od zmiany konstytucji. Postulat zmiany ordynacji wyborczej rozlał się po całym kraju szeroką falą — był prosty, jasny, dla każdego zrozumiały i po doświadczeniu wyborów z września 1935 r. przekonywał z miejsca swą słusznością. Była to potężna broń w ręku opozycji. Przeczytajmy np. uchwałę wielkiej manifestacji chłopskiej w Nowosielcach z końcem czerwca 1936 r.: „Chłopi żądają: a) konstytucji opartej na podstawach demokratycznych, b) zmiany ordynacji wyborczej do Sejmu i Senatu, c) rozwiązania obecnych izb ustawodawczych, dostatecznie skompromitowanych i ośmieszonych, rozwiązania ciał samorządowych i przeprowadzenia nowych, bezstronnych wyborów na zasadach demokratycznych”. Podobnie, nadzwyczajny kongres Stronnictwa Ludowego, odbyty w połowie stycznia 1937 r. w Warszawie, wysunął żądania „zmiany ordynacji wyborczej do Sejmu i Senatu oraz zmiany konstytucji; likwidacji biurokratycznego, dyktatorsko-sanacyjnego systemu rządzenia państwem”. Podobnie, zgromadzenia Stronnictwa Ludowego, odbyte w połowie sierpnia 1937 r. w całej Polsce, zażądały „zmiany konstytucji i ordynacji wyborczej do ciał parlamentarnych i samorządowych, ... ustroju demokratycznego dla Polski i nowych uczciwych wyborów do instytucji życia państwowego i samorządowego”. Jeśli chodzi o PPS, kongres w Radomiu z początkiem lutego 1937 r. uchwalił, że PPS „walcząc bez przerwy o likwidację sanacyjnego systemu rządzenia, o oparcie ustroju państwowego Polski na konstytucji demokratycznej... domaga się niezwłocznego rozwiązania Sejmu i Senatu oraz rozpisania czystych i naprawdę demokratycznych wyborów”. P. Grabowski twierdzi, że po r. 1926, aż do r. 1939 PPS nic innego nie robiła, jak tylko przygotowania do rewolucji, „gdyż rzekomo ani opozycja ani kartka wyborcza sprawy nie załatwiała”. Nie „rzekomo”, ale naprawdę — w każdym razie od czasu Brześcia i wyborów brzeskich — ani opozycja, ani kartka wyborcza niczego nie załatwiała, lecz wcale stąd nie wynika, że PPS nic innego nie robiła, jak tylko knuła zamachy i spiski w rozumieniu artykułów 101 i 102 k.k. PPS stała na czele wielkiego ruchu mas robotniczych, nadawała temu ruchowi myśl przewodnią i kierowała nim organizacyjnie, prowadziła go do wywalczenia praw, należnych nowoczesnemu narodowi. Spisek nie był jej do tego potrzebny. Stawiając jako najbliższy cel do wywalczenia — zmianę ordynacji wyborczej, PPS nie ukrywała, że po wyborach, przeprowadzonych na zasadach demokratycznych, przyjść będzie musiała zmiana konstytucji. Nie ukrywała także, że jej formułą polityczną, do której ma prowadzić zmiana ordynacji wyborczej, jest rząd robotniczo-chłopski, wspólny rząd PPS i Stronnictwa Ludowego, pojęty jako rząd wielkiej przebudowy społecznej. Taktykę naszą krytykowano z wielu stron jako zbyt powolną i ostrożną, szczególnie surowi w swej krytyce byli różni „kibice” polityczni, dla których z reguły żadna stawka nie jest za wysoka. Była to jednak krytyka nieuzasadniona. Jak każdy wielki ruch polityczny, poruszaliśmy się w ramach pewnych możliwości, które częściowo sami stwarzaliśmy, częściowo zaś były niezmiennie, nieprzekraczalne. Ustalaliśmy takie cele polityczne i taką taktykę, jaka wydawała nam się zgodną z interesami proletariatu polskie-

go, demokracji polskiej i państwa polskiego. Innych możliwości nie widzieliśmy, gdyż skapitulować przed dyktatorskim systemem rządzenia nie zamierzaliśmy, zaś komunistyczne hasło „powstania zbrojnego” uważaliśmy za papierowe, bezwartościowe, bo pozostające poza subiektywnymi i obiektywnymi możliwościami polskiej klasy robotniczej. Czynnikiem, który może najbardziej ograniczać naszą swobodę działania, było rosnące zagrożenie Polski od strony Trzeciej Rzeszy. Któż nas dziś potępi za to, że braliśmy ten czynnik poważnie w rachubę? Zważywszy więc wszystko, chyba nie najgorzej i chyba dość logicznie ustaliliśmy naszą taktykę, jeśli dała nam ona tak doskonałe wyniki w wyborach do ciał samorządowych z końcem 1938 i początkiem 1939 r. Wykazały one, że w miastach i ośrodkach przemysłowych największą siłą polityczną jest PPS, na wsi — Stronnictwo Ludowe. Dalszy rozwój wydarzeń przerwał wybuch wojny — jałowe byłyby rozważania na temat, jak potoczyłyby się wypadki gdyby nie wojna, powiem więc tylko tyle, że w PPS ocenialiśmy najbliższą przyszłość optymistycznie: w kraju narastała wielka fala lewicy demokratycznej, „ozonowy” system rządzenia był słaby i bezradny. W każdym bądź razie sędzę, że historia dodatnio oceni naszą działalność polityczną w tych trudnych latach od wyborów sejmowych 1928 r. do wybuchu wojny w 1939 r., ona to bowiem ocaliła szanse demokracji w Polsce na przyszłość bliższą i dalszą.

Wypada wspomnieć jeszcze o zarzucie p. Grabowskiego pod adresem prof. Pragiera, iż swymi wspomnieniami zniesławił „sądownictwo polskie i Polskę”. Wyświechtany i niegodny zarzut zniesławienia Polski jest najlepszym świadectwem słabości sprawy, której p. Grabowski broni; z tym zarzutem polemizować nie będę. Co do sądownictwa, to niestety dwunastu sędziów Rzeczypospolitej Polskiej istotnie wyniosło fałszywe wyroki — i to oni rzucili płamę na sądownictwo polskie, a nie ci, co o tym pisali i piszą. P. Grabowski wciąż widzi sprawę brzeską w błędnej perspektywie, ogląda ją zza stołu prokuratorskiego, tak jak ją widział w czasie przewodu sądowego. Otrzymał od ówczesnego ministra sprawiedliwości słowo honoru, że w więzieniu brzeskim poza ostrym rygorem nie działo się nic i że tylko w drodze do Brześcia jakiś komisarz policji uderzył Liebermana. Od tego czasu p. Grabowski nie zainteresował się sprawą więzienia w Brześciu, chociaż miał i obowiązek i możliwość zapoznania się z nią, chociażby z interpelacji sejmowej i z meldunków oskarżonych w trakcie rozprawy brzeskiej. Niechże więc dalej tkwi sobie w swej błogiej nieświadomości, ale niech w takim razie nie protestuje przeciwko rzekomej jednostronności w relacjach jednego z więźniów brzeskich. Prokurator sprawy brzeskiej, który oświadcza dzisiaj: „co się działo w Brześciu — mówiąc najuczciwiej — nie wiem”, niech nie żali się na Pragiera, że potwierdzając fakty katowania i znieważania więźniów brzeskich rzekomo zniesławia bezbronnych sędziów sprawy brzeskiej. Bezbronni byli więźniowie brzescy, ich sędziowie bezbronni nie byli. Co do więźniów brzeskich, to nie są oni dzisiaj ani oskarżonymi, ani oskarżycielami, ani sędziami, są natomiast świadkami przed sądem historii. Jeśli mamy dać świadectwo prawdzie, to zeznanie nasze w roli świadków sprawy brzeskiej nie może brzmieć inaczej, jak tylko tak, jak je w swym pamiętniku złożył Pragier: żadnego spisku nie było.

Adam CIOŁKOSZ

JESZCZE O SPRAWIE BRZESKIEJ

Nie zamierzam przypominać całej sprawy. Wystarczy fakt, że w obronie oskarżonych wystąpiło kilkadziesiąt osób: elita intelektualna Polski, czołowe postacie różnych kierunków politycznych. Zeznania ich znane ogółowi były druzgoczącym potępieniem rządu tzw. sanacji, oskarżenia i niesprawiedliwego wyroku.

Obecne wystąpienie p. Grabowskiego wskazuje, że sam uważa ten wyrok za niedostatecznie uzasadniony, gdy teraz szuka dowodów winy oskarżonych w rzekomych faktach, które nastąpiły w 8 lat później, co jest dla prawnika chwytem niedopuszczalnym, z czego pan Grabowski sam sobie zdaje sprawę.

A faktów tych szuka w „Moich wspomnieniach” W. Witosa. W dziele, który nie jest pamiętnikiem, ale notatnikiem, pisaniem dla siebie w różnych sprawach włącznie z osobistymi i to skrótami nieraz wprost niezrozumiałymi dla czytelników, gdyż nie dla nich były przeznaczone. Wydawcy z pietyzmem do autora i to pomieścili.

A w ciągu tych lat napięcie między rządem a społeczeństwem doszło do stanu wrzenia. Wzmógł się bezprawie i szkodliwa polityka zagraniczna zmuszała zatroskanych o byt Polski do szukania wyjścia z tego katastrofalnego stanu. Naturalna droga parlamentarna już od lat została przez rząd zamknięta. Porozumienie stale odrzucał, pozostawała więc droga nacisku i siły. Witos notował takie wypowiedzi różnych ludzi i to bardzo niedokładnie, tak, że ja chociaż z nim najwięcej przebywałem, często nie rozumiem kto i co mówił.

P. Grabowski z takich wypowiedzi podaje urywki. Na zakończenie przytoczył taką rozmowę:

„24. 8. 1938 Witos pisze”:

„Pułkownik Grzędziński twierdzi, że w roku zeszłym Noc św. Bartłomieja naprawdę przygotowano... akuratnie aresztowano tych, co mieli zamachem kierować i Noc św. Bartłomieja w Warszawie urządzić”.

Wreszcie p. Grabowski znalazł dla siebie najwygodniejszy argument. Noc św. Bartłomieja, „noc długich noży”. W intencji p. Grabowskiego czytelnik ma zrozumieć, że te noże szykowała opozycja antysanacyjna na marsz. Śmigłego, prez. Mościckiego, pewno też i na p. Grabowskiego, jako filara Ozoneu.

A teraz przeczytajmy, co rzeczywiście pisał W. Witos i to wyjątkowo jasno:

„Dnia 24. 8. (1938)”

... „Pułkownik Grzędziński twierdzi, że w roku zeszłym Noc św. Bartłomieja naprawdę przygotowano. Rydz-Śmigły wracał z Rumunii, na dworcu w Śniatyniu wsiadł do niego Piasecki. Wydano rozkaz, by na każdej stacji były delegacje witające go i żądające od niego przejęcia władzy dyktatorskiej. W drogę wszedł przypadek. Falanga umieściła artykuł obelżywy dla Mościckiego. Cenzura go puściła. Zgorzszony tym przyszedł do Składkowskiego Głów(ny) Kom(endant) Policji, żądając pozwolenia na aresztowanie całej redakcji. To się stało, a akuratnie aresztowano tych co mieli zamachem kierować i noc św. Bartłomieja w Warszawie urządzić. Delegacje wszystkie zostały odwołane”.

Jest zupełnie coś odwrotnego. Na scenie pojawia się Bolesław Piasecki, ten sam obecny przyjaciel Bieruta i Gomułki, który wówczas był w Ozonie. Długie noże szykował nie tylko przeciw opozycji antysanacyjnej, której p. Grabowski chciał przypisać te zamiary, ale również i dla tej części sanacji, która była przeciw planom Falangi i ONR-u. Jak więc nazwać taki świadomy zabieg redakcyjny? Na to jest określenie w języku potocznym...

P. Grabowski pisząc o „procesie brzeskim” wywołał moje przykre wspo-

mnienia o innym procesie w 1947 r. w Warszawie. Tak samo zostałem skazany bez żadnych podstaw prawnych, tak samo z tego samego artykułu co w „brzeskim”. Z bólem słuchałem obrony mojego adwokata, który wzywał sąd komunistyczny, aby nie naśladował „procesu brzeskiego” i nie skazywał mnie z tego samego artykułu... Tylko ta była zmiana, że w „brzeskim” skazany zostałem na 2 lata, a w komunistycznym na 8. Również i w tym, że o ile sobie przypominam, sędzia Rykaczewski odczytywał wyrok względnie normalnym głosem, natomiast sędzia komunistyczny (nie pamiętam jego nazwiska) zemdlał przy tym, a po półgodzinnej przerwie dokończył odczytywanie wyroku drżącym głosem siedząc.

Tak, p. Grabowski mimo wysiłków oraz różnych chwytów i po 35-ciu latach nic nie uzyska — został skazany przez najwyższy trybunał, trybunał opinii publicznej.

Kazimierz BAGIŃSKI

NURT DZIEJÓW 2-go KORPUSU

Krytyk „Działań 2-go Korpusu”* wykazał wielką znajomość omawianych akcji bojowych, dał kilka bystrzych spostrzeżeń z mechaniki dowodzenia wielkimi jednostkami, lecz przejawiał sposób rozumowania historycznego, który wymaga odpowiedzi ze strony wydawców.

I. Już na wstępie p. Nowacki pisze: „Tytuł (książki) nie odpowiada treści i wprowadza w błąd. Sugeruje on ograniczenie tematu do opisu działań wojennych... Czytelnik jest zdezorientowany — czy czyta historię polityczną Polski z szerszym uwzględnieniem działań Korpusu, czy odwrotnie”. W związku z tym wyjaśniam: Wybrałem tytuł: „Działania” dla uwydatnienia wybitnej aktywności 2-go Korpusu, a nie biernego rozwiązywania zagadnień otrzymanych. Słowo „działania” stosuje się w języku polskim zarówno do czynności politycznych jak i wojskowych, co też określa dokładnie przedmowa, z którą recenzent powinien był się zapoznać. Ponadto proporcja stronie poświęconych działaniom wojskowym i politycznym wskazuje na stopień akcentowania tych spraw; wynosi ona: 445 stron: 89, co stanowi 16,6% objętości całego tekstu (bez przypisów) dla zagadnień politycznych.

II. Krytyk wydawnictwa o 2-gim Korpusie docenia wpływ czynników ogólnowojskowych na działania wojskowe, ale określa te koneksje często nieścisłe. Tak więc podpisanie przez Stalina umowy z Sikorskim (30. 7. 1941) nie nastąpiło „ze względu na zachodnich aliantów” (str. 211), ale pod kątem odmiennych dążeń obu partnerów: stronie sowieckiej przyświecała myśl porządkowania sobie rządu emigracyjnego, a strona polska chciała uzyskać nowe masy żołnierskie i ratować wygnanców w ZSSR. Dalej, „publiczne stwierdzenie przynależności ziem wschodnich do Rzeczypospolitej” (str. 211) słabo zaznaczało się w działalności politycznej lat 1941-42, wskutek odsunięcia (9. 12. 1941) zagadnienia granicy polsko-sowieckiej do dalszych rozwiązań dyplomatycznych przez obie strony i uznania jej czasowo za otwartą (30. 1. i 28. 2. 1942). Następnie, dowodem odwrócenia porządku historycz-

* Zob. Tadeusz Nowacki: „Marginesy historii 2-go Korpusu” w nrze 8 „Zeszytów Historycznych”; recenzja „Działań 2-go Korpusu we Włoszech”, wyd. Komisji Hist. oraz „Z dziejów 2-go Korpusu Polskiego” — K. Rosenzawadzkiego.

nego i rozmowania ex post facto są twierdzenia p. Nowackiego, że „... pozbawione były praktycznej wartości próby budowania polskich sił zbrojnych u boku Rosji, a zależnych od rządu w Londynie” oraz że „całe zagadnienie pozostawienia Armii Polskiej w Rosji ma... w świetle późniejszych wypadków znaczenie czysto teoretyczne”, albowiem „co stałoby się z tą armią podległą rządowi w Londynie z chwilą cofnięcia przez rząd ZSSR uznania temu rządowi” (str. 211 i 213).

Podany przeze mnie w „Działaniach” materiał źródłowy wykazuje ile było możliwości odniam losów wojska polskiego w ZSSR w ciągu wiosny 1942 i jak rozbieżne role odegrały w tym poszczególne jednostki i państwa (np. gen. Anders, amb. Kot, gen. Żukow). Wszystkie te zagadnienia lat 1941-1944 posiadają dziś już bogatą dokumentację z wyjątkiem przebiegu sowieckiej myśli państwowej, która raz po raz podszywała się pod inicjatywę brytyjską lub polską, wskazując np. na urojone możliwości ewakuacyjnej rodzin i dzieci żołnierzy polskich czy też ugody polsko-sowieckiej. Ponieważ p. Nowacki polemizuje również w swym artykule z wywodami płka Rosen-Zawadzkiego, więc chciałym zaznaczyć, że krytyk mój nie dostrzega jak często ten ostatni powołuje się na dowody polskiej działalności antysowieckiej rzekomo znajdujące się w takich wydawnictwach jak „Documents on Polish-Soviet Relations”, „Listy...” i „Rozmowy...” amb. Kota, których odnośne ustępy mówią coś wręcz odwrotnego. W historiografii krajowej nie istnieje zupełnie wierność i wszechstronność podawania źródeł.

Wreszcie argumentacja p. Nowackiego zwrócona przeciw książce płka Rosen-Zawadzkiego oddaje tylko część prawdy dokumentalnej, pomijając szersze źródła dziejowe, jak np. „zastrzeżenie co do użycia wojska polskiego w związkach nie mniejszych od korpusu” było tylko słowne, ale nie pisemne, dalej — cofnięcie przez Stalina (14. XI. 1941) ograniczenia racji żywnościowych do 30 tysięcy (str. 212) stanowiło dezawuację gen. Panfilowa, ale nie akceptowało planu rozbudowy wojsk polskich do 44 tysięcy, wreszcie nie istniała w jednej całości koncepcja Churchilla „rozdzielenia sił niemieckich przez uderzenie na Włochy, Bałkany i dolinę Dunaju” (str. 214). Ten brak dokładności i zrozumienia rozwoju historycznego nadaje uwagom p. Nowackiego charakter odruchów i impresji czysto przelotnych. Mimochodem trzeba jeszcze wspomnieć, że wystąpienie jego pod pseudonimem oślabia wartość spostrzeżeń i ogranicza znaczenie recenzji do przygodnej publicystyki.

III. Oddzielną dziedzinę rozważań p. Nowackiego stanowi ocena działań wojennych. W studium Komisji Historycznej sprawa powyższa jest ograniczona do sądów wypowiedzianych w czasie akcji bojowych lub do naświetlań zawartych w późniejszych raportach wyższych dowódców. Krytyk w „Zeszytach Historycznych” musiał zająć inne stanowisko, ponieważ zajął się równocześnie analizą książki płka Rosen-Zawadzkiego, która zawiera rozbiór krytyczny działań polskich dowódców. Ocenę taktyczno-operacyjną p. Nowackiego (obejmującą tylko bitwę o Monte Cassino) podzielał w znacznej części (w szczególności oszołomienie dowódców polskich przewagą materiałową własnych oddziałów, prowadzące do przytłumienia ducha sztuki wojennej oraz skłonność do improwizacji w dowodzeniu). Natomiast trudno mi obarczać dowództwo 2-go Korpusu odpowiedzialnością za wybór nocej pory do natarcia. Sprawa ta była dwukrotnie szeroko rozważana na odprawach w dowództwie Korpusu i rozstrzygnięta przez dowódcę frontu w kierunku nieprzychylnym dla opinii podwładnych. Również nie podzielał ostrej krytyki recenzenta pod adresem dowódcy grupy „Bob”, ponieważ ten walcząc małą grupą pancerno-pieszą pod Piedimonte w charakterze reprezentacji 2-go Korpusu, musiał działać zawadiacko, aby zapewnić osłonę skrzydłową wielkiego natarcia sprzymierzonych na Aquino. Oczywiście, konieczność takiego działania ograniczam do 21 maja, tj. do czasu zmiany rozkazu w sprawie działań

zaczepnych, o czym piszę dość dokładnie w studium. Wreszcie sędzę, że zmniejszona sprawność dowodzenia 5 dywizją wynikała nie tyle z osoby tego czy innego dowódcy, ile ze sposobu określania właściwym dowódcem rzeczywistości pola walki przez sztab 5 dywizji.

Wreszcie słowo o porównaniach strat bojowych poszczególnych korpusów. Opinia powtórzona przez p. Nowackiego o największych stratach 13 Korpusu jest niezmyślnie nieuzasadniona. Wedle moich obliczeń wynosiły one 8,55% stanu rzeczywistości obecnych, wedle drugich 8,9%. Tak samo proporcja sumy strat krwawych Korpusu Kanadyjskiego w ciągu kampanii włoskiej do analogicznej sumy Korpusu Polskiego wynosiła 15.637 : 11.379. Cyfra 26.254 obejmuje w Korpusie Kanadyjskim sumę strat krwawych wraz ze stanem chorych w szpitalach. Jest to jeden więcej dowód niedostatecznej znajomości źródeł i ich analizy historycznej.

IV. Nie mam pretensji do p. Nowackiego, że książka mu nie odpowiada pod względem takich czy innych poglądów, że nie zawiera pożądanych przez niego szczegółów, ale nie mogę zgodzić się z osądem, że „opisy nie mówią nic nowego, nie poszerzają dotychczasowych wiadomości” lub że dobór szkiców „nie pozwala rozumieć terenu”. Albowiem omawiane studium daje po raz pierwszy w historiografii 2-go Korpusu obraz powiązań działań wojskowych z politycznymi, łączy część operacyjną z taktyczną i kwatermistrzowską, zespala bronie główne z bronią wsparcia oraz splata położenie własnych jednostek z sytuacją nieprzyjaciela. Nadmienię przy tym, że prawie wszystkie wymienione elementy składowe zostały wykonane z inicjatywy i pod kierownictwem Komisji Historycznej 2-go Korpusu (zobacz przedmowę). O szkicach zaś mogę tylko powiedzieć, że pragnę, aby dalsze opracowania dziejów 2-go Korpusu posiadały równie dokładne i wszechstronne zobrazowanie walk (z wyjątkiem szkicu 13). W całości krytyk „Działań” opiera swoje sądy przeważnie na emocjach, choć sam wytyka ten błąd wielu autorom. Takie stanowisko wybitnie subiektywne przekreśla nie tylko racjonalność oceny tych lub owych wysiłków, ale również podrywa krytykę historyczną, która opiera się na rozumowym przetrzeźwieniu faktów, choć uwzględnia podkłady uczuciowe.

Stanisław BIEGAŃSKI



ADWOKAT MA BYĆ RZECZNIKIEM PRAWA I SŁUSZNOŚCI

W „Tygodniu Polskim” z 27 listopada 1965 r. Zbigniew Stypuńkowski ogłosił wspomnienie o zmarłym adwokacie dr. Stanisławie Szurleju. We wspomnieniu jest następujący ustęp:

„Po wypadkach majowych mec. Szurlej podjął się obrony gen. Michała Rola-Żymierskiego wobec zarzutów, jakie mu postawiono, nadużyć związanych z dostawami dla armii, które negocjował z ramienia Ministerstwa Spraw Wojskowych. Żymierski, b. legionista, zachował co najmniej dwuznaczną postawę w czasie zamachu majowego, czym zasłużył na niełaskę w obozie marszałka Piłsudskiego. Wywołało to wątpliwości co do obiektywizmu w zakresie oskarżeń, wobec których następnie stanął. Szurlej swym talentem obrończym przyczynił się do tego, że te wątpliwości w społeczeństwie pozostały i po skazującym wyroku. Umożliwiło to Żymierskiemu próby odegrania

poważniejszej roli w podziemiu w czasie drugiej wojny światowej. Nie zaszkodziło na pewno w karierze pierwszego marszałka Polski Ludowej, po którą sięgnął”.

Szurlej był jednym z najgłośniejszych i najzdolniejszych obrońców w sprawach karnych, które toczyły się w Polsce w latach 1918-1939, ale splatając wieniec z kwiatów jego pięknych, a czasem nawet znakomitych przemówień, raczej wskazane by było pominąć obronę w sprawie przeciwko Michałowi Żymierskiemu. Z tego bowiem klienta S. Szurlej, jako polski patriota, nie miał chyba później pociechy. Z. Stypułkowski, który, jako urodzony w roku 1904, miał w okresie sądenia Żymierskiego w latach 1927-1928 dwadzieścia trzy lat wieku, teraz oznajmia, że sprawa przeciwko Żymierskiemu wywołała wątpliwości co do obiektywizmu w zakresie oskarżeń oraz że Szurlej swym talentem przyczynił się, że te wątpliwości w społeczeństwie pozostały i po skazującym wyroku.

Inaczej mówiąc pan Stypułkowski czyni teraz z powodu skazania Żymierskiego polskim sądom zarzut stronniczości, stronniczości przynajmniej w tej sprawie, szczególnie ważnej, bo dotyczącej malwersacji, zarzuconej i przypisanej prawomocnym wyrokiem sądowym zastępcy szefa administracji armii, którym był wtedy generał brygady Michał Żymierski.

W sprawie przeciwko Żymierskiemu¹ śledztwo prowadzili major (obecnie generał brygady) dr Tadeusz Porębski, zamieszkały teraz w Londynie, i mjr. dr Konrad Zieliński. Akta śledztwa składały się z 18-tu tomów. Na rozprawie głównej wojskowego sądu okręgowego w Warszawie w roku 1927 skład sądzący stanowili sędzia Najwyższego Sądu Wojskowego gen. bryg. dr Bronisław Sikorski, generałowie brygady Mieczysław Mackiewicz, Józef Olszyna-Wilczyński i Stanisław Wróblewski oraz admirał Borowski. Wszyscy oni nie żyją.

Żymierskiego uznano winnym użycia swego stanowiska służbowego, jako zastępcy szefa administracji armii, w sprawie zamówienia masek gazowych w firmie „Protekta” z narażeniem Skarbu Państwa na utratę około 150.000 dolarów, co popełnił za otrzymane łapówki (szczegółowa sentencja wyroku jest wyłuszczone w powołanym artykule w „Kulturze”). Żymierskiego skazano na 5 lat ciężkiego więzienia i wydalenie z wojska.

Powyższy wyrok był jednomyślnie zatwierdzony przez Najwyższy Sąd Wojskowy w drugiej połowie 1928 r. Skład sądu stanowili prezes Najwyższego Sądu Wojskowego gen. bryg. dr J. Krzemieński i sędziowie N.S.W. pułkownik audytor J. Żołoteński oraz ja, wtedy pułkownik-audytor. Ja byłem sędzią sprawozdawcą. Wniosek o zatwierdzenie wyroku złożył prokurator N.S.W. pułkownik audytor J. Rzymowski. Z tego kompletu pozostałem dotąd przy życiu tylko ja.

Uważam za swój obowiązek wystąpić z gorącym protestem przeciwko panu Stypułkowskiemu za jego gołosłowny zarzut przeciwko polskim sądom wojskowym o stronniczość w rozstrzygnięciu sprawy.

Dodać należy, iż Żymierski z więzienia cywilnego, gdzie odbywał karę, wystosował podanie o darowanie mu w drodze łaski nieodbytej reszty kary, przy czym wyznał, iż zbłądził, i wyraził z tego powodu skruchę.

To wszystko, jak nadmieniałem, jest opisane w moim artykule w „Kulturze”, którego, chcę przypuszczać, p. Stypułkowski nie czytał.

Michał Łyżwiński, kolejno noszący nazwiska Zawisza, Żymierski, Żymierski, jako Lipiński-Rola w okresie podziemnej walki w czasie drugiej wojny światowej istotnie brał udział w tej walce, ale w oddziałach komunistycznych („Armia Ludowa”). Pan Stypułkowski twierdzi, iż umożliwiły mu to

1. Obszernie opisałem sprawę Michała Żymierskiego w paryskiej „Kulturze”, styczeń 1951 r.

owe wątpliwości w zakresie oskarżeń go i na pewno nie zaszkodziły mu w karierze „pierwszego marszałka Polski Ludowej” (cudzysłów mój).

Oczywiście, że wspomniana sprawa karna nie zaszkodziła Żymierskiemu w jego karierze u bolszewików, jak nie zaszkodziła szeregowi kanalii ludzkich. Ale my przyzwyczailiśmy się wymieniać dwóch marszałków — marszałka Francji księcia Józefa Poniatowskiego i pierwszego marszałka Polski Józefa Piłsudskiego. Wymienianie Żymierskiego i to bez cudzysłowa jako pierwszego marszałka Polski Ludowej ma wyraźny posmak profanacji naszych prawdziwych i wielkich bohaterów.

Stanisław LUBODZIECKI



LEGENDOMANIA P. T. KATELBACHA

„Akt pierwszy dramatu” pióra p. Tadeusza Katelbacha, napisany z dużym zacięciem i z werwą na podstawie „dokumentów” (dziennik czynności Prezydenta R.P.) i relacji osób biorących udział w owym „dramacie”, podanych w większości post-factum, bo po upływie lat dwudziestu pięciu, a który ukazał się w ostatnich „Zeszytach Historycznych” — ósmy Zeszyt — jest usiłowaniem odwrócenia ówczesnych wypadków, albo przeinaczenia ich treści.

Piszę to nie w celu osobistym, chociaż bym miał ku temu pełne prawo, jedno wszakże pragnąłbym sprostować i należycie wyjaśnić. Wspomnienia moje — zeszyt trzeci Z.H. — pisałem na podstawie *nie zmienionych* moich zapisek z lipca 1940 roku — podałem w nich, jak sprawy stały i jakie naświetlenia wypadków słyszałem od ich bezpośrednich uczestników.

Ubolewam bardzo, że nie ma już między nami żyjącymi gen. Tadeusza Klimeckiego i pułkownika Andrzeja Mareckiego, a również głównego, podstawowego świadka i *persona grata* w całej tej sprawie — generała Władysława Sikorskiego. Pisanie „Aktu pierwszego dramatu” wobec obecności tych osób nigdy by nie nastąpiło, a przynajmniej byłyby bliższe istotnej prawdy.

Falszowanie historii? Na str. 91 ósmego zeszytu p. Katelbach przytacza dowód „falszowania historii” przez J. Klimkowskiego. Ośmielał się twierdzić, że Klimkowski podał rzeczywistość, a nie... legendę.

Czyżby tylko p. Stanisław Mackiewicz w lipcu 1940 roku był za *modus vivendi* z Niemcami, wobec załamania się Francji? — O tym można by było dużo napisać. Wiadomości oddziału II sztabu N.W. — kontrwywiad — od czerwca 1940 roku donosiły nawet o nazwiskach i stanowiskach osób, wyrażających skłonność do poszukiwania jakiejś umowy z Niemcami, wobec, jak się im wydawało, beznadziejności położenia Polski.

Odnoszę duże wrażenie, że całość artykułu p. Katelbacha jest przeznaczona na użytek naszej emigracji — a może dla śladu w historii — w celu przedstawienia — *post factum* — w blasku rześatego światła wylączęnie jednego człowieka.

Istotną prawdą w tym „zamachu stanu” jest to, że Brytyjczycy stanęli twardo za gen. Sikorskim, mówiąc, że ich zupełnie nie obchodzą walki wewnętrzne między Polakami w Anglii, byle nie wkraczały one w ich politykę, że nie obchodzi ich nic, kto będzie naszym Prezydentem tu... *in exile*, natomiast bardzo ich obchodzi Sikorski, któremu ufają, jako głosiicielowi demo-

krajci, i który ma być kierownikiem całości polityki polskiej, dopóki jest on tu z nimi.

Treść tych słów należała do Churchilla.

Posłane one były przez posła brytyjskiego przy rządzie polskim *in exile* do Prezydenta R.P., W. Raczkiewicza w dniu krytycznym 18 lipca 1940 r. — Spowodowało to opisany przez p. Katelbacha stan umysłów pp. Raczkiewicza i Zaleskiego oraz oczywiście gen. Sosnkowskiego i nagłą zmianę przez nich frontu.

Że tak było w roku 1940 w stosunkach między Wielką Brytanią, raczej rządem JKM, a rządem polskim *in exile*, przekonaliśmy się sami namacalnie w... lipcu 1945 roku.

A więc na nic się nie zdały wszelkie mediacje, wszelkie „dekrety” nominacyjne i dymisyjne najwyższej instancji polskiej, nawet w gruncie rzeczy nie potrzebna była „delegacja wojskowa”, albo jak p. Katelbach nazywa ją „zajawa” — cała ta burza w szklance wody, lub kiwanie palcem w bucie — gdyż lew brytyjski, w którego mocy wtenczas byliśmy, niestety, warknął groźnie: „Sikorski pozostanie!”.

Były to rzeczywiste przyczyny zakończenia przesilenia w lipcu 1940 roku.



W końcu pragnę najmocniej podkreślić, że nigdy nie miałem najmniejszej wątpliwości, co do stanowiska generała K. Sosnkowskiego względem Niemiec hitlerowskich i że nigdy nie łączyłem jego osoby z akcją zmierzającą do *modus vivendi* z Niemcami.

Z rzetelną satysfakcją natomiast odczytałem następujące zdania w tym artykule p. Katelbacha: „Sosnkowski... uważał, że w zmiennych kolejach wojny sama myśl tworzenia kiedyś, w przyszłości, wojska polskiego w Rosji, może stać się aktualną” (str. 85). I jeszcze jedno: „Ponadto — mówił Sosnkowski — zadanie tworzenia wojska polskiego w Rosji byłoby w ogóle tak drażliwe w wykonaniu, tak najeżonego pułapkami natury moralnej i politycznej, że wybór wykonawcy owego zadania (tj. dowódcy wojska polskiego w Rosji — przypisek mój!), wykonawcy zasługującego na bezwzględne zaufanie, byłby niezwykle trudny, wymagający wszechstronnego i głębokiego rozważenia” (str. 85).

Mam pełne wrażenie, że te głębokie i wielkiego znaczenia uwagi otrzymał p. Katelbach stosunkowo nie dawno. Przysłowie nasze mówi: „Mądry Polak po szkodzie”.

Tego samego zdania, co obecnie pisze p. Katelbach o gen. Sosnkowskim, byliśmy i my: generał T. Klimecki i ja, gdy w końcu sierpnia 1941 roku generał Sikorski mianował dowódcę wojska polskiego w Rosji.

„Prorosyjskie koncepcje” generała Sikorskiego, jak wynika z treści artykułu p. Katelbacha, podzielał wtedy i generał Sosnkowski. Generał Sikorski — jako prawdziwy patriota polski — stał na stanowisku, że należy rozpocząć nowe stosunki z Rosją jednakże pod niezłomnym jednym warunkiem: suwerenność, niezależność — słowem niepodległość naszej Ojczyzny.

I nikt nie zdoła przekonać mnie, że stało się inaczej z jego, generała Sikorskiego, winy, z powodu jego polityki.

Leon MITKIEWICZ

1 października 1965.
Andes, N.Y.



Londyn, 1 grudnia 1965.

Szanowny Panie Redaktorze,

Artykuł „Łączność Radiowa Sztabu N.W. w przededniu Powstania Warszawskiego” umieszczony w szóstym „Zeszytach Historycznym” opierał się na dokumentach i zasadniczo, tylko wnioski, komentarze i interpretacje autora mogły budzić pewne zastrzeżenia. Celem więc mojej wypowiedzi w tej sprawie nie była polemika lecz raczej sprostowanie pewnych nieścisłości i uzupełnienie danych odnoszących się specjalnie do Kompanii Radiotelegraficznej Bat. Łączn. Szt. N.W.

Natomiast odpowiedź inż. Z. S. Siemaszki pt. „Łączność i Polityka” opublikowana w ósmym „Zeszytach Historycznym” porusza dodatkowo zagadnienia, które już nie opierają się na dokumentach i autorytatywnych źródłach.

Ponadto autor uniknąłby błędnych twierdzeń i niejasności, gdyby był dostatecznie obeznany tak z techniką pracy sztabów jak i z organizacją i pracą komórek łączności na korzyść dowódców. Twierdzenie, że bezpośrednio wydawanie rozkazów dowódcy kompanii radiotelegraficznej przez ppłk. Utnika ułatwiało mu wydawanie rozkazów graniczących z nadużyciem władzy, wydaje mi się oskarżeniem ciężkim ale bezpodstawnym. Nie chcę wszczynać dyskusji, czy polecenie przekazania tylko pierwszej części zaszyfrowanego telegramu Nr 406/1 kwalifikuje się jako przestępstwo nadużycia władzy, ale jak inż. Siemaszko wyobraża sobie możliwość uniknięcia tej ewentualności w wypadku wydania tego samego rozkazu drogą służbową, tzn. poprzez Dęć Bat. Łączn. Czyż mjr inż. T. Lisicki mógł i czy było jego zadaniem kontrolowanie ppłk. Utnika, Szefa Oddziału Specjalnego Szt. N.W., w pracę którego miał codzienny wgląd Szef Sztabu N.W.?

Następnie, wydaje mi się, że procedura ustalania pilności telegramu jest autorowi nieznaną. Otóż stopień pilności telegramu określa nadawca a nie komórki przekazujące ten telegram. Nadawca więc podaje stopień pilności — alarmowy, b. pilny, pilny — a gdy tego wskazania nie ma, telegram taki nadaje się w kolejności jego wpłynięcia po nadaniu wszystkich telegramów pilnych, które już wpłynęły lub napływają. Gdy nadawcą był gen. Sosnkowski, to oznaczoną przez niego pilność powinien dalej przekazać szyfrant, którym był ppłk Demel. A jak twierdzi inż. Siemaszko, ppłk Demel nie znał systemu określenia pilności telegramów, wobec tego mógł wysyłać zaszyfrowaną treść telegramów bez podawania ich pilności. Czy posiada autor jakikolwiek dowód zmiany pilności telegramów określonej przez gen. Sosnkowskiego? Jeżeli nie — to przypisywanie tej niecej procedury ppłk. Hańczy jest zupełnie bezpodstawne, tym bardziej że nie był on kierownikiem ośrodka radiowego Mewa, a więc telegramy do nadania nie napływały do jego rąk.

A teraz sprawa samych telegramów. Ponieważ autor nie może znaleźć w swoim oryginalnym opracowaniu zdania, w którym twierdził, że w Barnes Lodge były Wandy, to podaje tym razem dosłowne brzmienie ze str. 75:

„W celu pośredniczenia Barnes Lodge miała przydzielone następujące numery WAND: 8, 17, 35, 39 i 51”;

i ze str. 91:

„Jak widać telegram ten był skierowany z Wandy 20 przez Wandę 72... do WAND 09 i 17...”

I znowu, już teraz w odpowiedzi, na str. 189:

„Natomiast z całą pewnością niektóre numery WAND krajowych były przydzielone do niektórych radiostacji w Barnes Lodge”.

A przecież ani Wandy ani numery Wand do radiostacji w Barnes Lodge przydzielone nie były. Numer 17 był numerem radiostacji Warta, Nr 8 — Karol, Nr 27 — Jacek, Nr 35 — Olek, Nr 39 — Romek, Nr 51 — Kazik i Nr 67 — Odra. Gdy nie zacznie się mieszać nazw stacji z ich numerami,

to odczytywanie nagłówków telegramów nie przedstawia żadnych trudności, co widać z wielu przykładów, tym razem poprawnie podanych na str. 190 i 191.

Wydaje mi się również, że teoria autora jakoby Naczelny Wódz nie otrzymał treści drugiej części telegramu Nr 406/II jest niesłuszna, bo przecież w telegramie do Lawiny, zarejestrowanym w Oddz. Specjalnym pod Nr 6213, Naczelny Wódz powołuje się w swej odpowiedzi na ostatnie zdanie drugiej części telegramu Nr 406. Ponadto nigdzie nie twierdziłem, że telegram N.W. Nr 1283/VVV/999 był adresowany do Oddziału Specjalnego, lecz dosłownie „... w telegramie Nr 1283/VVV/999 do Londynu” — bo przecież telegram ten nadany był do Londynu a odszyfrowany i ewentualnie prze-szyfrowany w Oddziale Specjalnym.

I wreszcie ostatnia, ale najważniejsza sprawa, która to właściwie zmusiła mnie do tej odpowiedzi. Autor stwierdza na str. 200, że po nakazie władz brytyjskich likwidacji korespondencji ze wszystkimi radiostacjami Oddz. Specj., kontynuowanie łączności z krajem było nielegalne. Dalszy tok rozumowania nie wyjaśnia w stosunku do kogo autor kwalifikuje tę pracę jako nielegalną, a można wnioskować, że była ona nielegalna do naszych władz w Londynie. A przecież odbywała się ona na polecenie Sztabu Naczelnego Wodza, którego komórką jak najbardziej legalną był Oddział Specjalny. Powstaje wobec tego drażliwe pytanie, dlaczego gen. Anders zażądał zaprzestania korespondencji — jeśli naprawdę jeszcze ciągle istniała — od ppłk. Hańczy, który przecież w tej sprawie podlegał Naczelnemu Wodzowi poprzez Oddział Specjalny a nie poprzez dowódcę 2-go Korpusu i czy naprawdę kontynuowanie łączności z Krajem doprowadziło do aresztowania a potem śmierci ppłk. Hańczy? Przecież podobną pracę wykonywała komórka też podlegająca Oddziałowi Specjalnemu na terenie Niemiec, ale jakoś na żądanie władz brytyjskich, polski dowódca 1 Dyw. Panc. nie żądał zaprzestania korespondencji z krajem ani nikt z ekipy, która legalnie — rozkazem wojskowym — wyjechała z kompanii radiotelegraficznej do Niemiec, nie był aresztowany. Co do dowódcy tej ekipy, to myli się inż. Siemaszko, wymieniając por. inż. Doborzyńskiego, bo w rzeczywistości był nim kpt. łączności Kociołek.

Nie wiem co położyło kres korespondencji ekipy na terenie Niemiec, ale w Anglii na pewno nie było to następstwem wniosku, że gen. Tatar „sypie”, bo takich podejrzeń w tym czasie nie było, tym bardziej, że „kwatery” na Montpelier Avenue na Ealingu odwiedzali tak gen. Kopański jak i gen. Maczek oraz przechodziła tamtędy korespondencja w górę aż do Prezydenta Raczkiewicza.

Wydaje mi się, że w sprawach tak drażliwych, a o które tak bardzo rozszerzył autor swoją oryginalną pracę, wolno zabierać głos dopiero po zbadaniu materiałów źródłowych a nie na podstawie usłyszanych i niedokładnych luźnych uwag uzupełnionych własną wyobraźnią.

Łączę wyrazy szacunku,

S. POPKIEWICZ



Londyn, 2 stycznia 1966.

Szanowny Panie Redaktorze,

Dziękuję za umożliwienie mi odpowiedzi na list inż. S. Popkiewicza spowodowany moim artykułem „Łączność i Polityka” w Ósmym „Zeszytcie Historycznym”. Odpowiedź tę pragnę ująć w sposób następujący:

Ma się rozumieć, do obowiązków dcy Batalionu Łączności Sztabu N.W. i dcy Kompanii Radiotelegraficznej nie należało kontrolowanie Szefa Oddz. Specjalnego Sztabu N.W. Jednak, rozważając sprawę czysto teoretycznie, możliwość wydawania rozkazów „graniczących z nadużyciem władzy” jest tym łatwiejsza im mniejsza jest ilość osób znających te rozkazy. O ile chodzi o konkretny wypadek dalekopisowego rozkazu ppłk. Utnika w sprawie telegramu Nr 406/1 i 2, to uważam go za „graniczący z nadużyciem władzy” z powodu zatrzymania drugiej części tego telegramu, która zawierała wiadomość o zarządzeniu czujności do powstania przez dcę A.K. Jak już pisałem (Szósty „Zeszyt Historyczny”, str. 100), nie można ustalić, czy ppłk. Utnik działał w tym wypadku z własnej inicjatywy, czy też z rozkazu wyższego rzędu.

W dalszym ciągu podtrzymuję twierdzenie, iż na skutek decyzji Oddz. Specj. Sztabu N.W., Nacz. Wódz nie dostał drugiej części telegramu Nr 406. Twierdzenie to jest oparte na następujących faktach:

1. Nie ma śladów istnienia rozkazu Oddz. Spec. odwołującego dalekopisowy rozkaz ppłk. Utnika w sprawie zatrzymania drugiej części telegramu Nr 406.

2. Po otrzymaniu od gen. Kopańskiego wiadomości, że w kraju zarządzo- no czujność do powstania Nacz. Wódz stwierdził dwukrotnie, że telegramu Nr 406, który według gen. Kopańskiego miał zawierać tę wiadomość, nie dostał (Szósty „Zeszyt”, str. 102 i 103).

3. Zwrot w odpowiedzi Nacz. Wodza „w związku z ostatnim zdaniem depeszy” (Szósty „Zeszyt”, str. 101) może równie dobrze odnosić się do ostatniego zdania drugiej części, gdyby Nacz. Wódz ją dostał, jak i do ostatniego zdania pierwszej części, gdyby Nacz. Wódz drugiej części nie dostał.

4. Pobóg-Malinowski stwierdził na podstawie dokumentów, że gen. Tatar przedstawił Prezydentowi telegram Nr 406 bez końcowego ustępu mówiącego o zarządzeniu czujności do powstania (Szósty „Zeszyt”, str. 11), wobec tego zatrzymanie tej wiadomości przez Nacz. Wodzem staje się logiczne i konsekwentne.

Jeszcze kilka słów o nadawaniu stopnia ważności telegramom Nacz. Wodza z Włoch. Były tylko dwa miejsca gdzie te stopnie ważności mogły być nadawane. Albo pod Ankoną przez Nacz. Wodza lub przez płk. Demela w sposób niezakodowany — alarmowy, b. pilny, pilny — lub w sposób zakodowany — xxx, vvv, vv — (Nacz. Wódz mógł znać kodowane stopnie ważności, a płk. Demel mógł po 20 latach zapomnieć, że je znał). Albo w Bazie Nr 11 pod Brindisi przez ppłk. Hańczę, lub któregoś z jemu podległych oficerów z centrali radiowej Mewa.

Na 10 telegramów Nacz. Wodza, które szły przez Mewę, tylko jeden miał ważność najwyższego stopnia (xxx), natomiast 2 ważność drugiego stopnia (vvv) i aż 7 ważność trzeciego stopnia (vv) (Szósty „Zeszyt”, str. 87).

Jeżeli niesłusznie podejrzewam oficerów z Bazy Nr 11 z ppłk. Hańczą na czele o obniżanie stopnia ważności, w wypadku gdyby Nacz. Wódz (lub płk. Demel) nadawał zakodowane lub niezakodowane stopnie ważności, albo o nadawanie niskich stopni ważności, w wypadku gdyby Nacz. Wódz (lub płk. Demel) nie nadawał zakodowanych lub niezakodowanych stopni ważności, to jaki wniosek należałoby wyciągnąć? Sprawa prosta. Nacz. Wódz sam, lub płk. Demel z jego polecenia, telegramom w najważniejszych sprawach państwowej wagi skierowanym do Prezydenta, Dcy A.K. i Szefa Sztabu N.W. nadawał niskie (zakodowane lub niezakodowane) stopnie ważności. Czy taki wniosek jest do przyjęcia? Z mego punktu widzenia nie. Więc pozostaje tylko jedna możliwość, a mianowicie, że niskie stopnie ważności telegramom Nacz. Wodza nadawano w Bazie Nr 11.

Inż. Popkiewicz pisze, że „telegramy do nadania nie napływały do jego

(ppłk. Hańczy) rąk”, gdyż „nie był on kierownikiem ośrodka radiowego Mewa”. Są dowody na to, że telegramy do nadania i telegramy odebrane przechodziły przez ręce ppłk. Hańczy.

W maju 1944 r. Nacz. Wódz przysyłając swój telegram do gen. Okulickiego przez ppłk. Hańczy (pseudonim Sopia) pisał: „*Sopia (do rąk własnych) dla płk. Okulickiego*” (Ósmy „Zeszyt”, str. 196) i odwrotnie gen. Okulicki przysyłał swój telegram do Nacz. Wodza przez ppłk. Hańczy, który pisał: „*Przekazuję meldunek płk. Okulickiego do Nacz. Wodza*” (Ósmy „Zeszyt”, str. 197). W ostatniej dekadzie lipca 1944 r. gen. Kopański pisał do Nacz. Wodza: „*Depesza Lawiny L. 1406, którą Hańcza miał przedstawić panu Generałowi...*” (Szósty „Zeszyt”, str. 102). Również w ostatniej dekadzie lipca 1944 r. ppłk. Hańcza zaopatrzył jeden z telegramów Nacz. Wodza następującym wstępem skierowanym do ppłk. Utnika: „*Hańcza do Warty. Poniższą depeszę Naczelnym Wódz polecił przekazać Lawinie a odpis kpt. Babińskiemu. Hańcza 1129*”. (Szósty „Zeszyt”, str. 81).

O ile chodzi o numery i nazwy radiostacji, to istnieje jakieś nieporozumienie. Tymczasem sprawa nie jest zbyt skomplikowana. Z szeregu liczb pomiędzy 1 i 100 (pomińmy tzw. sieć lotniczą) kilkadziesiąt liczb zużyto jako numery radiostacji wojskowych w kraju. Z pozostałych liczb siedem przydzielono jako numery niektórych radiostacji pod Londynem (Ósmy „Zeszyt”, str. 189). Reszta liczb tworzyła rezerwę, z której przydzielano numery nowo powstałym radiostacjom.

Radiostacje krajowe były na Zachodzie znane jako Wandy. W kraju nazwa ta nie była powszechnie stosowana i dotychczas autorzy krajowi często używają jedynie numerów. Radiostacje pod Londynem, z biegiem czasu połączone w jedną centralę w Barnes Lodge, miały każda inną nazwę, ale Wandy wśród nich nie było.

Więc o cóż jest cały spór, o to, że może i niefortunnie cały szereg użytych liczb nazwałem „numerami Wand”?

W sprawie poruszania działalności Oddz. Spec. Sztabu N.W. po zakończeniu wojny nie podzielałam zdania inż. Popkiewicza, który uważa, że „w sprawach tak drażliwych wolno zabierać głos dopiero po zbadaniu materiałów źródłowych”. Wydaje mi się, że po 20 latach należy już te sprawy roztrząsać pod jednym warunkiem, że nie zaszkodzą one nikomu, kto obecnie przebywa w kraju. Ponieważ dokumenty z tego okresu nie są osiągalne nic dziwnego, że byłem zmuszony oprzeć się na „usłysanych i niedokładnych luźnych uwagach”, ale przecie podkreśliłem, że jest to jedynie opinia jaką sobie zrobiłem (Ósmy „Zeszyt”, str. 201), a nie stwierdzenie oparte na dokumentach.

Określając łączność radiową Oddz. Spec. w okresie powojennym jako nielegalną, miałem, ma się rozumieć, na myśli, że była ona zakonspirowana w stosunku do władz alianckich, a nie w stosunku do polskich władz w Londynie. Nie przypuszczałem, że mogą być pod tym względem jakieś wątpliwości.

Natomiast pytanie, do jakiego stopnia legalny, z punktu widzenia władz polskich w Londynie, Oddz. Spec. prowadził akcję nielegalną, w stosunku do tych władz, pozostaje nadal bez odpowiedzi.

Pozostaje z szacunkiem,

Z. S. SIEMASZKO

SPIS TREŚCI

<i>Kazimierz Okulicz:</i>	
OSTATNI AKT DRAMATU JÓZEFA PIŁSUDSKIEGO (1920-1922)	7
<i>Karol Popiel:</i>	
WYBÓR PREZYDENTA I. MOŚCICKIEGO	46

OSTATNIA WOJNA A POLSKA

<i>Stanisław Żochowski:</i>	
CZY POLSKA MOGŁA UNIKNĄĆ KLĘSKI?	52
<i>Tadeusz Nowacki:</i>	
MIĘKKIE PODBRZUSZE EUROPY I SPRAWA POLSKA	75
<i>Tadeusz Rudnicki:</i>	
KONFERENCJA TEHERAŃSKA	91
<i>Janusz Laskowski:</i>	
RADIOSTACJA „ŚWIT” (Cz. I.)	101

W OBCYCH OCZACH

<i>Georges Lory:</i>	
POLSKA NAZAJUTRZ PO 1-SZEJ WOJNIE	131
<i>Guido Soro:</i>	
UPADEK POLSKI	158
	239

WSPOMNIENIA O LUDZIACH

Stanisław Mackiewicz:

STULECIE URODZIN WŁADYSŁAWA STUDNICKIEGO 187

Witold Babiński:

KAZIMIERZ FUDAKOWSKI 196

Jan Galewicz:

WSPOMNIENIE O ABRAHAMIE GEPNERZE 200

KSIĄŻKI

Tadeusz Nowacki:

PAMIĘTNIKI GEN. KOPAŃSKIEGO 212

Piotr Wandycz:

DRUGA WOJNA ŚWIATOWA WIDZIANA Z ANKARY 216

POLEMIKI I LISTY

Adam Ciołkosz:

SPRAWA BRZESKA 218

Kazimierz Bagiński:

JESZCZE O SPRAWIE BRZESKIEJ 228

Stanisław Biegański:

NURT DZIEJÓW 2-GO KORPUSU 229

Stanisław Lubodziecki:

ADWOKAT MA BYĆ RZECZNIKIEM PRAWA I SŁUSZNOŚCI 231

Leon Mitkiewicz:

LEGENDOMANIA P. T. KATELBACHA 233

JESZCZE O ŁĄCZNOŚCI:

S. Popkiewicz: 235

Z. S. Siemaszko: 236

ACHEVE D'IMPRIMER LE 17 FEVRIER 1966 SUR LES PRESSES
DE L'IMPRIMERIE RICHARD, 24, RUE STEPHENSON, PARIS (18^e)

Dépôt légal: 1^{er} trimestre 1966.

Dr prof. B. Mięrowskiego

**KSIĄŻKI HISTORYCZNE
W „BIBLIOTECE KULTURY”**

- Józef Mackiewicz: **Kontra** (7 F)
- Tadeusz Katelbach: **Rok złych wróżb** (8 F)
- Stanisław Kot: **Jerzy Niemirycz** (7 F)
- Paweł Zaremba: **Historia Polaki, Tom I** (20 F)
- Józef Czapski: **Na nieludzkiej ziemi** (Wydanie drugie)
(15 F)
- Bernard Singer: **Od Witosa do Sławka** (18 F)
- Milovan Djilas: **Rozmowy ze Stalinem** (9 F)
- Jerzy Mond: **6 lat temu... (Kulisy polskiego
Października)** (10 F)
- Maria Czapska: **Polacy w ZSSR (1939-1942)
Antologia** (16,50 F)
- Witold Jedlicki: **Klub Krzywego Koła** (10 F)
- Stanisław Mackiewicz: **Polityka Becka** (12 F)
- Wincenty Witos: **Moje Wspomnienia, Tomy I/II/III**
(87 F)
- Wiktor Sukiennicki: **Biała księga** (12,75 F)
- Gustaw Herling-Grudziński: **Inny świat** (13,50 F)
- Borys Lewickij: **Terror i rewolucja** (15 F)
- January Grzędziński: **Maj 1926** (9 F)